

LAURI VIITA MORENY



Przełożył KRZYSZTOF
RADZIWIŁŁ

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE -1970

Tytuł oryginału fińskiego
MORENI

Opracowanie graficzne
WOJCIECHA KORYTOWSKIEGO



KSIĘGA I



*ffi#S?

P

... **L. rzez góry, pagórki i nie kończące się grzbiety wzgórz, poprzez kamieniołomy, pod ciężkim pułapem z konarów drzew, od chaty do chaty, obok ziemiańskich dworów, od gaju do bagna i od stawu do bajora, w dół na południe ciągnęła się pochyła skorupa potężnego granitowego pola. Ścieżka odnajdywała ścieżkę, strumień spotykał się ze strumieniem. Byłe naprzód, byłe w dół. Drogi rozszerzały się, rzeki potężniały, zdolne przyjmować coraz to większe ciężary i popychać je coraz dalej. Jak wnętrzości olbrzyma wchłaniały w siebie coraz więcej drzewa, zboża, kartofli, masła, mięsa, ludzi, kamieni nagrobnych, skał, ba, całe góry, a głód ciągle jeszcze się wzmagał. Od fiordu do fiordu, długie godziny wlokły się promy, dzień po dniu i przez bezsenne letnie noce sunęły szerokie tratwy po bezkresnym grzbiecie jeziora Nasijaryi. Sosny, świerki, brzozy i olchy — różnej długości i różnego przeznaczenia. Jakież tego mnóstwo! Mijały dnie i miesiące, a cienie rzucane przez chmury, statki i ludzkie twarze wędrowały po głębinie jeziora.

I wreszcie nad południowym cyplem jeziora punkt, w którym drogi i gościńce, strumienie i ścieżki splatały się w jeden węzeł, którego nie można ani ominąć, ani rozsypać. Cokolwiek raz dostało się we władanie nurtu, musiało przecisnąć się przez tę bezlitosną prasę, która włączała ofiarę w nową formę, jeśli już od razu nie sypchała jej wraz z

I

odpadkami na dno ścieku. Tam, w kotle czarownic, powstawała nowa mieszanina: miasto przemysłowe.

Ludzkie ręce i ludzki umysł stwarzały potężne tamy i jazy, które ujarzmiły nacierające masy wody Nasijarvi i przenosiły przez huczącą wściekłość progów i wodospadów na stalowe osie fabrycznych turbin. Zasada genialna i prosta: ruszaj się, nie wyłaź ze swojej dziury i nie rozpalaj się zbyt!

Jakaś ręka chwyciła piękną, gładką dźwignię, ciągnęła z lekka i już po chwili gigantyczna orkiestra żywiołów dudniła w labiryncie murów i hał, wind, kół i transmisyjnych pasów, przykuwając uwagę tysięcy ludzkich mózgów, rąk i oczu. Obalały się drzewa, gniły gałęzie i wierzchołki, odpływały pnie, szumiące lasy wędrowały do tartaków i łu-gowników, płynęły jako masa papiernicza od młyna do młyna, aż do ciężkich wałów, które wyrzucały je w postaci długich kilometrowych taśm papieru na światowe rynki. Kurz i harmider, huk i zgrzyt otępiały zmysły pod falistym szklanym dachem tkalni wielkiej, jak dzielnica miasta, bezlitośnie dudniły młoty kotlarzy na wytrzymałych głowach nitów. Fizyczne i matematyczne formuły święciły najwyższy triumf: to co martwe i to co żywe podporządkowywało się temu samemu prawu, te same maszyny, ten sam wściekły rytm porywał drewno, kamień, żelazo i ludzi. Tętnił, potężniał, uświęcał wszystko, porywał w tany, a zarazem kołysał do snu, usypiał. Fabryki wypełniały się tłumem i pustoszały o z góry określonej godzinie; dwa wielogłośne sygnały syren dzieliły dobę na dwie części — noc i dzień. Dzień stawał się nocą, a noc dniem, na wieczór i poranek nie starczało już miejsca. Nie było nieba, jedynie pokryty sadzą dach olbrzymiego warsztatu, na którym dumne komin-y kuźni wypisywały swoją szarą ewangelię.

Z położonych na północy terenów rolniczych, a także z południa, zachodu i wschodu, dosłownie zewsząd ścigały nieustannie tłumy nowych ludzi, wytrwały inwentarz tej ziemi. Marzyciele ci postanowili wziąć nareszcie cugle swego szczęścia we własne ręce. W pstrym, zgrzytającym młynie z kamienia i stali, sadzy i smarów, pieniędzy i miłości,

potomkowie pokoleń pionierów zapragnęli ułożyć swą cudowną drogę życia, niezależną, szeroką, pnącą się wysoko jak rozpostarte nad ojczystymi lasami niebo. Jakby aniołowie zstąpili z wysokiego nieba i podjęli w tych halach swój niebiański chorał.

Miasto rosło. Fabryczne hale i klitki z pryzmami wypełniały się w tym samym rytmie, w jakim powstawały nowe dzielnice. Budowano pospiesznie, lecz tym szybciej rosły potrzeby. Coraz więcej i więcej!

Konsumpcja wzrosła czterdziestokrotnie. Wynaleziono niewiarygodnie skuteczne sposoby dla jej zwiększenia, genialny aparat produkcyjny, wywołujący coraz to nowe i coraz bardziej skomplikowane potrzeby — proces, który nazywamy postępem. Mówi się, że podnosi się standard, poziom życia. Ale którądy biegnie linia tego poziomu? Gdzie leży? A może stoi? Czy można ją zobaczyć? Czy jest pozioma czy pionowa? A może krzywa? Może to wcale nie linia prosta, ale falista? I jeszcze jedno: czy głód wchodzi tu również w rachubę? Czy żołądek znajduje się na drugim, czy na szóstym planie?

Nazwiska pęcznią w kartoteki, rady — w całe poradnie. Powstaje jedna wielka kartotekopradnia, pozaczasowe i bezosobowo powszechne biuro, tysiącębny urząd, który nie traci czasu na drobiazgi i nie zna poszczególnych przypadków, stoi ponad wszelkimi sprawami, od których uregulowania zależy zjawisko, zwane życiem: wrzenie różnobarwnej, pulsującej mieszaniny. Słowa wzbierają w słowniki, książki w księgarnie, organa w organizacje, a ludzie w ludność; anonimowe biura usług świadczą konkretne usługi, zadania urastają do rangi kompetencji. Ognisko domowe staje się jedynie mieszkaniem, za sprzęt strażacki służy zwykły worek po cemente; istnieją parki bez jednego porządnego drzewa, flora okazuje się plikiem papierów z tytułem „herbarium”, gdzie nie rośnie nic oprócz pleśni. O świcie maszyna wyrывa ludzi z łóżek, by wieczorem wpędzić ich tam na powrót. Maszyny przenoszą ich z miejsca na miejsce, maszyny wylęgają, doją i karmią, maszyny ro-

dzą, piszą, czytają i liczą, a grająca szafa dudni muzycznym wyrobem.

W końcu odkryto coś, co wybawia człowieka zarówno od zła, jak i od dobra. Wynaleziono sposób, który zwalnia go z wszelkiej odpowiedzialności, uwalnia od wszelkiego sentymentu, wiedzy, od słuchania, patrzenia i od wszelkiego wysiłku. Tak! Mimo wszystKo! I choć to bardzo trudne, sposób ten nawet twórców wyręcza w tworzeniu.

Naprzód więc! Dolne jezioro Pyhajarvi ciągnie się w dal, górne Nasijarvi przepycha się z trudem, a między nimi miasto Tampere i wodospad Tammerkoski. Osiemnaście metrów różnicy poziomu między powierzchnią jednego jeziora i drugiego, a jak daleko do dna? Gdzieś daleko toczy swe wody zasobna w ryby rzeka Nokia, już oczekiwana przez Zatokę Botnicką.

Pomocnik Iisakki Nieminen...

Opowiadają, że pradziad ze szczepu Birkków, czyli brzozowych ludzi, był ponurym i potężnym zabijaką, który w bezwietrzne letnie wieczory siadywał na przyzbie swej chaty, wpatrzony w huczącą rzekę, a gdy zauważył tam choćby najmniejszy nie przez niego zrąbany ściniek drewna, zrywał się, chwycił za topór, zabierał ze sobą pąjdę chleba, i wyruszał, aby się przekonać, kto to taki odważył się zanieczyścić wodę. Co prawda nawet i ten olbrzym spotkał mocniejszego od siebie. Zestarzał się wreszcie i umarł. Zwłoki zagrzebano ponoć pod kopcem z głazów, przytoczonych tu przez podbiegunowe lodowce. Na pamiątkę zmarłego obcięto gałęzie ze świerka. Drzewo zbutwiało i zgniło, a z głazów grobowego kopca zbudowano oborę dla bydła. Powiadają jeszcze, że jakiś wyrobnik, trzęsąc ze strachu portkami, wyciągnął z ziemi siekiere osobliwego kształtu, na której zakrzepła krew. Niech będzie błogosławiony czas, który przemija niepowstrzymanie.

Nazwisko pomocnika Iisakkiego Nieminenena figurowało w księgach fabryki przerabiającej bawełnę; w dzień — z tytułu wynagrodzenia za pracę, w nocy — z tytułu czynszu za mieszkanie. Dzień roboczy trwał dwadzieścia cztery, a niekiedy nawet czterdzieści osiem godzin, ale nikogo

nie zmuszano do godzin nadliczbowych, każdy miał prawo wyboru pomiędzy przyjęciem warunków a utratą pracy. Stawka była zresztą tak mała, że nadgodziny były raczej przywilejem niż nieszczęściem, majster nazywał je nawet „dodatkiem dla dobrych ludzi”. Iisakki, który niemal co wieczór miał szczęście do godzin nadliczbowych, był dobrym pomocnikiem, właściwie chyba już nawet cieślą. Podobny system był korzystny z punktu widzenia kosztów produkcji, ale zły, jeśli się przyjmie zaspokojenie potrzeb człowieka za jej właściwy cel.

Ostatecznie i akcjonariusze to też ludzie i mają własne potrzeby, wszelako nie znaczy to bynajmniej, żeby robotnicy mieli być ludźmi bez potrzeb. Dajmy na to, że teatr, biblioteka czy znaczki pocztowe nie były Iisakkiemu potrzebne do szczęścia, ale wypada wziąć pod uwagę, że bardzo lubił świeże powietrze, jezioro, las i dzieci, krzesło na biegunach i jakieś bliżej nieokreślone, pełne wspomnień rozmyślanie, a również na te —■ lub raczej szczególnie na te — właściwe człowiekowi duchowe przyjemności bez wątpienia znacznie bardziej nadawały się wolne godziny niż tak zwane nadliczbowe.

A że tytuł i zawód obywatela jest niewątpliwie rzeczą bardzo ważną, należy starannie odnotować: Iisakki był nie tylko pomocnikiem i cieślą, ale człowiekiem pracującym na wolnym powietrzu, należał do cechu pracujących na wolnym powietrzu. Znaczyło to mniej więcej tyle co robotnik budowlany, a to jest znowu równoznaczne z pracą sezonową, która ma wątpliwe zalety, zwłaszcza dla żywiciela rodziny. Nazwanie kogoś robotnikiem okolicznościowym byłoby już niemal obrazą, gdyż budowa domów, mostów, dróg, tam i podobnych urządzeń nie należy do przypadkowych przejawów cywilizacji, ale do jej zjawisk podstawowych. Iisakki wyznawał się na tym doskonale. Wprawdzie mając na uwadze stale wzrastającą liczebność rodziny, postarał się o tak zwaną posadę, ale do zmiany swej przynależności zawodowej nie dał się nakłonić w żaden sposób. Mimo to był i tak pełnoprawnym, chociaż właściwie nie, **był** po prostu rzeczywistym pracownikiem tkalni.

Spośród licznych tytułów Iisakkiego tytuł „pomocnik” jest w tym wypadku najwłaściwszy również dlatego, że nazwa ta nawet nie usiłuje precyzować tego wszystkiego, czego się wypowiedzieć wręcz nie da, a co taki człowiek musi jednak umieć. Pomocnicy są jak przyjazne siły przyrody, które się jedynie wtedy dostrzega, kiedy przestają działać. Lecz Iisakki działał. Zauważono go dopiero, kiedy święta ziemia spadła na wieko jego trumny. Była to zresztą szczególnie wykwinna skrzynia, pierwsze łóżko bez pluskiew, w którym pomocnik mógł się wreszcie wygodnie wyciągnąć między dwoma prześcieradłami, aż do chwili... — właśnie — kiedy wreszcie dokona się obiecywany przez pana pastora cud? Kalle, syn Iisakkiego powiedział wtedy: „Jak by nie było, nie kupimy najtańszego pudła, bo na pogrzeb mają przyjechać ci z Helsinek! Jaka szkoda, że Iisakki nie usłyszy już ukochanego głosu swego potomka!

O, gdyby za życia spotkało go takie uznanie, wtedy, gdy od świtu do zmierzchu latał coś w tkalni, w owym zasłużonym przedsiębiorstwie, gdzie jak z rękawa wytrząsano chusty i płótno pościelowe dla potrzeb całego narodu, zarówno dla pięknych dziewcząt, jak i dla szpetnych trupÓTEŁ Przecież to w tym celu wołano go wciąż do czegoś nowego: „Przynieś tę kacz do magazynu!”, „Weź szufłę do śniegu i wejdź na dach przedzalni!” Albo: „Zabierz od razu dwie szufle i weź sobie do pomocy Jarvinena, tego co kładzie tynk na trzecim piętrze. Podczas przerwy obiadowej doprowadzicie ścianę do porządku, żeby przynajmniej z babami był święty spokój. I można by przy okazji od razu przymocować tam jakąś deskę dla elektryka, pokażę wam gdzie. Ale nie uszkodźcie kabla!” A potem: „Zresztą już wam mówiłem, po fajrancie pójdziemy do Koski na drugie piętro W ramach pomocy sąsiedzkiej, zostaniemy tam do rana!”

Iisakki szedł, przynosił i zanosił, szufłował, zamiatał, umocowywał, rozbierał na części, budował i burzył. Iisakki pracował — od tego był. Był jak tępa siekiera, która po trosze nadaje się do wszystkiego.

O jakiegokolwiek by to nie było porze dnia, raz wcześniej, raz później, Iisakki zbierał narzędzia i wióry, odkładał

wszystko na swoje miejsce, po czym świadomymi celu krokami udawał się obok fabrycznego kościółka do pewnego, również fabrycznego, mieszkania, gdzie ściśle określone funkcje — żywienie się i spanie — czekały na spełnienie. Odcinek ten przemierzał już od dziesięciu lat, idąc bacznie obserwował wszystko dokoła, ogarniał spojrzeniem dwojga oczu, choć właściwie jedno oko na tak dobrze znanej trasie mogłoby się wydawać zbyteczne.

Droga była prosta i równa, bloki mieszkalne stanowiły regularne kwadraty, każdy odcinek drogi miał nad sobą własne pasemko nieba. Iść czy wracać, na wschód czy na zachód, przy tak łatwej do objęcia wzrokiem trasie problem ten nie przedstawiał najmniejszej nawet trudności. Wymaganie, żeby dorosły mężczyzna bez specjalnego błędzenia trafił z fabryki do łóżka i z łóżka do fabryki nie było zbyt wygórowane. W bocznej ulicy mieścił się również przyfabryczny szpital. Nie zapomniano więc i o takiej okoliczności, cóż za doskonały porządek! Istniały więc powody, dla których można było przypuszczać, że ponadto istnieje jeszcze zapewne przyfabryczne niebo i piekło. Wszystko tu było najzupełniej pewne, dokładnie przemyślane, dostosowane i zharmonizowane. Domki jeden w drugi tego samego kształtu i koloru, z jednakowymi oknami i okienkami suterenu. Czyżby dyrekcja zamierzała upodobnić mieszkańców tych domków aż na tyle, żeby stali się zupełnie identyczni? Iisakki zresztą trochę przesadzał, bo choć wszystko było tak zharmonizowane, tak podobne do siebie, to jednak robotnicze koszary nie były usytuowane bez reszty identycznie. W konstrukcji budynków wyraźnie rzucały się w oczy dwa kierunki, choć i te dzieliły niewielkie różnice. Było wręcz bezczelnością z jego strony nie uwzględnić różnicy ich długości, tym bardziej, że absolutnie pomijał liczbę kominów, gdy właśnie w tym ujawniał się wyraźnie udział twórczej fantazji budowniczych.

Blacharze mieli w fabryce przeważnie dość łatwe do zapamiętania przydomki jak na przykład Żaba, Jastrząb, Gnojek czy Szkap, ale Nieminena nazywano zawsze tylko Nieminenem, choć było kilku o tym nazwisku. Imiona jak

Bezimienny Nieminen czy też Nieminen-Filozof jakoś nie mogli się utrzymać. Raz mniemano, że najbardziej charakterystyczną cechą Iisakkiego jest małowówność, to znów właśnie dochodzono do przekonania, że przeżywanie jest w ogóle dziecinne. A nazwisko przecie posiadał choć, jeśli mowa o wykształceniu, nie umiał nawet po szwedzku ani po łacinie, nie wspominając już o historii czy filozofii. Wprawdzie na swój sposób zastanawiał się nad wszystkim, ale kogo to mogło obchodzić? „Nie mitręży się czasu, kiedy się ma usta zamknięte” — mawiał. — „Słowa są zdradliwymi przyjaciółmi”.

A czyni? Nad swoimi planami Iisakki ślęczał nieraz tak długo, aż nabierały konkretnych kształtów czynu, który można było namacalnie stwierdzić, nie wykonanie zamierzeń tych byłoby równoznaczne z ich rozplynięciem się w nicłość. Bo cokolwiek w życiu wykonał, natychmiast przestawało być jego własnością: już samo rozpoczęcie dzieła było wyrzeczeniem, niejako utratą dobrego przyjaciela. Lecz zawsze miał pod ręką jakiś nowy pomysł... a wkrótce potem znów kolejne rozstanie.

Pracujący na wolnym powietrzu pomocnik Nieminen Iisakki doświadczonymi skośnie do przodu zgiętymi nogami, kroczył dalej i dalej po drodze swojego żywota. Jego ręce, dziwnie niezdarne, ilekroć nie trzymały niczego w garści, wydawały się poruszać w powietrzu, podobnie jak i jego nogi, między dwoma niewidocznymi poręczami ze sznurów. Przez poważną maskę jego oblicza przebijał zalążek uśmiechu. Tymczasem jego stara słała łóżka, gotowała, piekla, a na świat przychodziły coraz to nowe gęby do żywienia, aż imion brakło. Wieczny z tym kłopot!

Ale czy oznacza to, że wszystko, było jak trzeba, sprawiedliwe, czy człowiekowi nic się nie należy oprócz przyzwoitego pochówku? Czy wszelkie inne niedostatki miały pozostać jako pomsta i dziedzictwo dzieciom aż po trzecie czy czwarte pokolenie?

Nie. Iisakki nie był zadowolony. Nurtowało go coś, wobec czego wszelkie zakazy i nakazy były bezradne. Czy była to pozbawiona kości i mięsa dusza, czy też coś innego, w każ-

dym razie to coś nie przestawało się w nim **uskarżać**. **Nękało** go niczym głód, ów osobliwy głód, który pozbawia apetytu. Nawet we śnie głód ten dawał o sobie znać, budził i nie pozwalał zasnąć, nie było innego wyjścia, jak usiąść na krawędzi łóżka. Psiakrew, jak trzeszczy, trzeba je naoliwić. Za chwilę podnosi się również i żona: „Może chcesz kropki?” I tak nie ma rady na kaszel. „Może grzanekę?” — „Daj mi spokój!” Nie były to dość skuteczne sposoby na tkwiący w duszy upiór.

Kiedy przy pracy koszula przepociła się do suchej nitki, robiło się człowiekowi lżej na duszy, upiór kurczył się i kulił jak dżdżownica. Ale wystarczyło spocząć na chwilę, wyjąć z kieszeni papierosy i zapalki, a już rozlegał się ów tajemniczy szept: „lisakki, lisakki, że też wciąż jeszcze włączysz się z tymi tyczkami i belkami!” — I jak już nadmieniliśmy, niezależnie od tego, jak się to coś mogło nazywać, na pewno nie było to kłamstwem. Owo coś umiało gadać, a życiorys lisakkiego znało lepiej niż on sam, lisakki, który płacił podatki i figurował w kartotece fabrycznej. Ba, to coś umiało opowiadać takie dziwne rzeczy, że aż lisakki oglądał się nagle za siebie, i to nie raz, żeby sprawdzić, czy ktoś tego przypadkiem nie zauważył. Uznaliby go jeszcze za wariata, gdyby się rozniosło, że dorosły robotnik potrafi spłaszcząć nos na szybie i wyobrażać sobie, że frunie z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami na wierzchołek jarzębiny. Litowano by się na jego widok, kiedy jak chłopak, bosy, wywijając widłami, rozrzuca w pocie czoła gnój na ściernisku.

Nie, mówiła mara, nie jesteś wyrobnikiem, ale zleceniobiorcą, dostajesz zapłatę w gotówce, składasz ze swymi dziećmi całe góry z drobnych monet, a z widłami nic cię nie łączy. Tak, tak. No, bo gdy się jest robotnikiem budowlanym, to i można budować, dlaczego nie!

Dlaczego lisakki nie budował? Czyżby nie znał się na swym rzemiośle?

No cóż, napociłeś się, zużyłeś całe mnóstwo narzędzi. Piłowałeś pnie, ciąłeś to z jednego końca, to z drugiego, jak szczur ogryzałeś coś to tu, to znów tam, we wszystkich kątach fabryki. Zgoda! A twój własny kącik? Gdzie go masz?

W kasie pożyczkowej czy w banku? Może dziś nieodpowiednia pora na przeliczenie twoich akcji fabrycznych? Co, nie masz nic prócz spracowanych rąk i zniszczonego nadmierną pracą ciała? Co właściwie sobą przedstawiasz, skoro nawet nie usiłujesz naśladować innych?

Kto został stworzony na obraz i podobieństwo Stwórcy, winien sam tworzyć! Nie, lisakki, pompowanie wody się nie liczy! Popatrz, wszystko, co zarobiłeś, popłynęło jako kał do kanału. Tam leży dzieło twojego życia, w dołach kloacz-nych, wśród tysięcy takich samych odpadków. Nie myjesz nawet zaprezentować, co należało do ciebie, nawet gdybyś zechciał to wyłowić tyczką! Cokolwiek zdobyłeś, zamieniłeś w chleb, zjadłeś i oddałeś znów. Nie skąp, pozwól miastu wzbogacić się o twój grosik, duchowi twemu przydałaby się kanalizacja. W niej pogrzebana jest również większość twego potomstwa! Spójrz, Panie, tam spoczywają nie-narodzeni, ci, którzy nigdy nie przestąpili Twoich przykazań! lisakki, lisakki!

A potem znów od początku: lisakki, posłuchaj mnie, lisakki...!

Co ty na to? Może byśmy tak znów obejrzeni ten czerwony domek z białymi framugami okien, z widokiem na jezioro? Pięknie położony, szkoda, że nie można go nikomu pokazać! Stąd widać go doskonale — nic dziwnego, stoi na zboczu. Ale jakby się skurczył. No i w ogóle jak mógł się tak bardzo obsunąć. Widocznie wzięto zbyt świeże pnie! Bo kto to pozwala swemu synowi pomagać przy budowie domu! I właściwie, lisakki, koloru tego nie można już nazwać czerwonym! No tak. Szary kolor jest o wiele trwalszy, ale przyjrzyj się oknom! Otóż to, okien właściwie wcale nie ma!

lisakki, lisakki, dom twój zdaje się zmieniać w trumnę.

Taką już miał duszę, a to osobliwe i nad wyraz przykre zjawisko natury gnębiło Iisakkiego. Belki, pnie czy nawet worki można wlec ze sobą z miejsca na miejsce albo odstawić gdzieś na bok i troszkę odsapnąć, ale co począć, jeśli jest się równocześnie ciężarem i tragarzem! Takiego ciężaru pozbyć się nie da rady, z jednego nie da się zrobić dwóch, tak jak i z dwóch jednego.

W drewnianym parkanie na swoim zwykłym miejscu była zamocowana furtka, a na jej węgarze ten sam numer, co w głowie Iisakkiego. Co to? Czy drewno się zeschło, czy to sprawa łobuzów? Bez przekleństwa zasuwy nie ruszysz. Zima właśnie się sposobi do drogi, a wiosna nadejdzie niebawem, więc można się już będzie zabrać do ścinania drzewa.

Przez cały dzień Iisakki nie mógł się uwolnić od przygnębiającego niepokoju, jaki nie opuszczał go już od samego rana, a dopiero teraz znalazł nagle wytłumaczenie: dziś dzień wielkiego prania, na podwórzu na krzyż i w poprzek sznury obwieszono różnokolorowymi chorągiewkami bielizny. Były tam nawet nocne koszule, chociaż lepiej gdyby ich tam nie było. Wypada o tym wiedzieć — zresztą to babska sprawa, to i niech się baby o to martwią, zwłaszcza te, co koszul nocnych nie mają. Józefina mogła ich przynajmniej nie wieszać w pierwszym rzędzie. Czy grozi za to piekło, nie wiadomo, a może coś jeszcze gorszego.

— Przyszedł Makinen z Pispali, czeka już tu od godziny! — oznajmił jakiś głos spoza rozwieszonej bielizny.

Iisakki odkaszlnął, chrząknięciem oczyścił sobie krtań, ale nie otworzył ust,

— Zaraz będę... Z bielizną koniec... Już niedługo po trwa...

Wtedy wydało się, że się ktoś poruszył, aby Józefinie pomóc, oczywiście był to Paavali. Iisakki zaprzestał bezskutecznego pochrząkiwania i bez reszty skoncentrował się jakby przed finiszem.

Ze schodów wejściowych wchodziło się bezpośrednio do wspólnej kuchni. Iisakki nie przystawał, aby rozejrzeć się i podziwiać, ale do ostatka swych dni miał zachować w pamięci, że w kuchni, biorąc od lewej, znajdowały się: wiadro na odpadki, kilka półek, okno, szafka na zapasy, znów wiadro na odpadki, otwierające się do wewnątrz drzwi, stołek i wiadro na wodę, murowana kuchenka z płytą na pięć naczyń, otwierające się do wewnątrz drzwi, wielkie, załatane rybią błoną szklane naczynie, jeszcze jedno drzwi, wiadro, skrzynia, stół, znów takie same drzwi, a w najdalszym ką-

cie druga skrzynia, kolejne wiadro na odpadki oraz schody na strych; Iisakki wiedział, że sufit kuchni ma równo 12 metrów kwadratowych i że muchy potrafią spacerować także i po suficie. Wiedział, że powierzchnia wszystkich sufitów, uwzględniając w tym również pięć izb jego mieszkania i kuchnię, wynosiła łącznie około osiemdziesięciu metrów kwadratowych, w które wpatrywało się ogółem trzydziestu dwóch stałych obserwatorów, nie licząc na pół ośleplej staruszki. Wiedział, że okienko na strychu, mimo swego wyglądu, nie jest brudne, że już kilka razy zdrapywano zeń pleśń i osad mszyc, wiedział, że stojące przed schodami — lub raczej drabiną — na strych wiadro na odpadki regularnie się przewracało, ilekroć któraś z dziewcząt bez majątek wstydziła się zejść tyłem po szczeblach. Wiedział, że pokręcając blaszanymi uchwyty nad płytą paleniska można przegonić różne opary i zapachy, które ulotnią się przez wąski wylot komina. Iisakki jak najdokładniej rozumiał konieczność wystarania się dla swojej rodziny o lepsze pomieszczenie, choćby przez budowę własnego domu, jeżeli inaczej się nie da.

— ■ Dobry wieczór — powiedziała Lindenowa przez uchylone drzwi, ale do kuchni nie weszła, najwyraźniej zdjęła już halkę. „To Nieminen” — dało się słyszeć z innej strony i tam też uchyliły się drzwi. Iisakki odburknął coś pod nosem.

Elina, dziewczynka w wieku konfirmacji, siedząc przy kuchennym piecu bezmyślnie gapiła się w przestrzeń. Pewnie miała podłożyć na ogień, aby nie wygasło. Dałoby się jeszcze i teraz temu zaradzić, wystarczy przynieść parę szczap ze strychu.

— Kiedy matka wróci? — spytała Elina.

— Wróci, gdy nadejdzie pora! — odpowiedział ojciec i spiesznie wszedł do izby.

— Iisakki już jest! — stwierdziła na wpół ślepa staruszka, matka Józefiny. Skulona siedziała na brzegu rozkładanego łóżka i szturchającem przywoływała do porządku małego Kallego, ilekroć próbował się podnieść. Silvi i Jussi już leżeli pogrążeni w głębokim śnie. Einari natomiast zdawał

się jeszcze wpatrywać w otwartą książkę, którą przysiadłszy na krawędzi łóżka, rytmicznie poruszał. Miało to widocznie znaczyć, że odrabia lekcje.

— Połóż się już, bo jeszcze uśniesz! — powiedział Iisakki.

Einari nie miał nic przeciwko temu, naprawdę rozbudził się dopiero, kiedy uwolnił się od książki i wśliznął do łóżka.

Makinen z Pispali — lub raczej Eemeli Makinen — zasiadł w fotelu na biegunach, który wypełniał fragment podłogi pomiędzy komodą a maszyną do szycia, stołem a ścianą. Kapelusz położył na wieku maszyny do szycia, a co zrobić z płaszczem i kaloszami, nie musiał się kłopotać, jako że ich po prostu nie miał. Ale miał zegarek.

Iisakki wyciągnął spod stołu jakiś stołek, a drugi pozostawił tam jako rezerwę. Usiadł, zapalił papierosa, położył paczkę z papierosami na stole i powiedział: „No, zapal sobie!”

Izba była już dość zadymiona. Babka otworzyła drzwi na dwór, a mężczyźni po kolei sięgali po papierosy, jeden raz, potem drugi raz i tak dalej. Okna, powiadano, można otwierać dopiero wtedy, kiedy brzozy wypuszczą pierwsze listki. Pod tym względem babka była nieugięta, choć od sześciu lat nie mogła już dojrzeć ani gazety, ani brzożowego listka. „Będziecie robić po swojemu, kiedy pójde do ziemi!” — zawyrokowała.

A może Eemeli Makinen przyszedł tylko po to, żeby dostać coś zapalić? Na to wyglądało, gdyż Eemeli nie należał do gatunku ludzi, którym rozmowa na temat bieżących lub możliwych wydarzeń mogłaby sprawiać trudności. Miał ów spokojny głęboki głos, który podoba się każdemu mężczyźnie, Eemeli robił zeń użytek na zebraniach stowarzyszeń zawodowych, politycznych czy spółdzielczych, aby wygłosić któreś ze swoich licznych i długich, a przede wszystkim zupełnie niepotrzebnych, a często powtarzających się przemówień. I tak stał się niemal żelaznym kandydatem na posła do rady miejskiej, choć nigdy nie został do niej wybrany.

W tej chwili jednak w izbie Nieminenów panował nastrój, którego najbardziej nawet dogłębne wyjaśnienie nie

wymagało ani jednego słowa. Już sam fakt, że Eemeli przybył i tak wytrwale czekał, tłumaczył dostatecznie jasno, o co chodzi. Eemeli nie kiwnąłby nawet palcem w bucie na znak sprzeciwu, lecz i spełnienie prośby, zdaje się, nie przyszło mu lekko, Iisakki bez trudu poznawał wpływ żony Makinen?. W rodzinie Makinenów gruntownie naradzano się, zanim głowa rodziny odważyła się udać w drogę i oznajmić, że się zgadza, a właściwie, że wreszcie uzyskał zezwolenie i może zostać żyrantem Iisakkiego. Jooseppi, brat Ee-melego, będzie drugim, jak już uprzednio ustalono. A jak było z tym Jooseppim? No, cóż, miał domek, choć nie na własnym gruncie, a Eemelego.

Iisakki usiłował postawić pudełko z zapalnikami na paczce papierosów, obracał nim na wszystkie strony i przymierzał: najlepiej udawało się, gdy kładł pudełko z zapalnikami w poprzek dłuższej strony paczki. W gruncie rzeczy drażniła go ta cała historia z poręczycielami, i to już od wj^lu dni. Mógł mieć i innych żyrantów, ale gdy już raz zaczął od tego końca, to już nie było rady. „Kup najpierw kawałek gruntu” — doradzano mu. No, nie kosztuje to znów aż tak drogo, stać go na to na pewno. Owszem, na tyle by wystarczyło, ale...

Iisakki nie umiał niczego zacząć, w czym by od razu nie widział końca. Trzeba było mieć mocne nerwy, aby znieść jego powolność, ale potrafił też się nagle zapalić. Ciułaczem nie był, ale umiał się do dzieła zabrać obiema rękami. Najważniejsze jednak, że upiór straszący w jego duszy nareszcie pojął, że wieczne zarzuty trzeba rozniecić w wielki alarm, by Iisakki nie miał możliwości odwrotu.

Eemeli naciągnął już kapelusz na głowę, gdy nagle wpadła do izby Józefina z koszem bielizny i chcąc nie chcąc Eemeli musiał znów położyć kapelusz na maszynie do szycia.

—■ Siedzieć tak bez kawy jest równie nieładnie, jak nie poczęstować gościa kawą — rzekła Józefina. — Że też ta Elina nie postawiła nawet filiżanek na stole! A ty sam nic nie potrafisz znaleźć, jeśli ci pod nos nie podsunąć! Tak, tak! Nie rób takiej zdziwionej miny, umarłbyś z głodu i za-

zł, i to od dawna, gdybym się o ciebie przestała troszczyć!

Prawdę mówiąc, nie przestanie na pewno. Musi utrzymać swoich przy życiu, jest to równie pewne jak to, że nazywa się Józefina i że dziś dzień wielkiego prania.

Tymczasem zjawił się i Paavali, najstarszy syn Niemine-nów, taszcząc drugi kosz z bielizną. Pomoc nie była potrzebna, nikt matce zresztą nie pomagał. Tym chłopcem jednak można się było pochwalić, bielizną też, choćby mieściła się w jednym koszu. Właściwie więcej bielizny nie było potrzeba i maszyna do szycia też wydawała się zbędna, zaś wielkoduszność i pogoda, panująca w rodzinie Nieminenów, zdawała się graniczyć z cudem — jakby Nieminenowie nie mieli mnóstwa dzieci i osleplej, schorowanej teściowej na karku i jakby przyfabryczne mieszkanie nie było jeszcze dość wyraźnym podkreśleniem zasadniczego faktu, że suma tygodniowego zarobku nie jest identyczna z mnogością wszelkich wspańiałości na ziemi. Lecz cóż, jak cuda to cuda i człowiek jest na nie podatny, skoro tak zwany rozsądek nie chce ich nawet dostrzegać.

Noc była za to czymś bardzo rzeczywistym, gdy Eemeli pożegnał gospodarzy.

Od Nieminenów do Makinenów nie było daleko, co najwyżej jakieś trzy kilometry, mimo to ciemności i wyboista droga dawały się we znaki. No i Hilma, na Boga, i to właśnie tam, dokąd Eemeli szedł. Zresztą w ogóle! Iisakki powinien był sam przyjść, uważała Hilma. W każdym razie piesza wędrówka była bagatelą w porównaniu z tym, co dopiero nadciągało i już z góry, niejako niby zadatek, wprawiało uczynną duszę Eemelego w przyjemne podniecenie. Ale mężczyzna woli być raczej świnią niż osłem: Eemeli próbował za wszelką cenę wynaleźć jakiś ze wszech miar możliwy do przyjęcia pretekst do podbudowania swej, bynajmniej nie przynoszącej mu zaszczytu, dobroci. Nie sięgał aż tak wysoko, aby całą odpowiedzialność zwalić na powszechnie uznane prawzory proroków, świętych i Sama-rytańczyków. Zadowolił się uwagą, że również Iisakki jest teraz zobowiązany wyświadczyć mu jakąś przysługę i że

Iisakki był mu zawsze potrzebny, i chyba będzie w dalszym ciągu. Po dniach wielkiego prania, które zwykle ciągnęło się również przez całą noc, następowały dnie maglowania i prasowania. Roboty było niemało, tak jak zapewne i tam, gdzie wymyślono znane przysłowie, które radzi nie odkładać na jutro niczego, co da się zrobić jeszcze dzisiaj. Zajęcia Józefiny były przeważnie tego rodzaju, że w żaden sposób nie można ich było odłożyć na dzień następny, chyba że nie miały być już zrobione nigdy. Największa i najbardziej nieprzyjemna część jej codziennej pracy zwykle już od dawna czekała na wykonanie. Józefina nie była naturą buntowniczą, nie, skądże, bunt oznaczałby przecież kapitulację, szczerze przyznanie się do własnej bezradności, a przetrzymać i wytrwać każdy przecie powinien umieć, a już w każdym razie kobieta. Trzeba się dobrze przyłożyć, akceptując wszelkie warunki, i umieć przegrywać otwarcie i uczciwie. O zwycięstwie nie mogło być mowy, samo pojęcie zwycięstwa należy do kategorii innej warstwy społecznej: silnemu — zwycięstwo, słabemu — chwała, tak już się rzeczy miały na tym świecie. A przyzwyczajenie to było tak dawne, że nikt się nawet temu nie dziwił. Praca jest naszą radością! Przyzwyczajono kobiety do tego hasła. Wytrwać to znaczy przed wyrzeźbionym z twardego jałowca cielcem wylać możliwie jak najwięcej potu i krwi. Im bardziej męczący rodzaj pracy, tym jaśniej promieniał wieniec chwały. Taki już otrzymały spadek po Ewie: olbrzymia, nieustanna praca, która na przekór wszystkiemu nadawała umykającej chwili coraz większe znaczenie — znaczenie i doniosłość. Historia świata w przeczuciu, oku i uchu, a w nosie kuchenne wonie. Może to i zasługiwało na współczucie, ale trzeba przyznać w imię prawdy, że Józefina odczuwała litość dla kilku znajomych kobiet, których zadłużenie wobec pracy zostało spłacone jeszcze w poprzednich pokoleniach i które w gruncie rzeczy nie miały nic do roboty, jak tylko z wyciągniętą szyją oczekiwać jutra, dzień po dniu, aż do grobowej deski, a nawet jeszcze dalej, w nadziei, że może tam przypadkiem da się coś znaleźć dla wypełnienia dzisiejszej pustki.

— Pani inżynierowa — mawiała Józefina — stale narze-
kała, że nie ma nic do roboty. Ale od razu stała się innym
człowiekiem, gdy wstąpiła do kółka szwaczek i zaczęła szyć
portki dla małych Murzynków, którzy podobno uganiają po
Afryce nagusieńko, jak ich Pan stworzył, że aż im ogonki
mają między nogami. Przy tym nie wiedzą nawet, że po-
winni się wstydzić, bo nie chodzą na naukę przed konfir-
macją.

No tak! Gdyby tak pan inżynier był panem pastorem, jak sobie
tego zawsze życzyła jego żona! Z jakąż ochotą wyruszyłaby do
Afryki albo do Chin, aby ratować dusze tamtych ludzi. Gunnar
chrzczyłby, mawiała, a ja rozdawałabym spodenki i Biblię.

— Bo też był z niej dobry człowiek — powiedziała babka — nie
pozwoliłabym ci iść na służbę do pierwszej lepszej.

— Pewnego razu, czy to z głupoty, a może byłam wtedy jeszcze
trochę dziecinna, powiedziała jaśnie pani, że wstążka przy
czepeczku panny Hildur tak się skurczyła, że nie da się zawiązać
porządnej kokardy, ale nie minęło nawet kilka minut, jak Matyl-
da na mnie napadła z wraskiem, że na nią naskarżyłam.

— Skarżyć nie wolno, mówiłam ci przecież! — obruszyła się
babka.

— Wcale nie chciałam na nią skarżyć, myślałam tylko, że jaśnie
pani chce mieć jakieś zajęcie! Wtedy nie rozumiałam tego, że
wielkiej damie nie przystoi trudnić się czymś innym jak tylko
dobroczynnością. A trochę pomocy Matyldzie bardzo by się
przydało, bo miała przecie wtedy wielbiciela.

— Czy przychodził do niej na górę?

— ■ Żeby tylko! W kuchni usiadł na wieku skrzyni z drzewem, a
jaśnie pani kazała mu dać coś do jedzenia. I Matyl-
da mu dała, ale jak jaśnie pani się dowiedziała, że to nie żebrak, tylko szewc, a w
dodatku narzeczony, to go od razu wypędziła. „Niech szewc
zostanie przy swoim kopycie!” powiedziała. Pamiętam, jak
Matyl-
da się rozplakała, a inżynier się śmiał. Matyl-
da powiedziała
wtedy, że ktoś, co ma majtki, nie pójdzie prędzej do nieba, niż ten
bez majtek.

— Na pewno nie — potwierdziła babka; majtek zresztą

sama nigdy nie nosiła i z tym przeświadczeniem miała już niebawem przenieść się do wieczności.

— Ale dziś — ucieszyła się Józefina — dziś rozumiem, o czym jaśnie pani wtedy myślała. Swoim dzieciom kazała wyjść z pokoju i zaczęła opowiadać Matyldzie i mnie coś o rozpuście. Niewiele z tego rozumiałyśmy, ale Matylda powiedziała, że mówiąc o pójściu do nieba wcale nie miała na myśli cudzołóstwa.

— Cudzołóstwa?

— Coś w tym rodzaju, jak sobie przypominam.

— Tak, tak, to była szlachetna dusza, nie pozwoliłabym inaczej ci pójść do niej na służbę.

Babka mówiła naturalnie wciąż tylko o świętej pamięci pani inżynierowej, córka była wyrozumiała.

— Tak, to była dobra posada — przyznała. — Bo czy umiałabym dziś pisać, gdybym nie dostała się do rodziny, która posyłała swoje dzieci do szkoły? Musiałam się też uczyć, żeby im pomagać przy zadaniach szkolnych, bo byłam od tego, żeby się nimi opiekować. Bo i gdzie dają chleb powszedni za darmo!

—i Tak, tak! Dla leniwego Pan Bóg nie ma ani pożywienia, ani obuwia...

— Nawet wolno mi było grać na fortepianie. Ciekawe, czy bym jeszcze teraz potrafiła?

Jakże nieśmiało, choć dumnie siadała wtedy Józefina przed ową nabożną wspaniałością, gdy pani domu pozwoliła jej spróbować, czy potrafi coś zagrać. Z jakimże błogim uczuciem palce jej zbliżały się do szlachetnych klawiszy — pełne oczekiwania i pieśczozy — zupełnie jak kiedyś pod opieką matki zbliżała się do szmacianej lalki na kamiennej posadzce starej pralni. Niedługo potem dziewczyneczka wprawiła w podziw panią inżynierową, panią pastorową i córki chlebobawcy; niemal bezbłędnie akompaniowała cicho nuconej pieśni kościelnej, śpiewając coraz swobodniej, aż w końcu zaintonowała pełną piersią: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...” Ileż piękna było jej dane zaznać. Oczyma duszy ogarnęła wszystko, do czego wielcy i możni daremnie dążą swymi umiejętnościami i wiedzą, pieniąd-

mi i herbami — wymarzony świat sztuki! „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

Tak. Ojciec Józefiny zmarł, a raczej utonął w Tammerze, gdy córka miała zaledwie dwa lata.

— Stawiałaś wtedy pierwsze kroki — opowiadała staruszka. — Byłaś jeszcze małym szkrabem, kiedy twój ojciec wpadł do potoku przy fabryce, dostałam za to dwanaście marek i siedemdziesiąt pięć fenigów. Była to na owe czasy piękna sumka, przydała się bardzo, bo w tym samym tygodniu musieliśmy pochować twojego ojca i wydać na świat twego najmłodszego braciszka. Nie możesz pamiętać małego Kallego, bo miałaś zaledwie trzy latka, jak umarł. Po waszych narodzinach leniuchowałam w domu po dwa tygodnie, ale kiedy się urodził, poszłam już szóstego dnia do fabryki. Majster nie robił mi w tym trudności, bo wiedział dobrze, jak u nas jest. Miałam was czworo na wychowaniu, a byłam samiuteńka. Właściciel fabryki osobiście zezwolił mi od czasu do czasu wpaść na chwilę do domu, żeby was nakarmić i dojrzeć. Z początku chciałam prosić o pozwolenie brygadzystę i portiera, ale to by było nielegalne, a okazać tyle dobroci na swoją odpowiedzialność nie mieli odwagi.

A potem umarła Zosia, do dziś jeszcze babunia narzeka, że przyczyną choroby musiała być kamienna posadzka. Mieszkali wtedy u kupca Sundholma w suterenie. Czynsz był niski i można tam było prać bieliznę, bo był wmurowany kocioł i w ogóle początkowo miała tam być pralnia. Wprawdzie po zgonie któregoś dziecka z kolei, kiedy wypłacalność wdowy wskutek tego nieco się poprawiła, czynsz wzrósł, mimo to mieszkanie należało do tanich.

Po Zosi zmarł August. Została tylko Józefina, tak *Bóg* przetrzebił gromadkę babuni.

Biedny Kalle!

— ■ No tak! Nie możesz go pamiętać, bo sama byłaś wtedy malutka i nie bardzo rozgarnięta.

Nie. Najmłodszego braciszka Józefina rzeczywiście nie mogła pamiętać, ale i ona usypała już kilka mogiłek.

Babka mówiła dalej:

— Niedługo i ja tam pójde. Kiedy człowiek się starzeje, Bóg staje po stronie przeznaczenia.

— ■ Daj temu spokój, chyba w ogóle nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie.

— To się dopiero okaże, zobaczymy, i to już niedługo — mruknęła babka. Była wprawdzie niewidoma, tym niemniej rozmyślała nad tym, co takiego będzie jeszcze można zobaczyć.

— Na razie trzeba iść do Pispali, na umieranie nie ma czasu.

— Idźcie tam sami! Ja już raz Pispalę widziałam.

— I ja też dopiero dwa razy widziałam ze statku na jeziorze Nasijarvi, raz w czasie jazdy w tamtą stronę i raz podczas powrotu. Tak często się przecież nikt stąd nie rusza!

— Tak to już jest, chociaż niby nie jest daleko, pół godziny piechotą. Stara pani Salonen z Pispali, świeć Panie nad jej duszą, zawsze nas zapraszała, ale jakoś nic^ tego nie wychodziło. Nie byłam tam ani razu od czasu, kiedy wybrałam się do Tampere.

Babka — Miina czy też Wilhelmiina — miała osiem lat, gdy w wysokich butach z grubej skóry, które ojciec zrobił jej na koszt ciotki, przywędrowała ze wsi do miasta. Pieszko. Cóż za szczęście, że to nie było zimą, ale latem, w najpiękniejsze ciepłe lato. Miała już za sobą trzydzieści kilometrów drogi, kiedy zatrzymała się i uprzytomniła sobie, że znalazła się w przełęczy. Nie mogła oderwać oczu od północno--wschodniej strony. Pochłonał ją cudowny widok życiodajnego słońca, które rozpalone wynurzało się z jeziora i wznosiło się ku niebu. Cóż za widok! Nie było to złudzenie, ale jak najbardziej rzeczywisty, łatwy do sprawdzenia fakt, jeśli tylko miało się oczy, tak, oczy...

— I od tego czasu nie widzieliście rodzinnego domu?

— Co?

— Rodzinnego domu?...

— Jakże mogłam, kiedy został rozebrany! Bo czy nie... Tak, oczywiście, już ci o tym opowiadałam! Nauczyłaś się już zapominać?

— Czegoś się przecież musiałam do tej pory nauczyć!

— Domek nie stał na gruncie ojca, tylko na ziemi gospodarza Kallego, tak nazywał się ten młody chłop. Imiennik naszego Kallego! Zresztą jedno nie ma nic z drugim wspólnego. Naszego Kallego też nie możesz pamiętać, byłeś przecież wtedy malutka!

Więc po tej wędrówce w letnią noc Miina, czyli Wilhelmiina, ujrzała przepiękny wschód słońca. „W górze promieniące światło, w dole szumiące fale”, jeśli tak można powiedzieć.

Było to na przełęczy Pispala, a jezioro nazywało się Na-sijarvi. Pół godziny później dziewczynka trafiła do mieszkania ciotki. Zapukała, z całej siły tłukąc w drzwi, jak była nauczona. Ciotka była już ubrana:

— Tu nie leniuchuje się tak długo w łóżku jak na wsi! Wstajemy o trzeciej lub czwartej, latem i zimą! Wielkie nieba, ale ty urosłaś! Czyś ty Hanna czy Miina? Możesz pójść ze mną do fabryki, ale chwileczkę, mam nadzieję, że nie masz wszy. A więc niedługo będziesz miała już dziewięć lat, a ja powiedziałam majstrowi, że masz dopiero siedem. I tak cię przyjmie. No, opróżnij filiżankę, idziemy już, bo się spóźnimy! Gotowi już pierwszego dnia wlepić ci karę!

Po drodze musiały skręcić kilka razy, zdążyły jednak na czas, zamykający bramę odźwierny patrzył przez palce i udawał, że z zawiasami coś jest nie w porządku.

Ciotka cieszyła się w fabryce dobrą opinią, toteż jej podopieczną wpuszczono nawet bez okazania zaświadczenia o odwszeniu. A potem od razu do maszyny: „Uważaj i nie gap się! Podłóż sobie coś, żebyś była trochę większa, jakiś stołek, bo inaczej nie dosięgniesz. Trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte, chwytać i trzymać mocno, byle z właściwego końca! Gapienie nic ci tu nie da, tylko nie stercz bez zajęcia jak komin spalonej chałupy!”

To był ciężki dzień, ale potem nadeszła noc. Przed pójściem do łóżka ciotka znalazła trochę czasu, aby zapytać co nowego w domu.

— Na miłość boską, mogłaś w drodze zdjąć buty, bo kto w puszczy patrzy na czyjeś nogi!

Za każdym razem, ilekroć babka powtarzała to zdanie nieboszczki ciotki, Józefina miała dziwną ochotę powiedzieć coś, na co się jednak nigdy nie zdobyła: „Nie podchodź! Zdejm sandały. Tam gdzie stoisz, ziemia jest święta!” Powód był prosty, Józefina przypominała sobie tylko jakieś doznanie, ongiś przeżycie religijne, ale nie pamiętała jego pochodzenia.

A potem pozwolono Miinie zbliżyć się do warsztatu tkackiego. Następnie wydano ją za męża, miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Tkanie trwało dalej, ale życie stało się wtedy zupełnie inne niż za panięskich lat. Przez cztery lata nie miała „pewnych” dni. Mówiła o tym raczej z <j>nną niż z żalem, kiedy zaś pochowała męża i wydała czwarte dziecko na świat, wezwała proboszcza, aby ochrzcił niemowlę i wpisał jego imię do domowej Biblii, a potem poprosiła go, by je podkreślił długą linią.

—■ Właściwie mogłabym je sama podkreślić — rzekła babka. — „Chce pani już na tym skończyć?” spytał proboszcz. Miałam wtedy zaledwie trzydzieści lat i powiedziałam: „Tak”. Dobrze mu żartować, pomyślałam. I ta kreska była prawdziwa. Znałam tylko jednego mężczyznę i taka jest najszczęśliwsza prawda!

Babcia miała teraz siedemdziesiąt jeden lat i wyglądało na to, że nic już nie zdoła jej przeszkodzić w dokonaniu żywota. Została oddana mężczyźnie, a on ziemi, więc odtąd żyła jak wdowa, małżonka nieboszczyka, wierna samej sobie. Gdyby pastor Linden jeszcze żył, babcia mogłaby rzec: „Pamięta ksiądz, co wtedy powiedziałam. Widzi ksiądz, że nie było z czego stroić żartów?” Miała wtedy jeszcze gładkie czoło bez zmarszczek, włosy okalały głowę jak spłwiałały miejscami kaptur, a kok był upięty tak wysoko, jak tylko się dało. Nieruchome wargi i oczy, a twarz obrócona w stronę zacinającej czarnej zawieruchy. Czy było tam jeszcze coś widać, czy też wszystko było już obojętne? Czy było coś jeszcze przed nią czy już tylko przeszłość?

Józefina przyjrzała się matce i teraz dopiero uświadomiła sobie, że babka już nic nie widzi. Ktoś powiedział, że babcia zadziera głowę wysoko, ale właściwie trzymała gło-

wę w takiej pozycji, w jakiej najlepiej zachowywała równowagę. Nie spoglądała ani w górę, ani w dół, mięśnie karku chyba już zanikły.

— Połóż się! — rzekła Józefina.

Babcia opadła na pościel, zdawało się, że jeszcze bardziej zwraca oczy ku górze.

— Ach! — powiedziała. — Zmieniłaś mi poszewkę!

Józefina mówiła, nie przerywając prasowania, kiedy przestawała mówić, natychmiast zaczynała nucić, a wszystko to było równie naturalne jak oddychanie. Jej piosenki były o tyle dobrane, że wszystkie gruntownie wypróbowane, zawsze wzbudzające ufność, jak kołysanki. Obojętne czy śpiewała: „Lulajże, lulaj”, czy też: „Obudź się!” Sen zawsze przychodził, jeśli był naprawdę potrzebny. Sama się troszkę temu dziwiła, bo mimo wszystko była to wielce delikatna sprawa.

Józefina wcale nie była zaskoczona, kiedy babcia nagle westchnęła i powiedziała:

— Iisakki wpadnie w długi po uszy!

— Dajcie spokój! — Józefina dobrze wiedziała, do czego babka zmierza, gdyż już od dawna nie miałyby nic do powiedzenia, gdyby nie wolno jej było powtarzać w kółko tego samego. Sukcesy i porażki tworzą nierozdzielny całość i kto by chciał pozbawić babkę jej porażek, mógłby równie dobrze przekreślić jej całe życie.

— ■ A ja wciąż jeszcze żyję — powiedziała i przezornie powtórzyła to dwukrotnie, gdyż umieranie było jedynym życiowym zadaniem, w którym obejdzie się bez cudzej pomocy. Dopóki pozostawała jej jeszcze ta szansa mogła czuć się człowiekiem. Śmierć była dla niej jak kula, którą opędzała się od natrętnych psów i uliczników. Wystarczyło pokazać kostur. Rozkoszowała się tym, cieszyła się jak dziecko, któremu pozwalają kapryścić do woli. Im więcej okazywano jej cierpliwości, tym bardziej potrafiła być nieznośna dla otoczenia i tym bardziej utkwić w pamięci innych. Boże, chroń nas od nagłej i niespodziewanej śmierci!

Józefina z trudem pojmowała te najokrutniejsze rozkosze * ludzkiego żywota. Czworo nieboszczyków tworzyło dla niej

wieczną przeciwwagę. Jak gdyby właśnie ona, jedyna córka, miała odpokutować jakąś wielką, niezrozumiałą przewinę. Przez całe życie oburzała się w duchu na tę niewidzialną granicę, która każde słowo rozcinała na pół, nie pozwalając przełknąć kawałka chleba i w ogóle dzieliła wszystko na dwie części.

Gniewny i groźny, surowy i straszny był wprawdzie i Bóg jej chlebobawców, Józefina doszła jednak do przekonania, że jako piastunka zasłuży sobie u Niego na drobne przywileje, jeśli tylko dostatecznie blisko trzymać się będzie pani inżynierowej i jej dzieci. Boga własnej matki musiała zawsze kochać z pokornie opuszczoną głową i drżącymi ze strachu kolanami. Przed Nim nie było ucieczki.

Zostałaby pewnie starą panną, gdyby nie zjawił się Lisakki. Oczywiście nie ślubowała sobie panieństwa, po prostu pozostałaby taką, jaką była. Nabrała już nawet pewnych dziwacznych przyzwyczajęń: zawsze ponuro wlokące się dni świąteczne, gdy wzbierała w niej jakaś niewytłumaczalna tęsknota, przybierająca niemal wyraźne kształty, w swym cichym panińskim pokoiku zrywała kawałek po kawałku z rulonu papieru pergaminowego do zawijania bułek z masłem, i wypisywała przeróżne wyszukane, podniecające słowa z mglistych, nieiszczalnych marzeń. Byli tam książęta, królowie, wielbłądy, palmy, marmury, gwiazdy, skrzydła i dusze, bezmierny miłosny czar i całe garnce łez. Jak słowa psalmu nuciła te słowa tak, że ostatnie sylaby każdej linijki były jak świeżo zaślubiona para nowożeńców. Były to owe szczęśliwe, sztuczne kwiaty, których nie znajduje się na żebraczych szlakach tego świata wśród prawdziwego kwiecia. Tylko ogień czytał te zapiski, rozpalał się, uderzał płomieniem i jeszcze przez chwilę migotał, jak zawiedziony starzec.

—• Czy wiecie — pytała Józefina — jak skowronek śpiewa? Hm, prawda, jest takie przysłowie o skowronku i wiośnie, jak pamiętam...

Lisakki po prostu przyszedł; przyszedł, odszedł, przyszedł raz jeszcze i został. Bez słowa godzinami przesiadywał na fotelu na biegunach, naburmuszony mruk. Tak było. W każ-

dym razie wypraszać go nie było potrzeby, ale coraz częściej przychodził nie proszony. Prawie co wieczór.

— Nigdzie się nie pokazujesz — odezwał się, zdobył się na te słowa.

— ■ Wszędzie bywać się nie da — odparła panna Józefina.

Do niczego by nie doszło, gdyby Józefina nie zmieniła pracy. Przyszedł do niej jak jastrząb, który napada tylko na ptaki w locie. Jak jastrząb, sokół, a raczej puszczyk!

— Porządny człowiek! Nie pluje na podłogę — zauważyła matka. — I nie zadymi ci pokoju, jak ci palacze. No, a zresztą jesteś już w tym wieku.

— Jestem to jestem, ale koszuli takiego dragala nigdy, przenigdy prac nie będę, nawet gdybyśmy tylko we dwoje mieli być na świecie.

Faktycznie wyglądało na to, że zamiast córki zakochała się owdowiała matka.

— Weźcie go sobie, ja mogę się wynieść — droczyła się Józefina.

— Że ci też oczy nie wypadną ze wstydu! — odpowiedziała matka zdecydowanie.

Wszelako Iisakki zaczął przyjaźnić się z tytoniem, i tu właśnie Józefina go poparła, w tej niby bagatelnej sprawie stanęła po jego stronie, a nie matki.

A potem zdarzyło się, że Iisakki przyszedł kiedyś niespodziewanie i wyraźnie zalatywało od niego wódką. Wdowa nie ukrywała, że orientuje się co to za woń, ale, choć było to nader dziwne, Józefina znowu stanęła po jego stronie, głównie dlatego, że matka natarła na gościa, jak gdyby należał do rodziny. Następnym razem nikt już się nawet nie dziwił, kiedy po wyjściu Iisakkiego Józefina dobitnie stwierdziła, że choć zalatywało od niego wódką, to wypił najwyżej dwa kieliszki.

— Dobraś sobie! — zawołała matka. — Co ty możesz wie dzieć o wódce i jej wpływie na chłopca! — Po chwili matka roześmiała się i powiedziała: — No, niechby pozwolił sobie jeszcze i na trzeci kieliszek, byle się wreszcie odważył! — Tak powiedziała, a córka zarumieniła się pięknie, jak przy łapanu na gorącym uczynku.

Iisakki znowu przychodził i odchodził, przychodził tak często, aż w końcu zabrał Józefinę ze sobą. Dbał o nią, nie było się co uskarżać. Wzbogacili się też o niejedno: garnki, patelnie i talerze, kilka prycz z wyciąganymi przystawkami od strony głowy i z boków, oczywiście również i o dzieci, materace i pościel. Co do Pana Boga, rozmyślając podczas pracy, wytworzyła sobie o Nim bardziej swobodne wyobrażenie, mniej więcej tego rodzaju, że i On nie połknie niczego bez pogryzienia. Niekiedy mogłaby przysiąc, że Bóg jest zupełnie zwyczajną istotą, raczej mężczyzną niż kobietą, ale takim, który jednocześnie potrafi śmiać się i płakać, a nawet kichnąć jak dziecko, które zmoczyło majtki. Właściwie dopiero dzieci wróciły Józefinie jej własne dzieciństwo, a był to doprawdy nienajgorszy plon.

— Chyba znowu jest coś w drodze — powiedziała Józefina.

— Co takiego?

— Tak sobie myślę, nie, tak już chyba jest.

— Takie rzeczy możesz mówić swojej babce! Miało już nie być!

— Ja chyba lepiej wiem...

— Dziecko. Wiesz na pewno? Nie miałaś dni...? Ja też nie miałam.

Józefina roześmiała się. Lecz babcia nie miała ochoty do śmiechu.

— Nic z tego nie będzie, przecie mówiłam! — powtarzała.

— Z czego? Z budowy? Przecież nie buduję! A może mówisz o dziecku?

—■ Ani z tego, ani z tamtego! Nie będzie żadnego pożytku! Pięć razy więcej roboty i sześć razy więcej głodówki, stale o tym mówię. Dopiero się Iisakki wścieknie, a do tego jeszcze mnie macie na karku. Skończcież raz z tym wiecznym „aby dalej”... No tak, tak...

Wydawało się, że babcia co dwa bio.va czeka na odpowiedź, ale nikt nie powiedział: „No dobrze, możesz sobie umierać, pleciesz w kółko o tym samym!” Mimo to babka zmarła, skoro tylko nadszedł jej czas. Odpowiedni, a może i nie; pastor powiedział, że odpowiedni, ale mówił o tym

znacznie później. Jeśli chodzi o Nieminenów, był to chyba aż nazbyt pożądany moment, toteż było im trochę przykro, że pasror to jeszcze podkreślił.

Chłopi wyprzedawali ojcowiznę. Co raz to jakiś Jarvinen, Rantanen, Nieminen czy Saarinen, Lindgren, Lundgren czy Andersen przychodzili i wypytywali o cenę. Pytali po fińsku, a nawet rozumieli miejscową gwarę.

—■ No tak. To[^]zależy od położenia, czy grunt jest zadrzewiony, czy nie; od tego zależy cena — oświadczył gospodarz, lecz właściwie wyceniał ziemię tym drożej, im goręcej pragnęli ją nabyć przybysze. Pożądali tej ziemi, chwała Bogu! Pieniądze wpływały jak prezenty na Boże Narodzenie — nieurodzajna zwirowa góra Pispala przeistoczyła się w kopalnię złota. I co z tego! Kto sądził, że chłopi szeroko otworzą oczy ze zdziwienia, musiał je sam otwierać, gdyż chłopi mieli do brania pieniędzy równie szczęśliwą rękę, jak kiedyś do zajmowania gruntów.

Działka wystarczyła, jeśli wynosiła dziesięć arów, właściwie już siedem arów w zupełności wystarczało, aby się zadłużyć. Istniało jednak jakieś minimum, granica między koniecznością a zbytkiem. Górnej miary nie dało się v/y-znaczyć, chyba że przyjęto by umownie wyobrażenie, jakie Jooseppi Makinen miał o stosunku obszaru kuli ziemskiej do zaludnienia, no i metodę obliczania przez kreślenie znaków w kształcie kąta. Tu zabierano się do mierzenia według ogólnie przyjętych zasad. Jooseppi może by się zgodził na działkę w Pispali, a jego stara na działkę w Tahmeli, ale Eemeli i jego żona uparli się przy tym samym.

— Niech was diabli, przecież byłem pierwszy! — mówił Jooseppi.

— Chwileczkę, ale ja jestem starszy! — oponował Eemeli.

— Ale i ten cios trafił w próżnię, na każdym kroku była jakaś przeszkoda czy rozporządzenie: „Uwaga! Wszystkie pomiary należy rozpoczynać od tego miejsca”. Nie zmuszano więc nikogo do obarczania się dużym kawałkiem ziemi,

wymierzano tylko małe działki budowlane, każdemu pozostawiono prawo swobodnego wyboru. Ponadto także prawo do płacenia, mimo uprawnień do korzystania z drogi urzędowej i usłużności barczystych policjantów.

Wolno było budować, jak kto chciał: W poprzek, wzdłuż czy diagonalnie; z okrągłaków, desek, papy czy cegieł, z betonem albo z trocinami. A potem można było pomalować dom według własnego widzimisie, w kratkę albo w prążki, stawiać przybudówki, pięterka z gankami, schodkami, ba-lustradkami i facjatkami. A jak budowano? Nikt nie pytał o plan, szkic, ani kosztorys, o budowniczego ani majstra — po prostu ścinano kilka drzew i zabierano się do budowy. Ptaki wiedzą, jak budować gniazdo, wiedzieli też i ludzie z Pispali. Wysoko na morenowym grzbiecie powstawało coś, co wyglądało, jak gdyby Pan Bóg bawił się klockami. Każdy człowiek i każdy domek drwił ze stromego zbocza, nie pragnąc niczego więcej, jak tylko nacieszyć się własnym istnieniem. To już nie praca, ale nabożeństwo, jakaś pogańska orgia. Noc zrównała się z dniem, nie było różnicy między dniem powszednim i świątecznym, a jedynie między dobrą lub złą pogodą, a w niedzielę była zwykle najlepsza. Uderzenia siekier, młotków i maczug niosły się hen daleko za jeziorami. Niejeden obrośnięty mchem głaz, który nie wiadomo jakim cudem zabłąkał się na zbocze góry, otrzymywał teraz wyzwolicielskie pchnięcie z zachętą do zuchwałej podróży po stromej pochyłości.

Gdzie się tylko dało, wiły się po zboczu na krzyż i w poprzek zaczątki przyszłych ulic. Utkano sobie całą sieć — z kredytów, gwarancji, poręczeń i przeróżnych zależności finansowych; weksle, prolongaty weksli i prolongaty prolongat. Nad jeziorem pnie ściętych drzew uderzały o tamę, a wiatr przynosił im pozdrowienie z dalekich stron: zapach smoły, prochu i nie pogrzebanych kości.

Na zboczu czerwieniła się widoczna z daleka wieża hutnicza. Tam tedy wysoko najwyższy urzędnik Pispali przelewał pośród uroczystej samotności krople ołowiu. Kopano rowy strzeleckie, a gdzieś daleko toczyła się podobno wojna

światowa. „A niech to diabli! — mówił Jooseppi. — Bóg nie da chleba leniwym!”

Jak okiem sięgnąć, na horyzoncie nie widać żadnego kościoła, ale na południowym zachodzie za Phyhaselka dymił komin fabryczny w Nokia, był tam podobno cmentarz i urząd parafialny, który za niewielką opłatą wystawiał zaświadczenia o moralności. Znacznie krótsza droga prowadziła do władz miejskich.

Zjawili się na pispalskiej górze. Iisakki miał ze sobą piłę i wyplatany kosz, a Paavali siekierę — mężczyzna smukły jak świerkowy pień i chłopak jak tyczka do chmielu. Szli gęsiego. Przystanęli u stóp zbocza. Tu Iisakki zamierzał zbudować swój dom.

Przez chwilę stali w nabożnym skupieniu jak na cmentarzu, podnieśli wzrok, przesunęli nim po zboczu, spojrzeli na jezioro, ostrożnie postąpili kilka kroków od jednego palika do drugiego, aż w końcu ocknęli się, postawili koszyk z prowiantem na kamieniu i oparli piłę o drzewo. Tak więc wygląda ta działka. Czy chłopak ma coś do powiedzenia? Nie słyhać.

— No, podaj mi siekierę — rzekł Iisakki, popatrzył w górę na wierzchołek drzewa, rozejrzał się pośpiesznie po pniach pobliskich sosen, splunął w garście i zaczął rąbać — rąbać pierwsze w życiu wióry z własnej sosny. Potem chwycił piłę, przeszedł na drugą stronę drzewa i zgarbił się jak krzak jałowca.

Paavali stał obok. Dumny i radosny przypatrywał się, jak białe trociny sypią się spod zgrzytającej piły.

Jęk piły stawał się coraz głośniejszy, szczelina coraz szersza — pień poruszył się.

— Tato! — krzyknął przerażony chłopiec i odskoczył na bok, opanował się po chwili, przystanął, patrzył zalekziony, jak szumiący pod niebem wierzchołek, zaczepiając się o wiotkie ramiona współbraci, zwałił się z głuchym łoskotem na usłany przez ptaki, wiewiórki i wiatr dywan igliwia.

Nabrawszy rozmachu Iisakki zrąbał jeszcze jedno drze-

wo, rozglądał się już nawet za trzecim. Również i Paavali szukał godnego dorosłego mężczyzny zajęcia. A tego tu nie brakowało. Ojciec wyjął z koszyka nóż do korowania, dorobił do niego rączkę z gałęzi i wyjaśnił przeznaczenie narzędzia.

Czy może być miłsze zajęcie?! Chłopiec był wniebowzięty widząc, jak ojciec zeskrobuje wspaniałe pasma kory.

— Daj mi teraz!

Iisakki podał mu nóż. Ojciec chętnie widzi[^]apał syna.

Paavali bierze się do roboty, jak gdyby co najmniej czekał go za to kawał kielbasy: za jednym zamachem chce okorować cały pień. Ale cóż to, gdzie uwięzło ostrze? Raz jeszcze próbuje z całej siły, ale ostrza jak nie ma, tak nie ma. Nie da rady.

Co się dzieje z tym nożem?

Ojciec poucza: trzeba uchwycić niżej. Syn wykonuje polecenie, teraz idzie jak po maśle, wystarczy się tylko odpowiednio ustawić. Mógł się sam domyślić, że z takim rozmachem się nie upora. Teraz za to sam da radę.

Najlepiej zawierzyć własnemu sprytowi, pomyślał Paa-vali, jeśli ojciec nie potrafi mu lepiej tego wytłumaczyć. Ojciec nie przeszkadzał już zawzięcie uwijającemu się synowi w uporaniu się z nożem i ścinał gałęzie ze zrąbanych pni. Ojciec pracował nad wierzchołkami, a syn obrabiał pnie od strony korzeni.

Czyż wiele czasu potrzeba dorosłemu mężczyźnie na obcięcie gałęzi z wierzchołków dwóch sosen? Rychło zabiera się więc do ścinania dalszych drzew.

Działka nie była najgorsza. Na jej czterdziestometrowej długości poziom obniżał się zaledwie o siedem metrów. Grunt był piaszczysty i żwirowaty, nie był w każdym razie gliniasty, a warstwa torfu wynosiła najwyżej kilka cali. Mróz nie mógł więc wyrządzić wiele szkody, a i błota też nie było co się obawiać. I jak na działkę o takim położeniu była zdumiewająco zasobna w budulec. Grubszych, choć może trochę za krótkich pni było niemal pod dostatkiem, a poza tym jeszcze trochę okrągłaków. Później, przy zakładaniu kanalizacji pokazał się jeszcze

dobry żwir zdalny na beton. A z kamieniami i świeżym powietrzem mogli wprost założyć sklepik. No, a co za widok! Tego nie da się przeliczyć na pieniądze. Najważniejsze, że był to własny kawałek gruntu Nieminen.

Właśnie szósta sosna z hukiem zwała się na ziemię, gdy na teren budowy wkroczył jakiś nieznajomy z kapeluszem w ręku i przystanął przy pierwszym ściętym drzewie, jak gdyby sądził, że z niego właśnie wyciosany będzie próg domu.

— Dobry wieczór — powiedział. — Musiałem tu przyjść, aby pozdrowić sąsiada.

— Dobry wieczór — odpowiedział Iisakki.

— Po tym zboczcu dobrze się chodzi: stopy się nie spocą i komarów nie ma.

— Komarów? — zapytał ze zdziwieniem Iisakki.

— No tak, o tej porze roku chyba nie ma ich jeszcze i nad brzegiem jeziora. A w ogóle to ma być pański dom? —■ zapytał nieznajomy, przeskakując przez pnie.

— Mniej więcej — odburknął Iisakki.

— Właśnie tak myślałem, wobec tego możemy sobie uściśnąć dłonie! Nazywam się Jakobsson.

— A ja — rzekł Iisakki — Nieminen.

— A to syn? — zapytał Jakobsson wskazując kapeluszem w stronę, gdzie Paavali z uporem zmagął się z gałęziami.

— Tak przynajmniej twierdzi moja żona — zgodził się Iisakki.

— Od razu tak sobie pomyślałem, bo tak zgodnie pracujecie.

— Zapali pan? — spytał nieznajomy i podał Iisakkiemu otwartą papierośnicę. Sam jednak nie zapalił, był zbyt spocony. Potem podszedł z papierośnicą i do Paavalego, ale ten na razie nie objawiał zainteresowania papierosami. Zarumienił się tylko z zadowolenia, że potraktowano go jak dorosłego mężczyznę. Podali sobie ręce i wymienili kilka przyjętych w takich okolicznościach pytań i odpowiedzi. Zanim Paavali zdążył się zorientować, Jakobsson zebrał już dość obfite i częściowo nie przeznaczone dla obcych informacje o rodzinie Nieminenów oraz o jej planach. Być

może już mógłby przepowiedzieć niejedno z późniejszych wydarzeń.

Nieznajomy jeszcze przez chwilę przyglądał się pracy ojca i syna, wypowiedział kilka zdawkowych zdań o pogodzie, materiałach budowlanych i innych oczywistych sprawach, na które słowami i tak się nic nie poradzi.

— Do widzenia! — rzekł wreszcie i poszył.

Co to mógł być za jeden? Na prostego robotnika w każdym razie nie wyglądał.

Tego wieczora dziesięć drzew obalili i obciosali z gałęzi. Paavali mimo wszystko zestrugał na końcu dwóch pni kilka płatów kory. To najbardziej przyspieszało schnięcie zrąbanych drzew.

Podcinane sękate gałęzie związał ojciec w pokazną wiązkę i zarzucił sobie na plecy. Także i to, zdaje się, obmyślił już w domu, gdyż przyniósł z sobą powróż. A może sądził, że przyda mu się on przy obalaniu drzew? Paavali pozbiierał narzędzia, wziął piłę na ramię, siekierę do jednej ręki, koszyk do drugiej, po czym ruszyli gęsiego w dół po zboczu. Prowadził syn, który także i tym razem był bliżej matki i domu niż ojciec.

Nazajutrz wieczorem Jakobsson przyszedł znów na plac budowy na pogawędkę.

Iisakki może być spokojny: z okna bawialni Jakobssona doskonale wszystko widać, w razie gdyby ktoś zakradł się na działkę Nieminena. Wystarczy pokazać się na werandzie i chrząknąć... Zresztą weranda w willi Jakobssona nie była jeszcze oszklona. Czy nie dałoby się gdzieś znaleźć odpowiedniego rzemieślnika? Może Iisakki mu coś poradzi. Naprawdę nie? Niemożliwe.

Jakobsson zamilkł na chwilę, lecz znów dokonał nowego odkrycia.

— Czy musicie ciągle nosić narzędzia do miasta? — zapytał.

— A co, może mamy je tu zostawić?

— Zostawcie w mojej szopie! Zamyka się na solidną kłódkę, a można dorobić i drugą! Mam tu wózek, gdybyście

chcieli zabrać gałęzie. Oddacie mi go, jak nie będzie wam już potrzebny!

— Kto to widział, człowieku! — rzekł Iisakki.

— ■ Nie szkodzi! Trzeba przecie sobie pomagać. Jesteśmy tylko ludźmi, a że mieszkamy na tym samym zboczcu...

Zabrzmiało to zupełnie rozsądnie. Prawdziwie męskie słowo.

Kiedy Jakobsson poszedł, aby, jak mówił, rozrzucić nawóz na swoim polu, zjawił się woźnica Eetvarti Salonen, jeden z żyrantów Iisakkiego. Bo co do Jooseppiego Makine-na, to ten niczego nie załatwił w banku, tyle tylko że dyrektor bardzo się zakłopotał i w tym momencie wyrzekł się bynajmniej nie urzędowego uśmiechu, chociaż śmiech jest przecież darem Bożym. Nie byłoby od rzeczy, gdyby dyrektor przedłożył pocziwemu Jooseppiemu do podpisu jakiś stary spis inwentarza, bo nie było dla Jooseppiego większego szczęścia nad uwiecznianie swego nazwiska na urzędowym papierze.

Salonen Eetvarti, zszedłszy ze zbocza, powiedział: „Dobry wieczór”, usiadł na nie okorowanym jeszcze pniu i zapalił papierosa. Na widok pracujących rozkoszował się chwilą wytchnienia, było tu przyjemnie i można było pograć się we własnych myślach, jak ów rozżarzony czerwienią obłoczek, który zapomniany przez wiatr utkwiał nad zwierciadłem jeziora, wpatrzony w ów drugi czerwony obłoczek pod sobą, który składał się tylko z wody. Widać było również jakiegoś wioslarza, który wyruszył na próbną przejażdżkę, nie spieszył się. Bo i nie było po co. Eetvarti powinien właściwie oporządzić swoją łódkę, ale wiosna dopiero co się zaczęła! Zresztą nie wiedział dokładnie, ile smoły zostało jeszcze w garnku, bo smołował nią już przedtem niejedno, od kół wozu począwszy, a na podeszwach obuwia skończywszy. Poza tym stara mówiła, że siostrzeniec pożyczył garnek. Właśnie, i nawet obiecał, że wysmaruje także łódkę wuja. Eetvarti nie miał potrzeby się już tym kłopotać.

W końcu Eetvarti wyciągnął fiński nóż, aby zżywicznego pnia, na który już od dawna pożądliwie spoglądał, wy-

strugać sobie smolne łuczywo! To dopiero było łuczywo!
Pachniało jak wrota piekieł.

Myślami Eetvartii nigdy nie wybiegał zbyt daleko, ale zdaje się, że było mu w tym wcale niezłe. Niech inni sobie myślą, co im się żywnie podoba, Eetvartii wacha swoje łuczywo. Iisakki ścinał drzewa na budowę domu, a z odległości kilkuset metrów dolatywał huk pni przerAcanych z jednego jeziora do drugiego. Co za loskot i harmider! Flegmatycznego robotnika nie mogło to wyprowadzić z równowagi. Wiedział dokładnie, co to znaczy, gdy dudnienie ustaje: robota została wykonana, chleb powszedni zapewniony. Wprawdzie mogły się nasunąć przy tym również inne poetyckie myśli.

Jak ptactwo zjawiały się na wiosnę tratwy i znikwały jesienią, wydawało się, że tym głucho dudniącym hałasom, żywicznym zapachom i woni jeziora towarzyszy smętna melodia akordeonu z pontonowych mostów. Gdzieś w dali unosiły się, zwłaszcza w nieśmiałej wyobraźni dziewcząt, owe baśniowe obrazy szumiących wartkich wód za zręcznym flisakiem, który z kapeluszem w jednej ręce, a drągiem w drugiej, przeciska się tratwą przez spienioną kipieli, a tymczasem na brzegu czeka rozmarzona cud-dzieweczka. Woźnica Salonen miał żonę i był dorosłym mężczyzną. Kiedy Paavali poszedł po wózek do Jakobssona, woźnica wziął do ręki nóż od korowania i zaczął — tak przynajmniej sam to określił — pokazywać, jak się takie rzeczy robi. Okorował pień, nad którym chłopiec tak się namęczył, i zapytał:

— To co, przywieźć jutro kilka fur desek? Bardzo by mi to odpowiadało.

— Możesz przywieźć, nie heblowane, jak umówione.

Nie było o czym mówić. Salonen poszedł, wkrótce potem odeszli i Nieminenowie z wózkiem, aby, jak to mówią w Pispali, policzyć dzieci albo przynieść paszę.

Wieczorem znów zjawił się Jakobsson.

— Dobry wieczór — powiedział, uchylając wykwintnego kapelusza. — Zdaje się, że do Pispali przychodzą ludzie,

którymi Pan się opiekuje i którym układa drogę najlepiej jak umie.

Co on chciał przez to powiedzieć? Lisakki zastanawiał się właśnie, gdzie byłoby najlepsze miejsce na domek.

— O jakim Panu -pan mówi? — zapytał, „bo chyba nie miał siebie na myśli”, pomyślał.

— O tym, co podobno siedzi tam w górze i leje ludziom wodę za kołnierz, ale zaraz przestaje, kiedy Nieminenowie trafią pod jego polewaczkę. Dziś przecie też lało, aż szyby drżały, przestało właśnie wtedy, kiedy usłyszeliśmy skrzypienie wózka.

Teraz nawet Paavali skapował.

— W Pispali są jeszcze inni Nieminenowie.

—■ No, jasne, ale On zna chyba ich imiona, wie nawet, ile kto ma zębów — dodał Jakobsson, pozostając nadal panem sytuacji.

Podobnie ciągnął rozmowę jeszcze przez dłuższą chwilę, aż w końcu miał istotnie coś do powiedzenia. W jego domu jest nie wykończone mieszkanie, składające się z pokoju i kuchni, a więc właśnie takie, jakie przydałoby się Niemi-nenom. Wystarczy położyć kilka metrów kwadratowych podłogi i wstawić drugie drzwi. Mogą się wprowadzić i mieszkać tam, aż wykończą własny domek. Taka robota to dla Niemineny drobnostka! Zrobi to i w ten sposób spłaci czynsz. Zresztą Jakobsson dopłaci gotówką, w razie gdyby nie odmieszkali wszystkiego. Ale co tam, cała transakcja może się obejść bez szczegółowych rachunków, z sąsiadami można się przecie jakoś ugodzić!

Sprawa była warta namysłu. Będzie mógł sobie obejrzeć to mieszkanie, chwilowo jednak Jakobsson ma coś do załatwienia gdzie indziej, i to coś bardzo ważnego. Lisakki uznał, że oglądać nie warto. Wystarczy męskie słowo.

— No tak, pokój nie ma tapety, ale to jakoś załatwimy! Jeśli tylko macie ochotę, będziecie mile widziani już choćby jutro. Im wcześniej, tym dla was lepiej, tak mi się zda je — rzekł Jakobsson i poszedł.

Paavali popadł tymczasem w zachwyty nad deskami. Było ich ile dusza zapragnie! Paavali już nawet próbował so-

bie wyobrazić, jaki piękny domek dla królików będzie mógł zmajstrować z resztek, a tych resztek pozostanie na pewno w bród, bo przecież ma to być mocny dom z bierwion, a nie jakaś tam buda. Zresztą woźnica obiecał, że na przyszły tydzień przywiezie jeszcze więcej desek! Coś tu nie klapowało! Czyżby ojciec aż tak się bardzo przeliczył? —■ Tato, może pójść do woźnicy i dać mu znać, że nie potrzeba nam już więcej desek?

— Jak to nie potrzeba?

— Przy budowie domu z bierwion przecież ich się tyle nie zużyje. Już teraz mamy ich aż za dużo. *

— Jak to nie! A łaty przy dachu, ślepy pułap, strych? Jak ci się zdaje, skąd weźmiemy na to deski?

—■ Tyle desek wcale się tam nie zmieści! — upierał się chłopiec, no bo i skąd miałby wiedzieć, na co ile potrzeba.

— Co ty się tak mądrzysz? — zaczął się już złościć Iisakki.

— Jakobsson też wczoraj mówił, że drzewa już wystarczy.

— A co on się na tym zna.

— Podobno zbudował już dwa domy, a my jeszcze ani jednego — obstawał Paavali przy swoim.

— Skąd ty możesz wiedzieć, kto z nas co wybudował, psiakrew! — krzyknął Iisakki z taką miną, że Paavali zamknął usta, ciągle jeszcze skrzywione grymasem.

Chłopiec uświadomił sobie w tym momencie, że plótł głupstwa, ale był uparty. Budząca się młodzieńcza durna gotowała się, kipiała w nim jeszcze przez chwilę i przesłaniała mu widok, aż wreszcie nóż do korowania stopniowo zaznajomił go z owym wewnętrznym przeciwnikiem, który drzemie w każdym człowieku i mimo wszystko bywa niekiedy górą, wypowiadając owo skromne, ciche i dobre słowo: „Pokój”. Rozłożysta korona i kora drzewa pochłonełaby bez trudu znacznie większe niepokoje niż harda przekora dojrzewającego gołowąsa. Zresztą niewiele można było zarzucić temu „zacnemu” chłopcu i jego zachowaniu, jakie muszą wykazywać dzieci ubogich rodziców, aby wyjść na ludzi, jak wszędzie tak i tu, w Pispali.

Nazajutrz była sobota, a więc dzień sauny, ale cóż pomogłyby Nieminenowi lamenty. Trzeba było po prostu wsadzić kromkę chleba do plecaka, zarzucić skrzynkę z narzędziami na ramię i marsz w drogę, łątać dom Jakobssona! Paavali jakoś nie miał ochoty, nie wiadomo czy się rzeczywiście dąsa, czy też tylko tak udaje, aby coś przez to wygrać na konto swoich planów. Zresztą w tym wieku człowiek ma chyba prawo do wolnego od pracy wieczora! Więc tym razem Iisakki wyruszył sam.

Józefina pomagała mu duchowo. Wprawdzie znów miała zły sen, ale mimo to chętnie zgodziła się przenieść jak najprędzej poza zasięg złych języków fabrycznych kumoszek, aby samej przyjrzeć się i pokazać dzieciom, jak ojciec buduje domy. Tak się właśnie wyraziła. Do snów nie warto przywiązywać zbytnej wagi, podobne sny miewała i tak niemal każdej nocy, żadne nieszczęście nie było niespodzianką.

Tymczasem Iisakki był już w Pispali, stał mocno na przeznaczonym dla niego kawałku ziemi i lustrował teren jak wielki budowniczy, podobnym oględzinom poddaje woźnica swego konia przy pierwszym spotkaniu.

A więc dom Jakobssona to „willa”. Dlaczego? Czy z powodu tandetnego zielonego koloru? Czy też z powodu stromych schodów bez poręczy na zewnątrz domu, a może dlatego, że okna tak bardzo wystawały na zewnątrz, iż nie potrzeba już było rynien? A może dlatego, że dom ten mimo wszystko promieniował jakąś karykaturalną świąteczną atmosferą.

Bo już jak ktoś chce być wytworny, to musi nim być, choćby miał świecić tyłkiem przez dziurawe portki — uważał Iisakki, wstępując na skrzypiące schodki. W tej samej chwili uchyliły się dwuskrzydłowe drzwi na werandę, a przez szparę ukazał się jego ugrzeczniejsza dostojność, pan Jakobsson.

— ■ Dobry wieczór, witam w moim domu! — i tak dalej, i tak dalej.

Jakobsson wyszperał spod marynarki wiszący na łańcuszku pęk kluczy. Bez krawata nie mógł się pan Jakobsson

obejść nawet we własnym domu, choć wiele jeszcze brakowało mu do ostatecznego wykończenia. Przybory do pisania wystawały z jego kieszonki na piersiach, breloki brzęczały przy dewizce, a zegarek pokazywał godzinę czwartą i trzydzieści sześć minut. A nawet trzydzieści sześć i pół minuty.

Oto nowe pole działania dla Lisakkiego. W kuchni, w każdym razie na pierwszy rzut oka, niewiele czekało na uporządkowanie, ale pokój wymagał jeszcze wiele roboty. Ściany nie miały tapety, jak mówił Jakobsson, w wielu miejscach zostały ślady czerwonej farby sprzed wielu lat. Widocznie ktoś postawił sobie nowy płot, a stary tanio odsprzedał, a może nawet dopłacił, byle się go pozbyć. Na kilku poszarżanych skrawkach desek widniały resztki jakichś słów, a na podheblowanym kawałku drzewa litery: S-ka. Wielka kupa zniszczonych, najróżniejszej szerokości desek wałała się w kącie, a na niej — jak nieboszczyk arystokrata czekający na kąpiel, opierały się okazałe drzwi najwidoczniej pochodzące z tej samej rozbiórki, co smętny kaflowy piec, sterczący w drugim kącie.

— ■ Nie starczyło papy? — zapytał Lisakki.

— Nie, skądże! Papy mamy dość, tylko ściana jest jeszcze trochę wilgotna. A tu deski na podłogę, trzeba je tylko położyć. Są niby stare, ale za to suche, nie będzie ich trzeba potem dopasowywać.

— Nie przydałoby się trochę więcej trocin pod spód?

— • Nie trzeba. Doda się przy reparaacji, kiedy się podłoga popsuje. A to drzwi.

— Tak, tam na górze. Niemało papierosów pójdzie na to, zanim się je dopasuje do tej framugi.

— Trzeba będzie trochę przyheblować.

— Troszeczkę przyheblować i z pół metra odpiłować — rzekł Lisakki takim tonem, że Jakobsson znowu spojrzął na zegarek, przypominając sobie nagle, że ma jeszcze coś do załatwienia.

— A gwoździe? — spytał Lisakki.

— Później to załatwię, na razie powyjmujemy z desek.

— Niech to diabli! — mruknął Lisakki i zabrał się do wy-

bijania pociętych gwoździ z wyschłych desek. Jakobsson odszedł.

Kto to może być, ten Jakobsson? Czy trudni się czymś na tym świecie, czy tylko je i popija? Kluczem do tego problemu było to, czego Iisakki dowiedział się pewnego wieczoru.

— A skąd weźmiemy węgary do drzwi?

— Wybierzemy z tego, co tu jest! Nie musi to być od razu najlepszej jakości. Potem jakoś to zaszpacuję i wypoleruję tak, że się będzie można przed tym golić, w razie gdyby lustro nie było pod ręką.

— Aha, jest pan niedoszłym malarzem? — zapytał Iisakki.

— Wprawdzie sam się farbą nie chlapałem, ale kilka za mówień tego rodzaju też w swoim czasie zdarzyło mi się wykonać — oświadczył Jakobsson jak człowiek, którego życie jest kłębkim pomotanym nici. Wyraźnie skąpił choć by ogólniejszych informacji o sobie, może w obawie, że prędzej czy później cały kłębek mógłby się niechcący roz-
motać.

Iisakki miał za zadanie jedynie odnowienie willi Jakobssona, a nie jego życia, oby przynajmniej ta praca dała jakie takie wyniki! Kłębek życiorysu Jakobssona pod każdym względem składał się najwyraźniej z samych supłów. Dwa razy nie starczyło desek, Iisakki wbijał stare, powyginane gwoździe tak ostrożnie, jakby zabijał młotkiem muchy. Przez cały tydzień szukał dwóch jednakowych zawiasów do drzwi. Zmurszała cegła wpadła do przewodu kominowego, a wreszcie z desek trzeba było wyheblować listwy do podłogi i do futryn i wykonać wszystkie roboty malarskie.

Dopiero z początkiem czerwca Nieminenowie przenieśli się do Pispali, a przeprowadzka zajęła całą niedzielę, tak że Iisakki dopiero w poniedziałek wieczorem mógł zabrać się do fundamentów własnego domu.

Na szczęście nie potrzebował się kłopotać o kamienie, wykopywał je po prostu z ziemi.

Cztery metry na osiem, frontem na południowy zachód —

taki był podstawowy plan Iisakkiego. Od tego się zaczęło. Ojciec ciosał, dzieci zbierały wióry. Od czasu do czasu przychodziła Józefina nawołując ich, żeby się posilili. Słońce świeciło, błyszczało jezioro. Mile płynęło życie na zielonej pispalskiej górze.

Ale po św. Janie „potknął się pług o kamień w roli”. Pewnego ranka, w dzień powszedni, Jakobsson znikł bez śladu. I kiedy Iisakki powrócił wieczorem z fabryki, willa miała już nowego właściciela, pana dyrektora Dahlmanna.

Józefina radziła natychmiast zabrać się do odszukania Jakobssona. Ale zmobilizować Iisakkiego nie było łatwo.

— Nikt z tego świata tak nagle nie znika, ani Jakobsson, ani nikt inny — odrzekł.

Ale gdy nadszedł lipiec i Dahlmann napomknął o czynszu za poprzedni miesiąc, Iisakki cisnął siekierę na kłodę, aż w niej uwieźla, i zszedł w dół po zboczu.

Słusznie zrobił, bo tam właśnie odnalazł Jakobssona. Graty, które zabrał ze sobą, odtransportował początkowo w całkiem innym kierunku, ale bez kluczenia nie można się było stąd wydostać, a tym bardziej w sytuacji Jakobssona. Jakobsson był taki sam jak zwykle, a co najwyżej jeszcze bardziej ugrzeczniony i bynajmniej nie zarozumiały.

— ■ Ależ nie, coś takiego! — ■ zawołał. — Zaszło po prostu nieporozumienie.

— O żadnym wyrozumieniu nie może być mowy. Tamten wyraził się całkiem jasno — zapewnił go Iisakki.

— Owszem, owszem, ale mówię o mojej umowie z Dahl-mannem! Zdany jest na lada grosz, choć na Złotym Zachodzie robił forszę, dolary, rozumie pan! Czy i panu dolary przecięły kiedy drogę przed nosem? — Jakobsson gadał bez przerwy, upychając dolarowe banknoty w pugilaresie. — Kto by się przejmował takimi drobnostkami! — ciągnął dalej.

— Niech się nie martwi! Jeśli mówię, że sprawa zostanie uregulowana, to tak będzie. Zajdźmy lepiej do jadalni i wychylmy kieliszeczek z tej okazji.

Znowu zabrzączał wielki pęk kluczy Jakobssona.

Przy trzeciej wódce Iisakki pamiętał jeszcze o swej na-

leżności za wykonane usługi, ale od czwartej począwszy opanowała go pewność, że nie brak mu niczego. Jakobsson jest wspaniałym człowiekiem i wszystko jest w należyтым porządku. Jaki mądry! Rzeczy, nad którymi lisakki już nieraz łamał sobie głowę, Jakobsson bez trudu ujmował w słowa:

— Jeśli chodzi o pieniądze, to są ich dwa gatunki, samce i samiczki, ale samiczek jest o wiele mniej.

Koniecznle trzeba się wystarać o taką samiczkę! Niech znosi jajka. A wtedy można kupować domy i żyć z procentów...!

„Pie-nią-żki, a-le samicz-ki, hik!” — mamrotał lisakki kuśtykająco północy po schodkach willi. Co powie na to ukochana żona! Na razie mówił tylko mąż.

— Słuchaj no, Józefino! Mu-musimy szukać pie-niążków, ale sami-czek, rozumiesz, sami-czek!

Największe kłopoty miały dopiero nastąpić. Dahlmann czekał na czynsz, a lisakki czekał na Jakobssona. Dyrektor miał wiele przymiotów, ale na pewno nie miał nic wspólnego z uprzejmością, bo niby skąd miał wówczas wiedzieć, że wyczekiwanie lisakkiego miało się okazać daremne.

Rad nierad lisakki raz jeszcze wybrał się do Jakobssona. Było to w końcu sierpnia.

Nie zastał go: przeprowadził się. Jego dawny dom poszedł z dymem. Lisakki widział to na własne oczy, bo nawet pomagał w gaszeniu pożaru. Ale cóż znaczyło to w życiu takiego człowieka jak Jakobsson!

— Dom był już stary i w takim stanie, że remont się właściwie nie opłacał lub raczej już by się nie opłacił — oznajmił lisakkiemu, kiedy próbował mu wyrazić w kilku słowach swoje współczucie. O tym zaś, że lisakkiemu się jeszcze coś należy, Jakobsson zdawał się zupełnie nie pamiętać, bo kiedy tylko zaczęli mówić o pieniądzech, ton jego odpowiedzi się zmienił. Nic nie ma, nic nie zostało. Wszystko się spaliło, nawet kamizelka ze srebrnym zegarkiem świętej pamięci ojca, który to zegarek sam lisakki przecież widział? Jakobsson rozłożył bezradnie ramiona

pokazując bliźniemu puste dłonie, podsuwając mu je pod same oczy.

Nagle wziął się znowu w garść. Swoją drogą! Nieminen przecież się buduje, a tu w zgliszczach domu przecież niejedno jeszcze da się znaleźć! Skrzynki do popiołu, zamki, zawiasy, gwoździe i licho wie co jeszcze! Niejedno z tego może się przydać! Wprawdzie komin i niektóre żelazne części zostały już sprzedane, ale na pewno opłaciłoby się poszperać w zgliszczach...

Nie. Na wpół stopione gwoździe nie są Nieminenowi potrzebne. Przyszedł biedny, ale poszedł do domu nieco mądrzejszy: Jakobsson był człowiekiem, który potrafił wręcz zmusić drugiego do myślenia o własnej korzyści.

Lisakki zapłacił Dahlmannowi zaległy czynsz jeszcze tego samego wieczora. Ale mimo to, jak to mówią, włos pozostał w zupie, co się też wkrótce okazało, gdy po długotrwałej pięknej pogodzie pewnego dnia przyszła ulewa. Była niedziela. Właściciel mieszkania zapukał do drzwi i otworzył je gwałtownie, nie czekając na pozwolenie. Dość dokładnie słychać było nocą, jak deszcz zalewa kuchnię Dahlmanna. Uzbierało się tam wody po kostki! Bóg jeden wie, jak to się stało. Lecz co teraz?

— Pańska podłoga jest chyba za szczelna? — sądził Paavali, ale w takiej chwili nie była to zbyt uprzejma uwaga.

— ■ Stul pysk, smarkaczu! Skocz raz-dwa na dach. Od dawna już wymaga wysmołowania! Pięknieście to zmajstrowali! — ryknął Dahlmann i zatrzaskał drzwi, aż zaszeleściły trociny w ścianach.

A więc doczekali się. Miłe wspomnienia o Jakobssonie odezwały się znowu. Od cudzych spraw lepiej się trzymać jak najdalej...

— Smoła! Jeszcze smołować! Zastrana smoła! Smołuj so bie sam! Kup sobie smoły i radzę ci posmołować brzeżki chmur. I swoją dupę na dodatek! Ja ci jej smołować nie będę. Głupi osmołowany świński ryju! Spróbuj mi jeszcze raz coś takiego zaproponować! Weź sobie smołę z twojej bez czelnej gęby! Smołuj sobie, smołuj, ja ani myślę!

Tak wyraził się Lisakki.

Gdy nadeszła dla Józefiny pora rozwiązania, Niemineno-wie mieszkali już we własnym domu. Urodziła syna. Był to jej dziesiąty i ostatni poród. Jej organizm był już doskonale przystosowany do tej funkcji, a chłopiec skorzystał ze świetnej okazji, aby przyjść na świat jako pokazowe niemowlę o wadze blisko pięciu kilogramów. Pięć bez stu gramów, stwierdziła akuszerka, włożywszy wrzeszczącego ile sił obywatela w węzełek z matczynej chustki, zawieszony na haku ręcznej wagi. Józefina bała się, że węzełek może się rozwiązać albo hak urwać. Uspokoiła się dopiero, gdy roz-wrzeszczanego czerwonoskórego malca ułożono obok niej. Cóż za szczęście, że jest tak potrzebna maleństwu! Choć miała jeszcze nauczyć się w życiu rezygnacji z bliskiej obecności dzieci, jednego nie wyzbyła się nigdy: poczucia, że jest im bardzo potrzebna. Pomoc dla bezradnych była dla niej spełnieniem nienasyconego instynktu macierzyństwa.

Najmłodszy nie pozwalał o sobie zapomnieć ani na chwilę. Również i pozostałe dzieci Nieminenów nie mogły się skarżyć na słabe głosy, ale w tym najmłodszy prześcigał wszystkich. Darł się niemal bez przerwy, i to jak! Co mu mogło brakować? Czy było z nim coś nie w porządku? Ze swego niepokoju Józefii% zwierzyła się akuszerce, która z czystej uprzejmości, nie będąc do tego urzędowo zobowiązana, zajrzała jeszcze raz do Nieminenów. Nie ochrzczony jeszcze robaczek wrzeszczał w ten sposób, że jedna diagnoza narzucała się sama: płuca ma na pewno w najlepszym porządku.

Skądinąd wrzask nie wyprowadził akuszerki z równowagi, w przeciwnym razie dawno już musiałaby zmienić zawód. Jakkolwiek krzyki matek to rzeczywiście istna męka. Zresztą własny krzyk chyba jeszcze nikomu nie zaszkodził, a Józefina powinna być wręcz rada z głosu swojego potomka. Zna się na tym przecież. Jedyne uzasadniona duma zawodowa nie pozwalała jej zauważyć, że i Józefina posiada niejaki doświadczenie. Matce sprawiało wielką radość wszelkie rozważanie o dzieciach. Każdy się kiedyś

przecież urodził, ale nie każdemu było dane urodzić. Józefina dokonała tego podziwu godnego wyczynu dziesięć razy i miała teraz siedem dziwów z ósmym Iisakkim na dodatek. I wręcz nie zawahałaby się nawet pouczyć arcybiskupa, jeśli by miał kiedy zablądzić przypadkiem do domku w Pis-pali i śmiało twierdzić, że jest bardzo wiele niewiast, którym brak odwagi lub chęci do przedłużania gatunku. Wprawdzie gdyby nie takie kobiety, jak Józefina, nikt nie musiałby się uczyć chodzić na kulach ani strzelać. Ale to już nie wina Józefiny, która tak niewiele żądała od życia. Gdyby jej nawet kazano wykarmić własną piersią przyszłego jej zabójcę, uczyniłaby to bez wahania; włożyłaby mu palec w malutką piąstkę, wargami naśladowałaby jego zadąsaną buzię, wpatrywałaby się weń, docierając czułym wzrokiem aż po same dno duszy maleństwa, tam, gdzie ożywa historia wszechświata i dzieje pogańskich bogów. Potrafiła patrzeć godzinami, a dostrzegała rzeczy, których nikt, kto nie zaznał tej macierzyńskiej więzi, nie mógłby dostrzec. Taka była Józefina, żona robotnika, matka dziesięciorga dzieci, rumieniąca się na dźwięk słów: „Pani Nieminen”.

Józefina nie mogła zbyt długo leniuchować w łóżku, bo i pozostali członkowie rodziny, nie tylko najmłodszy, potrzebowali matczynej opieki. A więc przede wszystkim czteroletni Jussi, jak również Johan, który wedle przewidywań akuszerki miał być ostatni. Jussi przeszedł już wiele ciężkich chorób, pozostała po nich zmniejszona odporność na nieustanne ataki zwiastunów śmierci. Wprawdzie szkarlatyna zwykła nie nawiedzać swej ofiary dwa razy, tak przynajmniej mówiono, ale gdyby jednak — to niestety ze skutkiem. Lepiej nie wiedzieć z góry o zmartwieniach, chociaż czyhają zawsze i wszędzie. Wątlęmu Jussi odebrano smoczek i dano w zamian chleb i owsiankę. W tym czasie jadł niemal bez przymusu i wydawało się, że jego nóżki zaczynają się już prostować.

Sylvi natomiast nie budziła obaw, nawet pomagała już matce, a przynajmniej sobie wyobrażała, że pomaga. Nie-

wiele sześcioletnich dzieci potrafiłoby równie cierpliwie stać na stołku przy kuchni i mieszać gotującą się zupę. A kiedy raz jedzenie się przypaliło, dziewczynka wytrwała do końca z chochlą w ręczce, tylko posłała małego Jussi do szopy, żeby zapytał matkę, czy można zostawić drzwi otwarte, bo gamka już prawie nie widać wśród dymu. Sylvi była grzeczna i pilna. Józefina przepowiadała, że ktoś będzie miał z niej kiedyś dobrą żonę, co się też sprawdziło, choć matka nie miała powodu do radości, jako że mąż Sylvi okazał się pijakiem. Jak gdyby właśnie taki nie potrzebował dwa razy lepszej żony!

Józefina powierzała też niemowlę chętniej Sylvi niż Eli-nie, chociaż ta już pracowała na siebie i była już po konfirmacji. Elina rzeczywiście kilka razy przystępowała do komunii, w każdym razie wracała bardzo późno z nabożeństw i z przejęciem śpiewała w domu nabożne pieśni i psalmy, aż kiedyś Iisakki zauważył: „Śpiewasz, jakby to był hymn narodowy!”

Anemiczna Elina była jak jeden z tych nieporadnych wierszyków, które Józefina gryzmołała za dziewczęcych lat na skrawku papieru i które zwykle wyrzucała na pastwę płomieni. Z Eliną nie można by tego uczynić, choć matka z przykrością dostrzegała w niej cechę, którą u siebie zwykła uważać za słabość. Bo czyż świadomość, że ułomność ta przepoi do głębi usposobienie córki, nie upoważniała do smutku? Było to widocznie karą za jakiś grzech, przewinę, przechodzącą jeszcze na trzecie czy czwarte pokolenie. Józefina była wprawdzie sama na swój sposób pobożna, ale skłonności Eliny do dewocji były pożałowania godne nie tyle ze względu na rozmiary, ile na styl. Jej pobożność miała na uwadze znacznie mniej Boga i stosunek człowieka do Stwórcy, była to rozpaczliwa próba możliwie najwłaściwszego wyrażenia swych uczuć. W marzeniach swych uciekała do wymagowanej próżni, jakby spragniona własnej nieważkości. Była bardzo daleka od pokory i uparcie wzbraniała się przed akceptacją innych stworzeń Stwórcy. Jedynie jej własne ciało i dusza stanowiły pod tym względem wyjątek: ich piękno uważała Elina za bezsporne.

A z drugiej strony, ów Bóg, dla którego młode dziewczęta mają chronić swoje ciało, nazbyt już przypominał jej własny obraz.

Bo Elina była piękna, nie można powiedzieć. Czy posiadając taki skarb można spokojnie spać? Zaraz po powrocie z pracy jak księżniczka stawiała przed lustrem, aby się podziwiać. Zaledwie raczyła spojrzeć po drodze na zmajstrowane przez ojca łóżeczko z siatką, w którym gościł sen, płacz i siuski. Jej świat wypełniały tylko rozkołysane wierzchołki palm i dźwięki harf. Elina trwała przed lustrem, jak gdyby na tym ziemskim padole Nieminenowie nie mieli faktycznie innego zajęcia. Miała długie, bujne czarne włosy. Rozpuszczała je, szczotkowała, rozczesywała i znów zaplatała w warkocz. Była to jej prawdziwa, szczerza modlitwa. „Elina śpi na stojąco” — powiedział kiedyś o niej Iisakki. Nie obruszyła się z tego powodu, bo rozumieli się z ojcem znakomicie...

Co prawda od czasu do czasu również i Elina musiała się zniżyć do opieki nad niemłym pakiecikiem w pieluszkach. Pewnego razu niemowlę wyśliznęło się z gniazdka i upadło na podłogę. Józefina miała nowy przedmiot opowieści na stare lata.

— Właśnie go nakarmiłam — zaczynała — i położyłam Elinie na kolanach, bo musiałam wyjąć z rynki rosół z ryby, zaraz potem miałam ukołysać małego. Był wtedy tak źle wychowany, że nie chciał zasnąć bez kołyski. No tak, wyskoczyłam na chwilę do kuchni, raptem usłyszałam z pokoju wrzask i od razu pomyślałam: Oby tylko Elina nie upuściła dziecka. Wybiegam z kuchni i — wielkie nieba! — właśnie tak się stało. Podniosłam dziecko i ścisnęłam mu główkę wełnianą chustką! — Ale — wierzycie mi? — od czasu, jak spadł, skończyło się z jego wrzaskiem raz na zawsze. Zaczęłam lamentować, nawymyślałam Elinie, a on patrzył tylko swoimi wielkimi niebieskimi oczkami i wsadził sobie rożek chustki do buzi. Nie mogłam się uspokoić, chociaż już nawet nie krzyczał. Paskudny nicpoń! Tak kpić sobie z dorosłych! Szkoda, że Elinie przydarzyło się to samo, kiedy obie z

matką poszły do łaźni. Nie jest łatwo utrzymać na kolanach takiego mokrego naguska komuś, kto sam jest mokry i nagi. Naturalnie Iisakki mógł potrzymać dziecko, gdyby tylko nie poszli pod namową Eliny do tej nowoczesnej sauny, gdzie kobiety i mężczyźni kąpią się osobno, rozdzieleni grubym murem z betonu, mimo że Bóg w swoim czasie rozszerzył się z powodu figowego listka, jak Iisakki sobie przypomina.

Z tą samą sobotą łączyło się jeszcze jedno wydarzenie, które nie pozwoliło jej zniknąć w otchłani zapomnienia. Owa mała cząstka dziejów ludzkości nie ześliznęła się w każdym razie na dno, a satfięgo pojęcia „pamięć” bez tego rodzaju historii chyba by nigdy nie wymyślono, stanowi to zresztą najbardziej niecelowy rezultat wspomniania. Drobnutki szczeniący figiel ucznia Kallego Nieminena stał się wydarzeniem historycznym, gdyż wielu Nieminenów miało dzięki niemu pamiętać, że przeżyli określony dzień sobotniej łaźni.

Zastanawiali się nad tym, czy nie byłoby rozsądniej pozostawić Kallego i Einari do końca tego roku w szkole w mieście, a dopiero od nowego roku przenieść ich do szkoły w Pispali. Einari był już w przedostatniej klasie, ale Kalle sięgał dopiero po najniżej wiszące niedojrzałe owoce z niedobrego drzewa wiadomości. Urodziny tych dwóch potomków Nieminenów dzieliły dwa skromne pogrzeby niemowląt.

Kalle wracał ze szkoły zwykle o wpół do piątej, ale owej pamiętnej soboty czekali na niego aż do piątej, w końcu rodzina wyruszyła bez niego, w nadziei, że spotkają go po drodze. Iisakki zatrzymał się jeszcze trochę przed drzwiami sauny. Udał, że z powodu zimna woli przejść się kilka kroków. Poszedł więc w kierunku miasta. I oczywiście im bardziej oddalał się od sauny, tym bardziej zbliżał się do szkoły. Na drugim kilometrze Iisakki wydłużył krok, zasapany wszedł do klasy, gdzie wreszcie ujrzał Kallego. W izbie stała ponadto jakaś zapłakana dziewczynka mniej więcej w wieku Kallego oraz nauczycielka, kobieta w średnim wieku. „Dobry wieczór! Tu się chyba nie chodzi do sau-

ny?" — zapytał Iisakki, trzymając przybory do kąpieli pod pachą, jak gdyby wszystko było nad wyraz oczywiste.

Nauczycielka zdębiała, zanim zdążyła się rozgniewać. Wypadało jednakże udzielić pewnych wyjaśnień. Z zaczerwienioną twarzą, starannie dobierając słowa, poinformowała Nieminena, że podczas lekcji rysunku Kalle przeszkrobał i powinien za to przeprosić. Nauczycielka pragnie usłyszeć i zobaczyć na własne oczy, jak Kalle przeprosza swoją koleżankę Hilkkę. Samego zajścia woli tutaj z niemoralnych czy raczej moralnych względów nie opisywać. Raczej napisze krótką notatkę, która zostanie doręczona matce winowajcy.

— ■ Ile godzin trzeba na to czekać? — zapytał Iisakki.

— • Co proszę? Co pan przez to rozumie? Na co czekać?

— No, na te przeprosiny!

— Całkiem słusznie. — Nauczycielka, korzystając z obecności ojca, nastawała, by Kalle przeprosił Hilkkę.

Chłopiec opierał się, tymczasem dziewczynka gorzko płakała, bo i jej także nie wolno było pójść do domu. Wreszcie nauczycielka odłożyła całą sprawę do następnej okazji. Iisakki wrócił z Kallem do sauny.

Tymczasem reszta Nieminenów dawno już powróciła do domu. W domu też brakowało odpowiedniego nastroju, który zjawiał się po powrocie z sauny. Józefina siedziała jak na rozżarzonych węglach.

— Gdzie się zapodział? A gdzie ojciec? Pobiegnij no, Paavali, i sprawdź, może poszedł po Kallego do szkoły.

Paavali nie należał do powolnych, ale pewnie nie spełniłby tak szybko polecenia matki, gdyby nie to, że chciał wziąć od ojca najlepszą koszulę — Iisakki miał ze sobą bieliznę dla chłopców. Najpierw popędził do łaźni, ale przybył tam tak zziębnięty i mówił tak niewyraźnie, że nie mógł się dziwić kasjerce, kiedy oznajmiła, że Nieminenowie już dawno wyszli.

I co teraz? Wyciągaj nogi i do miasta! Paavali dostałby się do klasy Kallego znacznie łatwiej niż ojciec, gdyby nie to, że drzwi szkoły były zamknięte, a światło w mieszkaniu woźnego zgaszone. Po takim odkryciu postanowił jednak

obejść jeszcze budynek dookoła oraz kilka innych w sąsiedztwie, wreszcie stwierdził, że zapadła ogólna ciemność, mimo że była to przecież instytucja służąca oświecaniu ludu.

Na potańcówkę Paavali zdąży ostatecznie i tak bez trudu, uspokoił się więc i wrócił bez pośpiechu do domu.

Wiadomość, że nauczycielka ma przysłać do domu pismo z wyjaśnieniem bynajmniej Józefiny nie pocieszyła. Musiało się stać coś poważnego, była przekonana. W przeciwnym razie nie zatrzymuje się nikogo w szkole, zwłaszcza o tej porze, kiedy wszyscy udają się do sauny, no, a już na pewno nie wymagałoby to pisemnego wyjaśnienia.

Było jasne, że tak wykształcona i światła osoba jak nauczycielka, wie co robi i co robić powinna!

Kalle nie dostał w skórę, ale czekanie do poniedziałku nie było bagatelką. A do tego musiała jeszcze zaprosić żonę Eemelego Makinena. Wizyta Józefiny w szkole była właściwie niepotrzebna, bo Kalle przyznał się do wszystkiego i gdyby nauczycielka zechciała nawet dodać cokolwiek od siebie, nie wniosłaby wiele nowego.

Na lekcji rysunków nauczycielka kazała narysować słońce. Rysowanie słońca jest, jak wiadomo, sprawą niełatwą, nawet dobrzy rysownicy starają się tego unikać, tak jak unika się pewnych słów, których nie wolno wypowiadać nadaremnie, a właściwie wcale.

Lecz w niższych klasach szkoły powszechnej podobne problemy nikogo nie peszyły. Każdy uczeń wiedział, że słońce wygląda jak gorący omlet z jajek, i każdy upiekł więc swój omlet jak umiał i widocznie winna temu była patelnia, że niektóre z omletów miały kształt nieco podłużny!

Kalle był sprytnym chłopakiem i dorobił swemu słońcu promienie, usta, nos i oczy. A ponieważ lekcja się jeszcze nie skończyła, narysował słońce w kształcie bardziej owalnym, dorobił nogi i długi ogon, tak że w końcu słońce przybrało postać kota.

Mimo to nie było jeszcze jak należy. Kalle zaczął się rozglądać dookoła. Tuż przy nim siedziała Hilikka, której słońce, nawet zdaniem Kallego, wypadło zbyt podłużnie, pro-

mienie też wyszły jej jakoś nieszczególnie. Dziewczynki* mimo uwag, obstawała przy swoim.

— Dorysuj mu przynajmniej usta!

— Usta? Przecież słońce nie ma ust!

— Ma na pewno! Dorysuj prędko, bo zaraz będzie dzwonek!

— Nie narysuję!

— To ja narysuję! — rzekł Kalle i przekreślił dzieło Hilkki. A ponieważ, niestety, w pulpicie był otwór po sęku, w papierze zrobiła się dziura. Hilkka rozbeczała się. Rozległ się dzwonek. Nauczycielka rzuciła się na nich jak jastrząb.

— ■ Co tu się dzieje? Co takiego? Gdzieżeś ty... Kto nauczył Kallego rysować takie obrazki? Możecie iść, ale pamiętajcie, że jutro... Nie, Kalle, ty nigdzie nie pójdziesz! Jazda do kąta! Chodź tu i przeproś Hilkkę, i to raz-dwa! No, Kalle! Proszę cię, Hilkko, przebac mu!

— Ta-a-aak!

— Najpierw Kalle musi cię przeprosić! I nie mówi się: „Ta-a-aak!”. No, długo jeszcze mam czekać? Kalle, powiedz: „Przepraszam!”

— Tak!

— Hilkko, nie wolno odpowiadać, zanim ci nie pozwolę! Kalle, pospiesz się, bo Hilkka chce iść do domu! O co innego umiesz prosić! No, dobrze, Hilkko, możesz usiąść. A Kalle sobie postoi, dopóki cię nie przeprosi.

Była to rzeczywiście bardzo przykra historia. Kalle nie mógł w żaden sposób zrozumieć, dlaczego musi koniecznie prosić o przebaczenie, choć w sprawiedliwość wyroku bynajmniej nie wątpił. Hilkka natomiast skracала sobie czas płaczem.

Nauczycielka schowała rysunek i pokazała go później t Józefinie.

— To pewnikiem horyzont, a tu — o jejku! — mój synek zrcHł dziurę.

Nauczycielka nie godziła się z podobną interpretacją.

— Niech pani się tylko dokładnie przyjrzy — powiedziała, odwróciwszy papier, a więc i horyzont odwrócony do

góry nogami nie wyglądał już na horyzont. Zgrabnymi palbami sunąc po rysunku wyjaśniała, aż Józefina nagle pojęła.

— Panie Jezu, to przecież włoski, rzeczywiście, a z początku myślałam, że to promienie!

— No właśnie — orzekła nauczycielka, zmięła papier i podarła go na kawałki. Drzwiczek od pieca nie udało jej się otworzyć bez pomocy Józefiny.

Interpretacja nauczycielki mogła być ostatecznie zgodna z prawdą. Uczzone osoby potrafią niejedno przepowiedzieć, zaćmienie słońca i w ogóle... Ale Kalle, jak twierdził, nie wiedział co czyni, i chyba rzeczywiście nie wiedział. Dlatego Józefina nie chciała babrać się w tej aferze, oznajmiła więc tylko, że nie powinien rysować słońcu tak przesadnie dużych ust, a raczej nos i oczy...

— Dorysowałbym jeszcze uszy, ale Hilka od razu...

— Hilka, ano właśnie! Przecież to był jej arkusz. Na jej papierze nie wolno ci postawić nawet kreski! Ani na kartkach innych dziewcz., w ogóle na kartkach innych; ani uszu, ani włosów! Zaraz, co to ja chciałam? Przynieś mi jeszcze trochę drewna, zrobię ciastko z mlecznej zupy. Ale słuchaj, Kalle, przeprosić musisz!

— Przepraszam!

— Już ci pewnie przebaczyli! Twoja nauczycielka! Nie ma się co wstydzić przeprosin, tylko wstyd, jeśli ktoś nie przebacza!

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Pewnego dnia przyszedł do Nieminenów jakiś nieznajomy chłopiec i chciał sprzedać świąteczne pocztówki. Mówił, że mieszka w mieście, ojciec chory, a i matce się wiedzie nie lepiej. Józefina kupiła pięć pocztówek, Paavali jedną.

— Poślesz ją pewnie do tej Lempi Makinenów? — spytała Sylvi.

— Niby dlaczego? Mam przecież wielu przyjaciół! — odpowiedział Paavali i kupił jeszcze trzy pocztówki. Jussie-mu pozwolono nawet dotknąć kolorowej sterty pocztówek.

Wtedy Kallemu zaświtało coś w głowie. Przecież i on mógłby sprzedawać pocztówki. Obliczył, że mógłby je sprzedać u Jarvinenów, Haapanenów, Makinenów i jeszcze u tych drugich Makinenów. Czy i u Dahlmannów też, nie był już taki pewny, bo Dahimann to przecież dyrektor. Czy tacy ludzie w ogóle kiedykolwiek coś kupują, czy zawsze tylko sprzedają? Służąca Dahlmannów może by jednak kupiła. Szkoda, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł!

Do Bożego Narodzenia pozostały jeszcze ponad trzy tygodnie, stratę tę można będzie nadrobić, byle skądś zdobyć pocztówki. Paavali obiecał mu pomoc. Z obietnicy wywiązał się znakomicie. Lisakki coś niechętnie odburknął, ale Józefina pochwaliła dzieci za to, że wcześniej zaczynają myśleć o zarobku. Czytała kiedyś o sierocie-pastereczce. Też była taka zapobiegliwa, no i do czego potem doszła!

— Pewnie została aniołkiem w niebie — spróbował dokończyć Lisakki.

Nie powinien był tak mówić, bo spotkała go kara boża i Kalle zachorował, a w każdym razie tak uważała Józefina.

— Bóg nie znosi takich drwin! — powiedziała.

— Dłatego, że pasterka dostała się do nieba? — spytał Paavali.

Nazajutrz najmłodsza latorośl była gorąca jak wyciągnięty z ognia kartofel. Nawet Lisakki powiedział wtedy: „Tośmy się doczekali zapłaty!”

A potem jedyny kociolatek w gospodarstwie Nieminenów pękł.

— Nie ma już w czym ugotować stawy! Wierzycie wreszcie, że to kara boża?

Józefina okazała się prorokiem, prorokiem albo czarownicą, jednym z dwojga, to fakt. Odkąd gotowano u Nieminenów w emaliowanym garnku, nastąpiła nowa era.

Choroba dzieci na szczęście szybko minęła, rychło dała się zwalczyć kroplami przeciwko grypie. Kallemu nie pozwolono jednak na sprzedaż pocztówek, żeby nie przyniósł do domu jakiejś nowej zarazy. Tymczasem zarobił już tyle pieniędzy, że zaczął naradzać się szeptem z Paawalim nad prezentem gwiazdkowym dla matki. Starszy brat dodał coś z włas-

nych oszczędności — to znaczy trzy czwarte sumy — i tak zjawił się w domu nowy żeliwny kocioł. Józefina oczywiście zauważyła to, ale nowego kociołka używała pokryjomu tylko nocami. Była to wcale niełatwa sztuka: najpierw położyć spać całą rodzinę, odczekać, aż wszyscy usną, znieść kocioł ze strychu, a po skończeniu oczyścić z sadzy aż do ostatniego pyłka i odnieść kocioł na strych! Toteż Józefinę bardzo cieszyły nadchodzące święta.

Paavali przyniósł choinkę. Lasy dobrego Wujka Niczyjego leżały dookoła. Paavali poszedł na wzgórze Lielahiti i ściął choinkę w pobliżu cygańskiego uroczyska, ale dopiero kiedy się dobrze ściemniło, bo Wuj Niczyj był przecież skąpy... Choinka była piękna. Niepotrzebne gałęzie odpiłowano, kilka z nich wetknięto w umyślnie wywiercone dziurki i wreszcie zielona wspaniałość stanęła w kącie paradnej izby. Ze strychu przyniesiono zniszczone kartonowe pudełko po butach, którego strzeżono jak żrenicy oka, i zaczęło się strojenie choinki. Sylvi pilnowała małego Jussi, żeby nie dotykał szklanych baniek, Iisakki umiał tak ozdobić gałęzie i pień drzewa watą, że wyglądała jak przyprószona śniegiem. Paa-vali zapragnął koniecznie dowieść, że dosięgnie wierzchołka i potrafi umocować tam gwiazdę, choć stoi na niskim taborecie. Józefina zajęta była w kuchni, Einari nosił wodę i drewno na opał, od czasu do czasu nie omieszkiał zajrzeć do paradnej izby i wyrazić swoich poglądów na temat strojenia choinki. Najmłodsze dziecko, ku ogólnemu podziwowi, wdrapało się na stertę pościeli na łóżku, Kalle nie posiadał się z radości. Elina wystawała przed lustrem nućąc: „Cicha noc, święta noc...”

Mimo ogólnej krzątaniny, mimo świątecznego pospiechu, zdążyli jeszcze wstąpić do sauny.

Oba stoły ustawiono na środku izby, podkładkami wyrównano do tej samej wysokości i nakryto lnianym obrusem, wprost pachnącym czystością. Były wprawdzie tylko cztery krzepla, ale rozkładane łóżko przymocowane do ściany było dostatecznie obszerne.

Józefina nakrywała. Kto nie chciał grzanek, mógł dostać miękką bułkę, kto nie miał ochoty na razowiec, dostawał

chleb żytnio-pszenny, a poza tym było jeszcze słodko-kwaśne pieczywo.

— Co jemy najpierw: kapuśniak czy kartoflankę? — pytała Józefina. Wkrótce ustały pytania. Kalle baczyl pilnie, aby nie przeoczyć któregoś ze smakołyków. Na swoim talerzu ustawił potężny kopiec filetów ze śledzi, suszonego dorsza, pieczeni i szynki. Józefina też nie wyglądała na głodną. I rzeczywiście wkrótce rozlegało się ze wszystkich stron: „Już nie mogę, mamozjedz za mnie!”

W końcu podano pączki, gotowany ryż, zupę z rodzynkami, ale, niestety, nawet jedzenie może się dać człowiekowi we znaki. A bogaci musieli znosić taką mękę codziennie, od rana do wieczora? Doprawdy zasługiwali na litość.

Wreszcie nadeszła już pora na Świętego Mikołaja. Zapalono świecezki i czekano cierpliwie. Czy chodzi jeszcze w tych samych butach, których czubki już w zeszłym roku były takie spłaszczone i powykręcane? Kalle zerkał na nogi Paava-lego i myślał, że Święty Mikołaj ma już pewnie nowe buty.

Nie wyglądało na to, by starszy brat miał się gdzieś spieszyć. Wyglądał przez okno, a na dworze ciemno choć oko wykol.

Co to będzie! Na ulicy, tuż pod oknem, rozległ się trzykrotnie dzwonek! Paawali wyskoczył z domu. To gwiazdor przybywał do Nieminenów! W filcowych butach z derką na ramieniu, futrzaną czapą wciśniętą na czoło, obrośniętym nosem, a za nim szedł Paavali z naładowanym po brzegi koszem. Wyglądał na prawdziwego Świętego Mikołaja! Lepiej dobrze uważać, żeby staruszek się nagle nie spłoszył i nie zniknął razem ze swymi upominkami.

Lecz nie! Ville Makinen odwiedził już dwie rodziny, a że w obu domach poczęstowano go piwem, rozwiązał mu się język. Wytrawnym pijakiem Święty Mikołaj najwidoczniej nie był, ale bożenarodzeniowe piwo nie jest złe, nie wzgardziłby nim nawet apostoł abstynencji. U Nieminenów było piwo tego samego gatunku, podano mu cały dzbanek. Ubawił wszystkich, kiedy lewą ręką uniósł nieco brodę z końskiego włosia, wsunął pod nią dzbanek jak w stertę gałęzi i pił, aż mu w gardle bulgotało.

*

— Mojemu reniferowi też muszę coś zanieść — rzekł i wyszedł z dzbankiem w rękę. Jakoś nie słyhać było otwierania drzwi prowadzących na dwór. I dlaczego Józefina uśmiechnęła się? Może reniferowi nie należało dawać bożenarodzeniowego piwa? Nawet Iisakki dał się namówić Świętemu Mikołajowi na jeden kufel i wyglądał na bardzo zadowolonego.

— Zapytaj go, Jussi, gdzie mieszka — powiedziała Józefina, jak wymagał tego zwyczaj. Ale Jussi za nic nie chciał Świętego Mikołaja spytać, tylko jeszcze mocniej przytulił się do ojcowskiej piersi.

— No, a ty, Kalle? — zapytał Święty Mikołaj. — Ty mi powiesz! Chodzisz już do szkoły, czytasz książki. Gdzie mieszka Święty Mikołaj?

— Święty Mikołaj mieszka na Bożenarodzeniowej Górze — odpowiedział Kalle triumfalnie.

Ville szybko wymyślił następne pytanie.

— A powiedz mi teraz, gdzie leży ta góra?

— ■ W Laponii! — odpowiedział Kalle bez wahania, chociaż na pewno jej tam nie było! Za siedmioma chmurami i siedmioma niebami leżało Bożenarodzeniowe Królestwo, a Góra stanowiła jego stolicę. Na zboczach góry rosły bożenarodzeniowe kartofle, wielgachne jak głowy, a miały łupinki z masła. Panował tam ciepły mróz i padał ciepły śnieg, po którym tamtejsi ludzie mogli całymi dniami hasać nago.

— A dlaczego Święty Mikołaj ma filcowe buty?

Też pytanie! Czy Sylvi sobie myśli, że byłoby ładnie, gdyby Święty Mikołaj odmroził sobie nogi na pispalskiej górze? Kto by tu wtedy rozdzielał upominki?

— Kto chce pojechać do Bożenarodzeniowego Królestwa, może się zaraz ze mną zabrać!

— Ja pojedę! — Kalle nie mógł usiedzieć na miejscu i trzeba było niemałego wysiłku, aby zatrzymać go wśród zwyczajnych czterech ścian, daleko od siedmiu niebios i siedmiu chmur.

Tęgę wieczoru późno udali się na spoczynek. Trzeba było jeszcze opchać się cukierkami i obwarzankami, choć dopie-

ro co skończono wieczerzę. A ile rzeczy było do przymierzania! Nowe spodenki, fartuszki, swetry, pończochy, rękawice z jednym palcem, buty i wiele innych rzeczy. Zwłaszcza dla młodszych dzieci Święty Mikołaj przyniósł tyle, że wystarczy na cały rok. To był naprawdę dobry Święty Mikołaj, zaoszczędził Nieminenowi tylu poważnych wydatków.

I Józefina mogła wreszcie postawić swój żeliwny kocioł w kącie spiżarni, gdzie też i przyjdzie mu najczęściej stać, bo pieczeń była u Nieminenów rzadkim daniem, a wojna domowa, która wisiała w powietrzu i bezsensowna ucieczka przez miasto, zdarzają się tylko raz. W gradzie kul kocioł miał uratować życie Kallemu, tak przynajmniej sądziła wówczas Józefina. Na razie jednak kocioł nie odgrywał aż tak ważnej roli! Mógł nawet uchodzić w oczach Józefiny za zbytek.

Einari dostał narty! Znaleziono je w sieni, po wyjściu Świętego Mikołaja. Na Boże Narodzenie najważniejszą osobą jest zwykle obdarowany, a ofiarodawca ginie w cieniu. A jednak sprezentowanie Einaremu szybkich wyścigowych nart, właśnie temu milczkowi, który tak mało zwracał na siebie uwagę, za to na nartach poruszał się jak błyskawica, było wielkim czynem.

Chłopiec obejrzał narty, pogłaskał je, zbadał ich giętkość, rozejrzał się dookoła i pogrążył się w podziwie dla swych nart. Matka, zdaje się, niezupełnie doceniała wartość tego prezentu. Starszy brat zaś powiedział:

— Jeśli nauczysz się na nich kiedyś porządnie skakać, to może jeszcze będziemy pewnego dnia jeść srebrnymi łyżkami!

Choć radość jest miła, to i ona w końcu człowieka zmęczy. Józefina pościeliła łóżka i zapowiedziała jutrzejsze pójście do kościoła na uroczyste nabożeństwo. Ale nazajutrz rano, wśród ogólnego ziewania, projekt upadł. Zresztą zapomniano nakręcić budzik. Wskazówki się wprawdzie troszkę posunęły, ale budzik nie zadzwonił. Zresztą dobrze, że nie zadzwonił. Daleko jeszcze do końca świętowania.

Wreszcie nastał wieczór dnia świętego Szczepana. Zaległa owa okropna cisza, która zdaje się nie mieć ani początku, ani końca, a jednak stanowi strefę graniczną pomiędzy dwoma wielkimi potęgami — świętem a dniem powszednim. Znikły resztki świątecznych potraw, na choince zostało jeszcze kilka świeczek.

Iisakki ze dwa razy przeczytał gazetę, która ukazała się w wigilię, ale i tak można było jeszcze z niej coś wyczytać. Zasiadł w fotelu na biegunach jak w fortecy. Stamtąd osłonięty przed baczynym wzrokiem żółtodziobów wysokim oparciem i rozłożoną gazetą, w regularnych odstępach czasu unosił się błękitnawy dymek, który na wysokości zwisającej z pułapu lampy rozrastał się do rozmiarów poduszki z mgły, aż znikał w kącie, wessany do paleniska, a stamtąd z hukiem wydostawał się przez komin na zewnątrz. Popiół, nadpalone zapalki, cuchnące niedopałki gromadziły się w blaszanej puszcze i na podłodze dookoła Iisakkiego.

Józefina siedziała przy stole w sypialni i wpatrywała się w litery oprawionej w drewnianą okładkę Biblii, jak w ślady palca Bożego. Elina wyjęła ją, żeby obejrzeć obrazki, ale rychło zmieniła zamiar i wystawiała teraz przed lustrem. Józefina ziewnęła. Zamknęła wielką księgę, przeżegnała się, słysząc tylko syczący dźwięk „Jezusss, Chrystusss, Amen!”

Wtedy właśnie wszedł do izby Paavali. Usiadł z rozmachem obok łóżka najmłodszego braciszka, jak zwykle, gdy wracał z pracy. Lecz dziś nie był umorusany. Pochwycił niemowlę w ramiona i podniósł do góry, a twarz dziecka zalśniła jak księżyc w pełni.

— Oby tylko nie dostał kataru. Masz takie przemarzniete ubranie — przestraszyła się Józefina.

— Gdzie tam! Mały Iisakki nie może się przecież nabawić kataru od byle czego! — zaprzeczył Paavali.

— To Erkki, a nie Iisakki — oburzyła się Sylvi.

— Erkki, Erkki-Iisakki! Popatrzcie, popatrzcie! Jak się uśmiecha, jaki zadowolony! Widzicie, dobrze wie, jak się nazywa! Mądry chłopaczek!

Józefina odwróciła Biblię i popatrzyła na ostatnią stro-

nicę. Figurowały tam imiona dzieci Nieminenów kolejno, jedno pod drugim, tak jak przychodziły na świat — od Paavalego Henriki zaczynając aż do Johana Alexi włącznie. Brakowało jedynie danych Erkki Iisakkiego. Na prawo obok kratki na datę urodzenia było miejsce na dalsze zapiski, krzyżyki i daty. Trzy linijki były już zapisane całkowicie. W rubryce Eliny Sofii zapis był krótszy, ponieważ data urodzin była równa z datą śmierci.

Józefina zagłębiła wzrok w Biblii. Kronikarskie zapiski Iisakkiego były krótkie i zwięzłe, jak ślad mistrzowskiego cięcia cieśli, który za każdym zamachem pozostawia jeden tylko znak. Same imiona i liczby, ale były to wieści z zatopionych wysp, do których powrót umożliwiało tylko jedno — wiara w zmartwychwstanie. Życie bez nieśmiertelnej duszy to tyle, co konieczność wiecznych pożegnań, bezmyślne porzucanie najbliższych. Po co miałyby istnieć wieczna Przyczyna, która stawia nas wobec konieczności podobnych rozstań, gdyby nie było możliwości powrotu? Jeśli śmierć jest niezwyciężoną potęgą, to dlaczego walka z nią pozostała już rozstrzygnięta od dawna? Wiara Józefiny, że ponowne wcielenie w innym świecie stanowi sens śmierci nie była ani trochę bardziej skomplikowana niż przekonanie, że śmierć stanowi cel przyjscia na świat. Obojętne, jak jest naprawdę, Józefina nie знаła żadnych przeszkód, ilekroć pragnęła wierzyć. Jednym słowem: wiara otwierała przed nią ziemię obiecaną, była naturalnym aktem jej woli. Najdziwniejsze, że zawsze wtedy opowiadała się po stronie wiary, gdy ta sprawiała jej zawód, rozpadając się na trzy części: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Józefina wyobraziła sobie, jak by wyglądała lista imion, gdyby dodać do niej imię najmłodszego dziecka. Zaczęła nawet tęsknić za namacalnym stwierdzeniem jego istnienia. Wyjęła z szuflady komody atrament i pióro, odkorkowała kałamarz i powiedziała do męża:

- Mógłbyś teraz wpisać tu naszego Erkkiego!
- Ależ mam, przecież jeszcze nie jest ochrzczony — oburzenie Eliny wypadło świetnie.
- ■ W następną niedzielę zaniosę go do chrztu. Nasza

Biblia to przecież nie rejestr kościelny! — odparła Józefina.

— A pan pastor też już imienia nie poprawi — dodał Paavali.

— Ani daty urodzenia — stwierdził Iisakki zajmując miejsce przy stole. Wszyscy ścieśnili się wokół stołu, ojciec wziął pióro i zaczął pisać. Gdzie i kiedy nauczył się tej sztuki, nie wiadomo, ale pisał starannie i czytelnie.

Już po raz dwunasty wpisywał imię swego dziecka do Biblii. Życiorys dzieci, które umarły w dniu narodzin, pisany był za jednym zamachem, widniał teraz kompletny, zamknięty. Oby tak lista ta nie wymagała już żadnych dopisków! Wystarczy, że będzie uzupełniana krzyżykami.

O srebrnych łyżkach pomimo nowych nart Einarego było jakoś cicho. Wciąż powracający temat rozmów stanowił natomiast Kalle. Iisakki powiedział kiedyś, że co do dzieci to tym lepiej, im mniej się o nich słyszy, ale kto by o czymś takim pamiętał.

Po południu, na krótko przed wizytą pani Haapanen, panowała w domku Nieminenów pogodna, pełna krzątaniny cisza. Za drzwiami łączącymi obie sypialnie spało głębokim snem troje najmłodszych, zmęczonych wiosennymi gonitwami. Sylvi i Jussi leżeli z okropnie poplątanymi kończynami na posłaniu, do którego jako mur ochronny przystawiono dwa krzesła. Z dołu dochodził przytłumiony jęk piły: Einari majsterkował...

W kuchni terkotała maszyna do szycia — Józefina szyła koszule. W garnku na palenisku bulgotała grochówka. Raz po raz wypryskiwała spod pokrywki wielka kropla i staczała się na rozżarzoną płytę. Okno było otwarte. Miły zapach zupy i świeży wiosenny wiatr w braterskiej zgodzie krzyżowały swe drogi.

Ponad kombinacją: człowiek-maszyna wzbijała się melodyjna pieśń. Opłacona była ciężką pracą, była jak ognisko

wzniesione na świętej górze. Józefina nuciła walczyka. Wprawdzie niewiele wiedziała o błękitnym Dunaju, ale nie chodziło przecież o słowa.

Nagle rozległo się pukanie do sieni i weszła Haapane-nowa.

— ■ Dzień dobry! Musiałam zajrzeć na chwilę, zobaczyć jak się Nieminenom powodzi! Skąd macie taki piękny materiał? No tak, w ten sposób pytają złodzieja. Pracujesz dla jakiegoś przedsiębiorstwa. Tak też myślałam, bo kto mógłby sobie pozwolić na taki luksus z własnych zarobków! Czy twój mąż miał ostatnio dużo nadgodzin?

— Owszem.

— Mój stary też. Tylko koło północy ma nieco czasu na odpoczynek, bo zaraz znów musi się zrywać do roboty. Wstępuje tylko do kuchni. Ma tam pryczę obok schodów na strych. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, kiedy leżał przy mnie ostatni raz. Taak, wszystkiemu winna wojna! Jestem pewna, że i w Pispali przydarzy się jeszcze niejedno. Nie myśl sobie, że na żarty przygotowują okopy! A może myślisz, że będą stamtąd strzelać do wróbli? Nie, moja droga! Do bezrobotnych, jak tylko się zapelnia magazyny! Mój stary zawsze mówi, że nieustanna praca przynosi z sobą nieustanny głód. I ma rację.

— Wydawałoby się, że właśnie wtedy jedzenia będzie w bród.

— W bród, oczywiście. Ale dla kogo... Sama wiesz! Myślisz, że nie potrzeba człowiekowi chleba, kiedy leży w okopie? Nasza Kaisa chorowała zeszłej zimy przez trzy tygodnie i nie było co dodać do kawy. Można pić i bez cukru, nawet bez śmietanki.

— Nasza Elina twierdzi, że lepsza jest czysta woda i że o wiele zdrowsza!

— Eee tam! Może dla niektórych. Tak, ale co to ja chciałam...? Cały czas mam to na języku i nie mogę wykrztusić! Słyszałaś, co się stało z Lempi Makinenów? To wszystko stąd, że włóczą się za takimi pijakami. Kaisa nie wróciłaby w takim stanie do domu! Kaisa na pewno nie, to nie w jej stylu.

— Tak? A więc Lempi coś się przydarzyło? Muszę to za raz powiedzieć Paavalemu, co się stało z jego ukochaną.

Znowu pani Haapanen złapała się we własne sieci. Miała pecha! Zupełnych bzdur naplotły jej kumoszki. Nie było w tym ani za grosz prawdy. Ale miała coś jeszcze w zapasie.

— Gdzie podziewają się twoje dzieci? — zapytała.

— Starsze poszły do pracy, a młodsze chyba jeszcze śpią.

— A Kalle też śpi?

— Nie! Kalle jest w szkole!

— Ach tak! W szkole! Tyle wiesz o własnych dzieciach! Kalle i szkoła! Tłucze się na zboczach w Ala-Pispala z wszelaką hołotą!

— Nasz Kalle? Z hołotą? Ma dopiero osiem lat.

— Właśnie, że tak. Wasz Kalle. Ale nie bądź dla niego zbyt surowa, żeby nie zaczął się jękać tak jak nasz Mattias, kiedy mój stary sprął go rzemieniem. Naliczyłam dziesięć i powiedziałam: dosyć. Ale uderzył go jeszcze ze trzy razy. Dzieci są bardzo wrażliwe. No tak, muszę już iść. Chciałam tylko zajrzeć do was i zobaczyć, jak się wam powodzi. Dziękuję za wszystko. Do widzenia!

Józefina została znów sama, ale znikł gdzieś pogodny spokój. Robota też jej już nie szła. Dołożyła jeszcze kilka szczap do ognia i nie wiadomo po co długo mieszała zupę. Nie była zdolna do niczego jak tylko do czekania na powrót Kallego. Gdzie się zawieruszył? Spojrzenie na niezawodny budzik w kuchni nappełniło ją troską. Może w paplaninie plotkarki kryła się iskierka prawdy? Co jej do moich dzieci? Czy potrzebna aż ta cała babska armia, komitet opiekuńczy z paniami Saarinen, Salonen, Jarvinen i Haapanen, żeby zawrócić na dobrą drogę ośmioletniego chłopca. Komitet, w którym rodzona matka, jedyna osoba odpowiedzialna za jego wychowanie, była tolerowana co najwyżej jak słuchaczka bez prawa głosu? Czy wieś nie ma nic lepszego do roboty, jak rozgłaszać wielkim dzwonem złe wieści? A może chciano jej w ten sposób dopomóc? Czy zadano sobie trud, żeby ją zrozumieć? Chyba jedynym dążeniem tych

ludzi jest ukamienować możliwie jak najwięcej bliźnich, żeby zbudować sobie w ten sposób bramę triumfalną?

Józefina czekała. Im dłużej nie było Kallego, tym pewniejsze stawało się jej przypuszczenie, że musiało się przytrafić coś nieprzyjemnego.

Wreszcie usłyszała otwieranie drzwi. Uchyliła drzwi kuchni i czekała, bo przybysz trochę marudził. Patrzcie go, mój syn wyciera obuwie! I to jak starannie! Tak jak ktoś, kto rzadko to czyni. W końcu przestąpił próg i powiesił czapkę i teczkę na wieszaku. Taki uczeń ma na świadectwie przynajmniej dwie piątki — jedną za sprawowania i jedną za pilność. Józefina spojrzała na zegarek, Kalle właściwie wcale się tak bardzo nie spóźnił. Z pół godziny! Kto by się tym przejmował, zwłaszcza na wiosnę!

— Troszkę się spóźniłeś — wypomniała mu jednak.

— Tak. Rzeczywiście. Widziałem dziś kota. A co to był za kot! Miał takie długie włosy i nie miał ogona!

Józefina nie dała sobie zamydlić oczu.

— Gdzieś się podziewał? — zapytała.

— W szkole.

— Tak długo?

— Bo czekałem na Heikkiego.

— A dlaczego musiałeś na niego tak długo czekać?

— Zatrzymali go za karę, ale niedługo.

— A ty co?

— No też, bo zatrzymali prawie całą naszą klasę!

W ten sposób rozmowa między matką i synem wiła się spiralą w kierunku niebezpiecznego punktu. Okazało się, że „prawie cała nasza klasa” oznaczała w wersji Kallego czterech chłopców z Pispali, którzy wygarbowali skórę czterem maminsynkom z Temperę. Ci z Temperę upierali się bowiem, że u nich pod miastem jest większa skocznia niż na pispalskiej górze. Również i Józefina była zdania, że to jawne kłamstwo, ale nie uważała tego za dostateczny powód do bijatyki.

— Tak bez żadnej przyczyny! — dodała pospiesznie matka.

Kalle właściwie powinien już dostać obiad, ale Józefina

chciała jak najprędzej zadać mu zawczasu przygotowane pytanie, nim nadejdzie ktoś trzeci i skomplikuje sytuację. Ale podobne pytanie przychodzi ze strasznym trudem. Jeśli w plotkach rzeczywiście była szczypta prawdy, to potwierdzenie tego bynajmniej nie należało do przyjemności. Jeśli jednak cała historyjka została zmyślona, o czym Józefina była przekonana, to nieuzasadnione śledztwo mogłoby tylko niepotrzebnie zmącić atmosferę.

Józefina tak ostatecznie sformułowała pytanie:

— Kalle, czy opuściłeś szkołę bez pozwolenia?

Uderzyło to jak grom z jasnego nieba. Co miał odpowiedzieć? Zaprzeczyć? Udać śmiertelnie obrażonego i wymyślić jakieś wspaniałe kłamstwo, aby kamień spadł z serca matki i obciążył jego sumienie? A może się przyznać? Ostatecznie ulżyć własnemu sumieniu, powierzając matce swą ciężką tajemnicę?

Kalle milczał. Jakby odjęło mu mowę. Coś się w nim zatrzymało, uciekał wzrokiem. Nie zamienił się w słup soli, ale mało jest rzeczy, równie chwytających za serce, jak widok chłopca, który stoi wybladły i czeka. Potem poruszył ustami, wątłe ramiona zadrżały. Tama puściła. Kalle rozplakał się jak dziecko, które wśród zapadającego w lesie zmierzchu wzywa matkę.

Wszystko natychmiast stało się jasne. Józefina nie miała się już czego namyślać; ma być po prostu matką, matką przyszłego mężczyzny, jego osłoną i schronieniem. Podeszła do syna, objęła go i zaczęła pocieszać. Potem przysunęła sobie krzesło, usiadła i wzięła Kallego za rękę. Nie broniąc się usiadł jej na kolanach. O ten sam fartuch wycierali sobie oczy, syn i matka. Powoli strumień łez ustał i słońce wyjrzało zza burzowych chmur. Nie było już oskarżycielki i oskarżonego, jedynie dwie istoty, obie przywiązane do życia, kochające się nawzajem i próbujące się zrozumieć. Niedawne pytania stały się nieważne. Musiała być tym, czym była naprawdę, aby zauważyć, że potrafiłaby bez trudu uzupełnić wyznanie Kallego. Zdolność tę nazywa się wyobraźnią.

Józefina gładziła synka po szorstkiej czuprynie i słucha-

ła barwnej opowieści, a Kalle umiał opowiadać. Niczym płomienne zaklęcia i błyskotliwe obrazki poetyckiej antologii, jak porywające opowiadania o jaskiniach lwa i pana-jezusowe przypowieści z lekcji religii stanęły matce przed oczyma radości i śmiertelnie poważne zmartwienia dzieciństwa. Nie było czasu na szukanie, co tu jest prawdą, a co zmyśleniem, najważniejsze to wczuć się w położenie syna. I czyż nie było warto dożyć chwili, kiedy ruszają niezliczone potoki, zjawiają się tamy, a pocieszne, zmajstrowane z drutu młyny mełły cierpliwie; kiedy, jak kamień spadał w dół ślad nart po ośnieżonym, lśniącem zboczach, aż w uszach furczało, aż wiatr wyciskał łzy z oczu; kiedy pióropusz powiewał na głowie dumnego Indianina lub latawiec zrywał się ze sznurka i znikał wśród chmur! Matka i syn prześcigali się we wspomnianiu coraz to innych zabaw.

Podczas odwilży aż do późnego wieczora toczyli bryły śniegu i marzyli o zbudowaniu wielkiej wieży. Rano, ledwie zdążyli narzucić coś na siebie, biegli kontynuować swoje dzieło. Ale nigdy nie mieli dość czasu. Znowu przerwa w budowie. Co, już tak późno? Józefina chętnie uszyłaby jeszcze chorągiew! Nic z tego, trzeba wracać do domu i iść do szkoły. Dlaczego robiło się nagle tak późno? Kalle orientował się w czasie po strasznym głodzie, jaki nawiedzał go zwykle o tej porze dnia. Jeśli jednak spałaszował rano solidną porcję owsianki, tracił poczucie czasu w ogóle. Zresztą to nieważne! Szedł do domu, jadł w pośpiechu z tornistrem na plecach i w drogę! No tak, a co z lekcjami! O istnieniu czegoś takiego Józefina zupełnie zapomniała, bez reszty zajęta budową. A tymczasem, Boże święty, już na pierwszej lekcji arytmetyka! A gdyby tak po drodze zatrzymać się na chwilę, podkuć rachunki i trochę się spóźnić? Nic by się nie stało. Lepiej, żeby matka poszła od razu do nauczyciela i powiedziała, że Kalle jest strasznie zaziębiony. Co takiego, znowu! Bola go zęby? Nie. Nie bolą. Ale głowa na pewno zaraz go rozboli, i to na pewno! Skoro nauczyciel wyraźnie do tego zachęca, to lepiej wyjść z lekcji. Do domu, gdzie mu właśnie powiedziano, żeby dał spokój z tym bezużytecznym odgarnianiem śniegu, bo i tak temu nie da rady, a je-

szcze gotów się spóźnić do szkoły. Mimo wszystko droga do szkoły była najbliższym szlakiem. I wieżę będzie mógł sobie obejrzeć, bo stoi na widocznym miejscu. No i w ogóle! Nie ma rady, trzeba tam pójść, koniecznie. Chłopaki przyszli trochę pobudować, trzeba im trochę wytłumaczyć, żeby nie robili za wielkich okien, bo cała wieża mogłaby od tego runąć. Chorągiewki na szczycie wciąż jeszcze brak, co to za wieża bez chorągiewki! Więc Kalle zmajstrował chorągiewkę. Nie zmitrężyłby na to całego popołudnia, gdyby żeńska część rodziny dostarczyła mu niezbędne akcesoria. Nie potrzebowałby wtedy biegać dwa razy po tyczkę do wieszania bielizny i jeszcze trzeci raz po worek po kartoflach. A gdy Kalle w końcu wrócił do domu, matka napadła na niego z pytaniem, czy znów siedział w kozie za karę. Rozgniewały ją wyjaśnienia Kallego, że tylko przyglądał się troszeczkę, jak chłopaki budują wieżę! Kalle stopniowo doszedł do przekonania, że nieprawdopodobne prawdy są o wiele bardziej niebezpieczne niż zręczne kłamstwa. Wszechmocną czarodziejską różdżkę kłamstwa miał poznać dopiero na starość, kiedy to człowieka już nic zdziwić nie może.

Tak, wielkie i liczne były przewiny Kallego. Kłamał zarówno w domu jak w szkole. Wręcz genialnie umiał oszukiwać za pomocą milczenia. Nie wolno mu było opuszczać lekcji i dlatego z zemsty za zburzenie jego śnieżnej wieży wybrał się w daleką drogę do Dolnej Pispali. Wprawdzie bijatyka nie odbyła się w zakazanych godzinach, ale zdaniem Józefiny nie zmieniało to nic w zasadniczej sprawie, a mianowicie, że chłopcy w ogóle nie powinni się tłuc. Zdaniem Kallego natomiast najważniejsze było to, że chłopcy z Górnej Pispali odnieśli zwycięstwo. A jeśli w Dolnej Pispali istniała na ten temat inna opinia, to i tak nie miała ona większego znaczenia.

Józefina mówiła przekonująco i pięknie, a Kalle mimo wszystko umiał słuchać. Matka mogła się przekonać, że chłopiec ma dobre serce i pragnie się poprawić, a już samo to przemawiało na jego korzyść. Kalle obiecał zacząć nowe, nienaganne życie, a matka słysząc trzask otwieranych fron-

towych drzwi domu, zakończyła niespodziewanie całą sprawę słowami:

— No, a teraz wytrzymaj nos i zachowuj się jak mężczyzna!

* * *

Jesienią Eetvartii Salonen przywiózł na działkę Niemine-nów kilka dużych fur gliny. Przywiózł, bo i tak miał trochę wolnego czasu. A jeszcze latem mówili o tym z Iisak-kim w łaźni, jak sobie Einari przypomina. Obaj byli zdania, że warto by było coś zasadzić.

— Kiedy nie mamy nawet płotu! A może posadzić kartofle?

— Co też najlepszego ojciec znowu wymyślił! — skarżyła się Józefina.

— Tata będzie sadził jabłunki! — powiedział Kalle, który wraz z Einarim siedział wtedy na ławce w łaźni. — I jagody! — dodał.

Nie było się z czego śmiać, chociaż Józefina traktowała te wypowiedzi zupełnie serio. Po powrocie z pracy, ledwie coś przekąsiwszy, mężczyźni zabrali się do dzieła. Iisakki wziął pod pachę worek i poszedł do Tahmeli, a Paavali zabrał się do kopania dołu w wyznaczonym miejscu. Natrafił na korzeń, więc przyniósł z szopy siekiere i walił w ziemię, aż iskry leciały. Mozolił się tak przez chwilę, aż postanowił wyrwać z ziemi cały pniak, a może i wszystkie, skoro się już raz do tego zabrał. Najpierw ten, który siedzi najbliżej. Wbił w ziemię łom i zaczął go stopniowo przechylać. Poszło. Wbił łom głębiej. Pień nie ruszył się z miejsca ani o centymetr. Co to była za robota! Przez dwie długie godziny męczył się Paavali nad wyciąganiem sosnowego pnia.

Pot spływał mu po twarzy strumieniami, aż oczy piekły. Otarcie czoła pozostawiało na twarzy ślady koloru gliny.

Trzeba było odrąbać sześć poziomych korzeni i za każdym razem wymacać łomem, co taki pniak sobie myśli. A ten tkwił mocno w ziemi i ani drgnął. Korzenie na pierwszy rzut oka wydawały się nie grubsze od ciała, ale dopiero

kiedy się weźmie siekiere, wie się, co to znaczy przeciąć trzycielowy korzeń. Najpierw każdorazowo wybrać kamienie, duże i małe, i oczyścić korzeń z ziemi, aż będzie wystawał jak kość z psiego pyska. Pionowa część korzenia długości metra jak kotwica sterczy pomiędzy dwiema skalnymi płytami. Ale Paavali, choć wątpy młokos, w końcu dał radę. Gdy Iisakki powrócił, ziała rzeczywiście dziura w ziemi. Miejsce leżało wprawdzie trochę w bok od umówionego, ale mimo to dwuletnią jabłonkę zasadzono. Wystarczyło chwycić łopatę. Do dołu wrzucono mniej więcej połowę przywiezionej gliny, korzenie drzewka oblepili odrobiną czarnoziemem, jaką udało się zebrać na podwórzu, i całą szufłę nawozu. Wprawdzie nigdy nie przyjdzie im spożywać owoców z tego drzewa, ale jeśli by tylko obrodziło, na pewno byłyby to piękne owoce. W worku Iisakki miał jeszcze jedną bardzo cenną sadzonkę. Nie byłoby z nią ani trochę więcej roboty, samo drzewko na pewno by się pospieszyło, skoro już za trzy lata na jesieni ma obrodzić tak obficie, że wystarczy dla całej rodziny Nieminenów. Iisakki byłby naturalnie poszkodowany, bo na pewno czekałby aż jabłka dojrzeją.

Ale były jeszcze inne sadzonki. Nawet na jagody można było ostrzyć sobie apetyt. Były w sumie trzy czeremchy i pięć jarzębin. Była też osika, gdyż Iisakki marzył, że na stare lata, rozparty na ogrodowej huśtawce, będzie wsłuchiwał się w szum osikowych liści. Wiedział wprawdzie, że właśnie czeremchy i jarzębinę upodobał sobie pewien gatunek gąsienic, które mogą się rozprzestrzenić i na jabłonie, ale praktycznie wiedza była bezsilna wobec głęboko zakorzenionego wspomnienia, w którym nie było jabłoni, za to osiki, a obok nich właśnie czeremchy i jarzębiny, śnieg, gile, zięby i pogrążony w marzeniach chłopaczek z nosem rozplaszczonym na szybie; gdyby odpowiednio szeroko rozłożył ręce i nogi, mógłby poprzetrząść na giętki wierzchołek jarzębiny, zatopić się w setkach drobnych gałązek i odpoczywać, kołysząc się wraz z nimi, z twarzą zwróconą ku przeciągającym chmurom. Wspomnienie to było może o wiele starsze i jeszcze bardziej przemożne, niż to sobie

uświadamiał robotnik Iisakki. Pewne jest tylko, że w świętych gajach mitycznych mieszkańców Pirkkali rosły, jeśli pominąć kilka pojedynczych sosen, tylko drzewa dla śpiewających ptaków niebieskich, nie było tam drzew chlebowych, takich jak w południowych krainach leniów śpiących.

Iisakki znów chwycił za łopatę i nakreślił nią koło na podwórzu. Gdyby ktoś wymierzył jego promień, okazałoby się, że jego średnica wynosi około ośmiu metrów. Dookoła stały drzewa liściaste, a następnego wieczora przybyło ich jeszcze kilka, bo niektóre odległości między drzewkami były źle obliczone — swoją drogą szczęśliwy przypadek, jak to się później okazało podczas letnich skwarów.

Siedziba Nieminenów zaczęła stopniowo przypominać wyglądem domek z dawnych marzeń Iisakkiego. Z czasem posadzi się tu jeszcze orliki, lwie paszcze, zawojki, a może nawet kilka krzaków róż i spirei. Na wiosnę dojdzie do tego oczywiście huśtawka, chociaż kto wie czy łatwo będzie w Finlandii o huśtawkę w czasie wojny domowej. W Pis-pali w każdym razie nie było zwyczajem zapominać o zagrożonej ojczyźnie. Większość mężczyzn walczyła w Czerwonej Gwardii za wspólną sprawę. Zwłaszcza Paavalemu nie wystarczało upiększanie własnych kątów; rozglądał się dookoła i malował w wyobraźni wspaniały obraz, a jego myśli i idee nie mogły się pomieścić w opłotkach. Stał oto na podwórzu ojcowskiego domu z łopatą w ręku, kosmyk włosów opadał mu na umorusane czoło. Rozmawiał z ojcem o tym, co by się jeszcze przydało na Pispalskiej Górze. Apteka, stadion sportowy i... jakże się to nazywa... W każdym razie drobnostki w porównaniu ze wspaniałą całością, dla której trudno wprost znaleźć odpowiednią nazwę, co najwyżej — jakiś ogólnik. Słowa takie jak szczęście i przyszłość, miliony i świat wytwarzały mimo wszystko pewien nastrój, aż strumyki fantazji zbierały się w potężną rzekę, której brzegi niedosiężne dla wzroku ginęły w dali, i jedynie niebo i ziemia rozwierały przed samotnym wędrowcem swe otchłanie. Toteż Paavali nie miał powodu do wstydu,

jeśli brakło mu określeń dla nowego świata. A do tego droga wiodąca w przyszłość wciąż ginęła mu z oczu, jak ślad za płynącym statkiem. Nasz poczciwy stary świat jest przecież kulą i dlatego można po nim długo wędrować, zanim się odkryje coś nowego.

— Kto chce wmurować kamień węgielny, musi go najpierw przymocować do jakiejś chmury — orzekł Iisakki w chwili, gdy myśli Paavalego wzbily się na tyle wysoko, że same pękły jak balonik. W stosunkach między ojcem i synem wyraźnie wyczuwało się owo rozdrażnienie, które w przyrodzie zapowiada przyjście trzeciego pokolenia. Poza tym polityczna aktywność Paavalego była co najmniej marnotrawstwem czasu. Same poglądy specjalnie nie drażniły Iisakkiego, choć światopogląd ojca był o wiele treściwszy od materializmu syna. Obaj należeli do Związków Zawodowych i do Kościoła, choć Kościół nie obiecywał nawet pomocy w razie choroby. Zarówno Kościół jak i Związek dalekie były od opowiedzenia się po którejś stronie. Związek, przy całej swej bezpartyjności, wymagał od każdego ze swych członków wstąpienia do Czerwonej Gwardii, a Kościół błogosławił zwycięzców i odmawiał zwyciężonym błogosławieństwa, tym poległym, i tym, którzy pozostali przy życiu. Co prawda, gdy bieg zdarzeń dochodził do punktu szczytowego, wypadało sobie przypomnieć nakaz Najwyższego, że na Kościele spoczywa obowiązek opieki nad nieboszczykami.

Czerwona Gwardia była właściwie pierwszym fińskim tak zwanym bractwem kurkowym. Cieszyła się bezpodstawnie zaufaniem rządu, tysiącom robotników zapewniała chleb powszedni, a częściowo i odzież. Instruktorami byli dawni żołnierze z carskiej armii, jak również pewna liczba mężczyzn, którzy gdzie indziej nauczyli się chwalić Boga. Czerwona Gwardia skupiała ludzi w różnym wieku, od uczniów począwszy aż do ich emerytowanych dziadków włącznie. Były też w niej bohaterskie kobiety, których jednak nie nazywano „Lottami”, lecz czerwonogwardzistkami. Peł-

niły one najróżniejsze funkcje administracyjne, kwatermi-strzowskie, a niekiedy i inne niezbyt sprecyzowane usługi.

Jego cesarska mość Głód odbył już poprzedniej zimy próbę generalną, posyłając do miejskich parków niezwykle dużą liczbę wiewiórek z lasu, ale dopiero tej jesieni mógł ostatecznie zakończyć realizację swego programu, całymi gromadami wysyłając do lasu mieszkańców miast. Zaczęło się naturalnie od dzieci, bo głód zamierzał apelować do całej ludności. Kazał więc dzieciom zbierać mech, a na ulicach, schodach i w sieniach w całym mieście szeptał tysiącem ust:

— ■ Robotnicy, czy macie mąkę? A może wolicie wymienić waszą tłustą skórę na chleb z mchu?

Kto miał mąkę, miał wszystko — pieniądze w kieszeni i telefon na ścianie, wystarczyło zadzwonić:

— Hallo! Oskar?

— Tak!

— ■ Ach, to ty! Bierzemy dwa worki i jeszcze trzy tego drugiego gatunku! I jeszcze coś! Masz jaki pakowny plecak i myśliwskie buty, ale porządne?

— Tak jest, Urho wyrusza...

Pociągi kursowały normalnie i gdzieś w okolicy Oulu polowanie musiało się udać tej jesieni wyjątkowo. Mówiono, że w Niemczech w dalszym ciągu wyrabiają metkę i hamburski salceson.

U żony Eemelego Makinena mąka się skończyła. W końcu listopada. Zostało jeszcze trochę chleba, cztery kwintale kartofli i trochę śledzi w beczce. Bohaterowie wyruszyli w drogę, a Eemeli i Wille leniuchowali w domu. Sezon budowlany właśnie się zakończył.

Stara zrzędziła i nie dawała im spokoju; powinni się czymś zająć, a w najgorszym razie przynajmniej zniknąć z domu. Eemeli i Wille napchali sobie kieszenie tytoniem i zapalkami i wyruszyli. Od Nasjarvi wiał mroźny wiatr, rychło musieli schronić się na południowym zboczu. I tak doszli do działki Nieminena. Z komina domu unosiły się kłęby dymu, porywane przez wściekłą wichurę, wleczone po ziemi. Makinenowie zupełnie słusznie domyślali się, że

gospodyni coś gotuje i piecze. Zapach był w każdym razie jednoznaczny.

Trochę głupio, że wędrują we dwójkę jak żandarmi. Cóż wielkiego, gdyby jeden z nich samotnie zjawił się tam jako nieproszony gość! Razem zwykle chodzili tylko do roboty, nawet ta wyprawa była swego rodzaju pracą. Wyjaśnienie to dodało im otuchy w tym pieskim życiu bez roboty, a przygaszona męska ambicja zaczęła znów buntować się przeciwko światu. Tylko bez ceregieli! Po prostu wejść i basta!

Iisakki nie wrócił jeszcze z pracy. Potem dowiedzieli się, że i Paavali również. Ciągłe tylko praca i praca! Do diabła z tą pracą!

Że Józefina coś gotuje i pitrasi, nie dało się ukryć. Zapach kaszy wyraźnie unosił się w powietrzu. Usiedli więc i czekali, czasu mieli przecież dosyć. A mężczyźni mieli wkrótce nadejść. Słusznie, przecież Paavali pracował teraz w przędzalni. A Makinenowie? Budowali domy. Wprawdzie były to małe domki, rzadko kiedy większe. Na akord oczywiście, bo i jakże inaczej... W ogóle nie mogli się nadziwić, że Iisakki wciąż łąta coś w fabryce. Taki dobry cieśla! Ma niby za to stałe utrzymanie, choć trochę skromne... Było jednak jeszcze wiele spraw, których nie poruszali.

Od czasu do czasu palili. To znaczy Eemeli starannie nabijał fajkę, a Wille wiele razy obracał w rękach papierośnicę, zanim wyjął z niej niedopałek i zapalił. Józefina podała im popielniczkę. Ale po co popielniczka, kiedy obok stoi doniczka z kwiatem. Eemeli wbił zapalną w ziemię i powiedział:

— To jakieś dziwne ziele, że się go też zima nie ima. Czy to nie malwa?

— Tak! Od was ją dostałam. Hilma chciała wyrzucić to do śmietnika!

— U nas nigdy tak pięknie nie kwitła.

— Do kwiatów miałam zawsze szczęśliwą rękę. Kiedyś... tak, to było w pierwszej połowie lata, znalazłam na zboczach taką niezwykłą gałązkę, którą chyba ktoś musiał zgubić.

Poszłam kilka kroków dalej, ale potem zawróciłam i podniosłam gałązkę. Elina twierdzi, że mam bzika na punkcie kwiatów. Pielęgnacja kwiatów to takie przyjemne zajęcie! Zawsze wiadomo gdzie są, nie tak jak z dziećmi, i nie trzeba się bać co chwila, czy sobie o co nie rozbiją głowy. A czy nie jest tak, że jak kto nie lubi kwiatów, to go i dzieci niewiele obchodzą! Pokażę wam, jaki krzak wyrósł z tamtej gałązki!

Józefina ostrożnie przekręciła klucz w drzwiach i cicho stanęła na progu.

Erkki już nie spał, zabawiał się paluszkami.

— ■ Moje złotko! Znowu długo spało, a nawet nie nasiu-siało do łóżeczka! Elino, idź zobacz, gdzie są Sylvi i Jussi. Niech wracają! Zaraz podam jedzenie! — z sypialni dobiegał głos Józefiny.

Po chwili Elina weszła do kuchni i pewnie odpłynęłaby stamtąd równie uroczyście, gdyby Eemeli nie powiedział donośnym głosem:

— Dzień dobry, Elino!

Wtedy ślicznotka drgnęła, pokraśniała z radości i uśmiechnęła się. Ale czy była to tylko duma, to zależy, jak się na to patrzy.

Z pokoju wytoczył się tymczasem istny pulpecik, i to z takim rozmachem, że zatrzymał się dopiero na środku kuchni.

— Coś ty za jeden? — zapytał Eemeli. — Podejdź bliżej i przywitaj się!

Chłopczyk przyglądał się przez chwilę obu mężczyznom, najpierw jednemu, potem drugiemu.

— Hu! — zawołał w końcu i zrobił kilka niepewnych kroków w stronę Eemelego, nagle zmienił kierunek i chwycił się spódnicy matki.

— Nieładnie nabierać tak wujka Makinena — powiedziała Józefina, biorąc synka na kolana i rozmowa o kwiatach pewnie by się skończyła, gdyby Willi nie spytał żartobliwie:

— Aha, to taką gałązkę znalazła pani przed domem?

— Gdzie tam! Kto by pozwolił czemuś takiemu stoczyć się po zbozcu! — odrzekła Józefina, choć pamiętała, że i to-

się czasem przytrafiało. A potem obejrzeni cały ogród Nieminenów, a Eemeli powiedział:

—■ Hm, śliczne kwiaty. Pewnie będzie zawieja, te chmury nie wróżą nic dobrego.

Za to w cieplej izbie można było siedzieć spokojnie nie bacząc, czy na dworze pada deszcz czy śnieg. Zmierzchało, toteż bezczynne czekanie już nikogo tak bardzo nie raziło.

Z gotowaniem kaszy Józefina nie mogła się uporać. Trzeba było najpierw porządnie wyszorować kocioł, zanim można było wlać do niego wodę.

Tymczasem wrócili z pracy mężczyźni.

Erkki usadowił się na ramionach Paavalego, jak gdyby jechał na koniu, a potem Nieminenowie zabrali się do jedzenia. Makinenów zaś zaproszono do paradowej izby. Drzwi zostały otwarte, tak że można było bez przeszkód rozmawiać. Wreszcie postawiono filiżanki z kawą przed gośćmi.

I wtedy reszta potoczyła się już szybko.

— Czy jest gorąca woda? — zapytał Paavali tonem dorosłego.

— Pamiętasz przecież, Wille, że dziś wieczorem zebranie?

Wille pamiętał doskonale. Przez całe dwa dni i trzy noce pisał wstęp do dyskusji. Dobrze pamiętał o zebraniu. Nawet miał w tej chwili referat w kieszeni. Osiem arkuszy zapisanych po obydwu stronach.

Paavali mówił coś o goleniu, brzytwie i wodzie. Starannie namydlił sobie twarz, uprzednio zmiękczywszy zarost gorącą wodą od ucha do ucha, od nosa aż po grdykę, a gdy ściągał białą pianę, miał brodę czerwoną jak w podobnej sytuacji wszystkie brody na świecie. Kilka razy lekko się zadrapał, ale skrobał dalej, strojąc przed lustrem okropne grymasy.

— Zaszary zarost! — mruczał, jak przystało w takiej sytuacji. — Na jaki temat masz przemawiać?

Wille wyjął z kieszeni papiery i rzekł:

— Mieliliśmy mówić o kapitale, ale dla wprowadzenia do dyskusji obrałem tytuł: „Praca i własność”. Przeczytać ci?

— Czytaj!

Wille zabrał się do czytania. Trwało to mniej więcej pół godziny, aż Józefina połapała się, że lepiej będzie nalać kawę. Wille nie odczuwał pragnienia, czytał bez przerwy. Głos jego wędrował między niebem a ziemią, pomiędzy przeszłymi i przyszłymi wiekami. Zawsze i wszędzie panowały jakieś tam warunki bytu, tak jak i teraz na Pispal-skiej Wyżynie. Tartak parowy na zrębie jest jak klasa robotnicza. Aby funkcjonował, wystarczy tylko woda i drzewo na opał, a na to trzeba było przywlec przez góry całe mnóstwo drzew. Nie obchodzi maszyny, do kogo należą te drzewa, skąd pochodzą i dokąd idą. Klasa robotnicza musi wreszcie pojąć, że las urośnie także bez właściciela, ale bez pracy człowieka nie powstanie ani jedna deska. Umiejętność wykonywania pracy stanowi jedyny kapitał ludu, bo samo istnienie Ziemi było od ludzi niezależne. Parobek, który zje owcę ze stada swego gospodarza, nie jest więc złodziejem, ale za to jest nim sam gospodarz, który eksploatuje siłę roboczą swego głupiego parobka. Bóg świadkiem, że nie gospodarz stworzył owcę, ale wypasły ją dzieci parobka, żona parobka ją uwędziła, a sam parobek w każdym razie zarznął i ściągnął z niej skórę. Czyż ma ją w takim razie zanieść do kuchni gospodarza?

— Czy to jest to, co ludzie nazywają marksizmem? — spytała Józefina.

— O Marksie nic nie wiem. Ale jeżeli ktoś chce zagaić dyskusję, musi ruszyć głową! — odparł Wille i czytał dalej.

Skąd wziął tyle dziwnych, obcych wyrażań, których nie umiał nawet prawidłowo wymówić, zastanawiała się Józefina. No, sam tego w żadnym wypadku nie wymyślił, stwierdziła, kiedy raptem nastąpił długi dosłowny cytat z Biblii. Cytat ten miał dowieść przede wszystkim, że ubodzy są o wiele lepszymi ludźmi niż bogacze, choć nie wiadomo, jak to z tym jest naprawdę, bo zaraz potem Wille zaczął ciskać gromy na Pismo Święte. O tym jednak, co czeka ubogich, nie wspominał ani jednym słowem.

— Ta-ak, tak to jest! — potwierdził Eemeli, kiedy Wille wreszcie skończył. Iisakki milczał, ale pomyślał, że musi to

być jednak poważna sprawa, jeśli chce się komuś gardłować o tym wszystkim.

Paavali nie myślał o tym. Przynagłał tylko Willego, żywiąc błogą nadzieję, że po zebraniu będzie mógł odprowadzić siostrę kolegi.

Stało się jednak inaczej. Kiedy dotarli do lokalu robotniczego, dowiedział się, że Lempi poszła tego wieczoru do miasta. „Hoho!” — pomyślał.

— Do teatru? — zapytał.

— Tak, możliwe, a zresztą nigdy nie wiadomo! Mogła pójść i na potańcówkę! — odparł Wille i poprosił o głos.

Paavali zamilkł. Jeśli go pytano, odpowiadał z trudem. Bardzo wcześniej opuścił salę zebrań, poszedł do gospody. Piwo było słabe, lecz i tak aż za bardzo mu smakowało. Nie był z Lempi umówiony, ale przecież mogła przyjść, jak dawniej. Bo czy inaczej Paavali przychodziłby na te zebrania! Młodzieży chyba nigdzie nie wystarczy sama polityka, ale chyba wszędzie młodzież odczuwa potrzebę zaangażowania się w rzeczy wielkie — rewolucje i ojczyzny, Bóg, wiedza i sztuka stanowią tylko pożądaną iskrę. Einari Nie-mincnów biegał co wieczór po lesie i wszystkich możliwych boiskach, aż wybiegał małżeństwo, a w końcu... właśnie, gdzie on się teraz podziewa?

Paavali nie należał do ludzi godnych pamięci. Opuścił zebranie, na którym nie było miejsca na jego miłość, ani na Lempi. Powąłęsawszy się przez godzinę po gościńcu, wrócił raz jeszcze, aby sprawdzić, czy Lempi się przypadkiem nie zjawiła.

Nie. Nadzieja była daremna, ostatni płomyk zgasł. Dymek jednak pozostał. Teraz Paavali był gotów zrobić wszystko, byle nie wymagało zastanowienia. Cóż prostszego jak rzucić pracę i zaciągnąć się do Czerwonej Gwardii, patrolować ulice miasta i z pałką na ramieniu strzec mostów. Podniecało to, kryło w sobie niebezpieczeństwo! Co by Lempi na to powiedziała! — rozmyślał Paavali. Wprawdzie zaciągnąłby się i tak, ale nie przed Bożym Narodzeniem, a w każdym razie nie o dziesiątej wieczorem.

Postanowienie dojrzało wreszcie. Było ich razem czterech,

bo i Wille do tego należał. Dla bezrobotnych oznaczało to równocześnie zarobek. U Paavalego wynikało to po prostu z głupoty, a może nawet z bohaterstwa. Nad wyraz wzruszająca jest bowiem myśl, że poczciwy Paavali chwycił za pałkę, aby walczyć w obronie Boga, rodziny i ojczyzny, w obronie kultury i pokoju. Wielu nabożeństwom i uroczystościom pokojowym towarzyszyły przecież armatnie salwy. Istnieje także zwyczaj strzelania do celu, do ptaków i wiewiórek. Krótko mówiąc: byczo jest usłyszeć huk własnego strzału. Daje to człowiekowi o wiele większe złudzenie potęgi niż laska i watowane ramiona.

Tylko Józefina nie zachwycała się strzelaniną, jak zresztą i wszelkim innym niepotrzebnym zbytkiem. Własny kąt, gdzie można żyć spokojnie, wystarczałby jej w zupełności.

■—■ Niech sobie polityka staje na głowie, cóż cię to obchodzi! — powiedziała do Paavalego.

— Chyba mnie jednak obchodzi, bo kiedy ona staje na głowie, ja muszę tak stanąć także! — odparł chłopak.

Chyba nie doszłoby wcale do rewolucji, gdyby większą uwagę przykładano do słów takich Józefin. Ale swoją drogą, skąd baby mogły się znać na sprawach ruchu robotniczego!

Pewnego poranka przed bramą przędzalni pojawiła się podwójna warta — dwóch robotników z karabinami na ramieniu, lisakki przystanął, uczynił to odruchowo. A więc dojdzie jednak do wojny. Nie upoważnionym wstęp do fabryki wzbroniony.

No tak, niejedno w niej wymagałoby poprawy, ale właściwie jego zdaniem wszystko mogłoby zostać po dawnemu. Dobrze, że przynajmniej jakiś czas był spokój, powtarzał sobie w duchu lisakki zawracając do domu. Jak wstępowało się do Czerwonej Gwardii? No, zwyczajnie, owczym pędem, jak i wszędzie!

— Nie można powstrzymać biegu przyszłości.

Wkrótce nadeszła broń, „charabiny” jak wymawiał Joo-seppi. Ten sam zacny człowiek wiedział również, że w południowym porcie Helsinek czerwoni przechwycili transport niemieckiej broni.

— Tak, ten karabin też wygląda na niemiecki! — stwierdził Eemeli, otrzymawszy nowe narzędzie śmierci, japoński sztucer.

Strzelba Iisakiego pochodziła z Ameryki, był to karabinek kawaleryjski, ładowany od przodu, piechur miałby z nim wiele kłopotu, zwłaszcza gdyby musiał leżeć na śniegu, jak się to miało przydarzyć Iisakiemu. Paavali miał rosyjski karabin, a takie już widziano w Pispali. Broni nie było zbyt wiele. Czy przypadkiem nie wpadła w ręce tej drugiej gwardii, białej, która stała w pogotowiu na zachodnim wybrzeżu? W każdym razie i biali walczyli najprzeróżniejszą, przeważnie zagraniczną bronią, w fińskiej wojnie domowej nie użyto ani jednego fińskiego karabinu.

Karabin jest niebezpiecznym przedmiotem, niezależnie od tego, skąd pochodzi. W czasie nauki strzelania pod kierunkiem Oskara Peltonena było niemało huków i dymu.

Trzy dziury dostały się pułapowi, a dziesięć pozostałych po długim szukaniu można było odnaleźć w deskach podłogi. Że też taki mały kawałek ołowiu może mieć tyle siły! No, widzisz, wszystko zależy od pędu! Właśnie! Taka kuleczka potrafi przebić nawet pień grubego drzewa, oczywiście, jeśli nie chybisz, tak jak Jooseppi. Ale w tej części lasu rosły jeszcze inne drzewa i znaki na korze jednego z nich Jooseppi uznał za ślad swojej kuli. Jak drzewo, to drzewo!

— Pierwszorzędny strzał — triumfował Jooseppi. — My ślicie może, że te białe psy wystawią swoje reakcyjne pyski prosto pod nasze karabiny?

Jooseppi był przykładowym żołnierzem. Palec wskazujący prawej ręki miał zgięty już od urodzenia, a przekrwione oczy zdawały się nieustannie patrzeć na muszkę.

Potem poszli nad jezioro Pyhajarvi. W połowie drogi między wyspą a brzegiem ustawili kilka tarcz i zaczęło się strzelanie.

Za trzecim i czwartym razem Iisakki trafił w tarczę i od tego czasu kazano mu sprawdzać celność strzałów. Nie wyczyniał żadnych sztuczek, mierzył zwyczajnie. Nie było trudno się tego riauczyć, bo przecież często w ciągu swoje-

go życia sprawdzał, która deska jest prosta, a która krzywa. Najlepiej służyło tu gołe oko, wyborowa lornetka cieśli.

W tej samej kompanii byli najróżniejsi ludzie, od kretyków począwszy, do urodzonych strzelców włącznie.

Venneri Saarinen odsłużył trzy lata w carskiej armii i dostał nawet nagrodę w rublach, za strzelanie, jak opowiadał. Z pewnością zamieniłby w sito tarczę, gdyby nie to, że zostawił w domu swoje lepsze okulary i gdyby tarcza nie była tego koloru, co śnieg. Tego od biedy można było wysłuchać, zdarzały się głupsze tłumaczenia. Venneri także gazetę czytał po swojemu, kiedyś na przykład na widok zdjęcia parowca na jeziorze Nasijarvi stwierdził:

— Znow zatonął okręt na Atlantyku!

Dowódca kompanii nie mógł oczywiście zmarnować całego dnia z powodu okularów jednego czerwogwardzi-sty. Niedowidzi, no to niedowidzi, choć może i był kiedyś strzelcem wyborowym.

— Następny! — oznajmił Oskari.

— Teraz ja — spieszył się Paavali. Z wolnej ręki trafił dwa razy w sam środek tarczy. To były strzały! Czy aby wszyscy widzieli?

— Jak ten zacznie kropić, to biali będą się kłaść całymi szeregami — chwalił go Wille. — Nie nadążą ich grzebać! Łopat im zabraknie!

W czym rękę mogła się teraz znajdować łopata, którą pewnego dnia na błoniach Kalevy Paavali będzie razem z innymi kopać długą masową mogiłę, w której spoczną również zwłoki Willego Makinena? A i z umiejętnościami Paa-valego też nie było wcale tak dobrze, bo tarcza była już przed tym podziurawiona, a do trzeciego strzału jakoś nigdy nie doszło. A co z Jooseppim?

— Cholerne lumbago — mruknął, ale potem zdołał jakoś położyć się obok swoich towarzyszy. Spojrzał w kierunku jeziora i nacisnął cyngiel. Po drugiej stronie Verali słychać było kłaśnięcie o skałę, Iisakki zameldował:

— Pudło!

Ale Jooseppi miał jeszcze coś w zanadrzu. Majstrował

przez chwilę przy zamku i pociągnął za cyngiel. Nie wypaliło.

— Oskar, do diabła z takim karabinem!

Oskar podszedł, żeby mu pomóc.

— No. Z nabojem jest chyba coś nie w porządku. Nie wystrzelił nawet za drugim razem i to ma być amerykański karabin! Ale spróbuj jeszcze raz, wreszcie musi wywalić.

Jooseppi spróbował. No, teraz! Strzelba odbiła aż ramię zapiekło.

Tylko gdzie się nagle podział ten przy tarczy? Oskari złożył ręce w trąbkę i krzyknął:

— Co robisz, człowieku, strzelanie trwa dalej! Iisakki też potrafił krzyknąć, kiedy było potrzeba.

— A strzelajcie sobie, ale nie do mojej ręki!

O co mu chodzi? Psiakrew, rzeczywiście, w rękawie jego najlepszego palta była dziura. A co z ręką? Widać krew!

— Zaserańcy! Nie umiecie celować? — wrzeszczał Jooseppi, mrugając swymi nabiegłymi krwią oczkami.

A więc Czerwona Gwardia z Pispali miała pierwszego rannego. Był to wprawdzie początek nader skromny: powierzchowny postrzał w mięsień lewej ręki, ale początek jest zawsze najtrudniejszy.

Na sanitariusza kompanii wyznaczono Armasa Lindąi-sta, nie dlatego, że jego ojciec był rzeźnikiem, ale że taki mały, zwinny, wprost stworzony na gońca. W mig popędził do najbliższej chłopskiej chałupy po opatrunek.

Iisakki jednak ani myślał czekać i krwawić na lodzie jeziora, przycisnął mocno rękaw do rany i poszedł do domu.

Na szczęście Józefina gdzieś wyszła. Elina zachowała spokój. W kotle była gorąca woda, toteż niezwłocznie obmyła ranę męczennika. Dla dziewczyny była to czynność niemal religijna. Nawet nie zemdląła, bo wprawdzie rana nie bardzo krwawiła, ale w każdym razie dosyć, aby wywołać ekstazę. Elina przejęła się losem ojca więcej, niż pozwalało jej na to własne zdrowie.

Chciała już podrzeć starą koszulę na opatrunek, gdy właśnie nadeszła* Lempi Makinen, a z nią oczywiście Paavali.

Lempi należała do Czerwonego Krzyża Czerwonej Gwardii, do oddziału Lindąuista. Miała z sobą takie ilości jodyny i bandaży, że mogłaby wysmarować całego Iisakkiego i o-winać od stóp do głów. Lempi wydawała się mieć tak samo złote ręce jak Paavali. Żoną jego wprawdzie nie zostanie, ale jej pierwsza wizyta wywarła na domownikach jak najkorzystniejsze wrażenie. Najdziwniejsze, że pozyskała nawet sympatię Eliny. Lempi umiała grać na gitarze i robić koronki, niemal w każdym wzorze. Dziewczęta zaprzyjaźniły się. To rana Iisakkiego sprawiła ten cud, była jak relikwia, której obecność skłania do żarliwej modlitwy.

W końcu i Elina wstąpiła do Czerwonego Krzyża. Dla niej był to przede wszystkim krzyż, a że był czerwony, to już nie jej wina. Być może i Józefina wstąpiłaby, gdyby nie miała tyle roboty w domu, pięć głodnych gęb, nie licząc dorosłych.

Pispalska Czerwona Gwardia była gotowa do boju, wyprawa krzyżowa mogła się już zacząć.

* * *

Oddział Oskarego jadał i odpoczywał zwykle w sali zebrania ochotniczej straży pożarnej. Stara Jooseppiego gotowała, jej mąż stał się z tej racji kimś w rodzaju naczelnego intendenta. Poza tym umiał doskonale wyczuć panujące aktualnie nastroje i odpowiednio do nich zmieniał zachowanie. Nigdy nie dochodziło do zatargu między nim a otoczeniem, choć w swoich poglądach bywał najczęściej odosobniony. Nastroje gromady ludzi przypominają arkusz zapisany najprzeróżniejszymi charakterami pisma. Jeden pisze po swojemu A, drugi J, i chcąc wydać sąd o całości, lepiej nie umieć czytać. Sam Jooseppi był niewinnym zerem, ale czekajcie, aż dopisze się jeszcze kilka zer, a z przodu głupią jedynekę, wtedy będzie to od razu wielka liczba, i to jaka! Sytuacja tej jedynekę była oczywiście godna pożałowania, bo łańcuszek zer mógł ją lada chwila

iniweczyć! Bowiem w aspekcie liczb okrągłych wszystkie były właściwie tylko poronionymi zerami.

Ulubionym miejscem Jooseppiego w świetlicy był stojący pod piecem fotel na biegunach. Tu można było spokojnie pogawędzić, dorzucając szczap do ognia lub otwierając dymnik w zależności od sytuacji.

Przygotowując kwatery dla sztabu pułku, znalazł na strychu jakiegoś dworu zupełnie znośnie prezentujący się fotel na biegunach, wprawdzie strasznie zakurzony, ale Joo-neppi bynajmniej się tym nie zraził. Zdjął z wieszaka karakułową czapkę, którą najpewniej zostawił tam jakiś ławnik, wytarł nią kurz, a potem wsadził ją Willemu na głowę.

— Weź sobie tę czapkę, zawsze to niby futrzana — po wiedział.

I to podobno nadzwyczajnie oburzyło jaśnie panów, że młody Makinen śmiał nosić czapkę karakułową. Wspominano o tym jeszcze dość długo, nawet gdy Wille dawno już padł od kuli.

Jooseppi perorował dalej.

— Jeżeli ma wreszcie dojść do strzelaniny, to uważać, żeby nam charabin nie zardzewiał! — powiedział kiedyś.

Na szczęście miano to na uwadze. A kiedy nadeszła wieść o konieczności zasilenia oddziałów na froncie, kompania Oskarego okazała się w pełni gotowa do boju. Wtedy tylko prowiant do torby, do pociągu i odjazd! Całą paką! Komu tam w głowie strach!

Ale przed tym trzeba było jeszcze wypłoszyć z pieleszy kilku ludzi z innej kompanii, żeby strzegli Pispalskiej Góry, a przynajmniej upilnowali ognia w świetlicy. Jooseppi postanowił się tym zająć. Przez całe trzy godziny kręcił się po okolicy, po drodze napił się jeszcze w dwóch domach kawy, aż wreszcie powrócił do remizy.

— Świntuchy! Tak odjechać bez pożegnania! — przekli nał, ale radość jego wyraźnie zmaląła, gdy zauważył, że ostatni eszelon kompanii dopiero szykuje się do odmarszu. „Mogłem się je%zzcze trochę poobijać!” O strzelaninie i zardzewiałym charabinie nie wspominał już ani słówkiem,

w milczeniu zarzucił karabin na ramię i podążył na front.

Ale bądź co bądź, skoro już musieli wyruszyć, to przynajmniej własnym pociągiem. Nie zabrakło również Iisak-kiego i Paavalego, owszem, uczestniczyli w wyprawie, poza tym nie wyróżniali się niczym. Stukały koła, pociąg toczył się, ludzie siedzieli w milczeniu.

Raptem pociąg przystanął. Po co? Diabli wiedzą, tylko że od nich nikt się tego nie dowie. Po chwili pociąg ruszył dalej, lecz za moment znów się zatrzymał, tym razem na dłużej.

Za Vainio znajdował się podobno wielki folwark. Oskari posłał tam dwa plutony po prowiant. Pozostali zabrali się do swoich zapasów. Wprawdzie od samego Tampere nie robili nic innego, ale pojeść trochę nigdy nie zaszkodzi.

Po posiłku rozprostowali kości, ustawili się wzdłuż pociągu pozostawiając w śniegu rząd pożółkłych dziurek.

Powietrze było mroźne. Wiatr zawodził jak chory wilk, a wśród brudnych strzępów chmur wędrowało coś w rodzaju księżycy. Świat wyglądał bardzo nieprzyjaźnie. Ile kilometrów mogło być stąd do Pispali?

Cicho! Co to? Czy wszyscy słyszeli? To brzmiało całkiem inaczej niż szum sosen lub chrzęst suchych gałęzi — ■ jakiś ostry złowieszczy odgłos!

— Tak jest, towarzysze! Jesteśmy na linii frontu! — oświadczył Eemeli. — Uważajcie, żebyście nie padli, abyście nie upadli — poprawił się natychmiast.

Tymczasem cała kompania leżała przy torach na brzuchach i obserwowała widoczny między kołami pociągu przeciwległy skraj lasu. Kilku zdążyło zabrać z wagonu karabiny — pierwsze lepsze, jakie wpadły im do ręki, choć nie wszyscy z nich mieli przy sobie naboje. Wreszcie nawet rosyjskiemu cekaemiście zdołano wytłumaczyć, o co chodzi. Pośpiesznie ustawiono ciężki karabin maszynowy, aż tu nagle znów ten sam łomot! Z tej samej strony.

— Prędzej, człowieku, jasny gwint! Strzelaj, Rusku! Wał w środek! — syknął Jooseppi, a brodą ugrzązł w śniegu.

— Hasło! — wrzasnął Wille.

— A więc to tak! Nastawili uszu, aby usłyszeć, jakie przekleństwo wyrzuci z siebie nadchodzący upiór.

Nagle usłyszeli coś tuż za swoimi plecami.

— Psiachkrew, otoczyli nas, towarzysze! — lamentował Jooseppi kryjąc się w rowie.

Cekaemista roześmiał się.

— Co taki Rusech może wiedzieć o wyższej sztuce wojennej — syknął Jooseppi.

Na przełaj przez pole wracał patrol z wyprawy po prowiant! Szkoda zachodu! Na podłodze zastali walające się resztki mąki i chleba, ale na coś takiego nikt nie miał apetytu. Był to dopiero początek rewolucji.

Pluton, do którego należał Wille, miał za zadanie przeczesać las. Prócz śniegu i drzew nie znaleźli niczego szczególnego, ale przynajmniej się trochę rozgrzali.

Znów wsiedli do wagonów i pociąg ruszył dalej.

W ruch poszły również języki. Venneri opowiadał jak się mierzy z okna do bawołu. Był kiedyś w Ameryce, przez pięć lat układał tory kolejowe na piaskach prerii, przemierzył tysiące mil z zachodu na wschód, poznał tam starą Chinkę i dwudziestu fińskich drwali. A miasta z drapaczami chmur? Jakie tam miasta? Takich miast w Ameryce w ogóle nie ma, tylko prerie i tory kolejowe. Venneri wie o tym najlepiej.

A z białymi psami to zupełnie co innego, to nie stado bawołów, na nie trzeba nacierać pieszo, a najlepiej od dołu, leżąc na brzuchu.

Ostatnia miejscowość, do której mogli jeszcze dojechać pociągiem, nazywała się chyba Vilppula, w każdym razie jakoś podobnie. Słyszeli już o tym w Pispali i dlatego orientowali się w okolicy. Dalej ruszyli na piechotę. Szli gęsiego ścieżką wydeptaną końskimi podkowami. Po prawej stronie sunęły ich cienie z przewieszonymi przez plecy karabinami. A dookoła ośnieżone drzewa i pokryte śniegiem pola, nic ciekawego. Iisakki utkwiał wzrok w skórzanych butach Paavalego, i dziwił się, dlaczego chłopiec nie włożył filcowych tak jak on. Co za bezmyślność! Jeszcze podmraża sobie stopy! Co za głupiec! Żeby nie dopilnować takiej ważnej

sprawy! A przecież rano miał na nogach filcowe buty! Dlaczego zmienił je na skórzane? Myśl ta nie dawała mu spokoju.

— Co się stało z twoimi filcowymi butami? — nie wytrzymał w końcu Iisakki. I powtórzył raz jeszcze: — Gdzie podziałeś swoje filcowe buty?

— Co takiego? Mówiłeś co?

— Pytam tylko, dlaczego nie masz filcowych butów.

— Przemokły... Woda... — brzmiała odpowiedź.

No tak, woda jest mokra, co tu dużo gadać. A droga jeszcze daleka.

W miejscu, gdzie ścieżka zaczęła prowadzić stromo pod górę, wszyscy jak jeden mąż dali susa do przydrożnego rowu. Dlaczego? Za przykładem tych z przodu.

Z naprzeciwka zbliżał się koń, który ciągnął armatę lub raczej armata popychała konia. Czyżby to miało znaczyć, że na froncie jest za wiele armat, a może za mało? Ta druga ewentualność nie była zbyt pocieszająca.

Na takie myśli nie ma lekarstwa, zwłaszcza że tuż za armatą nadjechał pokryty choiną wóz, z którego zwisała ręka jakiegoś nieboszczyka.

Wkrótce potem Jooseppi usiadł na skraju drogi, by ściągnąć uwierający but. Bryła zbitego śniegu wcisnęła mu się do cholewy. Kompania, nie oglądając się, maszerowała dalej. Jooseppi nie należał do tych, na których armia gotowa poczekać, gonić, czołgać się albo ginąć. Po kilku minutach przystanął ktoś jeszcze, a potem i inni. Na każdym zakręcie ktoś przystawał, aby coś poprawić w swoim rynsztunku.

Przy jakiejś między Oskari zarządził postój. Kolumna tak się rozciągnęła, że dowódca poczuł się do obowiązku zebrać swych podkomendnych i zbadać, co tu jest nie w porządku: kierunek czy tempo marszu.

— Towarzysze, co u diabła! A nuże! Otwórzcie gęby! — krzyknął. — Maszerujemy czy nie?

— Przestań się drzeć! — rozległy się głosy z tyłu kolumny.

Ruszyli dalej. Ale nie zaszli daleko, gdy dogonił ich jakiś jeździec.

— Czy to kompania z Pispali? — zapytał.

— Tak jest.

— Możecie wracać tam, skądście przyszli. Kto tu jest dowódcą?

Wypada go też powiadomić.

Eemeli wskazał fajką w kierunku marszu:

— O, właśnie idzie. Oskari Peltonen!

Jeździec filcowymi butami zabębnił w koński brzuch i świńskim truchtem pogonił na czoło oddziału:

— Kolumna w tył zwrot! Kierunek Pispala naprzód marsz! — zakomenderował Oskari.

Dwudziestu czterech mężczyzn zrobiło w tył zwrot, reszta i tak znajdowała się już w drodze powrotnej. Złany potem Oskari dotarł do wagonu kolejowego, bynajmniej nie w czołówce.

Własny kąt to bądź co bądź chwalebna rzecz! Wielkie szczęście, że znużony oddział okazał się na froncie niepotrzebny! Właściwie można to było z góry przewidzieć, przeciętna wieku w oddziale płatała armii tęgiego figla, bo czego jedni mieli za wiele, dodawała tym, którym brakowało. Toteż nikt się specjalnie nie zmartwił na wieść o powrocie, nawet wytrwały Jooseppi.

Cholerne chapitalisty, zapłaćcie nam za to!

Od paru dni byli już z powrotem w Pispali, kiedy zaproponowano Iisakkiemu funkcję pisarza sztabowego. Jest mnóstwo papierkowej roboty z przeróżnymi zezwoleniami i ogłaszaniem zakazów. Poza tym trzeba było mieć na oku kilku tak zwanych lepszych gości, a ktoś musiał też objąć komendę nad kobietami z wioski, bo przychodziły bez wezwania i tamowały ruch na korytarzach, wprost nie można się było precyzyjnie do dyżurek sztabu.

— W sam raz zajęcie dla starszego mężczyzny — mówiono.

— Zajmować się babami?

— Właśnie. Ustawisz je w szeregu, dasz każdej ścierkę do ręki, to się od razu uspokoją.

— Jeszcze czego — odfurknął Iisakki i na tym się skończyło.

Przez całą drogę do remizy Iisakki namyślał się. Wreszcie powziął decyzję.

— Paavali, idź do kancelarii sztabu, mają tam jakąś robotę. Powiedz im, że przyjdę, jak tylko będę się mógł stąd wyrwać.

Chłopiec poszedł, ojciec jakoś nigdy nie mógł znaleźć na to czasu.

Iisakki wziął udział w nowej wyprawie. Nie wiadomo skąd wzięła się pogłoska, że po drugiej stronie jeziora grasuje banda białych! Że muszą dostać nauczkę, nie ulegało wątpliwości. Kompania Oskarego nie miała tymczasem specjalnych poleceń, a więc do dzieła.

Przeprawili się przez zamrożone jezioro, okazało się wtedy, że w Teisko nikt nic o białych nie słyszał. Aha, nikt nie słyszał! Już samo to było podejrzane. Nie wykluczone, że sam herszt białych oprawców kłamie im w żywe oczy! Postanowili zostać na noc, by tym dokładniej rozpatrzeć sprawę w czasie dnia. Zresztą nikomu się nie chciało ciemną nocą po omacku wracać do domu.

Jooseppi miał głowę nie od parady, od razu zmiarkował, że zdobyć miejsce na łóżku nie będzie proste, toteż od razu padł jak kłoda na łóżko, inni położyli się na ławkach, stołach i na podłodze, a kilku musiało nawet pójść do sąsiedniego domu. Bynajmniej nie zapomniano o posiłku. Pięciu barczystych czerwonogwardzistów przyniosło z piwnicy kartofle i wodę ze studni, żeby służąca nie musiała się zbytnio trudnić.

Tymczasem Jooseppi przeciągnął się i usiadł na krawędzi łóżka, chciał sprawdzić, czy broń w porządku. Wyjął zamek i zerknął przez otwór lufy.

— Niech to wszyscy diabli, skrzywione w lewo!

— No to co, tym lepiej dla ciebie, będziesz mógł strzelać zza węgła! Nie wszystkie strzelby niosą na lewo, są takie, co niosą w prawo, a jeszcze inne ściągają w górę lub w dół, tak że można trafić trzech ludzi za jednym zamachem.

— Tylko bez błagi! Jak by miało być tak jak mówisz, to człek gotów jeszcze trafić we własny tyłek!

— Albo w rękę kolegi! Przecież na lewo stał wtedy przy tobie ten Nieminen, może nie?

Co za złośliwość. I to kto się ośmielił? Któżby inny jak nie sam dowódca kompanii! Srogo za to kiedyś zapłaci, bo Jooseppi nie zapomina podobnych rzeczy tak szybko. Takie coś, to jak odbita kula, której kierunku nikt nie potrafi przewidzieć. Tego wieczora długo jeszcze poszeptowano o Jooseppim, a i później będzie można usłyszeć o nim niejedno.

Nie wybiła jeszcze szósta, a Jooseppi był już na nogach. Z zapalkami w garści, omijając śpiących na podłodze, wyszedł przed dom. Po chwili drzwi otworzyły się po raz drugi i ktoś zjawił się na schodkach, ale w mundurze i z karabinem.

— Dokąd idziesz?

— Ja? Sprawdzalem, czy tam wewnątrz jest wszystko w porządku, jestem przecież na warcie! — wyjaśnił Ven-neri.

Najpilniejszą potrzebę Jooseppi zdołał załatwić bez przeszkód i sposobił się do kolejnej czynności. Ale najpierw wypadło jakoś spławić Venneriego.

— Prześpij się trochę! Ja za ciebie popatrzę, co się na świecie dzieje, wyspałem się już dostatecznie.

Venneri odszedł. I tak do tej pory siedział w domu, a nie na dworze. Jooseppi skręcił sobie papierosa z machorki i z dymiącą żagwią w kąciu ust poszedł do sąsiedniej zagrody.

Pół godziny później Lisakkiego, podobnie zresztą jak śpiących w izbie, poderwał piekielny hałas, jak to się zwykle zdarza, gdy gromada wypoczętych mężczyzn otrzepuje sobie buty ze śniegu na drewnianej podłodze.

— Jest tam kto? Pewnie same śpiochy!

Z pewnością był to głos Roopego Korpeli. Oskari podniósł głowę i spojrzał najpierw na przybysza, a potem na zegarek.

— ■ Strasznie ci się śpieszy, jak widać, a tu jeszcze ciemno choć oko wykol! — mruknął. Miał do wyboru: albo się jeTszcze zdrzemnąć, albo rozruszać się na dobre i wziąć całą sprawę energicznie w ręce. Kto chce dowodzić, ten musi na

każdym kroku umieć zadokumentować swoją wielkość, i to oczywiście nie w takiej pozie, jaką w tej chwili demonstrował Oskari. Jego widok wzbudzał litość, zwłaszcza gdy patrzyło się na niego z góry, jak to czyniła obecnie większość jego podkomendnych. Włosy jak kopa słomy, powieki za-puchnięte, kąćki ust smętnie opuszczone w dół, pomięte ubranie.

— Poleż sobie jeszcze trochę, Oskari! — rzekł JooseppL

— A ty, Roope, przejmij komendę, bo Oskari jakoś nie potrafi rozruszać tej bandy!

Posypały się dalsze docinki i tak zmiana dowództwa stała się faktem, choć Oskarego wcale to nie ucieszyło. Ale też nie okazywał przygnębienia. Wbrew oczekiwaniom zachował spokój, jakby czuł się wywyższony ponad przyziemne spory. Dawno już utracił wiarę w sukces rewolucji, wszelkie porażki przekonywały go jedynie o własnej daleko-wzroczności.

Sam fakt, że potrafił to przewidzieć, schlebiał jego ambicji znacznie bardziej niż materialne korzyści, stanowisko czy nawet sława.

Z nieprzyjacielem da sobie jakoś radę, ale z towarzyszami i diabeł nie dojdzie do ładu. W końcu i tak dojdzie do tego, że jedna i ta sama gwardia podzieli triumf i klęskę, a burzuje śmiać się będą w kułak.

Oskari zwierzył się z tego Iisakkiemu wkrótce po wyprawie do Vilppula. Po co? I dlaczego właśnie Iisakkiemu? Bo i faktycznie! Dlaczego do jednego człowieka mówi to, co naprawdę sam myśli, a do innego tak, jak przypuszcza, że inni myślą? Jak to się dzieje, że dzieci znają swoich rodziców, uczniowie nauczycieli, urzędnicy szefa, a żołnierze dowódcę znacznie lepiej niż tamci ich? Podobnie zresztą i żony swoich mężów, jak wiadomo. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że Diogenes miał o wiele większy pożytek ze swojej beczki niż z latarki.

Nie inaczej rzecz się miała z Iisakkim. Gdyby od niego bił ów wielki blask, do którego ludziom tak tęskno pośród ciemności, nigdy nie dojrzałby cieni swych bliźnich. Być może, Iisakkiego zdziwiłaby bohaterska obojętność Oskare-

go, być może, popadłby w zachwyty nad stałością jego przekonań, gdyby nie to, że doskonale zdawał sobie sprawę z powodów, dla których Oskari natychmiast nie wrócił do Pispali, ale chętnie podporządkował się rozkazom swego dowódcy. Pozostał po prostu, żeby przekonać się na własne oczy, że wszystko rozwija się tak, jak to on, Oskari Peltonen, w skrytości ducha już dawno przewidział.

A dlaczego Iisakki uczestniczył w wyprawie? Nie zastanawiał się nad tym. A gdyby przyjrzeć się temu z bliska, okazałoby się, że i nim kierowały podobne pobudki. Ale można było doszukać się w nich czegoś więcej! Czego? Wytrwałości i odwagi czy też głupoty i strachu? Czy to miało jakikolwiek związek z prawością, braterstwem i człowieczeństwem? Czyż nie dreptał wraz z tymi, którzy walczyli w imię słusznej sprawy? Więcej chleba dla dzieci: dla Eina-rego, Kallego, Sylvi i Jussi — dla krzywonogiego małego Jussi i jeszcze mniejszego Errkiego. Precz z niesprawiedliwością! Śmierć ciemiężcom! Koniec z białymi! — Tak myślał Iisakki — diabli nadali, z karabinem na ramieniu! Czy miał rację? Bo cóż to właściwie takiego: racja?

— ...Bóg mi świadkiem, te białe dranie jeszcze popadną w nasze ręce, choćbyśmy mieli ich gonić aż do Vaasy! — zaklinał się Roope w drodze do sąsiedniej zagrody na posiłek.

Usłyszał to gospodarz, a pamięć miał doskonałą, może nie specjalnie ściśłą, ale żyjącą tym dłużej. Opowiadał o tym później w sposób nad wyraz przekonujący, jakie to groźby ciskał dowódca pewnej kompanii. W chwili olśnienia przypomniał sobie nawet jego nazwisko, jakkolwiek dopiero przy wydatnej pomocy ławników. Raz jeszcze prawu musiało stać się zadość: „Pod mur”! Ale kto? Naturalnie winowajca, dowódca kompanii, Oskari Peltonen! I jeszcze kilku innych. Złudne jest wojenne szczęście, a prawo to hazardowa gra.

Lecz Roope nie należał do tych, którzy tak łatwo dają za wygraną. Jego brat z wielkim trudem przebrnął przez maturę, a na starość nawet dosłużył się rangi majora: z poziomu bezrobotnego obiboka wywindować się do pozycji

białogwardyjskiego majora — to przecież nie byle co? Wiwat nasi dzielni chłopcy na lądzie i morzu, i w powietrzu! Hurra! Hurra! Hurra!

Roope Korpela powinien być się właściwie narodzić trzysta lat wcześniej, w Hiszpanii czy Portugalii. Zresztą, kto go tam wie, może naprawdę tak było! Przy stole Oskari opowiadał historię pochodzenia kartofli, przy okazji niby od niechcenia rzucił pytanie:

— Czy wiecie, co znaczy po hiszpańsku „korpela”?

— Co?

— To samo co Pizarro.

— Co takiego?

— Pizarro! — powtórzył Oskari, a zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby równocześnie kichnął i splunął. Iisakkiemu opowiadał później, że Pizarro zburzył Peru, pierwsze i być może ostatnie komunistyczne państwo na Ziemi. Tak właśnie powiedział, a jak wiadomo, był socjaldemokratą.

Ale gdzie się podział Wille Makinen? Gdzie, do pioruna, zawieruszył się jego pluton? Przez cały dzień nigdzie się nie pokazali. Ostatni raz widziano ich poprzedniego wieczora, ale potem zginęli jak kamień w wodę.

— Poszli do Teisko kraść czekoladę, a jeśli dobrze pamięć tam, wypieka się tam również olbrzymie obwarzanki. Moż na ich sprowadzić z powrotem, gdyby tylko było wiadomo, gdzie ich szukać! Należałoby pomyśleć, kto ma się wybrać w drogę. Ochotników jakoś nie widać. Każdy wolał sobie napchać brzuch i poleżeć na łóżku jak kłoda. Taki już zwyczaj na tym świecie. Łatwiej o gromady niż o pojedynczego ochotnika.

Ale Roope nie po to zawędrował w najdalszy kąt powiatu Teisko, żeby się wylegiwać. Zerwał się z miejsca, stanął na środku pokoju i krzyknął:

— Idziemy!

I ruszyli dalej na północ, aż w jakimś folwarku odnaleziono Jooseppiego, a w innym znów Eenoka, jako że oddział Willego porozłaził się na wszystkie strony, i w ten sposób zebrano całe towarzystwo.

W Ruovesi pozostali na noc.

Zatrzymali się w wielkim majątku. Gdyby wszędzie traktowano fernali tak jak tu, obyłoby się bez karabinów, o rewolucji nie byłoby nawet mowy.

— Tak, towarzysze, stan średni jest najgorszy! Zawsze tak mówiłem! — stwierdził Eemeli. — Bo kto jest naprawdę wilkiem, ten nie ma potrzeby wyć!

Pan domu, czyli po prostu „pan”, miał co najmniej ze sześćdziesiąt lat, a był zbudowany jak tur. Roope Korpela był wprawdzie jeszcze większy od niego i najwidoczniej przekraczał dopuszczalne rozmiary człowieka prostego stanu. Jemu samemu wydawało się to dość dziwne, a nawet trapiło go, że rozmawiając z „panem” musiał nań patrzeć z góry. Może zawieszono mu głowę za wysoko? Bo czyżby kołysząc się w przestworzach nie podlegała przez to ludzkiej ocenie? Wydawało się, że jeszcze moment, a ktoś wybuchnie śmiechem na ten widok. Roope usiadł na wszelki wypadek, aby uniknąć żalostnej pozy.

— U nas nie ma zwyczaju giąć się w pas! — powiedział.

— Ale przekąski chyba nie odmówicie, trzeba najpierw zaspokoić głód? — zaproponował gościnnie gospodarz.

— Owszem, przekąsić nie zawadzi, a nawet bardzo by się przydało. Serdeczne dzięki. Nie ma rady na echo, jak się krzyczy w lesie. Ostatecznie trzeba się umieć zachować w przyzwoitym domu.

— Jeżeli ktoś z waszych został w oficynie, to zawołajcie go, niech przyjdzie trochę przekąsić!

— Tam już nikogo nie ma.

— Dlaczego nie mówisz nic o kompanii Jussego, myślisz, że oni nie są głodni? — Oskari szeptał tak głośno, że wprost nie można było go nie usłyszeć.

Bo czy mógłby mu ktoś odpowiedzieć, gdyby go nie usłyszał? A w tym wypadku odpowiedział gospodarz:

— No cóż! Nawet bogaty folwark nie da rady wyżywić całej armii! Niech każdy jada tam, gdzie mieszka. Może na palimy w piecach, będzie cieplej spać! Co wy na to? Drewnia jest tam, na końcu podwórza, możecie wziąć stam-

»

— tąd trochę szczap! A kobietom dam konia, żeby przywiozły słomy, a może nawet dwa konie, bo moje sanki są trochę za małe.

— Mogę się zająć drugim koniem — zaproponował Oskari.

Gospodarza wcale to nie speszyło.

— No, Mai ja, co ty na to, będziesz miała towarzystwo!

— Nie, z chłopami nie chotłzę po siano, w dodatku dc; ciemnej stodoły!

— Patrzcie no! Takie są teraz nasze dziewczęta! Nie znają się na urokach życia!

Słoma była na dobrą sprawę całkiem zbyteczna, ale Czerwona Gwardia została koniec końców po to utworzona, żeby bronić praw człowieka. Znacznie wcześniej, a w każdym razie na tyle wcześnie, że aż niedostrzegalnie skromność przestała być szczerą.

— Bzdura, psiakrew, są i tacy na tym świecie, którzy śpią na gołych deskach!

Jooseppi nie miał wielkich wymagań, nie pragnął ani bożego zmiłowania, ani wiekuistego żywota — na razie gotów był zadowolić się wiązką słomy.

Winni byli wdzięczność gospodarzowi. Dostali dach nad głową i wikt, nie mieli potrzeby niczego rabować.

Mimo to Oskari nie był zadowolony. Okazywał podejrzliwość i wyrażał swoje obawy tak otwarcie, jak czyni to tylko człowiek odważny. Dobrowolnie, choć właściwie pod najsurowszym nakazem wewnętrznego głosu, aż do wpół do drugiej wytrwał na warcie. Obchodził zabudowania gospodarcze, pokręcił się po gumnie, zajrzał do obory i myszkował po najróżniejszych zakamarkach, aż skończyły mu się zapalki. Właściwie pozostała mu jeszcze jedna, ale tę zachował na stosowniejszą okazję. Nagle skądś buchnęło na niego ciepło: stajnia! Jakże mógł o niej zapomnieć! Choć właściwie nic w tym dziwnego. Trzeba wstąpić do stajni! Powolutku podszedł do wrót, otworzył je, wszedł po omacku, przystanął, wyjął zapalkę, zapalił... i już wiedział od razu, w czym rzecz: w stajni stał zaledwie jeden źrebak.

W takim razie ktoś musi być w drodze z końmi! Dokąd? Właśnie, w tym sęk. Niech to wszyscy diabli, a kompania chrapie sobie w najlepsze.

Oskari pojął w mig, że nie ma co zwlekać. Biegiem wpadł do izby. A co potem? Czy zaczął strzelać? Czy zasyczał ostrym szeptem: „Wstawać, zwijać manele!”

Nie, nic podobnego. Stał tylko i wdychał ciepłą woń słomy i wzywey śpiących. Nie mógł wprawdzie niczego dojrzeć, ale szmery świadczyły, że są tu żywi ludzie. Kojąco działa to na człowieka bezpośrednio po martwej ciszy obcej okolicy pod niebem pełnym iskrzących się gwiazd. Jakże miło brzmi wtedy ludzki głos! Jakże cudowny jest wtedy zapach człowieka! Cóż znaczyć mogą wobec tego dwa brakujące konie! Co?

Oczy Oskarięgo po chwili przyzwyczały się do ciemności. To tu, to tam migotało coś białego. Oho! Nawet się poroz-bierali do snu!

— Co się stało? — odezwał się ktoś z prawej strony. Przecież to lisakki. Oskari przestraszył się niepotrzebnie.

— Ktoś musi iść na wartę. Ale kto?

— Skąd się tu wziąłeś, jeśli boisz się zasnąć bez obstawy? — odezwał się ktoś spod pieca. Najpewniej było tam trochę za ciepło.

— Już idę — rzekł lisakki i zarzucił na siebie płaszcz. Nie zbierał się długo. Przez całą noc nie zmrużył oka, a i teraz solidnie burczało mu w brzuchu.

Oskari położył się na miejscu lisakkiego. Był zły. Docinki Jooseppiego jeszcze bardziej wzmogły jego podejrzliwość. Coś wisi w powietrzu, był o tym przekonany, ba, życzył sobie tego niemal! Żeby chociaż nie byli porozbierani.

Kiepski czekałby ich koniec, gdyby nie to, że Oskarego nagle zdjął strach — zaczął się czołgać po podłodze szarpiąc śpiących:

— Chłopaki, Kustaa, Wille, towarzysze, słuchajcie! Wkła dajcie portki i ładujcie broń!

Najmocniej spał Roope. Do kroćset! Dobry dowódca, którego ledwo bagnełem można postawić na nogi!

Iisakki siedział w latrynie, stękał i **wykrzywił gębę**, bo hemoroidy nie wszystkim sprawiają przyjemność. Siedział tu już prawie pół godziny, a dopiero teraz przyszło mu do głowy, że wartownik powinien mieć nabitą broń.

Nie należał do tych, których strzelba może wypalić mimo woli. Nie miał zwyczaju repetować karabinu. Jak on to robił? Po prostu przy nabijaniu wystarczyło nacisnąć kurek, więc Iisakki spokojnie nacisnął, a wtem... Do stu tysięcy bomb i kartaczy! Cóż to był za huk! Do diabła, czy to naprawdę wypaliła jego strzelba?

Raptem zaczęło się na dobre. W niebo wzbija się świetlista rakietka, potem druga i trzecia. Na podwórze wpadli ludzie, z domu i z lasu. Huknęły strzały, aż się szyby zatrzęsły.

—■ Naprzód! — ryczał Roope, a miał piękny głos.

Iisakki wepchnął koszulę w portki i zaczął szukać szelek pod kurtką, a te jak na złość znalazły się aż gdzieś na karku. Nie ma co zwlekać, choćby przyszło świecić gołym tyłkiem!

Nagle strzelanina ustała. Już po wojnie. A kiedy się znów zacznie, tego nikt nie wiedział.

— Psiachrew, teraz ruszamy z powrotem do Pispali! — Oskari przedrzeźniał Jooseppiego. — Jeżeli ruszamy po ciemku, ani jeden z nas stąd się nie wydostanie. Tamtych jest niewielu, ale mają narty i białe kurtki i nie widać ich na śniegu. Może ich widzisz, Jooseppi?

Powodów do nieufności nie brakowało, to prawda, ale wypadało udawać, że mu się wierzy, skoro utrzymuje, że sam co najmniej dwóch wysłał na tamten świat. A ilu położyli w tej potyczce? Próbowali policzyć. Przeszukali wszystkie zakamarki, ale nie znaleźli ani jednego trupa, a nawet rannego! Słowem, nikt nie został skaleczony i nikt nikogo nie skaleczył!

Niemożliwe! Nie do wiary! W ciemnościach co prawda można było przypuszczać, że trafieni stoczyli się po zboczu za stajnię, a potem powlekli się przez pole do lasu, żeby tam skonać. Ale nawet rano nie było potrzeby wycofywać się z podobnych przypuszczeń, zwłaszcza że nikt nie szukał

trupów dalej niż na klepisku. Znalaziono tam parę nart. Można było bez przeszkód wracać do Pispali. Przegonili białe psy, wystrzelali połowę amunicji, a nawet zdobyli łupy wojenne.

A co się stało z życzliwym właścicielem majątku? Gdzie się podział? Kłął nawet Roope, który chętnie, jak twierdził, wygarbowałby skórę temu draniowi. Ale że nie udało się go nigdzie znaleźć, tym razem wyszedł jeszcze cało.

* * *

Wojna przeciągała się. Na wszystkich frontach działo się to samo: utrzymywano lub tracono pozycje, posuwano się naprzód, lub cofano — równocześnie we wszystkich kierunkach. Jeśli idzie o zabijanie, to owszem — wzrastała liczba tych, co zabijali. Nie brakowało ani bohaterów, ani najnie-prawdopodobniej szych historii. Brak było tylko chleba.

Stary Rantala robił świetne interesy. Pot lał się strumieniami po jego krzepkim, stukilowym cielsku, gdy biegał od sań do piekarni i z piekarni do sań, dźwigając mąkę i chleb — od spodu przypalone, a wewnątrz nie dopieczone bochny. Trzeba się było zwijać! Żołnierze muszą jeść, niezależnie od tego czy czerwoni, czy biali, zresztą nie obchodziło go wcale jacy! Dniami i nocami cztery na wpół nagie kobiety miesiły ciasto, wkładały je do pieca i wyciągały z powrotem. A stary sprzedawał, bo był piekarzem z prawdziwego zdarzenia.

Niemeninowie też musieli jeść. Dlatego Józefina wystawała w kolejce po chleb. Przez trzy godziny marzła na dworze, niemal nie posuwając się naprzód w ogonku, aż wreszcie stary Rantala zamykał drzwi i mówił:

- Chwileczkę, muszę trochę wymiesić ciasto!
- Kobiety szturmowały kancelarię sztabu Czerwonej Gwardii.
- Niech cię diabli — wymyślały na Paavalego.
- Chleba! — żądały. — Chleba! Dzieci umierają nam z głodu!

Pan oficer sztabowy chował wtedy rozłożone przed sobą książki i zrywał się z miejsca.

— Towarzysze, kochane towarzyszki!

— Chleba!

Tak jest, chleba! To samo myślał oficer sztabowy. Jego spojrzenie błąkało się trochę niepewnie po sprzętach wiel-kopańskiego pokoju, po biurku, obrazie, przedstawiającym polowanie, a stamtąd przesunęło się na szafę, gdzie na najwyższej półce rzucał się w oczy wykwinny serwis. Dlaczego właśnie ten widok działał mu teraz na nerwy?

— Paavali, odnieś naczynia i zapytaj, czy mają tam jeszcze trochę tej mlecznej zupy ze śniadania!

Panem oficerem sztabowym był blacharz Kulmala, który z doświadczenia wiedział, że zgłodniałych nie da się zbyć obietnicą „już jutro...”

Czy kobiety dalej czekały? Nie. Znikły tak prędko, jak tylko mogły, aby wrócić z wiaderkami. Tylko szybkość mogła zapewnić im łyżkę mlecznej zupy.

No tak, teraz zależało wszystko od pani Makinen!

Pan oficer sztabowy powrócił do lektury powieści. Jeśli w tym było coś niedozwolonego, to chyba tylko to, że w ogóle nieładnie korzystać z cudzej biblioteki.

Józefina była niespokojna. Nie widziała się z Iisakkim już od dwóch tygodni, a teraz znikła jeszcze Elina.

Czyżby i dziewczęta mieli wmieszać w te bijatyki? — zastanawiała się.

— Kto tu mówi o bijatykach? Dziewczęta udzielają pierwszej pomocy rannym — wyjaśnił Paavali — gdyż istnieje taka umowa, że z opaską Czerwonego Krzyża może na bez przeszkód chodzić sobie nawet wśród trupów. Nie ma w tym nic strasznego — uspokajał chłopiec.

Ale na froncie były też żywe trupy, a te były o wiele bardziej niebezpieczne od martwych.

— Boże litościwy! Ledwie skóra i kości z nas zostały — uskarżał się Jooseppi, choć nikt nie oczekiwał od niego po dobnych oświadczeń. Był śmiertelnie głodny i zmęczony.

Walczył bohatersko, przebił się przez nieprzyjacielski pierścień i wreszcie dotarł pod ciepły piec w remizie.

Roope założył futrzaną czapę na bakier i ryczy: „Naprzód!” Tam do licha, powiedziałem mu: „A leć sobie, ale uważaj, byś nie wrzepił sobie w tyłek własnej makówki!”

Patrzcie go! Tak powiedział! A co na to Iisakki? Co się z nim stało? Przecież chyba nie...?

— On? Już dawno wzięli go do fabryki mydła do Vaasy! Z robotników wyrabiają tam mydło do golenia! A z ich dusz perfumowane mydełka!

Wielki Boże!

— Tak. Takie to życie czerwogwardzisty. Mróz, pragnienie i głód. W ogóle szkoda słów.

Mógł opowiadać bez przeszkód, takie drobnostki nie przerażały pani Makinen.

— Co się stało! Nigdy ciebie takiego nie widziałam, nigdy.

Jooseppi nie przejął się tym, choć ta demaskacja trochę go rozdrażniła. Opowiedział o tym, jak poległ Venneri Saarinen. Opowiadał to jak świadek naoczny — szczegółowo, a najlepsze fragmenty powtarzał po kilka razy, także i inne jego opowiadania działały na słuchaczy jak sensacyjne powieści.

— Właśnie ogłoszono przerwę na papierosa, a Venneri wyszedł załatwić pilną potrzebę. „Skąd się wziął ten księżyca na górze!” — powiedział Venneri, raptem huknęły na raz trzy strzały.

Jooseppi demonstrował, jak Venneri upadł, ale nie chciał paść na twarz, bo w izbie nie było śniegu, jak wtedy w lesie.

— Psiakrew! Drogo zapłacił za siusianie! A co na to pa stor? Czy ktoś, kto ginie w takiej sytuacji, może się dostać do nieba?

W każdym razie Jooseppi sprawiał wrażenie, że jest w dość dobrym humorze. Może na froncie nie działy się takie znow straszne rzeczy? Paavali głośno wypowiedział swoje obawy, co skłoniło Jooseppiego do zastanowienia się nad przedmiotem kolejnej opowieści, aby choć trochę zadziwić

obecnych. Z wściekłością splunął kilka razy do ognia i na nowo zabrał się do tworzenia nastroju.

Czy Paavali słyszał cokolwiek o Sorkka? O Vieno z Sorkka? Nic. No pewnie! Skąd by ludzie na Pispalskiej Górze mieli słyszeć o Vieno z Sorkka! Vieno szalał przecież na froncie w kompanii śmierci, gdzie najniższy żołnierz miał przynajmniej dwa metry wzrostu. Vieno kulał, ale na którą nogę, tego Jooseppi nie pamięta.

— Pewnie na tę, w którą ostatnio został ranny! — po wiedział. — W każdym razie chodzić może, a jest taki wielki, że kiedy celują w głowy innych, trafiają go w udo.

Vieno miał podobno gwizdek, gwizdek i pistolet, zwoływał nimi na zbiórkę albo zarządzał tyralierę. Kiedyś brakowało dwóch ludzi na zbiórce.

„Może poległ!” — wysunął ktoś przypuszczenie, ale Vieno był kiedyś drwalem i umiał liczyć pnie, niezależnie od tego, czy stoją, czy leżą. Tylko bez hysterii! Nakreślić paznokciem cztery kreski na papierośnicy, cztery poziome i jedną na krzyż, i już gotowy rejestr trupów, a potem jazda do następnej stodoły, gdzie pokotem leżą dalsze. A jaki tam smród! Tarach, odezwał się charabin Mausera, tarach!

A potem zapalił trzecią zapalną i podetknął mi pod nos, a ja wtedy: „Co do cholery! Przecież jestem z Pispali!”

Jooseppi umilkł, splunął na podłogę i potoczył dzikim wzrokiem dookoła.

— No i co, pomogło? — spytał.

— Chretyn! Myślisz, że inaczej siedziałbym tu teraz w Pispali?

Sorkka było zapewne ważną miejscowością, ale cóż mogło znaczyć w porównaniu z Pispalą! Pispala stanowiła dla nich rodzinne strony: rodzinny dom, parafia, ojczyzna.

Pispala, Pispala nade wszystko! Nie można powiedzieć, żeby Jooseppi nie miał szlachetnej wyobraźni.

Po kilku dniach już nic nie dało się przewidzieć, nawet mimo najlepszych chęci. Cała wojna była do d..., zresztą

było powszechnie wiadomo, do czego. Wieczorem wrócił z Siuro ostatni transport czerwonych, a z nim i Elina, wychudzona i blada, z dziwnym blaskiem w oczach. Co widziała, ile dni i nocy czuwała, ile kilometrów przeszła po udeptanych gościńcach — nie mówiła na ten temat ani słowa, tylko bezmyślnie gapiała się w przestrzeń. Miarka była pełna po brzegi. Ostrożnie! Ostrożnie!

Lempi wyszła po nią na stację. Sama była zmęczona, ale nie tak jak Elina. Lempi była mocnego zdrowia, a poza tym jej rozsądek, energia i przedsiębiorczość umiały się przeciwstawić naporowi gorączkowych myśli. Tymczasem Elina była bezradna, niezdolna do przedsięwzięcia czegokolwiek. Odpoczynek jej był nieustannym ruchem, bezproblemowym istnieniem spadającego przedmiotu. Jej Bóg opuścił swoje niebo i dał się Ziemi we znaki. Gwiazdy utraciły swój blask, same tylko chmury i chmury, opary i mgły ponad otchłanią wiecznego potępienia.

Elina była głodna, ale gdy zabrała się do posiłku, okazało się, że właściwie powinna była raczej położyć się spać. Nie, nic jej nie smakuje, jedzenie wzbudza w niej obrzydzenie! Józefina przygotowała dla niej łóżko. Ale właściwie na spanie Elina także nie miała ochoty!

— No idź już i połóż się troszkę, podłożę ci pod nogi poduszki, to ci dobrze zrobi, przemierzyłaś taki szmat drogi.

— Do łóżka? Po co? Przecież powiedziałam, że nie jestem wcale zmęczona!

— Lepiej się połóż. Zaraz zaparzę ci kawy, schowałam ją specjalnie dla ojca i dla ciebie. Połóż się, no, zaraz zdejmę ci buty. No, no, nietęgo wyglądają! Trzeba je odstawić, żeby trochę przeszły!

Józefina ukłękła przed córką i ujęła jej lewą stopę.

— Daj mi spokój! — rozgniewała się Elina i wyrwała nogę.

— Na miłość boską, co się z tobą dzieje? Czy na pewno nie masz gorączki, masz takie dziwne oczy? Bardzo cię proszę, idź do łóżka!

— Daj mi spokój! Słyszysz! Czego chcesz ode mnie! Zo-

staw mnie w spokoju! — wrzeszczała Elina, jakby opędzając się od gromady diabłów.

Taka była pierwsza godzina całkowitego zamroczenia Eliny. Ile takich godzin czekało ją jeszcze, tego Józefina nie mogła przewidzieć. Skąd miała wiedzieć, że właśnie jej postać wyrastała w wyobraźni Eliny jak piekielna zjawa, z rogami, z widłami w rękę i że wdzierала się do najtajniejszych głębin ludzkiej duszy, niedostępnych zazwyczaj nawet dla matki. Józefina niechętnie stała się stróżem zła, wywołującym duchy ciemności. Zresztą nikt by się do tego chyba tak nie nadawał.

Atak furii nie trwał długo. Józefina przestała córkę przekonywać i zachowywała się tak, jakby jej w ogóle nie było. I tak było najlepiej. Wkrótce Elina przyszła do siebie. Najwyraźniej wstydziła się tego, co zaszło. Rozdrażnienie ulotniło się gdzieś i dopiero teraz nabrała wyglądu zdrożonego wędrowca.

— Może byś się rozebrała i położyła — odważyła się znów zaproponować Józefina.

O dziwo! Tym razem Elina nie okazała sprzeciwu. „Sen jest najlepszym lekarstwem”, pomyślała Józefina.

Ale ani ze snem, ani z odpoczynkiem leżenie Eliny nie miało nic wspólnego. Przed oczami miała zupełnie inny świat, w którym bez ustanku coś się pali i huczy. Obrazy nakładały się jeden na drugi. Z drzew i krzaków wyskakiwały potwory. Spod kamieni, pni drzew, a nawet ze zdawkowych słów wypełzały węże. Ciało Eliny drżało. Krzyczała.

To zdawało się jej, że wyrzucają ją z pociągu, to znów, że bnie przez trzęsawisko albo pije mleko, a z kubka wyskakuje odarty ze skóry szczur.

Niesie wielki czerwony krzyż, a aniołowie śpiewają Mar-sylianę. Staje na środku jeziora i stawia krzyż. Nie, to chyba las! Armas Lindquist podaje jej dynię. „Ale przedtem ją obmyj!” — mówi. Elina myje dynię i wtem całe jezioro robi się czerwone. „A teraz co?” — pyta. „Ugryź!” Jakie wielkie mam usta, dziwi się Elina. „Wypluj! Skąd ta krew? Jestem Iisakkim, jestem rozłupaną czaszką”. Elina mdleje. Armas bierze ją na plecy i niesie pod górę. Odwra-

ca więc głowę i widzi, że ma na sobie białą suknię, a na głowie wieniec z czerwonych róż.

Przez dwanaście godzin leżała w bezruchu, kiedy obudziła się było już po południu.

— Dzień dobry jaśnie pani! Woli pani kawę czy owsiankę? — przemówiła do niej Lempi.

— Elina, lulu, Elina, lulu, boli kuku — tłumaczy komuś mały Erkki.

Elina uśmiecha się. Lecz po chwili zasepiła się znowu, jakby zauważyła, że chcą ją wpędzić do pułapki. Wesołość bynajmniej nie uśmierza bólu, nawet gdy Józefina usiadła na krawędzi łóżka.

— No widzisz — odezwała się matka — już lepiej! Jussi też miał gorączkę ostatniej nocy, a teraz znów zajada chleb z kaszanką. Owiń się kołdrą i chodź do kuchni coś zjeść! Lindquist przyniósł mi dziś trochę kaszanki.

Kaszanka od Lindquista! Czy to ma być żart? Więc wszyscy już wiedzą? I cały świat się z tego śmieje? Ale właściwie z czego? To coś nie miało nazwy, lecz było okropne. Węże, tygrysy. Brr! Elina objęła głowę rękami i krzyczy. Ciało jej drgało jak w febrze. Erkki rozpłakał się. Objął matkę i trząsł się ze strachu. Zdjęło ich przerażenie, byli bezradni.

Wreszcie zapadła cisza. Czyżby tak nagle nastał chłód?

Elina wstała, jak gdyby dopiero teraz się obudziła. Ubrała się pośpiesznie, przełknęła kilka kęsów i zapytała bez ogródek:

— Idziemy?

— Dokąd? Dokąd mamy iść? — Lempi była zdumiona.

— Nie wiem, dokądkolwiek!

Wyszły więc obie razem.

— Wracajcie rychło, nie spacerujcie za długo! — rzekła Józefina.

Na gościńcu było pełno ludzi. Brodaci mężczyźni z Czerwonej Gwardii szli pod górę.

Jakaś kobieta rzuciła się na szyję mężowi, tam znów jakiś chłopiec rozpoznał ojca.

— Ach Boże, Boże. Skąd aż tylu mężczyzn na świecie!
Skąd się nagle tu wzięli? — sarknęła jakaś starowina.

Pośrodku drogi leżał zabłocony pas z nabojami, a dalej, tuż pod stopami obu dziewcząt — karabin.

Co znowu opętało Elinę? Porwała karabin, podniosła wysoko nad głowę i z furią rzuciła się na właśnie przechodzący obok oddział.

— Co tu robicie, na Boga? Wróćcie się! Brońcie waszych domów! Ratujcie niewinne dusze! Na miłość boską, wróćcie się albo powystrzelam was co do jednego.

Ktoś doskoczył do niej i odebrał jej karabin. Upadła. Położono ją na ziemi na uboczu, Lempi nie wypuszczała jej z objęć, aż minął ich Iisakki.

Wojna domowa trwała.

Iisakki zdążył zaledwie na chwilę wpaść do domu. Właściwie nie powinien był tego robić. Oszczędziłby sobie pożegnań. Kilka słonych kropli mniej popłynęłoby w smutne morze tego świata. Nocna modlitwa Józefiny zyskała wprawdzie na żarliwości, ale nie tylko jej potoki modlitw zderzały się ze sobą jak zaciekli przeciwnicy. Bóg miał przed sobą niełatwy problem, chociaż by miał mieć serce z kamienia.

Czerwony bastion Tampere był już zagrożony ze wszystkich stron, najbardziej od wschodu. Pispalska brygada ruszyła przez miasto do kauppiskiego lasu.

Oskari Peltonen nie brał w tym udziału, bo okazał się potrzebny w kancelarii sztabu w Pispali. Czekala tam moc roboty, cholernie dużo roboty, wprost trudno sobie wyobrazić, jak jej podołać.

Viljami Virtanen w każdym razie postanowił pokrzepić się łykiem wódki. Na jedną nogę. A na drugą nogę — drugim. Podał manierkę dalej.

— Niech żyje Rachja! — zawołał Oskari i zaczerpnął łyk.

— Niech żyje Rachja! — powtórzyli inni, i to bynajmniej nie dla odrobiny marnej wódki. Tylko Viljami krzyknął: „Niech żyje!” bardziej donośnym głosem, bo zdążył wychylić podwójną porcję, zanim podał manierkę dalej.

Sztab brygady nie składał się z tegich opojów. Właściwie w ogóle ich tam nie było.

— A co to za jedni myszkują za stodołą? — zapytał Oskari, wyglądając przez okno w stronę jeziora.

— Tamci? To jacyś biali smarkacze! Sam się już od paru dni zastanawiam, co to za jedni — powiedział dyżurny, nie zadając sobie nawet trudu, żeby podnieść głowę.

— Może trzeba by przyjrzeć się z bliska, co oni tam szykują?

— Właściwie chyba tak. Ale jakoś się tak złożyło. Skąd, do diabła, mam brać czas na to wszystko!

W głosie dyżurnego czuć było rozdrażnienie. Zresztą w podobnej sytuacji trzymać się od takich sytuacji z daleka.

Tymczasem wszedł do pokoju Paavali. Czy ma coś do roboty? Nie, nic nie ma, nic specjalnego.

— No, to idź do stodoły i sprawdź, co się tam święci — rzekł dyżurny.

— Powiedz im, że będziemy strzelać, jeśli będą próbowali się ulotnić.

— Tylko weź z sobą pukawkę!

Paavali poszedł i powiedział, co mu kazano. W ten sposób jego nazwisko dostało się do protokołu wojennego. A że nie przywitano go salwą, cud to prawdziwy.

Rachja! Gdyby się udało nawiązać z nim łączność i doprowadzonymi przez niego posiłkami! Rozłożono na stole mapę i zagłębiono się w strategię lub też raczej tragedię wojenną, zresztą diabli wiedzą, jak się to nazywa naprawdę. Niebieskie plamy to jeziora, tyle wiedział nawet Viljami.

— Mapy gwiazd nie macie? — zapytał Oskari.

— A po,co?

—**No, bo Rachja podobno lata samolotem, to może ma główną kwaterę na Gwieździe Polarnej? Viljami, powiedz, czytałeś przecież uczone księgi, może wiesz gdzie mieszka ten Rachja czy Jehowa? — Oskari uważał bowiem zapowiedź odsieczy za legendę głoszoną jak świat światem, od czasu niewoli babilońskiej aż do bitwy o Pispalę.

Zdaniem Oskarego pomoc mogła nadejść tylko ze wschodu, a w każdym razie nie z bliska.

— Powinniśmy zdobyć auto i wyruszyć przez Lahti, tam moglibyśmy dostać benzyny na dalszą jazdę! — powiedział.

Kie. Lepiej przez jezioro po lodzie w lasy — tam ciągnęła towarzyszy jakaś tajemnicza siła.

— No tak, może tam mieszka Rachja, bo dla niego nie ma rzeczy niemożliwych. Alleluja i jazda!

Nadeszła noc, minął dzień i znów nastąpiła noc. Zaczęła się ucieczka. Sztab wraz ze swym pisarzem pozostawił dzisiejsze i przyszłe troski wszechmogącemu Rachji i udał się, lak jak stał, najpierw na brzeg, a potem na drugi brzeg jeziora. Woda bulgotała w butach, a z trzech stron grzmiały armaty białych. W odległości kilkuset metrów zamajaczył cień wyspy jak jakieś olbrzymie zwierzę. Podążyli dalej, już nie w zwartym szyku, bez ładu i składu i bez dowództwa, jeden obok drugiego jak na przechadzce. Droga była dostatecznie szeroka — cała tafla zamarzniętego jeziora.

Ktoś przypomniał sobie ćwiczenia strzeleckie ostatniej zimy.

— Jeszcze nie tak dawno leżeliśmy tu z pyskami w lodzie i uczyliśmy się celować!

— Słusznie! Ale teraz nie chciałbym już leżeć w takiej wilgoci...

Raptem huknęła salwa. Z przodu. Wszyscy jak jeden mąż przywarli brzuchami do lodu. Jasny gwint, to już i na wyspie byli biali, brak było tym razem Jooseppiego, nie miał kto pokląć trochę. Kule gwizdały, a cały sztab leżał na brzuchach. Woda była lodowata, a droga do Pispali daleka. Tak, tak, daleko zaszli! Tak daleko, że nawet nie wiedzieli, jak wrócić do Pispali! A przecież od najwcześniejszych lat jeździli tu na nartach, pływali i wiosłowali, wdrapywali się na drzewa, siadywali przy ognisku, ze zmajstrowanej z kory fajki wypuszczali pierwsze chmury tytoniowego dymu, a w domu dostawali za to w skórę. Słowem — znali to miejsce, znali je dobrze, ale jak się stąd wydostać!

Paavali nie był jeszcze nigdy na wyspie i nie spodziewał się, że czeka go tam raj. Wrócił do domu przemoknięty do suchej nitki, kapąło mu z nosa. Dopiero teraz Józefina mogła dowiedzieć się czegoś bliższego o wędrówkach syna.

— A więc to tak, a ja zawsze wierzyłam...

Słowa utkwiły jej w gardle, Józefina wybuchnęła szlochem.

Chłopiec ściągnął z siebie przemoczoną odzież i wziął koszulę, którą podała mu matka. Za ciasna! To przecież koszulka Kallego! A portki? Nic nie szkodzi! Uśmieć się można. Matka nie mogła się powstrzymać ani od śmiechu, ani od płaczu. Tak to jest, kiedy się tak bardzo kocha syna!

Paavali uważał za swój obowiązek, możliwie jak najszybciej wrócić do sztabu. Ale czy łatwo opuścić synowi zapłakaną matkę! Tłumaczył i pocieszał, jak umiał najlepiej, namawiał, by się położyła spać, a żeby swoim słowom dodać większej wagi, sam rzucił się na łóżko Iisakkiego. W butach, nawet nie zdjął czapki, ale w tej chwili nikt nie zwracał uwagi na takie szczegóły. Józefina dotknęła ręką czoła Jus-sego i też udała się na spoczynek. Zasnęła dopiero, gdy Paavali przestał się wiercić i w końcu najzwyczajniej w świecie zachrapał.

Nie minęło pół godziny, a matka była znów na nogach. Wśród licznych sprzętów przecisnęła się do kontaktu, ale zanim zgasła światło, raz jeszcze popatrzyła na owoc swojego żywota.

Łóżeczko małego Erkkiego zdawało się coraz to krótsze. Za kilka miesięcy malec będzie musiał przenieść się na łóżko Kallego, chociaż właściwie lepiej na łóżko Eliny, a Elina przejdzie na łóżko polowe, Einari będzie spał z Paavalem w kuchni. Jak by nie było i tak trzeba będzie dorobić nowe łóżko polowe dla Kallego, dla Einarego albo dla Eliny. Bez tego się nie obejdzie.

Elina leżała w poprzek łóżka, a Sylvi i Kalle tuż pod ścianą ściśnięci jak śledzie. Nie! Trzeba coś na to poradzić! Dziewczyna wróciła do sił na tyle, że można ją trochę wziąć w karby, uważała matka. Elina nawet oka nie otworzyła, westchnęła tylko przez sen i znowu zwinęła się w kłębek. Trzeba będzie zmajstrować nowe łóżko, jak tylko ojciec wróci, tak, zaraz... ale gdyby...

Wielki Boże, gdyby Iisakki nie wrócił!

Ileż matek tej nocy nie mogło zmrużyć oka! I kiedy wreszcie skończą się te straszne noce.

— Wola twoja, Panie. Zstąp, Jezu Chryste, Amen.

Kiedy Paavali otworzył oczy, już dniało. Zapatrzył się w biały sufit. Czuł jeszcze, jak ścierpły mu ręce od noszenia rulonów tapety. „No, to noś na głowie”, doradził mu wówczas ojciec wyjmując sobie gwoździe z ust.

Za drzwiami odezwał się znajomy głos. Paavali zerwał się na równe nogi.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś! — zawołał.

Józefina weszła do sypialni.

— Budziłam cię, ale jakoś nie mogłam cię dobudzić, na wet zdjęłam ci buty. Postawiłam na piecu, żeby wyschły.

Marynarka wisi na poręczy krzesła, panie generale!

Józefina robiła wrażenie niemal wesołej. Rano była w kancelarii brygady i czekała tam, aż zjawiła się pani Maki-nen i doniosła, że sztab został w nocy przeniesiony gdzieś indziej i że w najbliższym czasie nie będzie można spotkać nikogo ze sztabu.

— Tajemnica wojskowa, rozumie pani!

— Co tu jest do rozumienia! Myśli pani, że się nie orientuję! Przemokli w lodowatej wodzie, a potem ni z tego, ni z owego czmychnęli do domu, żeby sobie wysuszyć kożuchy.

Ale nie, sztab podobno znikł po raz drugi, odjechał samochodem, i to w zupełnie innym kierunku. Czy to prawda? No chyba!

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli kłamię.

Wracając do domu Józefina spotkała panią Haapanen.

— No, teraz to naprawdę masz powód do zmartwienia.

W ciągu tych paru dni całkiem posiwiłaś. Bóg wie, jak ciężko ludziom na tym świecie!

To prawda: Józefina miała zmartwienia, a Pan Bóg mądrość.

— Tak, tego nie można pojąć, dopóki się tego samemu nie doświadczy. To okropne. Najpierw córka dostaje pomieszenia zmysłów, a potem ginie najstarszy syn. A na lód nie da się wejść, nawet zwłok nie można stamtąd zabrać.

A więc to tak! Cóż Józefina miała na to odpowiedzieć? — Nic!

— Niech się dzieje wola Twoja, Panie, i nie bacz na ludzkie błagania!

— I stało się zgodnie z wolą Bożą. Ludzie zwracali oczy ku niebu i mówili: „Wielka Niedźwiedzica wygląda jak piątka, tylko że odwrócona”. Józefina uśmiechała się. Przypomniała sobie słońce, narysowane przez Kallego i Hilkkę. Z której strony należało właściwie obserwować Wielką Niedźwiedzicę! Może pod światło przez kawałek papieru?

Dziwne, jak mogą pocieszyć człowieka drobiazgi!

— Pamiętasz, Paavali, co ojciec powiedział, jak Elina pa trzymała na gwiazdy i narzekała, że się jej kręci w głowie?

Jakże Paavali miał sobie przypomnieć! Bo też pytają go o wszystko możliwe! Józefina za to pamiętała, choć nie mogła wyjaśnić, dlaczego właśnie w tej chwili przyszło jej to na myśl. Być może dlatego, że tęskniła za swoim Iisak-kim.

— Co to znaczy patrzeć na gwiazdy! Ale jak któreś z dzie ci wdrapie się na najwyższy wierzchołek sosny i stamtąd pa trzy w dół!

W ten sam sposób Bóg stale patrzy w dół i jakoś nie słyszy się o tym, że ma zawroty głowy!

— Kłamstwo! Ohydne kłamstwo! — rzekł Paavali. Wie rzył jedynie w Rachję, w nic poza nim. Chciał się przekonać na własne oczy, czy sztab brygady rzeczywiście się ulotnił, czy też całą tę historię wymyśliła macierzyńska miłość.

Wszelako dość trudno wyrobić sobie wyobrażenie o nie-namacalnych rzeczach, a co dopiero mówić o niezbitej pewności. Nawet w domu szefa sztabu nie było innych dowodów prócz zamkniętych na zasuwę drzwi i zaciągniętych firanek. Paavali poszedł do kancelarii i dla zabicia czasu zaczął porządkować rzeczy w szufladach biurka. Psiakrew, ile tam bochenków chleba! Wprawdzie były nieco czerstwe, ale jeszcze nie spleśniałe! Z gwoźdźcia, na którym wisiała scena polowania, zwisał sznurek. Paavali związał chleb i oddał „naczelnemu intendentowi”.

— Dobrze, że się nie zmarnują! Na pewno się przydadzą.

Pani Makinen rozwiązała sznurek i rzuciła całą paczkę do beczki z pomyj ami, bo żony Jooseppiego, Eemelego, Vaino i Moosesa Makinenów razem hodowały jedną świnie.

No i na co zdała się cała uczciwość? I to właśnie teraz, kiedy chleb tak by się przydał Nieminenom! Paavali bynajmniej nie zamierzał chełpić się w domu swoim bohaterstwem.

Do Makinenów za to pobiegł chętnie, aby zobaczyć znów swoją Lempi. Czy aby jest w domu? Miał nawet coś, co mogło posłużyć za pretekst.

— Na pewno ją zastaniesz, tak mi się przynajmniej зда je — powiedziała pani Makinen.

Więc Paavali wybrał się w drogę.

— Hej tam, możesz zawieźć im parę szczap drzewa, sanki stoją za węglem. Zaraz je przyniosę.

Paavali poczekał, naładował sanki i wyruszył. Płozy zgrzytały po piasku. Od strony jeziora Lielähti padały strzały. Z Pispali pokaszliwała armata czerwonych.

Lempi i Paavali. Siedzieli oboje przy stole i pożerali się pożądanymi spojrzeniami. Vaino, ośmioletni synek Makinenów rozdał karty do gry. Każdy zostawał po jakimś czasie czarnym Piotrusiem, jak tego wymagały przepisy gry. Ciągnęło się to dość długo, aż w końcu matka dziewczyny wcisnęła Paavalemu płaską paczkę ze świeżo upieczonym żytnim chlebem. W sieni zakochani chcieli się pocałować, kiedy nagle zgrzytnął zamek.

Miało to być ich ostatnie spotkanie.

Z chlebem w ręku Paavali udał się w drogę powrotną. Przy obejściu Rytö-Saarinenów spotkała go matka.

— Chwała Bogu, że jesteś! — rzekła Józefina. — Gdzie się podziewałeś, już się niepokoiłam.

I wtedy stało się. Przejmujący ryk i wybuch, jakby cały świat rozpętał się na drobne kawałki. W miejscu, gdzie dopiero co stała jeszcze koślawa obórka dla kozy Rytö-Saarinenów pozostała zaledwie dymiąca kupa zbutwiałych desek, gnoju, ściółki i słomy, a pośrodku łaciata, śmiertelnie wystraszona koza, becząca żałościwie: „Meeee!”

Następny granat zgruchotał schodki werandy dyrektora

Dahlmanna. Szkło posypało się z brzękiem. Ostrzeliwanie jalskiej Góry było na pewno pasjonującą zabawą, każ- strzałem trafiało się w coś solidnego — choćby tylko w pusty domek, a jak dobrze poszło — w swój własny.

Postanowiono uciekać. Wszyscy — dzieci i starcy, a również matki i narzeczone, bo wiedzieli, co ich czeka, gdy nadciągną waleczni wojownicy.

Puste doły na kartofle wypełniły się w mig. Nagle zrozumiano, na co mogą się przydać betonowe schrony, które w swoim czasie zbudował rosyjski garnizon.

Józefina nie miała podobnego schronienia. A nawet gdyby miała, czyż mogłaby tam przenieść chorego Jussi z wysoką gorączką? Albo trzeba było rozejrzeć się za jakimś bezpieczniejszym miejscem, albo zdając się na los szczęścia pozostać w domu. „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

Na szczęście przy tej okazji Paavali przypomniał sobie, że Maria z Dzieciątkiem Jezus uciekła przed siepacami Heroda aż do Egiptu.

— ■ Jeśli będziesz tu śpiewać pieśni kościelne, pomoże to małemu Jussi tak, jak pomogłoby wtedy Dzieciątku Jezus! — rzekł do matki.

— Więc dokąd mamy iść!

— Chociażby do papierni! Tam są przynajmniej ściany murowane!

Zbierać manele, prowiant do koszyka, chleb, kartofle i trochę mąki, wszystko, co wpadnie pod rękę. Przy okazji Kalle zabrał wielki żeliwny kocioł, który Józefina odsunęła na bok, zabierając kartofle ze spiżarni. Zwykły rondel byłby wprawdzie łatwiejszy do niesienia, ale nie było czasu na długie namysły. Pozostały w domu wszystkie łyżki, ale za to zabrano z sobą aż dwie chochle.

Matka niosła małego Erkki, Paavali braciszka Jussi.

— Łaska Boska przynajmniej — rzekła Józefina — że jeszcze nie odstawiłam Jussego od piersi!

Nad jeziorem Nasijarvi wiatr dął jak z wentylatora, a i w papierni szalały przeciągi, aż w uszach śpiewało. Jakiś stary człowiek próbował pozatykać okna. Bezskutecznie. Jussi narzekał, że bolą go uszy. Nie, tu nie można było zostać.

— Chodźmy w takim razie do przyfabrycznego kościoła! — zaproponował Paavali.

— No, właśnie! Do kościoła! Że też nie przyszło mi to od razu do głowy!

Kalle z trudem taszczył ciężki kocioł, pozostał daleko w tyle i w końcu Einari musiał mu pomóc. Siły Józefiny wydawały się niespożyte. Gdy doszli do wioski Punakyla, wzięła na ręce Jussi, oddając nieco lżejszego Erkkego. Sylvi miała wiele roboty — pomagała starszej siostrze w niesieniu tobołka i za każdym razem, gdy Elina przystawała, ciągnęła ją za rękaw. Elina zdawała się wcale nie śpieszyć. Czy to oznaka choroby, czy zdrowia?

W kościele było ciepło i przestronnie. Prócz kościelnego z żoną nie było tam nikogo. A ten niebiański zapach! Staruszkowie zajęci byli pieczeniem chleba. Ona lepiała bochenki, a on układał je na blasze swymi pokrzywionymi przez reumatyzm rękami. To była naprawdę dobrana para! Tu też uciekinierzy pozostali i zapomnieliby o całej wojnie, gdyby nie jakaś zabłąkana kula, która wpadła przez okno. W pierwszym odruchu lęku Józefina pomyślała, że kocioł nie jest widocznie prawdziwą świątynią Boga, ale całkiem ziemską pułapką na dusze. Nieminenowie rzucili się na łeb na szyję na dwór, gdzie szalały walki uliczne, i przedarli się przez linię frontu aż do kościoła św. Aleksandra!

— Wsadź sobie kocioł na głowę! — powiedziała Józefina do Kallego.

I miała rację, bo za chwilę padł strzał, Kalle przewrócił się, ale zaraz znów się zerwał i pobiegł dalej. Co prawda na kotle nie dopatrzone się później nawet najmniejszego draśnięcia.

Była to w każdym razie lekkomyślna wyprawa i chyba nigdy by nie wyruszyli, gdyby Paavali nie uparł się wrócić do Pispali. Wprawdzie nie miał takiego zaufania do nienaruszalności kościoła jak Józefina, ale bezwzględnie doceniał solidność grubych murów, zwłaszcza gdy stanowiły własność możnych tego świata. Być może właściciel fabryki zająłby się całą rodziną Nieminenów, gdyby ich spotkał.

Lecz Paavali uparł się, żeby wracać do Pispali.

— Sztab, sztab brygady — mrucał wieczorem, a rano powiedział: — Skoczę zobaczyć, co się tam dzieje!

— Co cię tak ciągnie do tego pustego domu? — zastanawiała się Józefina.

— Czy nie rozumiesz, że nie wolno tak zostawiać kwatery sztabu na łasce losu!

— No, to idź już tam i przyprowadź tę swoją Lempi! — Cóż innego pozostawało matce? Dziewczyny przecież też nie wypada zostawić na łasce losu.

Droga ta miała go wiele kosztować.

Paavali udał się prosto do domu Eemelego Makinena. Zastukał pięścią w drzwi i usiłował zbadać przez okno, co się dzieje wewnątrz. Potem poszedł do domu Jooseppiego, zapukał i zajrzał do środka. Nie dojrzał nic prócz własnego odbicia w zasłoniętym firanką oknie.

Od strony Lielahhti padł strzał, potem drugi, a po nim mnóstwo dalszych. Musieli tam być jacyś ludzie. Ale co za jedni? Paavali nie mógł jeszcze wiedzieć, że Czerwona Gwardia przypuściła tej nocy kontratak, że przeprowadziła swoją pierwszą i ostatnią akcję, która miała być jej ostatnim bohaterskim wyczynem w tej wojnie. Na tym odcinku frontu biali zdobyli już podobno całą górę Lielahhti, kiedy czerwonogwardziści oznajmili: „Szukajcie sobie waszych bohaterów, gdzie się wam podoba. My wracamy do Pispali. Hura!” Wtedy góra została odebrana.

Strzały przypomniały nagle Paavalemu, że przecież i on jest żołnierzem. A gdzie jego karabin? Na litość boską, gdzie mógł zapodziać broń? A może zostawił ją w domu?

Głupia sprawa, nie ma przecież nawet klucza. Ani kawałeczka drutu, z którego można by zrobić wytrych. Wrota szopy były zamknięte na zasuwę, można podważyć zawias i w ten sposób je otworzyć. Ze skrzyni z narzędziami Iisak-kiego Paavali wyjął łom i zaczął podważać okno do kuchni. Za pierwszym razem oderwał dość pokaźny kawałek okiennej ramy. Druga próba powiodła się znacznie lepiej: udało mu się uchwycić haczyk. Zabrał się do tego trochę zbyt energicznie i szyba rozleciała się na kawałki. Wystarczyło teraz nacisnąć następną ramę, tym bardziej że uszczelnia-

jące pakuły odpadły same. Pech chciał, że tu stłukła się jeszcze jedna szyba, a właściwie to rama okienna wysliznęła się Paavalemu z ręki i upadła na podłogę.

Najważniejsze, że udało mu się dostać do domu. Tak, ale właściwie po co tu przyszedł? Prawda, chodzi o karabin! Przecież Paavali jest żołnierzem!

Rozejrzał się po wszystkich kątach, aż nagle przypomniał sobie, że karabin został w kwaterze sztabu, w sieni, obok popękanej beczki.

Paavali śpieszył się, zdążył wszakże zabrać koc, bo jakże mógłby zapomnieć o małym Jussi, który na ławce kościelnej trząsł się z zimna jak liść osiki.

Wstawiając z powrotem wyłamane okno, żeby się jakoś trzymało, musiał podeprzeć je drewnikiem, przy czym pękła jeszcze jedna szyba. Kto by zresztą zwracał uwagę na takie rzeczy w czasie wojny! Do szopy nie było już po co iść, bo łom zostawił w kuchni. Tam go nikt nie ruszy. Wrota szopy pozostały otwarte, wiatr trząsał nimi na wszystkie strony. Początkowo koty były tym przerażone, ale przyzwyczyły się do tych hałasów.

Przechodząc znów koło domu Eemelego Makinena, Paa-vali jeszcze raz zapukał w drzwi. Daremnie, nikt się nie odezwał. Sądząc po żołądku, było już południe, gdy wreszcie wkroczył do sieni domu, gdzie kwaterował sztab brygady. Karabinu ani śladu! Bagatela! O wiele bardziej przydałoby się coś do jedzenia. Czy aby żona Jooseppiego jest jeszcze kuchmistrzynią w remizie? Powiedziała mu, gdzie może znaleźć Lempi. Nagle drzwi otworzyły się z hałasem.

— Kto tu się pęta, u diabła?

— To ja, Paavali.

—■ A więc Paweł! Myślałem, że to Piotr! Święty Piotr! Czego tu szukasz, może chcesz wygłosić kazanie?

— Ja... ja jestem żołnierzem sztabowym.

— Patrzcie go, sztabowy żołnierz! Kolego, chodźcie tu! Jest tu ktoś, kto twierdzi, że jest żołnierzem sztabowym. A tobie powiem coś pięknego, mój sztabowcu: przynieś nam zaraz drzewa, ale ruszaj się, psiakrew, bo jeszcze gotów jesteś zamarznąć! Odmaszerować!

Paavali nigdy jeszcze nie słyszał przemawiającego szkieletu, ale w tej chwili był przekonany, że właśnie takim głosem przemawiają kościotrupy. Człowiek ten miał ponadto bliznę przez cały policzek i kaburę u pasa. Najlepiej, gdyby wali od razu schował się w szopie. Może to słynny Sork-k;i-Vieno? Jego akcent nie wskazywał, żeby miał zamieszkiwać w Pispali. A może jednak był to akcent pispalski? Paa-vali nie miał muzycznego ucha, porąbał więc drzewo na drobne szczapy i zaniósł je pośpiesznie do domu. Tymczasem człowiek z blizną znikł. Jego kolega był na szczęście mniej szorstki. Można było z nim nawet trochę porozmawiać. — W drodze jest transport amunicji — powiedział. Czy Paavali wie, co to za miejscowość Villila? W każdym razie coś w tym rodzaju!

— Możesz poprowadzić ten transport, gdyby przypadkiem nadszedł, jak ja będę w Tahmeli. Moja siostra jest tam gospodynią u pewnego pana nazwiskiem Jakobson. Może go znasz?

— Owszem, znam go, trochę.

— Pierwszorzędny gość, co?

— Może i tak. Zbyt dobrze go nie znam.

— W każdym razie to nasz człowiek, choć z tych pasi-brzuchów.

— Może i tak, zwłaszcza że...

— Że co?

— Że się jest trochę jego krewnym!

— Coś chciał przez to powiedzieć?

— Pomyślałem sobie tylko, że o kolorze Jakobsona nikt właściwie nie wie dokładnie, taki sobie malarz pokojowy. Handluje też nieruchomościami, jest agentem ubezpieczeń i Bóg jeden wie czym jeszcze. Poza tym trudni się nielegalną sprzedażą wódki!

— Tam do licha! Wódki! Znasz drogę do Villila? Zostań tu w takim razie, a ja wyruszam!

Paavali został sam. Dla zbitcia czasu dołożył dwa razy do pieca i wyszedł na gościniec, aby się trochę rozejrzeć, co się tam dzieje. Nigdzie ani śladu transportu. Ze zбочa dochodził od czasu do czasu huk strzałów, a kiszki grały marsza.

Było już ciemno, kiedy Paavali odważył się w końcu opuścić swój posterunek. Zaszedł do remizy. Tam też nie było ani żywego ducha. Znalazł jednak chleb i śledzie. Zabrał się do jedzenia, popijając każdy kęs lodowatą wodą. Cały bochenek chleba i dwa marynowane śledzie znikły bez śladu. Potem rozłożył swoje wielkie chude ciało na łóżku dyżurnego oficera. Gdzie się ten młodzik teraz podziewa! Niech sobie będzie gdzie chce, sam chyba wie, co robić! Matka, ojciec, Jussi, Elina, Lempi... Może Lempi też się schroniła do papierni? Właściwie trzeba by tam pójść, tylko czy funkcjonariuszowi sztabowemu przystoi zajmować się miłostkami?

Funkcjonariusz sztabowy zasnął.

Obudził się o świcie i na początek wypił potężny haust wody. Ogarnęło go przemożne pragnienie. Wyszedł, wrócił, wziął koc pod pachę i znowu wyszedł... Co za baran z niego, jak z resztą i z pozostałych przedstawicieli sztabu, straży pożarnej i wszelkich innych przedstawicieli! Niechby sami nażarli się solonych śledzi i wyżłopali wszystkie studnie do sucha! Paavali poszedł gościńcem do miasta. Stawiał wielkie kroki, jak człowiek, który ma wiele kierunków do wyboru. Nie był przecież niewolnikiem, lecz wolnym człowiekiem, który może iść, dokąd zapagnie. Co sobie ten drab z bliźną myśli! Niech będzie czym mu się żywnie podoba!

Granicę miasta miał już poza sobą, a jeszcze nikogo nie spotkał. Aż nagle... „Ręce do góry!” — usłyszał skądś z wysoka. Przystanął. Co to ma znaczyć?

— Ręce do góry! —• usłyszał raz jeszcze.

— To przecież Rusek. Nie rozumie ani słowa. Może lepiej załatwić go od razu? — odezwał się inny głos.

Wówczas Paavali podniósł jedną rękę do góry.

— W drugiej masz pewnie bombę i nie chcesz ryzykować? — Paavali upuścił koc i podniósł drugą rękę.

— Chodź no tu!

Paavali podszedł. Nie śmiał już myśleć, co to znaczy. Po prostu szedł. Jak w gorączce. Każdy krok był potężnym przeżyciem. A więc tak wyglądała przebyta droga. Takie to było życie. Było! Paavali nie potrafił już nawet zapłakać.

Uszedł ze trzydzieści metrów, gdy z gościńca zawołano:

— Niech idzie do kopalni piasku, tam gromadzi się wszystkich tych drabów!

— Prędej, chłopie, biegiem! Do kopalni! Przeklęty idioto! Nie umiesz biegać!

Paavali ani się obejrzał, jak znalazł się znowu na gościńcu. Oficer, na koniu, pokazywał swoją wielką rękawicą w kierunku miasta. Paavali szedł jak zapakowany w worek. Jak kociak, którego gdzieś poniosą — do stawu, do jeziora, do rynsztoka...

Nie opodal kopalni stał szereg jeńców. Paavali dołączył do nich nie czekając na rozkaz, ruszyli długim węzłem.

Jak potworna stonoga lub raczej jak bezwolna kupa mięsa popęzli aż na sam rynek miasta, gdzie mieszały się z podobnymi stonogami, a wciąż jeszcze napływały nowe tłumy. Karabiny maszynowe czekały gotowe do strzału. Rzeź miała się rozpocząć, jak mówiono, dopiero gdy rynek wypełni się aż do ostatniego miejsca. Wartownicy nawet nie próbowali przeczyć tej pięknej pogłosce, w taki to sposób pewien myślący stolarz doszedł do przekonania, że przestrzeń i czas to zupełnie to samo.

— Im więcej nas się tu zmieści, tym dłużej będzie nam wolno żyć — powiedział. — Towarzysze, jeśli chcecie ujść przed gniewem Pana i przed ogniem piekielnym i uzyskać wieczną łaskę, bądźcie jako te pchły małe albo wnijdźcie jeden w drugiego jako ten cień wtapia się w cień. Zaprawdę, o bracia, ktokolwiek mnie miłuje, niech ulotni się w powietrze jak dym.

Stolarz ten nazywał się Joosua. Paavali nie miał na to czasu, aby go zapytać, skąd wziął to imię, czy przypadkiem nie na pamiątkę świętego czy poganina, jedno było pewne, że Joosua uważał je za swą wyłączną własność. Nieco później w obozie jenieckim na Kalewie zajmował sąsiednią pryczę, a jego wrzód żołądka uratował Paavalego od śmierci głodowej. Paavali dzięki temu prawie regularnie zjadał dwie porcje, a wieczną tajemnicą pozostało, jak Joosua mógł

utrzymać się przy życiu przez te siedem miesięcy niewoli. Ponadto stolarz twierdził, że czas ten stanowił dlań szczególnie cenny wyższy kurs socjologii! Obyło się przy tym bez czytania książek.

Joosua przeszedł już niejedno. W jego towarzystwie nie można się było nudzić. „Wszystkiemu winien mój chory żołądek”, zwykł mawiać. Joosua ciągle musiał wymyślić coś nowego, aby nie obrzydło mu to marne życie, z najdrobniejszego, nie dopowiedzianego do końca słówka potrafił snuć najfantastyczniejsze myśli. A miało to swój powód: Joosua był tak leniwy, że wolał gadać niż pracować.

Joosua wypowiadał swoje refleksje, podczas gdy Paavali obgryzał śledzia, którego dostał od wartownika. Była to bowiem pora obiadowa. Mocno przesolony kawałek śledzia zastępował obiad i kolację, a nie wszyscy jeńcy mieli szczęście otrzymać taką porcję.

— Królewskie żarcie. Delikatesy dla wyższych sfer. Świnie tego nie jedzą, a psy nie lubią. Siedź to stworzenie wodne, a ja z dwojga złego wolę znosić głód niż pragnienie.

Paavali jadł. Zjadł obie porcje. Nie opodal płynęła przecież Tammera. Ale czy fakt ten mógł zaspokoić pragnienie, gdy nie pozwolono pić! Toteż Paavali z wolna doszedł do wniosku, że Joosua wcale nie jest taki głupi. Wprawdzie mówi się o mózgu, ale co za bzdura! Rozum mieści się przecież w żołądku, a zwłaszcza w chorym żołądku. „Kto w takich warunkach nie zachoruje? Chyba tylko ten, kto nigdy nie był naprawdę zdrow” — powiedział kiedyś Joosua, gdy biegunka zbierała śmiertelne żniwo w obozie. Tylko jego jednego jakoś omijała. A co zdrowym po rozsądku — padali jak muchy.

Połowę połowy, a więc czwartą część zebranego na placu tłumu odesłano wieczorem do kościoła św. Jana. Głodni, spragnieni i na wpół zamarznięci ludzie odeszli. Pozostali opierali się wyczerpaniu aż w końcu, gdy kolana dłużej nie wytrzymały, osuwali się pokotem na lodowaty bruk.

Paavali i Joosua należeli do tych, którym pozwolono spędzić noc w kościele. Tam nie było specjalnie wygodnie, bo było ciasno jak nigdy przedtem i jak, miejmy nadzieję,

nigdy potem. Wartownicy wypełniali swój obowiązek jak najskrupulatniej. Jeśli w kościele były przeciągi, to nie z ich winy, gdyż nie otwierali żadnych drzwi. Rezultat był łatwy do przewidzenia. Wielki Boże, jakież smród w Twoim przybytku! Czy umorusany jeniec także stworzony jest na obraz i podobieństwo Twoje? A wartownicy? Zbawicielu, sam wiesz najlepiej, jak zbawiać.

Zgromadziła się tu cała ewangelicko-luterańska parafia Tampere, brakowało tylko proboszcza. Nawet Józefina przyszła z dziećmiakami z Pispali. Taki szmat drogi! Znalazła schronienie w wielkim świętym, kamiennym gmachu, poświęconym pokojowi, miłości bliźniego, na chwałę dobra i piękna. Twarda ławka kościelna długości niespełna czterech metrów stanowiła życiową przestrzeń całej rodziny. Jak tu żyć? Prowiant się skończył, a kazalnica pusta. Modlili się? A może objawiał się za ich pośrednictwem Duch Święty. W każdym razie z warg Józefiny wymykał się od czasu do czasu świszczący szmer modlitwy. Dzieci raz po raz budziły się z płaczem. W jakimś kącie ktoś chrapał, w innym migotał blask świecy. Najprzeróżniejsze części odzieży zwisały ze sznura przywiązanego do kościelnego filara. Sylvi i Kalle leżeli wyciągnięci na ławce, zwróceniem stopami do siebie. Elina i Einari drzemali na siedząco, podtrzymując małego Erkkiego, ułożonego na ich kolanach. Jussi miał osobne miejsce. Za pościel służyła mu bluzka Józefiny. Już nie płakał. Leżał raz na ławce, raz na kolanach matki, która próbowała dać mu piersi, skoro nie mogła dać mu nic innego. Jussi przywarł gorącym policzkiem do nagiej piersi matki i wsłuchiwał się w stuk jej serca, które biło jak czarodziejski bęben, jego huk potężniał, aż w końcu zdawał się brzmieć wszędzie. Dziecko usnęło. Józefina tuliła maleństwo do piersi i modliła się:

— Niech ssie, niech ssie! Daj, Jezu Chryste!

W środku nocy obudziła się Sylvi i usiadła na posłaniu.

— Mamo — szepnęła -^- muszę 'wyjść!

— Kochane, drogie maleństwo ssie! — Była jak nieprzy-

tomna. Sylvi zaczęła płakać. — Nie płacz — uspokajała ją Józefina — niedługo wrócimy do domu.

Na szczęście obudził się i Kalle. Trzymając się za ręce wyruszyli oboje na poszukiwanie drzwi. Długo błądzili po omacku. Wreszcie udało się im wyjść na powietrze. Chłopiec załatwił się szybko, dziewczynka nie mogła sobie poradzić z guzikami. Postąpiła kilka kroków i przewróciła się.

— Co to jest? — rozległ się jej cienki głosik.

— To zabity koń — stwierdził Kalle.

Wtedy Sylvi zaczęła wrzeszczeć na całe gardło.

— Nie chcę, nie chcę, wracajmy! — krzychała czepiając się ramienia brata.

Wrócili do kościoła. Właśnie pchali ciężkie podwoje, gdy na dworze huknęły dwa strzały pomiędzy rzędami opuszczonych domów. Br! Straszna historia. Wsunęli się do kościoła. Raptem poczuli się jak w grobie. I znowu trzymając się za ręce błakali się po kościele. Wreszcie potknęli się o jakieś schodki, weszli na podest, po omacku dotarli pod ścianę, Kalle rzekł:

— Tutaj możesz...!

Stali przed ołtarzem, lecz Pan skrył ich w ciemności. Wreszcie światło poranka rozjaśniło kościół. Józefinę obudził krzyk jakiejś staruszki:

— Na miłość boską, ta kobieta daje piersi martwemu dziecku!

Miasto Tampere przechodziło z rąk do rąk. Liczne rodziny „wyzwoliły się” spod opieki swych żywicieli. Zgliszcza domów wciąż się jeszcze tliły, nad całymi dzielnicami unosił się dym. Dookoła leżały trupy, które kiedyś były ludźmi lub końmi. Pojedynczych czerwogwardzistów wynajdywano jeszcze niekiedy na strychu, w piwnicy czy w ubikacji. Zdarzało się, że ktoś zakradał się w nocy do kościoła, szukając schronienia pod ławką u boku żony i dzieci. Trwały lak zwane akcje oczyszczające. Nie ustawały rozstrzeliwania.

Ale sąsiadująca z Tampere czerwona osada pispalska jeszcze nie została „uwolniona” od wolności, jeszcze powiewał tam inny sztandar, jeszcze rozprawiano się z tymi, którzy

nim gardzą. Działo się tak dlatego, że miasto Tampere zostało zdobyte od wschodniej strony. W przeciwnym razie najpierw „wyzwolono” by Pispalę. Prawdopodobnie tak by się rzeczy miały, gdyby nie fakt, że Czerwona Gwardia pis-palska w swej genialnej głupocie utworzyła front przeciwko białym, co przyspieszyło upadek Tampere. A więc pispalscy mężowie tworzyli historię, nadając sprawom właściwą kolejność.

Na najdalszym cyplu wyżyny Lielhti, który za Wielkim Tohloppi wżyna się w jezioro, Iisakki Nieminen leżał na brzuchu obok opuszczonych sanek, na tle pięknego krajobrazu, a strzały równie pięknie huczały w całej okolicy. Jego karabin był najbardziej wysuniętym punktem oporu lewego skrzydła obrońców Pispali. Iisakki zajmował więc niesłychanie ważną pozycję. Lufę karabinu skierował na zabudowania garbarni na przeciwległym brzegu jeziora. Celował uważnie, choć znał tę okolicę aż do obrzydzenia i choć nic nie nasunęło mu się pod muszkę. Żołnierz na jego miejscu może by się zdrzemnął lub wstał, żeby rozprostować nogi, ale Iisakki uparcie trwał na posterunku — był robotnikiem. A zresztą nie miał nic innego do roboty, jak leżeć i przebijać się wzrokiem przez gąszcz, i mierzyć. Takiej lekkiej pracy nigdy jeszcze nie miał. Wprawdzie już dawno miał ochotę stąd pójść, bo takie pańskie zajęcia wcale nie było w jego guście. O wiele chętniej zająłby się budową domów, w pocie czoła, choćby wśród przekleństw. Do przykrych stron żołnierskiego zawodu należy właśnie to, że nie ma niczego do roboty, jak tylko egzystować z godziny na godzinę, z dnia na dzień, intensywnie przeżywając każdą sekundę. Robotnicy skarżą się na to, że muszą wciąż robić i nigdy nie wolno im usiąść beczynnie. Gdyby zbadać tę sprawę bliżej, okazałoby się, że zarówno żołnierz jak robotnik obaj nienawidzą regulaminu, którego muszą się trzymać. Bo i dlaczego, do licha, człowiek musi być zawsze komuś posłuszny. Dlaczego? Dlatego wszystko, od posiłku począwszy, na wyjściu do latryny skończywszy, musi być wyko-

nywane przymusowo? Dlaczego nie można po prostu przestać oddychać, kiedy się nie ma ochoty?

Nareszcie lisakki miał dosyć czasu na rozmyślanie. Zapalił papierosa. A wtedy usłyszał za sobą głos:

— Kto, do diabła, celuje jeszcze w tę stronę, gdy całe Tampere dawno już skapitulowało?

— Jak? Co takiego?

— ■ Lećcie na gościniec! Karabin możecie zostawić, żeby przypadkiem nie wypalił, w razie gdybyście się przewrócili.

Niemożliwe! Czy to przypadkiem... Tak, to on, Jussi Kor-pela, brat Roopego. Z pistoletem w rękę i wystrojony jak prawdziwy oficer. A więc to tak wyglądają biali strzelcy? lisakki wstał i spojrzął groźnie, tak groźnie jak to możliwe na odległość dziesięciu kroków. Ciągle jeszcze trzymał w rękę karabin, ale nie przyszło mu do głowy, że można nim uśmiercić człowieka.

— Dzień dobry! — rzekł lisakki.

— Dzień dobry!

— A coś ty za jeden?

— Połóżcie karabin i idźcie do zagrody Mutka-Heikkinena na tamtej stronie.

— A więc to tak?

— Tak, nie inaczej.

lisakki badał wzrokiem gościniec.

— Czy twoja matka też już tam jest?

— Człowieku, ogłuchłeś do diabła. Jazda stąd, bo...

— Co, strzelisz?

— Oddajcie mi karabin i ładownicę i będzie po strachu!

— A więc już do tego doszło! — lisakki wręczył Korpeli swój rysz tunek i zaczął się oddalać z czerwoną opaską na ramieniu.

— Zerwijcie tę szmatę!

— Opaska może zostać, nie wypali, w razie gdybym się przewrócił.

Główny trzon oddziału już odmaszerował. Stało tam zaledwie kilku spóźnialskich. Bo i do czego mieli się śpieszyć, zwłaszcza teraz, gdy droga wiodła do obozu jeńców albo na cmentarz? Veli Makinen znalazł tak dobrą kryjówkę, że wołał się wcale nie zgłaszać. Ukrywających się rozstrzeliwano od razu bez sądu. Niewinni nie mają wszakże potrzeby się ukrywać. Sami mordercy i bandyci, uważano. Toteż lepiej nie włożyć nikomu w oczy. „Człowieku, sam.sobie dół kopiesz!” — wołano do Iisakkiego. A co? Miał może trząść portkami ze strachu? Nie. Co ma być, to będzie.

— Prędzej, prędzej! W dwuszeregu — naprzód — marsz! Do remizy i za ogrodzenie!

— Dzień dobry! — skłonił się Iisakkiemu stojący przy bramie Jakobsson. Jak wszyscy biali miał gałązkę choiny przy kapeluszu. Patrzcie go! — pomyślał Iisakki. Teraz możesz się spokojnie zastanowić, skąd się tu wziąłeś. Pomyśl tylko.

— Wszystko to jedno wielkie gówno — rzekł Jooseppi.

Wieczorem jacyś ludzie zjawili się po drugiej stronie parkanu. Jakobson oczywiście również. Panowie ci zajęci byli jakąś ważną rozmową. Trzeba było jak najrychlej uruchomić kosztowne maszyny, by zapewnić dostatni i długi żywot kochanej Ojczyźnie.

Jak to szlachetnie troszczyć się o wspólne dobro całego narodu, zwłaszcza gdy przynosi to niezły zysk i zaszczyty, jakkolwiek rzadziej zdobywa ludzką wdzięczność. Panowie ci odeszli. Znowu minęło kilka ciężkich godzin. Głód wzmagił się, nogi odmawiały posłuszeństwa.

Wreszcie zaczął się ruch. Otwarto bramę. Właściciel folwarku Rantala wkroczył w towarzystwie kilku uzbrojonych parobków.

— Sta-a-ać! Zatrzymać się! — zakomenderował i wyciągnął z kieszeni marynarki jakąś kartkę papieru. Do diabła, co to ma znaczyć, co się tu dzieje? Rantala poprawił na nosie okulary. — W tył zwrot! Do nogi — broń! —■ padła komenda. Raz jeszcze rzucił okiem na swoje papiery, spój-

rzał na jeńców i czytał świszczącym głosem: — Kto nie może chodzić? Kto nie może biegać? Kto nie może biegać? — powtórzył pytanie, zdjął z nosa okulary. Żeby choć jeden jeniec! Eemeli Makinen cierpiał wprawdzie na rupturę, ale nawet on nie był na tyle głupi, żeby się zgłaszać dobrowolnie na rozstrzelanie. Bo po co ta cała ceremonia? Nieminen z Naskali miał w nodze kulę, której mu jeszcze nie wyjęto, ale i on milczał. Nie warto zwracać na siebie uwagi. Oddział to zawsze coś innego i dopóki się w nim tkwi, jest człowiek jakoś zabezpieczony. Rantala jeszcze raz poprawił okulary i czytał dalej:

— ... Ślusarz Virtanen, Vaino! Vaino Virtanen!

Virtanen stał w pierwszym szeregu. Nie miał się gdzie schować.

— Pod mur! — rozkazał Rantala. Virtanen poszedł. Wyglądał na człowieka, który nie lubił żartów. Rantala na wszelki wypadek obejrzał się na swoją obstawę.

— Nieminen Iisakki, cieśla! Iisakki Nieminen! No, Nieminen, pod mur! Ogluchłeś czy co?

— Jestem robotnikiem budowlanym — rzekł Iisakki.

— Robotnik czy cieśla, jazda pod mur! Szczegóły możemy sobie teraz darować.

Ponad tuzin jeńców trafiło tym sposobem do remizy. Pozostali jeszcze tego samego wieczora zostali umieszczeni w obozie na pustkowiu. Poszedł tam też Nieminen z Narkali i wszelki ślad po nim zaginął.

Braciom Makinen pozwolono zostać w Pispali, toteż Jooseppi mógł znowu zająć swoje dawne miejsce przy piecu w świetlicy. W najdalszym kącie sali jęczało dwóch ciężko rannych, trzeci chyba nawet już nie żył.

Rano przyniesiono jeńcom śniadanie. Dla każdego po jednym marynowanym śledziu. Na obiad podano również po śledziu i manierkę mętnego płynu, w którym pływało kilka okruchów chleba. Pozwolono też pić do woli wodę ze studni. Mimo to Jooseppi był niezadowolony. Musiałby najpierw umrzeć raz z głodu, a potem drugi raz z pragnienia, dopiero wtedy przestałby kłąć.

W końcu sprawa się wyjaśniła. Ślusarz Vaino Yirtanen

marsz do Rantali! Eskortował go uzbrojony strażnik. „Teraz już koniec ze ślusarką” — orzekł brukarz Jarvinen.

Minęła godzina, może dwie. Ten sam strażnik zjawił się ponownie w drzwiach. „Teraz na mnie kolej”, pomyślał Iisakki.

— Brukarz Vihtori Jarvinen! — padł rozkaz. — Do Rantali.

Nawet Jooseppi nie zdążył wypowiedzieć swego komentarza. Czekali w milczeniu.

I znów otworzyły się drzwi. O dziwo, tym razem inny wartownik pojawił się w drzwiach! A może tym razem nie zabierze nikogo? Może przyszedł tylko w odwiedzinach? A może przyniósł bochenek chleba dla kogoś, kto miał jeszcze całe buty, zegarek albo pierścione? Byli bowiem i tacy, co posiadali kiedyś takie rzeczy. Lecz nie, i ten strażnik przyszedł po kogoś.

— Który z was jest cieśla Nieminen?

— Innego Nieminena oprócz mnie chyba tu nie ma.

— Chodźcie za mną.

Iisakki poszedł. Wydawało mu się, że ma do czynienia z człowiekiem. Poprzedni konwojent robił wrażenie egzekucyjnej maszyny, ten mógł z powodzeniem uchodzić za coś w rodzaju stojaka na karabin, i to raczej przypadkowego.

Wspólnie udali się do zagrody Rantali, ale nie gęsiego jak bydło i pastuch, lecz obok siebie, a nawet ten z karabinem szedł trochę z przodu.

Iisakki znał drogę nie gorzej od swego konwojenta, tamten był tylko, jeśli można się tak wyrazić, urzędowym towarzyszem podróży. Przy furtce rozegrała się drobna, niemal komiczna scenka, bo żaden z nich nie chciał wejść pierwszy, a furtka była za wąska na dwóch. Cieśla to przecież fachowiec, a nie jakiś tam obieżyświat. W końcu człowiek z karabinem wziął się w garść i wkroczył na czele dwuosobowego oddziału. W tym samym porządku minęli podwórze i weszli do domu. Konwojent otworzył drzwi sieni i zapukał.

— We-ejść! — rozległ się jakiś głos.

— Ach... tak. Nieminen.

— Ależ nie, to wy jesteście Nieminen? Wynoście się. Za wołajcie tego drugiego Nieminen! Albo nie, usiądźcie w sieni i poczekajcie, aż was zawezwą.

Był to głos Jussi Korpeii.

— Czapka z głowy!

Iisakki zdjął czapkę.

— ■ Czy jesteście cieślą, Iisakkim Nieminenem, zamieszkałym w Pispali, powiat Pirkkala? — zapytał gospodarz, zajmujący miejsce na końcu stołu.

Po co go ten człowiek tak długo wypytuje, przecież dobrze go zna! Poza tym Iisakki nie jest cieślą, a urodził się w powiecie Virrat, tak przynajmniej uważał jego świętej pamięci ojciec. Imię i nazwisko zgadzały się i chyba nic się w tym zakresie nie zmieni.

— A jakże, dużo się może jeszcze zmienić, jeśli nie okażecie należytego respektu w obliczu wyższej instancji! Zapamiętajcie sobie! A więc: Cieśla Iisakki Nieminen, zamieszkały w Pispali, urodzony w Ruoosi lub dokładniej Virrat, tak, urodzony w Virrat, w roku...? Odpowiadajcie do diabła!

— Tak, to prawda.

— Jezus Maria! Nie potraficie powiedzieć, w którym roku przyszliście na ten piękny świat?

Iisakki podał datę urodzenia i pisarz zapisał ją w protokóle. Przewodniczący mechanicznie stawiał pytania, nie bacząc na fakt, że za każdym razem przesłuchiowano inną osobę, chociaż niby był to zawsze ktoś z czerwonych. Stopniowo śledztwo przybrało jednak nieco bardziej zwięzłą formę i w przypadku Iisakkiego trwało nie więcej niż pół godziny. Był na froncie i kilka razy strzelał przed siebie, może nawet w coś trafił, ale w co, tego nie wiedział. Gdy zapytano go o sprzęt ciesielski, odpowiedział, że owszem, posiada takie rzeczy. No, dobrze. Czy może ktoś z członków wysokiego sądu ma jeszcze jakieś pytanie? Nikt? Podsądny może więc odejść, a raczej musi wyjść i poczekać na ogłoszenie wyroku.

W tak krótkim czasie nie mogło być mowy o nudzeniu się. Wreszcie postawiono Iisakkiemu w pewnym sensie zasadnicze pytanie:

— Czy po raz drugi wstąpiłobyście do Czerwonej Gwardii?

— A co, czy już się coś szykuje?

Jussi Korpela zacisnął zęby, lecz po chwili roześmiał się tym swobodnie. Dostojne kolegium roześmiało się również. Również i ławnik Rantała zachichotał po swojemu, po czym zapytał donośnym szeptem:

— Co on powiedział?

Iisakkiemu nie było do śmiechu, stał spokojnie i patrzył przed siebie. Widać był naiwniakiem najprymitywniejszego gatunku, zbyt głupim, żeby rozumieć sens własnych słów. Przewodniczący czytał na głos:

— Czy zatrzymanie aresztanta w obozie należy uznać za celowe, po stwierdzeniu, że ten tylko na skutek braku rozeznania i niedostatecznej inteligencji brał udział w szkodliwej dla kraju działalności? Czy raczej należy się przychylić do wniosku o zwolnienie cieśli Iisakkiego Nieminena, nakazując mu jednocześnie, aby się nie oddalał poza obręb osady Pispala i nocą nie opuszczał domu, i aby w ciągu dnia pod dozorem budowniczego Jakobssona wykonywał pożyteczne prace, wskazane mu u rzezonego budowniczego, który za niego poręczył. Czy wobec tego orzec, że Nieminen, jeśli nie zaistnieją inne okoliczności dodatkowe, zostaje zwolniony z zarzutu przestępstw wobec ojczyzny?

— Co on mówi?

— Pyta, czy pozwolimy mu znowu żyć z jego starą.

— Tak, taaak! — rzekł stary Rantała. W takim razie sprawa jest jasna.

A więc u Iisakkiego wszystko skończyło się na strachu. Tak mniej więcej wyobrażał to sobie z góry. Właściwie to trochę dziwne, iż w chaosie tej wojny był mocno przekonany, że jakoś przeżyje, choć wojna nie jest niby najlepszą metodą na przedłużanie ludzkiego życia. Wydaje się, że wiara ta ocali go i odsunie śmierć na później, dzięki temu Iisakki miał nadal żyć i filozofować, nie tracić nadziei i przewidywać jakieś niewiadome jutro, choć tymczasem cała Europa pogrążała się w zupełnym chaosie. A może Czerwona Gwardia dlatego przegrała, że nie miała tak silnej wiary?

Wiara lisackiego w każdym razie dotyczyła jedynie spraw, które odnosiły się do niego bezpośrednio. A jak to jest u białych? Jak to jest z ich wiarą? Bo przecież w końcu wygrali?

Nie wiadomo. Jedno jest pewne: życie obszarników, dyrektorów i im podobnych zależy od energii i ochoty ich podwładnych. Być może z ojca na syna i z syna na wnuka przechodziła umiejętność myślenia o swoim własnym interesie? Przecież to całe rody. A towarzystwa akcyjne, fabryki, dywidendy? Były to więzy znacznie silniejsze niż towarzystwa spółdzielcze i związki zawodowe.

W Białej Gwardii było też niemało wiejskich parobków, a na dobrą sprawę oprócz nich w ogóle nikogo tam nie było widać. Taki Jussi Korpela na przykład, po prostu zwykły nierób. Zresztą to zupełnie osobliwy przypadek. Czy zwolnienie lisackiego to jego zasługa? Zwolnienie! Jeszcze jedno puste słowo. Prawdopodobnie Jussi nie miał nic przeciwko Lisakkiemu, a to już coś. Może stwierdził, że Lisakki to kretyn, co zresztą było zgodne z prawdą. A niech to wszyscy diabli! Bo czy rozsądny chłop zgodziłby się na łatanie przez całe swoje życie wszelkich możliwych dziur w fabryce, i to za psi grosz niewykwalifikowanego robotnika, jak gdyby na tej fabryce świat się kończył? Nie. Każdy rozsądny człowiek podziękowałby za takie zajęcie. Właśnie na tym chyba polega los parobków i wyrobników, że nie mają dość sprytu i że nie potrafią sprawdzić na mapie świata, czy i gdzie leży folwark, który czeka na ich sprawne ręce.

Tępotą była jedyną cnotą robotnika i na tej glebie można było siać, co się komu żywnie podoba. Lęk przed Panem jest początkiem wszelkiej mądrości — czy to nie było jej wspaniałe ziarno? Pan i Pan, Bóg i Bóg — iluż ich jest w ogóle? Nie požądaj mienia bliźniego twego, nie naruszaj ustalonego porządku, aby mógł trwać wiecznie dla dobra twego i bliźnich twoich! Nie narzekaj, przyjmuj los swój z pokorą, a będzie ci wynagrodzone w niebiesiech!

Lisakki nie posiadał się z radości, że wolno mu będzie

wrócić do swego własnoręcznie wzniesionego domu. Co tam zastanie? Może będzie tam zimno i glucho jak w trupiarni? Nie, Józefina zawsze potrafiła się zakrzętać! Przed domem Haapanenów stała pani Haapanen.

— Na miłość boską, czy mi się przywidziało, czy to żywy człowiek? Nieminen żyw i cały! Dobry wieczór! Coś takiego! Jeszcze was nie rozwalili, ale pewnie tu po was przyjdą. Naszego starego też zabrali, a mówiłam: „Nie wychodź na szosę, popatrz tylko, jak maszerują”. Jeśli go kiedy jeszcze w ogóle ujrę, powiem mu: „Masz to, na co zasłużyłeś”. Wasz Paavali też maczał w tym palce i też już nie wróci. Mówiłam waszej starej, jak poszłam obejrzeć zwłoki.

— Jakie zwłoki?

— Ach, Boże, Boże! A więc jeszcze nie wiecie! No, bo skądże...! Ale co tu wiele gadać, zaraz sami zobaczycie, jak pójdziecie do szopy. Piękne zwłoki, naprawdę. Jak anioł z nieba! Najlepiej powieście go pod dachem, żeby szczury i koty się do niego nie dobrały, bo rozniosą wnętrzności po ulicy!

Wciąż jeszcze gadała i gadała, ale lisakki już nie słuchał, poszedł dalej.

Dopiero Józefina się ucieszy, kiedy lisakki się nagle zjawi. Aha!

— Nie widziałeś Einarego?

— Nie.

— Wielki Boże, gdzie się zawieruszył! Wysłałam go, żeby się czegoś dowiedział o tobie. Kalle, skocz po niego! Erkki, ustąp ojcu miejsca przy stole!

lisakki wziął swoją najmłodszą latorośl na kolana. Malec był całkiem speszony. Najwyraźniej nie wiedział nawet, na czyich kolanach siedzi. Nieśmiało patrzył w górę na zarośniętego pana. Jeszcze w środku nocy, przyjrząwszy się chrapiącemu obok niego brodaczkowi, spytał:

— Mamo, kto to? — a trochę później dodał: — Tata chrapie śłośno, ale nie jest zły!

Sylvi, przytrzymując się stołu, ostrożnie podeszła do ojca, wpatrzona weń nieśmiało, szeroko otwartymi oczyma.

— Erkki — powiedziała Józefina — zapomniałaś już, co chciałaś podarować tatusiowi?

Iisakki postawił malca na podłodze i wziął na kolana Sylvi.

— Mamo, tata Rusek! — szepnął cichutko Erkki. Poszedł do sypialni jak do jakiego skarbcza, po chwili położył swoją piąstkę na dłoni ojca: — Masz jajeczko i jeszcze jedno jajeczko!

— A kto cię tego nauczył? Powiedz tatusiowi.

— Pan w kocie.

— Powiedz: Pan w kościele — pouczyła go Sylvi.

— Pan w kocie.

— Schroniliśmy się w przyfabrycznym kościele na czas strzelaniny — wyjaśniła Józefina — a tam była taka para starszków. Starszek wkładał do rączki Erkkiego rodzynki, kiedy piekli ciasto, i mówił: „Jeszcze jedno jajeczko!” Dzieci mówiły na niego kościelny pan. To był chyba zakrystian.

— Nie, to był kościelny pan. Sama go o to zapytałam i tak mi odpowiedział — przerwała SyM.

— Kodeiny pan.

— A Erkki — opowiadał dalej Józefinie — odłożył od razu dwie rodzynki na bok, potem włożył mi je do kieszeni fartucha i powiedział: „To dla tatusia, nie wolno mi ich zjeść!” Potem co wieczór sobie o tym przypominał i pytał: „Czy tatuś przyjdzie, jak jeszcze raz pościelimy łóżeczka?”

— Czy mogę dać te rodzynki Sylvi? — zapytał Iisakki.

— Taak.

— A co zrobić z resztą? Czy ty je zjesz?

— Taak!

— Pogryź dobrze! — radziła Sylvi, ale w buzi Erkkiego nic już nie było, tylko dwa błyszczące rzędy ząbków i mały czerwony języczek.

— Słuchaj, nie trzymaj tak stale rozdziawionej buzi!

— Tatusiu, a czy się od tego umiera?

— Hm, zdaje się, że to zależy, ale teraz nie nudź. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Józefina przez cały czas była pewna, że Iisakki dowiedział się już tego, co powinien był wiedzieć.

— No, jedź! — mówiła. — Zaraz będą ziemniaki. Ach, od kilku dni coś się ze mną dzieje. Nic mi się nie udaje. A wy, kładźcie się wreszcie do łóżka, tylko nie zdejmujcie portek, żebyście się nie przeziębili! Ojej! Zapomniałam po dać ci talerz!

Tymczasem mały Erkki odwalił z drogi najcięższy kamień.

— Jussi umarł, mały Jussi nie żyje! — tyle akurat zdołał jeszcze wypowiedzieć wyraźnie, bo reszta utonęła w ogólnym szlochu. W drzwiach sypialni ukazała się zapłakana Elina w długiej nocnej koszuli. Sama wprawdzie najmniej wiedziała, dlaczego płacze. Może na widok ojca, a może po prostu z radości, jaką przynosił jej sam płacz?

— Gdyby Jussi był teraz wśród nas! — rzekła Józefina. Lecz wywołało to taką kaskadę łez, że następne ich fale stały się mniej bolesne.

Ale gdzie się podział Paavali? Czy Józefina wie cokolwiek o plotkach pani Haapanen? Owszem! Wdowa po Limbergu, która też pracowała w fabryce bawełny, widziała Paavalego w gromadzie jeńców, jak szedł z kościoła Św. Jana do dawnych rosyjskich koszar na błoniach Kale-vy. „Zapnij się, człowieku! Dziś niedziela” — wołał właśnie do Paavalego jeden ze strażników, gdy ją mijali strażnicy. Wykrzykiwali coś tam jeszcze. Nie wiadomo, o co to szło. Miała nadzieję, że chłopak nie naraził się strażnikom.

Iisakki próbował wytłumaczyć to po swojemu. On sam też nie orientował się dokładnie, jak wygląda życie w wielkim obozie jenieckim dla czerwonogwardzistów, ale co by to pomogło Paavalemu, gdyby Józefina padła teraz martwa z przerażenia! Chłopiec wkrótce powróci do domu zdrow i cały, w każdym razie tak sądzili rodzice.

W jaki sposób Józefina wpadła na pomysł, żeby przewidywać termin powrotu Iisakkiego? Czyżby znów miała

jakiś dziwny sen, któremu przypisała prorocze znaczenie? Naturalnie miała znów jakieś sny, i to takie straszne, że nie odważyła się nawet zajrzeć do sennika, a tym bardziej nie miała zamiaru opowiadać o nich Iisakkiemu! Kto wie, co by się wtedy stało? Choćby być może uniknęłoby się niejednego.

Józefina straciła już jednak zaufanie do przeczuć, proroczych znaków i przewidywań. Właśnie te złowróżbne sny dodawały jej sił i pewności siebie. Nie należała do ludzi, którzy z założonymi beczynnymi rękami zwykli czekać na spełnienie ponurego losu, próbowała wpłynąć na bieg wydarzeń.

Wdowa po Limbergu, dawna Emma Heinonen, powtórzyła jej słowa inżyniera z ich działu, że tkalnia wkrótce będzie pracować na pełnych obrotach, jeśli tylko uda się znaleźć dostateczną ilość robotników. Bo zapasy starczą zaledwie na dwa tygodnie, a jest ogromny popyt na bandaże.

Józefina na złamanie karku popędziła do inżyniera.

— Lepiej byś poszła do majstra z warsztatu remontowego — powiedział Iisakki.

— U niego też byłam. Myślisz, że mnie lepiej potraktował? Pytał, czy byłeś ranny. Postrzelili go w lewe ramię, mówię, ale rana już się zagoiła, tak że już może pracować. Bo i tak przecież jest. Zaraz zmiarkowałam, że plotę głupstwa, ale było za późno. Zaklinałam się na wszystkie świętości, że nie ranili cię na froncie, tylko tu na jeziorze w czasie ćwiczeń strzeleckich, i że to nie twoja wina. Nic nie pomogło. Nawet dla Paavalego nie chciał mi napisać skierowania.

W powrotnej drodze Józefina spotkała Jakobssona i wylała przed nim całą gorycz swego serca, jak domokrażca, który przed pierwszym lepszym przechodniem wysypuje z worka wszystko, co ma na sprzedaż. Jakobsson poważnie wziął się do rzeczy. Poradził jej pójść do Rantali, a potem wrócić do niego. Usłuchała rady i dlatego może teraz spokojnie przytulić się do zarośniętej twarzy Iisakkiego.

— Wytłumaczyłaś im, że jestem zupełny jołop?

— Powiedziałałam wszystko, co by się mogło przydać.
A że mają cię trochę za głupiego, to nic nie szkodzi.

Iisakki został więc odtąd cieślą u pana Jakobssona, obaj byli wolnymi rzemieślnikami, choć pierwszy z nich żył pod nieustanną groźbą kary śmierci. Zaczęli pracę od werandy w willi dyrektora Dahlmanna. Zwłaszcza schody ostatnio dosyć ucierpiały.

Drzwi od dawna czekały na wykończenie, a tymczasem Iisakki wciąż jeszcze rozważał, jakie narzędzie wziąć najpierw do ręki. Usiadł i zabrał się do ostrzenia piły. Drab jeden! To dopiero robotnicy: najpierw wywracają do góry nogami ład w ojczyźnie i rujną schody niewinnym ludziom, a potem siedzą sobie spokojnie i trą o siebie jakieś kawałki żelaza! A może ma to być solowy koncert na pile?

— Czy ma pan w domu szlifierkę, bo ta siekiera dostała się widocznie w paluszki kobiet!

Nie, nie było szlifierskiego kamienia.

— No to będę musiał wziąć mój. Ale kto będzie mi go obracał?

Pani Dahlmann nie odezwała się już ani słowem, a obaj panowie obiecali mu dać pomocnika. Kiedy państwo Dahlmann odeszli, Jakobsson powiedział:

— Niech pan to zrobi tak jak ostatnim razem. Muszę wyskoczyć na chwilę, bo mam trochę spraw do załatwienia, zobaczymy się jutro rano. O zapłacie jeszcze pogadamy, zobaczymy tylko, jak się sprawy mają. Jak się pan zapa truje na stawkę akordową? No, jutro o tym pogadamy!
Do widzenia!

Jakobsson wcale nie myślał skazywać się na areszt domowy tylko dlatego, żeby Iisakki mógł się u niego meldować zgodnie z wyznaczonymi terminami. Nie przyniosłoby mu to ani grosza zysku! Iisakkiemu te wieczorne spacerunki również nie były wcale potrzebne, przez cały długi dzień przebywał przecież na świeżym powietrzu i miał dość wszelkich przechadzek. Ale kto był na służbie u Jakobssona, nie potrzebował się obawiać, że będzie mu ciężarem

własna wdzięczność, Jakobsson potrafił wszystko spieniężyć.

Józefina była, oczywiście, wszystkiego ciekawa, więc Iisakki zademonstrował westchnienia pani Dahlmann.

— Ach! To tak! — rozniewała się Józefina. — Najpierw rujną swoim strzelaniem te przekłete schody, a potem zwałają całą winę na czerwonych. Szłam stamtąd, jak wybuchały granaty i zdawało się, że wszystko wyleci w powietrze. Trzeba było ją zapytać, kto wybił u nas okno i ukradł koc! Trzeba było powiedzieć, że do nas nikt z łodem nie włąził, dopóki nie sprowadzili tej ich armii wyzwolicielskiej... A teraz wychodzi na to, że robotnicy rujną schody w domach eleganckich damulek! Powinieneś powiedzieć, chociaż właściwie najlepiej nie otwierać gęby, dopóki trzymają jeszcze naszego chłopca w niewoli. Teraz musimy siedzieć cicho, dopóki nie wróci Paavali!

„Mój dom to moja twierdza” było dewizą Józefiny, choć nigdy nie wypowiedziała podobnie śmiałego aforyzmu, nigdy o nim nie słyszała i nigdzie go nie wyczytała. Nie miała nawet okazji. Najważniejsze to odzyskać syna.

Pispalska Czerwona Gwardia została pobita i poniżona, ale Józefina, matka i żona czerwonogwardzisty, dopiero teraz wyruszyła w bój. Wypowiedzenie wojny było zbędne, została ona wypowiedziana raz na zawsze, dawno temu, kiedy wymówiła słowo „tak”. W doli i niedoli, dopóki bije moje serce i w głowie mojej tli się choćby jedna myśl, pragnę miłować tego Iisakkiego Nieminena, chociaż jest ubogi, trochę dziwak, i choć sama nie wiem dlaczego go kocham. A i ty, wszechmocny Boże, też chcesz, żebym kochała dzieci nasze, jeśli je nam dać raczysz? Sam wiesz, że w Twej wielkiej Mądrości nie przeznaczyłeś dla mnie innych darów prócz daru miłości. Dlaczego więc miałbyś pytać, czy ja tego chcę, skoro taka wola Twoja. Amen.

Im większe trudności uniemożliwiały powrót Paavalego, tym usilniej zabiegała o to Józefina. Iisakki potrzebował przecież pomocnika. Czy Jakobsson i Dahlmann nie mogliby sprowadzić czeladnika Paavalego? Nie, nic z tego. Dlaczego? Był w miejskim obozie jenieckim. Natomiast Roope

Korpela, Eemeli Makinen i Jooseppi... No tak! Ale to Paa-veli! Jej własny rodzony syn, który nie **pił**, nie **palil** i **cale** swoje zarobki co do grosza oddawał matce, nawet nie otwierając koperty z pieniędzmi. Nie. Również z obozu w Pispali nie zwalniali już teraz tak łatwo jak wtedy, gdy» był tam Iisakki. Zaostrzono regulamin obozu, gdyż napływały skargi. Jakaś inna Nieminenowa, Naskali-Nieminen żaliła się przed komendantem, że w Pispali cackają się z przywódcami czerwonych podczas gdy jej Akseli, słaby i zmarnowany, ojciec dwanaściorga dzieci, z kulą w płucach musiał pomaszerować na błonie Kalevy i wykopać sobie grób.

Józefina poszła raz jeszcze do Rantali, wyplakiwała oczy, ale spotkała się z odmową. Młody Nieminen pracował w sztabie, a poza tym groził, że wystrzela właścicieli sąsiedniego folwarku. Paavali groził? On?, On, który bał się skrzywdzić nawet młodego szczura, miałby komuś wyrządzić krzywdę?

— Ach! Więc młode szczury i rodzina właścicieli to to samo?

— A co, może co lepszego? — wyrwało się Józefinie. W gwałtownym oburzeniu minął wszelki lęk. Nawet ona doszła wreszcie do przekonania, że w Pispali nic nie wskóra.

Poszła więc do Tampere. Do inżyniera z fabryki bawełny **nie** udało się dotrzeć.

— Gdzie go szukać?

— Nie można się z nim zobaczyć, już to pani przecież powiedziałem!

— A ja się pytam, gdzie on jest, powie pan, czy nie?

Zatrzaśnięto drzwi. Na pewno już ich nie otworzą. Józefina poszła więc do urzędu parafialnego. Jussi ciągle jeszcze czekał przecież na pochówek.

— Aha. Pochować go. To znaczy, że umarł?

Urzędnik przez stosy papierów obrzucił spojrzeniem zdyszana kobiecinę.

— Pochować go — powtórzył. — Zaraz zapiszę. Jak się nazywał ten Jussi? Gdzie i kiedy? Proszę podać dzień, mie-

siąc i rok urodzenia, nazwisko rodziców i od kiedy nie żyje? Wie pani... Nahkola, Nekala, aha: Nieminen. Może zna pani kogoś przypadkiem, oczywiście mężczyznę, który nadałby się na grabarza? Zaistniała bowiem szczególna historia, grabarz, że tak powiem, umarł. A więc Jussi. Umarł — na co? Chorował?

— Umarł w kościele, w kościele św. Aleksandra.

— Pytam, jaka była przyczyna śmierci!

Przyczyna śmierci! Cóż znowu za wyrażenie! Pytać to ten człowiek potrafi!

— Był głodny i spragniony, a poza tym było zimno. Dałam mu piersi, ale jakaś choroba też może była, choć właściwie nie mógł już dostać żadnej, bo wszystkie miał już przedtem.

— Powinna go była pani szczepić, koniecznie szczepić!

— Ach, wielki Boże! Czy nie odnotowano szczepienia? Bez tego nie przyjęliby biedaka do szkoły!

Szczepienie można jeszcze wpisać. Urzędnik nie zamierzał utrudniać przyjęcia do szkoły małego nieboszczyka. Rzykując sprzeniewierzenie się przepisom, wpisał do grubej księgi, że Jussi Nieminen nie tylko urodził się, został ochrzczony i zmarł, lecz że był również szczepiony, szcze--pio-ny. Ale która to godzina? Ach, rzeczywiście! Jakże szybko wskazówki gnają naprzód! W każdym razie zdążyli jeszcze ustalić termin pogrzebu. Zwłok nie brakowało, u-mieranie nie było nadzwyczajnym wyczynem.

— W niedzielę nie przyjdę do pracy, muszę pochować małego — rzekł Iisakki.

— Da się zrobić — odparł Jakobsson. — Ma pan już trumnę?

— Dopiero mają przywieźć.

— Wielka szkoda, bo mógłbym postarać się o tanią i solidną trumnę, a właściwie nawet bym ją panu darował. Byłaby to tylko drobna sąsiedzka przysługa!

— Gdyby to jeszcze teraz było możliwe!

— Dlaczego nie, jeśli pan odwoła kupno tamtej! Zaraz się dowiem, czy mamy na składzie małe białe trumienki.

— Kupują teraz trumny? — spytał Iisakki. 'rości i siły,

— Nie, kiepsko to idzie. Brak rzemieślników, *-. **mądrość** boszczyków nie brak. Zresztą tak mi jakoś strzec z sie-głowy. Zawsze byłem ciekaw, czy w zawodzie kupcń J^g° niecznie trzeba oszukiwać. Teraz się okaże, czy uczciwe °d się opłaca. Za czerwonymi też się wstawiałem. Ale im nie^l chcą dać trumien, po prostu walą ich do mogiły jak śledzie, trochę piasku na oczy, żeby ich światło nie raziło.

Jakobsson częstował od czasu do czasu papierosem. Iisakki wolałby jednak dostać od razu całe pudełko, niż ciągle czekać na kolejny poczęstunek. Zdawało się, że nałóg zawarł podstępne przymierze z Jakobssonem.

— Niech pan posłucha: czy pan jako rozsądny człowiek nie sprzedałby swojego domu? Zawrzemy umowę, że pan do końca życia będzie mógł tam mieszkać bezpłatnie. Zły interes? Żadnych kłopotów z remontem i podobnych bzdur, po prostu mieszka sobie człowiek jak robak w słoninie. No, sprzeda pan? Najlepiej niech pan weźmie pieniądze od razu, kiedy jeszcze można coś za nie kupić, no, jak, zgoda?

Nie, Iisakki nie był aż taki roztropny, żeby przez swoje filozofowanie dać się złapać na taki wymyślny haczyk.

W sklepie Jakobssona jakoś nie znalazło się białej trumienki, a z racji przezorności właściciela nie było także i czarnej i tak Jakobsson dopiero na końcu pogrzebu ofiarował obiecany prezent, który w ostatecznej swej postaci składał się jedynie z serdecznych kondolencji. Ale Iisakki doceniał okoliczność, że przy odrobinie ostrożności uda mu się wymknąć z Pispali w dniu pogrzebu. Pan budowniczy nie szczędził dobrej woli i wcale nie dbał o rewanz, chyba że chodziło o pieniądze.

Pogrzeb Jussi odbył się w zupełnej ciszy. Józefina trzymała dyszel, a Iisakki układał trumnę i krzyż na wózku i mocował sznurem do suszenia bielizny. Potem Iisakki ujął dyszel. Za wózkiem kroczył orszak pogrzebowy. Efyła tam również ^ona Eemelego Makinena, chociaż nie wiadomo po co. Józefina niosła wieniec z choiny i wierzbowych



siąc i rok ur⁷ D tym, że można go było
je? Wie pa[^] położyć na
pani koj^L o Einari miał na sobie palto Paavale-ego. Poza tym nie
dałby.- H * było nikogo wię-ć pięć kilometrów. Obecni rozgrzali
sto^oĆ g" % f :oszule mieli mokre od potu. Po go-amy cmentarza
byli już przeziębienie-W końcu zjawił się pan pastor i
po-Po sznurze do bielizny spuszczone —« w piaszczystym gruncie
mogiłki i pastor powiedział, co miał do powiedzenia. Nie opodał
wielkiej sosny stały dwie dziwne postacie, jedna z karabinem na
ramieniu, druga wsparta na łopacie. Kościelnego nie było.

W końcu obecni zrozumieli, że pora wracać do domu. A co z
wieńcem? Józefina położyła go na mogiłce, na chwilę przed
odejściem. Dopiero teraz rozplakała się, szlochała przez całą drogę
do domu. Pani Makinen też szlochała i sapała aż do chwili, gdy z
przeciwnej strony wyłonił się inny orszak. Na przedzie jechał
oficer na koniu i odganiał gapiów.

— Nie zbliżać się! Umarli na zakaźną chorobę! Wtedy
pani Makinen zawołała:

— Tak, głód to rzeczywiście choroba zakaźna! Nieminenowie
musieli się teraz śpieszyć, bo trumna nie
mogła już służyć Lisakkiemu za przepustkę.

Człowiekowi potrzeba do życia nie tylko potu czoła i radości,
lecz także jadła i napoju. Naturalnie i odpoczynek działa bardzo
ożywczo, ale głodujący muszą uważać, żeby nie przespać swojego
ostatniego posiłku. Wprawdzie ten, któremu życie dało niejedną
nauczkę, kto czuje się do głębi znużony i zniechęcony, bez żalu
godzi się na ten długi sen, ale są i inni, spragnieni nowych
doświadczeń, zbyt łakomi, aby przegapić czas posiłku. Im dziecko
mniejsze i mniej doświadczone, tym pewniej obudzi się, gdy nadej-
dzie pora karmienia. Co za wrzask, gdy nie wepchnie mu się
czegoś do buzi! Dzieci chcą żyć. Jest w nich coś, co nie

chce spokoju. Nie pragnienie wielkości, mądrości i siły, lecz ich bezbronność, która stanowi ich wielkość, mądrość i siłę. Dopóki taka drobna istotka potrafi wydobyć z siebie ów przejmujący głos, człowiek musi uczynić co w jego mocy, aby uciszyć ten krzyk. Przyszłość narodów zależy od dzieci, ubogich i kalek. Im kto słabszy, tym większa jego potęga. Płaczcie dzieci! Łkajcie, szlochajcie, podnoście wielki lament, matki i narzeczone! Mężczyźni nie zniosą waszego krzyku!

„Zaprawdę, nie zapominajcie o tych maluczkich”. Gdzie jak nie w Biblii mogła Józefina znaleźć pokrzepienie. Ale Biblia była taka gruba i niejasna, że odnalezienie w niej czegokolwiek było wręcz nieprawdopodobne, zresztą nie było i czasu, więc Józefina czytała jak popadło. Lektura wywierała na jej myśli mniej więcej taki sam wpływ jak pompowanie wody — powoli i z niej zaczęło wysączać się życie. Złe myśli nie dawały jej spokoju.

— Co się stało? — zapytał Iisakki.

— Nic. Myślę tylko, że trzeba by zanieść Paavalemu coś do jedzenia. Czy zauważyłeś, jak żałośnie spoglądał ten więzień na cmentarzu, kiedy Kalle chrupał kromkę chleba? Myślałam już, żeby do niego podejść, ale bałam się, bo jedną kobietę podobno za to zastrzelili. I dlatego odebrałam Kallemu chleb.

— Kto kopie groby, dostaje dodatek żywnościowy — stwierdził Iisakki.

— Czy to aby prawda! Tamten więzień na pewno już od dawna nie widział kawałka chleba. Czym oni ich karmią? — Nieminenom też się nie przelewało. Trzeba było godzinami wystawać w kolejkach przed zamkniętymi sklepami i często dopiero wieczorem okazywało się, że na próżno. Wprawdzie jakoś udawało im się otrzymać swój przydział chleba, ustawiając się tego samego dnia równocześnie w trzech kolejkach, ale co to był za chleb! Wyglądał jak sieczka i ledwie trzymał się kupy. Józefina pró-

bowiała kupować mąkę na kartki, ale z kolei pieczenie zabierało wiele czasu, potrzebnego do wystawiania w kolejkach. I tak źle, i tak niedobrze...

— No, co — spytał Iisakki.

— Nic, myślę tylko!

Iisakki wydawał się trochę speszony. Znowu obrócił się na drugi bok. Głupio zrobił że kazał chłopcu zgłosić się do sztabu!

Józefina zgasiła światło, położyła się do łóżka i powiedziała :

— Że też Paavali musiał koniecznie pracować w sztabie! Teraz im się wydaje, że schwytali kogoś ważnego! Kto to był taki mądry i to wymyślił?

— Ja — odrzekł Iisakki.

— Ty? Jak to? Czyś ty zwariował? Co ty wygadujesz?

— No tak, nie chciałem, żeby go wysłali na jakiś niebezpieczny posterunek. Wtedy też ci się tak wydawało!

— W każdym razie nie życzyłam sobie, żeby trafił do obozu! Bałam się tylko narażać go na kule.

— Ja przecież też tak samo!

— Pamiętasz, co mówiłam, kiedy Paavali tak się wtedy puszył, że dobrze strzela? Czy nie powiedziałam, że to do niczego dobrego nie doprowadzi, tylko do mordowania ludzi. Ja w każdym razie nikogo nie uczyłam zabijać i nie pozwolę, żeby zabili mi dziecko. Szczera prawda, Bóg mi świadkiem!

— Tak by można sądzić!

— Tu nie ma nic do sądenia! Jeżeli Paavali komu groził, to dlatego, że mu kazał jakiś osioł, taki, co nie miał odwagi sam tego zrobić. Wiem swoje! Niech tych osłów pozamykają, a mego syna powinni zwolnić!

— Niektórych już rozstrzelali.

— Na miłość boską! To znaczy, że nie uciekli? A kogo rozstrzelali ?

— Oskarego Peltonena na pewno, słyszałem.

— Peltonena! Takiego porządnego człowieka! I to dlatego?

— Z powodu morderstw! A zresztą czy ja wiem! W Ruo-vesi znaleźli trupa jakiejś ważnej osoby.

— Na miłość boską. Przecież w Ruovesi ty też byłeś!

— No, no, powoli! Po co miałbym tam być! Zresztą w ogóle nie pamiętam, gdzie byłem. W każdym razie ja nie widziałem tego nieboszczyka.

— Czy Wille Makinen też brał w tym udział?

— Nie wiem. Może byśmy tak jeszcze trochę pospali?

— Ty zawsze wszystko wiesz, tylko nigdy nie chcesz powiedzieć!

— Dobrze, już dobrze! Pobudzisz wszystkich!

— ■ To dlatego żona Makinena zaczęła beczeć, kiedy powiedziałam, że nigdy nie mieliśmy takiego dobrego świętego Mikołaja jak jej Wille. Kto wie, co nas jeszcze czeka. Powiedz mi jedno: czy Paavali był jeszcze gdzie indziej poza Vilppulą?

— Daj wreszcie spokój, dobrze! Paavali na pewno ni gdzie indziej się nie kręcił, tylko w sztabie! W Pispali! A teraz śpijmy wreszcie!

Nazajutrz Józefina zabrała się z samego rana do realizacji swego planu. Nie był on całkiem nowy, bo rozmawiali już o tym jesienią. Niech jej tylko lisakki powie, gdzie zgromadzić zapasy prowiantu.

— Chcesz wziąć z sobą Einarego?

— Tak to wykombinowałam.

Ze starych szmat Józefina wyszukała kilka odciętych nogawek starych kalesonów. Połatała je i zszyła na końcach. W ten sposób powstały worki na mąkę. Dawały się wygodnie wiązać i nieść na plecach. Dla Einarego znalazła nawet nogawki dziecięcych spodenek, żeby nie było mu za ciężko.

Zapadł zmierzch, zanim wreszcie ruszyli w drogę, bo w dzień, a do tego był to jeszcze poniedziałek, trzeba było stać w kolejkach. Najpierw poszli do Ylojarvi, pytali, prosili, chcieli zapłacić, uciekali się nawet do łez. Na próżno. Albo niczego nie było, albo nie chciano im nic dać. W każ-

dym razie wrócili z niczym. Worki jak były lekkie, tak i zostały, nogi były za to ciężkie. Powędrowali aż do Kuru. Zaglądali do chłopskich chałup. Bez skutku. „Aha, jesteście z Pispali! Zapomnieliście jak jeszcze niedawno byliście tutaj. Wynoście się stąd, na co czekacie! Hołota! Jazda stąd, już was tu nie ma!”

Z czasem nauczyli się kłamać, ale chłopci w tej okolicy słyszeli o wyczynach bab z Pispali, kiedy chciały dostać mąki! „Troszkę masła, kilka jajek i nieco mięsa, a może wam jeszcze przyłożyć toporem?” — wrzeszczano w odpowiedzi. Bo to żadna sztuka poznać, że Józefina jest żoną, a Einari synem „czerwonego”. Wdowa i biedny sierota po „czerwonym?” „Za drzwi!” Wciąż tylko: „Za drzwi!”

Tak przyjmowano ich u bogatych gospodarzy. Ale u biedaków, w nędznych chatkach, u ludzi, którzy z największym trudem utrzymywali się ze skrawka ziemi, obdarowywali ich, czym kto miał.

— Tak, tak! Nasz wnuk też tam był — mówiła pewna staruszka. — Po której stronie, tego już nie mogę sobie przypomnieć, w moim wieku trudno wszystko spamiętać, ale wiadomo, wojna to wojna! Po obu stronach. Dobrej strony nigdzie nie znajdziesz.

Kartoflanka wprawdzie już wystygła, ale da się zjeść. O, jaka wyśmienita!

— Możecie się trochę przespać. To łóżko nieboszczyka Hermanna — mówił staruszek, nie pytając nawet, gdzie goście wolą spędzić noc: na gościńcu czy w łóżku. Był już stary i znał się na takich sprawach. Byle się jakoś prześpać. „Żebyście wiedzieli, jak tam u nich czysto!” — opowiadała potem Józefina.

Skoro świt wędrowcy wyruszyli w dalszą drogę. Staruszka wstała widocznie jeszcze wcześniej, bo na stole stała odgrzana zupa z wczorajszego wieczora, a w jednym z worków było cztery kilo jęczmienia i żytniej mąki. Skąd babunia to wzięła? Czy przyniosła od którego sąsiada, czy sama miała jeszcze zapasy? Józefina nie śmiała jednak okazywać ciekawości, nawet głodujący powinien mieć swój honor.

— Niech was Bóg błogosławi! — powiedziała. I zawstydziła się niemal swego pytania: — Ile to będzie kosztowało?

— Pomyślałam sobie, że mogłaby mi pani przynieść materiału na fartuch. Mówiąc to staruszka wyciągnęła z zakamarków swego fartucha skórzaną portmonetkę i wręczyła Józefinie pięćdziesiąt pennia. — A jak co zostanie, to niech pani coś kupi dla dzieci.

— Ależ nie! Niech pani schowa pieniądze! Ja mam pieniądze! — zapewniała Józefina. Jakie to błogie uczucie świadomości, że istnieje na świecie taki zakątek, gdzie jeszcze liczy się dobroć i gdzie obyczaj jest prawem po wsze czasy.

Staruszka nie chciała ustąpić i Józefina musiała zatrzymać pieniądze. Kosztowało ją niemało trudu zdobycie obiecanego materiału, dopiero po upływie pół roku wróciła, aby uiścić swój dług. Tymczasem staruszka już nie żyła. Pozostało jej więc jedynie zachować piękne wspomnienie, aż do końca swoich dni. Gdyby tak wróciła tu wcześniej! Na pewno staruszka cieszyłaby się, gdyby przyszła ją odwiedzić nawet bez obiecanego materiału.

Józefina miała tyle do roboty. Ledwie wróciła do domu, musiała wysłać Kallego, żeby stanął w kolejce. A Erkki dał się, jakby go wbito na rożen. Na szczęście było jeszcze trochę kompotu z porzeczek i sacharyny. W mig przyrządziła żytnią kaszkę i wcisnęła Erkkiemu i Sylvi łyżki do rączek. Elina też miała ochotę poucztować, lecz Józefina powiedziała. — Mogłabyś się przynajmniej ubrać i posłać łóżka!

A potem pozostało już tylko przygotowanie ciasta i wstawienie garnka do pieca. Życie jest walką. Oby chociaż można było przebijać się naprzód! Sytuacja była bardzo ciężka i trzeba być nie lada czarodziejem, żeby z niczego wyczarować coś do jedzenia.

A Paavali? Co jemu po krzątaniu Józefiny?

Niemeninowie mieli starą, pociętą dwulitrową blaszankę. Rączka była złamana, a pokrywka gdzieś się zapodziała.

Bańka ta dostała się teraz w pracowite ręce Józefiny. Co to, ślady po czarnych jagodach, a może...? Umyła na-

czynnie i postawiła na płycie. Potem starannie je wytarła, wyszukała w szopie kawałek drutu i dorobiła rączkę. Iisak-ki nie bardzo się orientował, co żona robi, siedział przy stole i akurat jadł kolację.

W końcu Józefina odezwała się:

— Kto zanieś Paavalemu kaszę? Mamy losować?

— Jaką kaszę?

— No a ty co jesz, nie kaszę?

Patrzcie ją! Jak ona to sobie wyobraża? Może zdzielić wartownika drągiem po głowie i jakby nigdy nic wejść sobie do obozu?

— Nie. Józefina myślała całkiem poważnie.

— Czy ktoś z was był już kiedy przy bramie obozu? Czy ktoś z was wręczał już wartownikowi blaszaną bańkę: „Oto jedzenie dla Paavalego Nieminena?” Najpierw spróbujcie tak, a dopiero potem pomyślcie o innych sposobach. Jak kto ma zamiar wojować, to z góry wiadomo, co z tego wyniknie.

No, no! Czy to naprawdę Józefina? Iisakki miał dosyć smętną minę.

— Dodaj jeszcze mleka i cukru!

— Co takiego? Skąd mam wziąć?

— No bo jak wartownik będzie wybredny...

Zdaniem Iisakkiego podobny pomysł był czystym szaleństwem, ale nikt go nie pytał o zdanie. W każdym razie nie było to niebezpieczne, co najwyżej zbędne. A więc — Kalle czy Einari? Raczej Kalle, Kalle zgodził się i poszedł bez ociągania się.

Przy bramie stało aż dwóch strażników z bagnetami nasadzonymi na karabiny. Kalle przeszedł się kilka razy wzdłuż ogrodzenia, aż w końcu ruszył w stronę mniejszego i trochę grubszego, jeśli w ogóle można było wyrokować na ten temat po ciemku. W miarę jak się zbliżał, zauważył, że wcale nie wyglądał miło i że wyraźnie boi się swego kompana. Skreślił więc w stronę tego drugiego, lecz było już za późno.

— Stać!
— Już stoję.
— Co tu myszkujesz? Kogo szukasz?
— Wartownika.
— No i co?
— No i co? — Kalle wolałby mieć do czynienia z tym drugim, ale co miał teraz począć?
— Mam tu kaszę dla Paavalego Nieminena!
— Jaką kaszę, do diabła?
— Jęczmienną!
Wartownik wziął bańkę, otworzył i zbadał zawartość.
— Ale gęsta, człowieku!
— Wolnego! — krzyknął drugi wartownik. — Daj mi tu! — Podszedł i zajrzał do naczynia. — Szkoda wyrzucić, pierwszorzędne jedzenie. Oddaj chłopcu. Niech zje, żeby lepiej wyrósł.
Kallemu zwrócono bańkę, a potem ten większy wartownik wypchnął go na drogę i szepnął:
— Zanieś na cmentarz, postaw przy jakimś grobie i przy kryj gałęziami, najlepiej choiną!
Na pożegnanie dał Kallemu mocnego szturchańca.
Na cmentarz? I przykryć choiną? Czy ktoś tam przyjdzie po tę kaszę? Paavali czy ktoś inny.
Kalle nie zaniósł kaszy na cmentarz, ale rada nie była najgorsza i skorzystano z niej.
Matka naprawiła niby rączkę bańki, ale drutem! Ach, te baby! Gdyby ojciec naprawił, to by było zupełnie co innego. Gdyby! Ale tego nie zrobił! Nart też nie naprawił, a kto by teraz kupował nowe! Żeby tak Paavali wrócił. Można by jakoś do Bożego Narodzenia uzbierać pieniądze. Bo on umie pracować, ciężko pracować. Paavali to morowy chłopak!
Psiakrew, ten drut, kaleczy rękę do krwi. Gdyby miał przynajmniej chustkę. Przydałaby się. A na drodze nie widać ani kawałeczka papieru. A gdyby tak wyrzucić tę bańkę do rowu! Potem można powiedzieć, że wartownik ją zabrał i sam wszystko zjadł. Kto kazał matce zmajstrować taką rączkę! *J9* tu nawet trawy nigdzie nie widać.
Kalle popatrzył na obóz. „Wielki, płaski szmat ziemi” —

stwierdził. A tam Paavali, za drutami w jakimś baraku. Czy naprawdę głoduje? Głód to nie bagatela. Kallemu też dokuczał apetyt. A gdyby tak podejść do obozu od tyłu? Może jest tam druga brama z nieco miłszym strażnikiem. Gdyby nie to, że się wtedy niepotrzebnie wystraszył, Paavali zjadałby pewnie teraz kaszę. Dopiero by się ucieszył. Zapytałby: „Kto to przyniósł?” — „Taki mały chłopczyk, wyglądał tak, a tak”.

„Aha! Więc był mój braciszek Kalle! Mam i innych braci, jeszcze mniejszych, ale Kalle to bystry chłopak. Odważy się na największe szaleństwo, bo nie wie co to strach. Niczego się nie boi!”

Kalle był znów przy drutach. Stał i patrzył. Nasłuchiwał z zapartym tchem. W pobliżu ani żywej duszy. Mrok gęstniał. A może oprzeć bańkę o ogrodzenie i zwiać?

— Kto tu?

Kalle wziął nogi za pas, ale przedtem przystanął i z całej siły przerzucił przez druty bańkę, która spadła na sam środek apelowego placu. Czy jeńcy będą coś z tego mieli?

Kalle był już daleko.

* * *

Nieważne, czy Kalle się orientował, jak cenna była to kasza — ważna była sama kasza. O kaszę i święty chleb woła nienasycony duch człowieka. Nie miała to być żadna kara, że na następną wyprawę chłopiec miał pójść z matką. Po prostu nie było innego wyjścia, odkąd Einari trudnił się prostowaniem zardzewiałych gwoździ u Jakobssona, odkąd Eli-na była taka, jaka jest, i odkąd Józefina nie mogła się obejść bez kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Kalle czuł się zresztą w takiej obstawie jak w siódmym niebie.

Wyruszyli w sobotę wczesnym rankiem, tym razem w odwrotnym kierunku niż ostatnio, a więc najpierw przez miasto, potem do Messukyla i stamtąd dalej. Zanim doszli do kościoła w Kangasali, ułożyli wierszyk:

*Jeśli pragniesz mieć co jeść
Musisz aż do Hauho iść.*

— Znaczy, że idziemy do Hauho? — spytał Kalle. — A czy to daleko?

— Oczywiście! Nie pleć głupstw!

Doszli do Palkane, dalej pojechali furmanką.

— Czy w Hauho ludzie mają zapasy mąki? — zapytała Józefina woźnicę i roześmiała się.

— U mnie we młynie każdy dostanie mąkę — brzmiała odpowiedź.

— Co za traf!

— Jeśli się komuś przytrafi!

Mieli szczęście. Jazda była taka przyjemna, że na chwilę zapomnieli o wszelkich troskach.

W saunie już napalono. Najpierw goście, taki tu zwyczaj. Służąca była wściekła, ale co z tego, gdy gospodarz tak kazał. Jeszcze dwie brzozone różgi zmarnuje się dla tych włóczęgów.

Gospodarz był wdowcem, ale to nie miało żadnego znaczenia. Józefina położyła się spać razem z synkiem, choć służąca była już bardzo niespokojna. Biedna Mariel litowała się nad sobą samą.

Józefina musiałaby nie być kobietą, żeby nie odgadła zamiarów gospodarza, choć sama nazwała siebie wariatką za te domysły. Mówiła z nim tylko o pogodzie, o młynie, o chorobach i innych obojętnych sprawach, ale w głębi duszy schlebiało jej, że nie jest gospodarzowi obojętna. Czy byłby to grzech, opowiedzieć o tym lisakkiemu? Żadna żona chyba nie chępiłaby się czymś takim, a już w żadnym razie nie ta, która ma na to niezbite dowody. A Józefinie to nie wystarczyło widocznie — dziewięć razy odbyła pielgrzymkę aż tutaj, a już za trzecim razem wzięła z sobą Einarego, dla którego miał to być pierwszy dzień jego czteroletniej praktyki u młynarza.

Gospodarz, który wychował sobie już niejednego roboczego wołu, umiał ocenić wartość człowieka. W gospodarstwie Po^ha był las, była ziemia uprawna i pożywienie. Czyż Einari mógł dostać się do lepszej szkoły wychowania

fizycznego! Motyka i widły, siekiera, obcinarka do gałęzi, nosidła do paszy i worki na zboże — oto przyrządy, na których Einari miał stopniowo nabyć wytrzymałości, wobec której wszystkie fortele i sztuczki miały okazać się bezsilne jak popiół wobec wiatru.

Dzięki tej nowej znajomości głodowanie rodziny Niemi-nenów, a nawet kilku ich sąsiadów, przybrało znośniej sze formy. „Mam już takie szczęście” — mawiała Józefina, choć Bóg jeden wie, ile się trzeba było dla tego szczęścia natrudzić. Z Pispali do Pouhy było co najmniej siedemdziesiąt kilometrów, a Józefina cztery razy odbyła całą drogę pieszo, zanim jej przyszło do głowy, że jeśli odbywa się podróż dla załatwiania ważnych interesów, to warto jechać pociągiem.

Z Hauho do Kangasali były tylko dwie drogi — przez las i lotem ptaka, jak powiedział gospodarz w niedzielę rano. Jeżeli zostanie do poniedziałku, to rano może pojechać z sąsiadem wozem aż do Palkene.

Nie! Józefinie i Kallemu bardzo się śpieszyło. Mieli tu próżnować, gdy w domu chory ojciec i siedmioro małych dzieci przymiera głodem! Kalle stał i zagryzał wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Ale nie upadł na głowę. Był tylko trochę rozczarowany tym, że matka nie mówiła o dziesięciorgu dzieci, bo właśnie tyle wydała przecież na świat. Służąca gospodarza stała się tymczasem bardziej uprzejma i odpowiedziała na ich pożegnanie całkiem życzliwie: „Bądźcie zdrowi!”

Było więc siedemdziesiąt kilometrów drogi. Jak to wytrzymali? Jak Józefina i Kalle uporali się? Mieli przecież dwadzieścia dwa kilogramy mąki w workach na grzbiecie, a do tego kilka bochenków chleba i bryłę masła pod pachą! Szli jak juczne zwierzęta. A przecież nie byli to jacyś wy-pasieni dzierżawcy czy młynarze, nazywali się Nieminen, byli więc ludźmi zrodzonymi w biedzie.

Nie była to beztraska wycieczka, bo zdobyli niemal pół cetnara mąki.

A co w domu? Ojciec usiłował na wszelkie sposoby poskromić najstarszą córkę. Dziewczyna rzucała się, wiała,

wrzeszczała, ugryzła ojca w rękę i zaczęła syczeć jak wąż. Elina była obłąkana, to nie ulegało wątpliwości. Sylvi trzęsła się ze strachu, siedząc na kolanach Einarego, tylko Erk-ki podobno dopiero co zasnęła. Trzeba było szaloną przywiązać do łóżka. Ale jak można w imię miłości bliźniego przywiązywać swoje własne chore dziecko powozem! Była to przerażająca noc.

A jaki był miniony dzień? Od czego się zaczęło, a co było potem? Czy już nie mogło się zdarzyć nic gorszego? A może? Nic? Słyszysz, Boże! Odpowiedz! Nie wierzysz mi? Chyba mnie nie kochasz? A ja przecież powinnam cię rozumieć i miłować, i wierzyć Twojemu słowu!

Czy to nie jest krzywda! Odpowiedz mi, Boże! Nie wiesz, co odpowiedzieć? A więc to prawda? Wszystko w najlepszym porządku? Nie ma w tym omyłki? Ani trochę? Krzywda, krzywda, wielka krzywda!

Co było w niedzielę, a co w sobotę? Co stało się na początku, a co później?

Iisakki wykreczał się, ale w końcu musiał opowiedzieć wszystko, co widział, a Einari uzupełnił jego opowieść szczegółami. Gospodarz z Rantali, Jakobsson, Dahlmann, Maki-nenowie i stara Haapanen — cała Pispala wie, co się stało z Eliną.

To smutne widowisko zaczęło się w sobotę wieczorem, a skończyło w niedzielę, po upływie dwudziestu dwu godzin. Oczywiście, jeśli pominąć, że wszyscy, którzy brali w tym udział, zmarli dopiero pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat później. Dochodziła ósma wieczór, gdy gromada chłopów, parobków i przedstawicieli władz, uzbrojonych w karabiny, granaty ręczne, pałki i noże, okrążyła od dawna nie używaną piwnicę na końcu majątku Rantala. Pierścień zacieśniał się ostrożnie, aż w końcu jego średnica wynosiła około osiemdziesięciu metrów. Pośrodku było niewielkie wzniesienie, na którym sterczało ogołocone z liści drzewo. Widoczność była nie najlepsza.

Gospodarz z Rantali zaczął dawać jakieś znaki. Wymachiwał dziko ramionami, aż wreszcie zawołał: „Tam do dia-

bla!" i wskoczył na wzgórek. Zatrzymał się dopiero pod drzewem i zawołał donośnym głosem:

— Hej, wy tam, w piwnicy, wynosić się stamtąd! Wychoźcie, rozumiano? Słyszycie! Wynosić się! Jestem tu go gospodarzem !

—■ Wrzuć do środka granat! — zachęcał go ktoś z gromady otaczającej wzgórze.

— Ale jak? Przez okienko?

— Oczywiście! Albo przez wywietrznik! Jest tam kto? Gospodarz z Rantali odbezpieczył granat, tak jak go te go nauczono.

— Policz najpierw do sześciu!

— Co mówisz?

— Trzeba policzyć do sześciu...

Wtedy nastąpił wybuch i w tym samym momencie zapadło się całe wzgórze.

Kilku co odważniej szych doskoczyło do miejsca wybuchu.

—• Durnie, biegnijcie po pomoc! Sprowadźcie lekarza i wóz!

W ruinach piwniczki leżał Rantala w kałuży krwi.

— Policzyłem zaledwie do dwóch... zaledwie do dwóch... Ale w piwniczce byli jeszcze inni! Z kupy gruzów wydo bywały się jęki.

— Wille Makinen, czy to ty?

— Ja.

— Armas Linkvist?

— Hm!

— Jesteście tu we dwójkę?

— Tak.

— Żyjecie jeszcze?

— Tak!

— Co za świnię! Przez was Rantala musiał się w to wpakować. Jazda, zanim wyzioną ducha.

— Czy ja też mam umrzeć?

— Nie o tobie mówię! Mówiłem do twoich sublokatorów, a oni umrą na pewno.

A jednak pierwszy umarł gospodarz. Z upływu krwi, nawet lekarz nie zdołał odwlec śmierci dłużej niż do niedzie-

li. Wille i Armas natomiast wcale nie wyglądali na przejętych. Skąd brali żywność? Różnie, jak popadło. A więc jak? Z nieba. A te dwa koce? — Aha, koce? Były przyczepione do paczek jako spadochrony. Nic się nie udało z nich wyciągnąć, co do Willego Makinena, to i sam diabeł by nie odgadł, czy to pies czy wydra. Ale śmierć zabiera wszystkich bez wyjątku. Zastosowano znaną kurację — rozstrzelanie. Eemeli miał szczęście, że siedział jeszcze w niewoli. Przesłuchiwano więc matkę Willego. Czy wiedziała o tym, że jej syn ukrywa się w piwnicy Rantali?

— Z takiego polowania na ludzi koń by się uśmieł!

— Pani zaoszczędzimy tego trudu, niech tylko niedziela się skończy. A więc nosiła pani wędzoną szynkę synowi do tej dziury?

— Do jakiej dziury? Nie wiem nic o waszych dziurach, ale jedno wam powiem, nigdy nie nosiłam mięsa do obcych dziur. Sama prawda. Możecie nas tu na miejscu zważyć i nasze... na dodatek.

I nigdy nie nosiła pani jedzenia, nawet mężowi?

— A niby co miałabym mu zanieść? Pluskwy zamożnych ludzi mają pierwszorzędną wyżywienie?

Panią Makinen wyrzucono za drzwi. Wezwano córkę. Czy nosiła pożywienie bratu? Tak! Owszem. Lempi nosiła bratu jedzenie.

Niech ją diabli, co za dziewczyna! Stoi tu jak anioł na tęczy i mówi: „Tak!” I to z jakim spokojem.

— Lempi Makinen, czy wiesz, że za taką zbrodnię należy ci się kara śmierci?

— Tak, takie zbrodnie popełniam bardzo chętnie.

Dobrze, że chociaż dziewczyna mówiła coś jeszcze, a nie tylko w koło: „Tak!”. Zastrzelić anioła to żadna przyjemność. Na razie zabrać ją do remizy, niech czeka, aż skończy się niedzielne zawieszenie broni. Ale ■wystąpienie Lempi nie pozostało bez skutku. Lista rozstrzelanych na podstawie orzeczenia rady została ostatecznie zamknięta. W przeciwnym razie trzeba by wybić wszystkich mieszkańców Pispali, a podobne zarządzenie każdemu musiałoby się wydać nieco wątpliwe.

Na jakiejś tam plebanii w krainie głodomorów żył sobie poeta, który wprawdzie nie pasał owieczek, a niestrudzenie wykrzykiwał: „Zabijać, pozabijać ich wszystkich, a zwłaszcza wilczyce”. Czy można się dziwić, że w końcu nawet taka prosta kobieta jak pani Eemeli Makinenowa okazywała oburzenie. Wiedziała bowiem, że jedno z jej jagniąt złożone zostało na splugawionym ołtarzu najbardziej krwiożerczej ze wszystkich bogiń — na ołtarzu wolności.

Wolnością silnych jest władza absolutna, a marzeniem słabych — równość. Żona Eemelego należała do maluczkich w tym kraju, a jej bynajmniej nie miała cierpliwość zbliżała się do kresu. W swej niedoli zrozumiała, że terror nie dosięga wszystkich jednakowo. Troje jej najbliższych siedziało za kratami, a z Nieminenów tylko jeden, chociaż w jednej i drugiej rodzinie ojciec, syn i córka opowiedzieli się po stronie czerwonych. Czy to sprawiedliwie? Nie, po tysiącokroć nie! Tak być nie może. Głos słabej kobiety też może stać się donośny.

W ostatniej godzinie owej niedzieli stała pani Makinen z drągiem od łopaty w jednej ręce, a kubłem na odpadki w drugiej i krzyczała: „Zabijać! Zabijcie ich wszystkich, winnych i niewinnych! Zabijcie mnie i Elinę Nieminen. Ona też stała na szosie z karabinem w rękę i jeszcze wołała Boga na pomoc! A może nie nosiła jedzenia Armasowi Lin-kvistowi? Jedzenie i kto wie co jeszcze!”

Czy Elina rzeczywiście miała coś wspólnego z Armasem? Nie minęła ani godzina, jak wezwano Elinę na przesłuchanie. Ale co z tego! Członkowie rady najedli się tylko wstydu. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że zupełnie nic nie wie. Jakaś karę trzeba było jej jednak wymierzyć, Czerwony Krzyż Czerwonej Gwardii był mimo wszystko trochę za czerwony. Co mogłoby być dla niej odpowiednią nauką? Wyszoruje podłogę w sali remizy. „I nie zadawaj się z mężczyznami! To dla takich jak ty zbyt niebezpieczne!” — dodał jeden z gospodarzy.

Skończyło się święto czarownic. Na dziedzińcu przed remizą stała gromada mężczyzn z karabinami, właśnie prowadzono trzech nie uzbrojonych.

— Do widzenia, Elino! — powiedziała Lempi, a towa rżyszący jej mężczyzna zatrzasnął drzwi.

Dopiero teraz Elina trochę oprzytomniała i chciała rzucić się w objęcia Lempi, ale strażnik odtrącił ją brutalnie. Co to ma znaczyć? Elina doznała okropnego uczucia. Nie wiedziała jak je nazwać. Nie wiedziała nic i to było najgorsze. Ludzie mieli tego dnia takie dziwne twarze, jakby zastygłe z przerażenia. Co się mogło stać z Armasem? Dokąd poszli albo raczej dokąd ich zaprowadzono?

— Czego tu szukasz?

— Przysłano mnie do sprzątnia.

— Kto cię przysłał?

— Sędzia.

— Co za sędzia!

— Skąd mam wiedzieć? Na folwarku Rantali.

— Tak, tak. No, to zaczekaj trochę w dyżurce!

Elina usłuchała. W pokoju było pięciu mężczyzn, sami więźniowie. Elina rozpoznała braci Makinenów, ale pozdrowienie zamarło jej w gardle. Wszystko to przeszłość, liczy się tylko bieżąca chwila. Nawet Jooseppi siedział w milczeniu. Była w towarzystwie sześciu stojących nieboszczyków, sześciu nasłuchujących, znieruchomiałych nieboszczyków.

Teraz — teraz — teraz. Mumie drgnęły trzykrotnie, a wraz z westchnieniem wróciło im życie.

Już po wszystkim, dzięki Bogu. Jakże małe i łatwe, mizerne i ulotne jest ludzkie życie!

Drzwi się otworzyły.

— Hej, jest tu sprzątaczką? Przynies kubał wody z kuch ni i szczotkę czy miotłę. Jest niemało roboty!

Elina poszła sprzątać. Nie rozumiała swych przeczuć, ale musiało to być coś okropnego. Wyszła na dwór. Dokąd iść? Ktoś powiedział: „Idź tam!” Elina poszła, ale obejrzała się na mur, na ziemię. Spojrzała i zrozumiała to, co przeczuwała, ale rozum ją opuścił.



JL Wiosna ziemską obracała się, słońce stało w miejscu.

Nastały znów jasne, wiosenne dni. Letnie wiatry usuwały z północnego zbocza wilgotne ślady zimy, południowa strona była już całkiem sucha. Krótkie było życie wiosennych strumieni. Szumiały i pluskały przez tydzień, a potem znikły. Zbocze zostało wymiecione do czysta. Ale woda z topniejących śniegów dokonała swojej corocznej zbrodni: cząstka Pispalskiej Góry znów wylądowała w dolinie. Najlżejsze jej drobiny ześliznęły się aż na wspaniałą plażę nad jeziorem Nasijarvi.

W cieśninie pomiędzy Reuhari a Niemi powinny ukazać się pierwsze tratwy. Czyżby na północy lody jeszcze nie stajały? Rozległa tafla jeziora była już wolna. Patrzcie, oto parowiec „Kuru” dumnie odpycha skiby fal, mijając latarnię w Siilinkari. A może to „Tarjanne?” Co to? Już nie odróżnia się statków na odległość kilku kilometrów! Tak, tak, wszystkiemu winna rewolucja! Nie wzmacnia wzroku brak masła! Gdybyście dzieci, wiedziały, jak to jest, kiedy nawet sól sprzedaje się na kartki! Ale i dzieci, chwała Bogu, przekonałyby się o tym na własnej skórze, gdyby nie to, że pomarły!

Wiosna. Na gruntach rantalskich gospodarzy parowały świeże bruzdy, to tu, to tam błyskał biały ogonek pliszki. Gdzieś pod obłoczkami dzwonił jego dostojność skowronek.

Znowu budowano pośpiesznie nowe gniazda i rzucono ziarno pod nowy siew. Zamiast czekać z założonymi rękami, gwizdano skoczne polki, przerywane gęsto przekleństwami, gdy lemiesz pług zgrzytał o kamień. A słońce przygrzewało. Im później zachodziło wieczorem, tym wcześniej wstawało nazajutrz. Coraz dalej wynurzało się spoza błękitnego pasma przeciwległego brzegu, gorejące czerwonym płomieniem jak grzebień koguta.

Okolo pierwszej promienie słońca padały wprost w okno Nieminenów, zbyt prostopadle jednak, by dosięgnąć budzika, choć stał na komodzie na samym środku izby. Sądząc według budzika, niebieski siewca spóźniał się dokładnie o dziewiętnaście i pół minuty. Słońce śmiało się z tego. Przyglądało się kwiatom Józefiny, pelargoniom i wszystkim innym wąsatym i brodatym roślinom. Na parapecie okna podparta tyczką stała róża o wstydliwym rumieńcu, z bibułkową zieloną sukienką na doniczce. Słońce widziało tysiące takich róż w wielkich szklarniach, w pokrytych szkłem wytwórniach kwiatów, i wcale nie cieszyło się, że kwiaty są produktem i towarem. O wiele większą radość sprawiały mu owe drobne zielone cuda, kiedy kielek za kielkiem przebijały się z dziką pasją przez żwir. W tej niespożytej energii, w jej obfitości objawiało się życie pomiędzy wiosną a jesienią. Najdrobniejszym maleństwom tej ziemi słońce użyczało blasku swej złotej tarczy. Podbiał, mlecz i astry. Nie brakowało ich w ogrodzie Nieminenów, jedynie mech wyrastał nieśmiało.

Józefina wachała swój krzak róży. Dobrze wiedziała, że za kilka tygodni z kwiatu, otrzymanego w prezencie z okazji srebrnego wesela, pozostanie zaledwie kolczasty kikut. Tak to bywa z różami!

Okulary Józefiny miały tylko jeden metalowy uchwyt na ucho, drugi był dorobiony z nitki. Józefina włożyła je na nos i zaczęła przyglądać się ziemi w doniczce. Mam cię! Między dwiema tłustymi bryłami ziemi wila się mała, żółta gąsienica. Czarny punkcik najwidoczniej wskazywał na głowę i otwór gębowy, bo ostatecznie każde żywe stworzenie powinno go mieć. Tylko dlaczego musi się mieścić ko-

niecznie tam gdzie głowa, tak jak u ludzi? Iść za węchem, wypatrywać i pożerać, co się trafi na drodze. Czyżby na tym miało polegać życie? Fe! Józefina przyniosła łyżkę, otworzyła okno i wyrzuciła gąsienicę. „Patrzcie ją! Zachciało się jej róży. Że też ci nie wstyd!” — Biedna gąsienica. Może jej przeznaczeniem było wyrosnąć na porządnego owada, by potem za najskromniejszą zapłatą służyć Panu jako zapylacz kwiatów.

Kiedy minęło dokładnie dwadzieścia pięć lat jej małżeństwa, Józefina zawołała:

— Słuchajcie, dzieci. I ty, ojciec, też słuchaj! Czy ktoś z was mi powie, jaki mamy dzisiaj dzień?

■— Dzień wypłaty! — zawołał Erkki.

■— Popołudnie! — uważał Kalle.

— Przestańcie się mądrzyć! Zgadnij ty, ojciec! Powinieneś wiedzieć! Nie wiesz? No, tak, ty nigdy niczego nie pamiętasz!

— No, to już powiedz wreszcie.

— Czy naprawdę nie pamiętasz, że jestem twoją żoną? Dziś mija dokładnie dwadzieścia pięć lat od dnia, kiedy proboszcz Roselund — Panie świeć nad jego duszą! — połączył nas, abyśmy byli jednym ciałem i krwią. Nie pamiętasz?

— Tak, powiedział coś podobnego.

— Nie! Wcale nie powiedział, tylko przeczytał z książki wobec dwóch świadków! Nie próbuj się wykręcać. Mam cię, mój pocziwczu, i tak już zostanie, aż się wyniosę z tego świata. Myślę, że mogłabym dostać od swego oblubieńca coś w rodzaju ślubnego prezentu. Czy pošlesz dzieci, czy mam go sobie sama przynieść?

— Idź, tato! Mama się ucieszy! — podchwyciła Sylvi. Ojciec poszedł i wrócił niebawem z krzakiem róży pod pachą. Józefina zaparzyła kawy i tak bez zbytniego hałasu odbyło się srebrne wesele. Wkrótce przebrzmiały echa tej uroczystości. Jak ten czas mija!

Wreszcie Józefina doczekała się tego, że nawet w dzień powszedni mićJła przerwę w pracy między godziną pierwszą i drugą. Sylvi i Erkki zaczęli uczyć do szkoły, a reszta

rodziny chodziła do pracy, oprócz Eliny, która teraz już ostatecznie odseparowała się od rodziny, a nawet w ogóle od życia. Józefina raz tylko odwiedziła córkę i doznała przy tym takiego wstrząsu, że zabroniono jej składania wizyt w lecznicy, zwłaszcza że była potrzebna gdzie indziej. Wprawdzie musiała do godziny drugiej przygotować kawę dla Lisackiego, co bynajmniej nie mąciło gospodyni wypoczynku. Wręcz przeciwnie, była zachwycona, gdy nieraz jej staruszek wracał wcześniej do domu, bo wtedy i on mógł sobie trochę odpocząć, czekając na posiłek. Nikt tak jak ona nie dostrzegał, że z roku na rok szary welon starości coraz szczelniej otula postać jej męża. Pięćdziesiąt siedem zim roboty pod gołym niebem nie znaczyło mniej niż siedemdziesiąt lat pracy urzędnika, a przecież Lisackie-mu też należał się jakiś rodzaj dzieciństwa.

Pięknie! Józefina mogła robić teraz to, na co miała ochotę. Wzięła wodę do dzbanka i wyszła z pustym wiadrem po wodę. Zawiesiła wiadro na haku, rozejrzała się dookoła. Trzymając ręce pod fartuchem, jakby chcąc ukryć ich beczynność, ruszyła ugiem do willi Dahlmanna, która niedawno przeszła w ręce rodziny Merila. Lisacki pracował właśnie nad jej wykończeniem, przykładając do tego rękę po raz trzeci, a i czwarty raz nie miał go ominąć. Właściwie wojna domowa sprawiła, że usamodzielniał się. Pracował jako cieśla, często zajmował się także zakupem materiałów. Był to opłacalny interes, a że i dług zaciągnięty na budowę własnego domku znikł niemal bezboleśnie dzięki dewaluacji, mógł teraz sypiać spokojnie.

Nie zaszkodziłoby postarać się o nową pożyczkę i rzeczywiście podobny pomysł zaświtał w głowie Lisackiego.

Pan Merila był kimś w rodzaju prokurenta. Dyrektorem jeszcze nie był jak Dahlmann, który przeniósł się do miasta i najpewniej został już dyrektorem naczelnym. Ale i temu Merila też niewiele brakowało; nie opodal starego domu wznosił się teraz budynek wielki jak kościół. Pan prokurent oczywiście przyglądał się, dostarczał gotówkę i starał się jak najmniej przeszkadzać przy budowie kamienicy. „Merila nie jest jeszcze najgorszy” — powiedział o nim

Iisakki, ale nie wyjaśnił, co rozumiał pod tym „nie najgorszy”. Więcej szczegółów — prawdziwych czy nieprawdziwych — dowiedziała się Józefina, stojąc w kolejce po mleko. Jakaś pani w kapeluszu, która niedawno przeniosła się do Pispali z miasta, opowiadała, że pan Merila całkiem nie ma kręgosłupa, w każdym razie odkąd ożenił się ze swą obecną żoną, garbatą wdową z trojgiem dzieci: synem Allanem i dwiema córkami z pierwszego małżeństwa, Margit i... tą, Lulu. A co ma z tym wspólnego kręgosłup pana Merila? To istna bajka! Ma taki krótki kręgosłup! Jedynie pulchny zadek pana Merila trochę się spłaszczył podczas wielkiego bankructwa, które przeistoczyło jego fabrykę gwoździ w sklep towarów kolonialnych rodziny Sutrinen. Jego żona była przy bliższym poznaniu podobno niezwykle miłą osobą, delikatną i bez specjalnych pretensji. Pani w kapeluszu nie szczędziła pochwał, zwłaszcza że chodziło o zamężną garbuskę. Można o niej nawet powiedzieć, że ma piękną duszę.

Józefina chętnie zaprzyjaźniłaby się z nową sąsiadką, ale pani Merila nie miała zamiaru pojawiać się w Pispali do chwili wykończenia jej mieszkania. Józefina stała chwilę na podwórzu i patrzyła, jak Iisakki i trzech bracia Makine-nowie wykańczają wiązanie dachu. Że też Iisakki nie napomknął jej o tym ani słówkiem! Zapowiadało się solidne „wiechowe”. Wódka i wódka, na to wszystko mężczyźni są łasi. Józefina nie myliła się, miała nosa. Nazbierała wiórów do fartucha i zawołała:

— Pamiętaj, żebyś mi wrócił do domu, zanim zlecisz z drabiny!

Rzeczywiście miała nosa. Całe szczęście, że pojawiła się na podwórzu, żeby się trochę rozejrzeć. Uspokoila się dopiero, kiedy Iisakki wylądował w bezpiecznej przystani rodzinnego domu.

— Śmierdzi jak z beczki — wymyślała. — Dzieci niedługo wrócą i takiego ojca im pokażą!

Około piątej Iisakki powiedział:

— Muszę przynieść jeszcze czwartą łopatę.

— Jaką łopatę? Nigdzie teraz nie pójdziesz. Musisz coś

zjeść! Znam się na takich sztuczках! Poszedłbyś zaraz do Makinenów sprawdzić, czy nie zostało jeszcze trochę wódki. Przyznaj się uczciwie.

— Uczciwie, uczciwie. Co to znaczy „uczciwie?” Kalle, przynieś mi łopate, tę z nowym trzonkiem. Stoi w szopie pana Merila. Teraz będzie się u nas budowało. Przyznaj mniej jeden komin przydałby się jeszcze. Pomalujemy chałupę na taki kolor, żeby było widać nawet z jeziora. Żeby ten przeklęty rybak Santtu w końcu skapował, gdzie nasz płot się zaczyna, a gdzie kończy!

lisakki postanowił i nie dał sobie nic wytłumaczyć. Józefina miała rację. Mężczyźni są strasznie uparci, nie ustąpią za nic w świecie. Zresztą obojętne, kiedy się zacznie ta robota, byle skończyło się do jesieni. Właśnie jest odpowiednia chwila, żeby się do tego zabrać, jeśli tylko Józefina się zgadza. Kto to widział, żeby z powodu kilku głupich kieliszków tak nagadać dorosłemu mężczyźnie! Niemal od roku nie tknął butelki i taka zapłata.

Co zrobić z wykopaną ziemią, Nieminenowie wiedzieli doskonale. Chodziło o podsypanie stromej ścieżki od strony jeziora. Pracowali od lat nad tym, tak że ciężarówka podczas wyprowadzki pana Dahlmanna bez specjalnych przeszkód podjechała aż pod sam dom. Wprawdzie zjechać stamtąd udało się szoferowi dopiero po czterech godzinach trudów, ale w każdym razie. Wówczas lisakki znowu wpadł na pomysł zbudowania drogi. Oczywiście Dahmannom nie mogło to już wiele pomóc, a z kolei pozostali nie mieli najmniejszego zamiaru się wyprowadzać. Na razie więc nic z tego nie wyszło. Sam lisakki nie był w stanie zbudować skarpy ochronnej dla całej osady, więc dłużył tylko dalej wokół swojego domu. „Nieminenowie będą teraz mieli podwórze jak sala do tańca, coś wspaniałego” — mówiła pani Haapanen. lisakki uparcie pracował dalej. Gminie rachunku nie wystawił, nawet gdy nauczyciel Trapp, członek rady gminnej, uprzejmie oświadczył:

— Tę drogę nazwie się aleją Trappa. Niech pan będzie tak uprzejmy i przybije tabliczkę na pańskim domu, mniej więcej na wysokości trzech metrów, na frontowej ścianie.

— Ale tu się nawet drogi nie krzyżują! — zaryzykował Iisakki.

— Racja, ale odległość od następnej tabliczki jest trochę za duża, a mój dom stoi nieco za daleko od drogi, schowany za żywopłotem ze świerków i otoczony śliwami... Zresztą myślałem, że nie zaraz... I jeszcze coś: czy jako dobrzy sąsiedzi nie moglibyśmy uzgodnić, żeby pański dom otrzymał numer trzynasty, a mój jedenasty, bo i mój telefon ma ten sam numer. Trzynastka przynosi szczęście, chyba nie jest pan zabobonny?

Nie, Iisakki nie był zabobonny. Nie wierzył ani w szczęśliwe, ani nieszczęśliwe prognozy, wierzył jedynie w pracę swoich rąk. Praca stanowiła całą jego wiarę. Wykończył swój odcinek drogi i zbudował schodki. Zabrał się do budowy własnego domu i właśnie zajęty był kopaniem dołu pod fundamenty. Wystarczyło tylko zrównać małe wzniesienie terenu.

Głównie żonie, bo nie sobie samemu, mężczyzna zawdzięcza, że nie potrzebuje harować w pojedynkę, tylko dla siebie, że ma rodzinę, krewnych — zatrudnienie dla rąk i oparcie dla ducha.

W każdym razie źle, że mieli do dyspozycji małe taczki, do tego drewniane! Gdyby przynajmniej kółka były na gumach! Wystarczyłoby położyć deski przez grząski odcinek drogi. Ale takie taczki istniały chyba tylko w marzeniach Paavalego. Okute drewniane kółko dla tego rodzaju pojazdu wystarczy, jeśli nawet rower Einarego mógł mieć drewnianą ramę.

— Ten cebrzyk mógłbyś już wyrzucić — powiedział Paavali, wskazując na czapkę białej straży obywatelskiej, którą Einari zakładał do brudnej roboty. Do straży obywatelskiej Einari, jak wiadomo, nigdy nie należał, za to zwyciężył w kilku miejscowych zawodach narciarskich i w nagrodę dostał solidne lodenowe ubranie, szare, ale bez prążków, na takie ubranie stać było chyba nawet pracowi tego parobka.

Iisakki jeszcze Intern wbił na swojej działce kilka krótkich palików — miały one służyć za punkty orientacyjne

przy wymierzaniu terenu. Teraz obcasem wyrwał je z ziemi i rzekł:
— Potrzeba nam najmniej ze czterysta takich palików.
Przyda się chyba jeszcze jedna taczka. Pożyczę od Makinenów.

Chwilę potem Józefina posłała Sylvi do Makinenów i kazała spytać, czy nie mają zbędnych szmatek na dywaniki. „I wróc razem z ojcem!” — dodała na końcu.

Pierwszy transport żwiru był już gotowy do drogi. Kto powiezie?

— Ja, ja — zawołał Kalle, w którego głosie mieszały się jeszcze najniższe i najwyższe tony.

— Spróbuj! — odparł mu Einari.

— Wypręż ręce — dodał Paavali.

Kalle wyprężył ręce, jak tylko mógł, i wyteżył wszystkie siły.

— Poczekaj, przed kołem jest kupa piachu! Opuść dyszel.
Muszę najpierw oczyścić deskę!

Józefina zdenerwowała się.

— Odsuńcie się, rzygać się chce na taką robotę!

I wtedy pojazd wywrócił się do góry dnem.

— No widzisz jak to jest, jak ktoś klnie, zamiast słuchać matki! Rozumiesz wreszcie o co tu chodzi? A wy też się przypatrzcie, żebyście wyciągnęli z tego nauczkę!

Podnieśli taczkę i, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, tym razem jeszcze szybciej ją naładowali. Paavali chwycił za rączki i ruszyli.

Równie energicznie rozprawił się Einari z następnym ładunkiem, choć już na pierwszym zakręcie kółko zsunęło mu się z deski. Na szczęście posłuchał rady brata, który krzyknął:

— Niech leci, stój mocno na desce!

Wcale nie dlatego, żeby sprawiedliwie dzielić się pracą, ale z samej radości życia Paavali i Einari pilnowali, by pchać taczkę na zmianę. Ostatecznie żaden z nich nie był taczkarzem z zawodu.

Potem wrócił Iisakki z drugą taczką. Radość była ogromna. Einari cisnął w trawę swoją przepoconą czapkę, ów sła-

wetny białogwardyjski krwawy szaflik, który jednak najpierw wpadł do taczki Paavalego, a potem znalazł się pod warstwą żwiru, gdzie miał już zbutwieć i przepaść w zapomnieniu, choć politycznych ziarenek i tak pozostało po nim dość dla wszelkiego gatunku ogrodników.

Józefina o dziewiątej prosiła, o wpół do dziesiątej wołała, o dziesiątej nakazywała, a dziesięć minut po dziesiątej własnoręcznie wpędziła swoją gromadę do domu — na „północną wieczerzę”, jak Nieminenowie ochrzcili swoje posiłki w czasie najcięższej harówki. Nawet Erkki wstał, by uczestniczyć w męskiej uczcie.

— Ty nie potrzebujesz — dokuczał mu Kalle — już w południe zacząłeś fajerant. — Nie powiedział tego wcale życzliwie. „Na jutro musimy postarać się o jeszcze jedną taczkę, żeby sobie nie deptać po piętach” — rozmyślał Einari.

— Rany boskie! Po co obierasz takie góry kartofli, Paav... Ein... no, jakże ci tam, Kalle! I tak tego nie zjesz!

— Mogę się postarać nawet o dziesięć taczek — obiecał Kalle, który był gońcem w zakładzie elektrotechnicznym.

— Moglibyście przyczepić do taczek latarki, mielibyście wtedy jasno aż do świtu — zaproponował Erkki.

— Nie pleć głupstw! Ile takich latarek diabli by wzięli, zanim wykopimy doły pod fundamenty! — spytał Kalle.

— Powiedz najpierw, ile razy już próbowałeś pchać taczkę — odpalił groźnie malec.

Gdy wszyscy już sobie podjedli, a Iisakki zapalił drugiego papierosa, Józefina powiedziała:

— Dosyć palenia! Marsz do łóżek, żebym mogła spokojnie posiedzieć na krześle!

— Co takiego, chcesz wprowadzić zwyczaj spania na krześle?

— To już moja sprawa! A ty, Kalle, zdejm portki, trzeba polatać!

Budowa przeciągała się w nieskończoność. Domek Nie-minenów powinien być gotów do końca lata, a tu masz babo placek! Iisakki postarzał się, sam wiedział o tym najlepiej. Jesienią Einari miał iść do wojska, więc latem będzie

mógł jeszcze pomóc przy budowie. A Paavali? Wyglądało na to, że najstarszy syn myśli już o założeniu własnej rodziny, a w cenach działek budowlanych też był, zdaje się, nieźle zorientowany. Einari byłby następny w kolejce. Kryzys, to znaczy okres siedmiu chudych krów, ciągnął się dalej. Mogłoby się wydawać, że to nieprawda, ale lisakki był tego pewien.

— Kryzysy są wieczne — mawiał — choć mówi się o nich tylko wtedy, gdy się dobierają do warstw średnich.

lisakki nie był specjalnie przekonany o umiejętnościach synów do przystosowania się do życia w ciężkich czasach, ale to nie mąciło obrazów jego wyobraźni, że kiedyś jego wnuki, razem czy każdy z osobna, będą się wspinać niczym stado małpiątek na posadzone przez niego drzewka, a on, dziadzio, będzie pukał w szybę i wołał: „No, no, kocz-kodany! Nie połamcie sobie gałęzi”. — Patrzcie go, już tak się postarzał, że myli gałęzie z gnatami.

Erkki siedział naprzeciwko ojca i bazgrał w zeszytcie. $5 + 5 - 3 = 7$; czy na tym polega sztuka liczenia?

lisakki podał mu przez stół pudełko z papierosami i rzekł:

— Pisz tu, bo gdzieś mi się zapodział ołówek. Napisz najpierw trzydzieści worków, potem dwadzieścia pięć, potem dwadzieścia i jeszcze raz dwadzieścia. Weźmiemy jeszcze sześć worków, żeby starczyło na tynkowanie. No, a teraz zlicz to wszystko razem!

— Sto jeden worków, nie ma się tu nad czym głowić! — lisakki chciał sprawdzić, co chłopiec napisał, i zauważył, że w ogóle niczego tam nie ma oprócz liczby 101.

— Podaj mi ołówek — powiedział. Dopisał wielką szóstkę i dodał: — Wychodzi sto jeden, ale skąd tyś to wziął? — Jeden worek cementu kosztuje 28,75. Wpisał to pod 101 i zaczął mnożyć. $5 \times 1 = 5$, $5 \times 0 = 0$ i 5×1 znowu 5...

— 2903 marki i 75 fenigów. Nie masz co przeliczać. To jest 2975, powiedzmy 2900. Mamo, słyszałaś, co powiedziałem na początku, tak jest naprawdę!

— Słyszeć to słyszałam, ale już nie pamiętam, bo mi pomyliłeś. lisakki pamiętał.

— Powiedziałeś 2903 marki i 75 fenigów. Ale jak na to wpadłeś ?

— Sto razy ci mówiłam, że w głowie tego chłopca jest coś nie w porządku, rachunki ze sklepu dodaje tak prędko, aż mi się słabo robi. Z Eliną było tak samo, jak była w jego wieku. Wystarczyło jej raz zaśpiewać jakąś piosenkę i już umiała na pamięć. Aż strach! Ale może liczby nie są takie niebezpieczne jak pieśni.

W końcu Iisakki dostał swoją filiżankę kawy, wypił ją szybko i poszedł. Nie patrzył na zegar, ale wiedział, że przerwa obiadowa się skończyła.

Mały Erkki musiał tymczasem opowiedzieć matce swoje dzieje pierwszoklasisty i że przy strzelbie ojca trzeba naostrzyć iglicę, żeby na pewno wypaliła, jak w szkole znowu pokaże się w klozecie ten wielki szczur.

Przed pójściem do sklepu, matka otworzyła drzwi do sypialni i kazała Sylvi pilnować, żeby Erkki znów czego nie przeskrobał. A miły beniaminek mimo wszystko dobrał się do strzelby i zaczął przy niej manipulować. Szkoda tylko, że była nabita i wystrzeliła prosto w wiaderko i woda zaczęła tryskać jak z konewki. Na szczęście lufa była zwrócona do przodu, a nie do tyłu, obyło się jakoś bez rozlewu krwi, dość było tłumaczenia z powodu wylanej wody, zwłaszcza że kiedy wróciła Józefina, cała izba śmierdziała jeszcze prochem.

— To tylko pudełko zapalek wybuchło, jak chciałem sobie zrobić wykałaczkę.

— A woda wytrysnęła ci wtedy z dziury w zębie?

— Ta tutaj? Wylała się, jak chciałem opróżnić wiadro.

— Rzeczywiście, puste. Ale skąd te dziury? Jest ich w wiadrze jak gwiazdek na niebie! Co wy na to? No, Sylvi?

Erkki zaczął wyjaśniać:

To od rdzy, wiaderko było już dosyć stare! Był straszny huk, jak Sylvi wywróciła!

Józefina nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Nie było wątpliwości, że szło o strzał śrutem. Ale żeby grzeczna Sylvi tak bezwstydnie ujęła się za swoim młodszym braciszkiem! Czy to źle, a może raczej ładnie? Ale wiaderko

jednak zniszczyli! Erkki potrafił nadać dobry kierunek całej sprawie:

— Mamo, kupimy nowe wiaderko do wody, a to przeznaczymy na odpadki, świetnie się do tego nadaje!

— Zamknij buzię! — huknęła Józefina i pogroziła mu ścierką.

W końcu chłopak powiedział:

•— Mamo, na pewno bym ci wszystko później opowiedział, jak byś się przestała gniewać! — A po chwili dodał: — Mamo, nie mów o tym ojcu i nie gniewaj się na Syl-vi, chociaż trochę nabujała!

— Mam ja z wami słodkie życie! Marsz do szkoły!

Józefina poszła do ogrodu. Kiepska z niej wychowawczyni! Dzieci jednak jakoś wyrosły i wszystkie pomagają w rozbudowie rodzicielskiego domu. Musiała się zestarzeć, żeby sobie uświadomić, że mimo kryzysów, wojen i chorób nie brak na świecie dzielnych mężczyzn i kobiet! Wyrastali jak spod ziemi, w mroku, w nędzy i biedzie.

Gromada dzieci, ten krąg istot najbardziej bezradnych, nad którymi litowano się lub za które wręcz trzeba się było wstydzić, wyrosła w ciągu niewielu lat na pełnoletnich ludzi — zmieniła się w całkiem nowe pokolenie, krąg obejmujący całą kulę ziemską, do którego kiedyś życie dołączy dalsze kręgi. Józefina nie pytała nigdy, czy życie jest coś warte. Ono samo było dla niej czymś o wiele bardziej cennym od wszystkich argumentów, którymi wiedza, sztuka czy religia kiedykolwiek dowodziła jego wartości. To były tylko bańki mydlane, obłoczki, tęcze w porównaniu do owej potężnej rzeki, którą otacza coś nieokreślonego, co w słowniku Józefiny miało wiele pięknych nazw. W gruncie rzeczy jednak wszystkie słowa, obrazy, dźwięki stanowiły tylko nieudolne próby nazwania tego, co się nazwać nie da. Wprawdzie w swoich modlitwach Józefina zwracała się, jak ją nauczono, do Ojca, Syna i Ducha Świętego, ale ta najbardziej poufna, nigdy nie wypowiedziana prawda jej wiary była w końcu czymś tak niejednorodnym i pomieszanim, iż może należałoby ją nazwać wiarą w człowieka.

A oto jej najpiękniejszy sen, o którym miała wspominać jeszcze na łożu śmierci:

— Erkki dał mi kamień i powiedział: „Mamo to jest złoto!” Na miłość boską, co ty mówisz, skąd masz ten kamień? — mówię i zaczynam biec tam, gdzie Erkki wskazywał rączką. Miał wtedy pięć lat. Pamiętam dobrze, bo miał czerwone pończochy, które stanowią teraz część tego sztukowanego chodnika. Potem szłam przez jakieś wielkie bagno i już sobie myślałam, że nie ma ono końca, aż tu nagle słyszę szczekanie psa. Pomyślałam, że zaraz znajdę się pod jakimś dachem, ale nie widać jakoś ani śladu chaty, ciągle tylko bagno, a niebo zrobiło się ciemne. I wiecie, wtedy jeden jedyny raz w całym moim życiu usłyszałam puszczyka, chyba że go usłyszę jeszcze raz, jeśli jeszcze stanę na nogi. Bo Wyżyna Pispalska to taka miła okolica, że tu nie ma puszczyków. Ale potem... no tak... o psie wam już opowiedziałam? Chyba tak! Pies przybiegł do mnie, spojrzął mi przymilnie w oczy i zaczął merdać resztką ogona. Był to jasnobrązowy lapończyk, wiecie na pewno, jak wygląda. Potem chyba znów szłam przez bagno, ale tego już nie pamiętam. Przypominam sobie tylko jakieś góry. Ach, Boże, jaki był stamtąd widok! Jeziora i lasy, jeziora i lasy, wszystko w słońcu! Dzieciół stukał, aż całe zbocze odpowiadało echem, ale nie widziałam go, bo pies ciągnął mnie dalej. Już się na niego trochę gniewałam, bo zaprowadził mnie do jakiejś kotliny, gdzie rosły tylko osiki i karłowate wierzby, a tak gęsto, że ledwo się można było przecisnąć. A na nich roiło się od mszyc. Nigdy nie miałam czarnego fartucha, ale wtedy miałam taki fartuch na sobie! Dobrze, że nie ma tu węży — pomyślałam. Nagle zobaczyłam dwa mrowiska — tuż obok siebie. Wtedy sen znów się przerwał na chwilę. Pamiętam tylko, że grzebałam patykiem w piasku, widocznie szukałam złotych kamieni, nagle znów zjawił się pies. Potem był wielki las, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam: sosny, grube na metr, a dokoła ciemnozielony mech, delikatny jak aksamit, tylko jeszcze bardziej miękki, tak mi się zdaje, bo nigdy nie siedziałam, a tym bardziej nie chodziłam po aksamicie. Jak w ogromnym kościele — pomyśla-

łam — a głos brzmi jak śpiew chóru. Złotych kamieni nie było jednak nigdzie. Kamień, który mi dał Erkki, miałam przez cały czas w ręku i porównywałam z nim każdy kamyczek. Ale potem — poczekajcie do końca — pies nagle wskoczył na skałę, porośniętą mchem. I zaczął wyć. Co się z nim stało, czyżby się wściekł — pomyślałam — i podeszłam bliżej, żeby mu się przyjrzeć, ale w połowie drogi stopy zaczęły mi się ślizgać, a kiedy już się zupełnie ześliznęłam, wyobraźcie sobie, co zobaczyłam? Złoto! Żadnych kamieni ani brył ziemi, tylko złoto, cała skała ze złota! Kopalnia złota leżała przede mną! Czołgałam się tu i tam jak opętana i rozchyliłam krzaki, żeby zobaczyć ile tam tego złota jest. I wtedy się zaczęło: najpierw opustoszał ten występ skalny, a potem znikły stopniowo wszystkie krzaki, wszystkie zioła, mech, poszycie, jakby ktoś zwinął olbrzymi dywan — ziemia była żółta, zamieniła się w szczere złoto! A ja tyle sobie zadałam trudu z szukaniem! Ale i tak się opłaciło. To był mój najpiękniejszy sen. Od tamtego czasu przestałam się rozglądać za wszelkiego rodzaju kamieniami i psami. Pispalska góra jest ze złota, wierzcie mi!

— A ten kamień znalazłem pod wycieraczką.

— Na miłość boską! Naprawdę go znalazł?

— Owszem, owszem, przypominam sobie, znalazłem taki kamień o dziwnym kształcie, to był chyba zupełnie zwyczajny kamień.

— Jezus, Maria! I dopiero teraz to mówisz! Pomyśl tylko, gdybym umarła poprzedniej nocy, po zapaści, komu byś o tym opowiedział!

No, właśnie: piasek zdatny na beton! Czy nie śniło się jej o betonowym piasku? Bardzo by się teraz przydał! Obok studzienki na mniej więcej dwumetrowej głębokości był taki piasek, ale nie mogli go teraz wykorzystać, bo prowadził tędy wjazd, a trzeba było przywieźć jeszcze desek i cegieł.

— Gdybyśmy zaczęli kopać trochę wyżej! — powiedział Iisakki. — Myślę, że żyła tego piasku ciągnie się chyba dalej w tamtą stronę. Podobno w ogóle cała Pispalska Wyżyna przywędrowała stamtąd!

— Moim zdaniem żyła ciągnie się w poprzek, trochę więcej na prawo pomiędzy drzewkami — rzekł na to Paavali.

— Tam w każdym razie nie będziemy grzebać! — Iisak-ki wręcz się rozszłościł na taki brak respektu wobec posadzonych przez ojca drzewek. Poprzerąbywać korzenie? Przenigdy! Trzeba będzie szukać piasku gdzie indziej!

— Czy ja jedyna w naszej rodzinie miewam sny? — zapytała Józefina. — O jaki piasek chodzi? Wy tłumaczcie mi, żebym mogła wyszukać najlepszy, jeśli zobaczę kilka gatunków!

— Musi to być wysokogatunkowy piasek, zdatny na beton, bez ziemi, gliny i w ogóle żadnej domieszki, nie taki jak przy budowie domu Jakobssona, za to dokładnie taki, jaki mieliśmy przy budowie kanalizacji w naszym domu: nie za gruby, nie za sypki, normalny piasek do betonu.

Józefina wreszcie zrozumiała, co to znaczy betonowy piasek. Z wyglądu jest szary, szary! Różdżkarz na nic się tu nie przyda, trzeba kopać łopatą i zobaczyć go na własne oczy.

— Na naszym zboczach nigdzie go nie brakuje, jeśli się tylko zacznie kopać głębiej — rzekł Iisakki. Jeszcze tego samego wieczora wykopali dwa kilkumetrowe szyby i zasy pali je z powrotem, bo odpowiedniego piasku nie znaleźli. Wyglądało na to, że jednak trzeba będzie wykopać **rów przy wodociągu**.

Deski i cegły mało obchodziły Józefinę, za to woda! Już wyobrażała sobie, jak będzie musiała z pełnym wiadrem chodzić po chwiejnej kładce, nie mówiąc już o innych potrzebach! Choćby z tego powodu warto było mieć znowu proroczy sen. Rano nie opowiadała snu, jeszcze w południe milczała, ale wieczorem nie wytrzymała:

— Posłuchajcie, co mi się śniło. Przyszedł do nas Eetvarti Salonen i powiedział, że powinniśmy cały zapas drzewa ustawić pod ścianą domu, żeby drewno przeschło. A potem powiedział, że Einari i Kalle powinni wziąć taczki i łopaty i kopać pod domem tak długo, aż się stukną głowami. Pomacajcie, jakiego guza sobie nabiłam.

— A czy mówił coś o piasku na beton?

— Kto? A owszem, powiedział, że przyjdzie pokazać, gdzie leży to miejsce, ale dopiero jak wyrzucicie resztę tych rupieci.

Zaledwie wymówiła te słowa, ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę!

— Dzień dobry, przykuśtykałem do was na chwilę — rzekł Eetvartti Salonen.

— Dzień dobry — odpowiedzieli Nieminenowie. — Dzień dobry!

— O wilku mowa, a wilk tu! — zawołał Paavali. — Przyszedł pokazać wam to miejsce.

— Właśnie mówiłam...

— Nie ma co sobie głowy łamać, jak podwyższałem szopę u siebie, to zacząłem głębiej kopać, bo trzeba było zrobić betonową podłogę w stajni.

— Ładna historia! Mama przynosi, zdaje się, swoje sny rano z mleczarni — rzekł Kalle.

— Salonen, co z twoją nogą? — zapytał Iisakki.

— Zwichnąłem, jak spadłem z wozu. Gazet nie czytacie, czy co?

Słyszec słyszeli, ale tylko o koniu i zwalonym murze, o nodze woźnicy nic nie wyczytali.

— A czy koń był ubezpieczony?

— Skądże. Poprzedni to był, ten co go zakatrupili na służbie. Ciekaw jestem, gdzie się podziała ta cała komisja ubezpieczeniowa. Nie mam pojęcia, dokąd posłać rachunek.

— A czy to się stało w czasie rewolucji? Ależ tak, teraz sobie przypominam. To ta klacz, co wyjadała z ręki najmniejsze okruszyny. Czy przypadkiem nie nazywała się Finka? Prawie tak samo jak ja! — zauważyła Józefina.

— Rzeczywiście, tak właśnie się nazywała. Ale pani ma dobrą pamięć! Musiałem zostawić tę klacz w Ruovesi. Złamała lewą przednią nogę i trzeba było ją dobić. Zupełnie tak samo jak teraz Mińcie. I to z powodu takiej paskudnej historii! Jeszcze dziś nie mogę się z tym pogodzić! Wyruszyliśmy na nartach z patrolem i jakiś idiota kazał, żeby moja klacz ciągnęła karabin maszynowy. Wiem tylko, że to bzdura i koniec. Mieliliśmy zdobyć jakiś folwark. Podczoł-

galiśmy się i okrażyliśmy ten interes, ale wtedy ze stajni ktoś wypalił, więc rzuciliśmy się do ucieczki. A ja zostałem w ciemności z tym idiotą cekaemistą i z moją Finką. Dokąd się nie ruszyliśmy, wszędzie trafialiśmy na jakieś drzewo. A śniegu było tyle, jakby go ktoś umyślnie nazwoził. I wtedy Finka złamała nogę. Zabrałem cekaem, ale Finkę i sanki musiałem zostawić... Całe szczęście, że ci na folwarku obudzili się, zanim zdążyliśmy ich pozabijać. Dopiero ostatniej zimy dowiedziałem się, kto był w tym domu. Czy i ty byłeś w oddziale Peltonena?

— Byłem. Siedziałem wtedy w latrynie. A ta strzelba, co sama wystrzeliła, to moja. Nie wiem, jak to się mogło stać.

— Kto by się w tym połapał! To wszystko przez ten bunt.

— To była rewolucja, a nie bunt — przerwał mu Paavali.

— I sprowokowana przez monarchistów i anarchistów kontrrewolucja. Nie martw się Salonen! Twojej Fince postawią jeszcze pomnik jak bohaterowi!

— Pomnik! Co mi po tym! Koń by mi się przydał i to od zaraz! Właśnie chciałem cię zapytać. Czy mógłbyś, Iisak-ki, podpisać mi weksel? Chodzi o kilka tysięcy marek.

Iisakki podpisał bez zastanowienia.

— A masz już jakiegoś konia na oku? — zapytał.

— Na oku? — Mam go w stajni!

— No, to przywieź mi deski, ale szybko. Właśnie przydadzą się na oszalowanie!

Iisakki otrzymał kredyt. Wszystkie materiały budowlane otrzymał z rocznym terminem zapłaty, choć nie w spółdzielni, której był członkiem. Mimo to kupował dla zasady cement i gwoździe w spółdzielni i płacił gotówką jak należy. Na inne sprawunki jego dochody i oszczędności nie starczały, bo nawet Józefina nie umiała wyczarować smacznego posiłku z niczego. Nowe obciążenie hipoteki było nie do uniknięcia, z czym liczyli się zresztą od początku. W każ-dym razie wiązały się z tym emocjonujące formalności: odsetki, paragrafy i wieczne pióra. Zawarcie umowy na prze-

szło sto tysięcy marek było dziecinną zabawką w porównaniu z zaciągnięciem mniejszej o połowę pożyczki. Inwestorowi nic przecież nie wypożyczono prócz jednego robotnika, i to tylko na pewien czas. Za to bankowi trzeba było oddać w zastaw grunt i duszę, a może nawet w ogóle wszystko z ciałem po zmartwychwstaniu włącznie. W banku trzeba było siedzieć cicho jak w kościele. Zresztą Iisak-kiego dopuszczono jedynie do zakrystii.

Bank otrzymał nowego dyrektora. Iisakki musiał tłumaczyć od A do Z kim jest, o co mu idzie, skąd pochodzi. Dopiero wtedy mógł przejść do przedstawienia swojej sprawy.

— Czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy to dość okrągła suma — mówił dyrektor banku. — Wyniesie to mniej więcej cztery do pięciu tysięcy odsetek rocznie. Dojdzie do tego jeszcze amortyzacja. Czy to pana nie przeraża, nie jest pan już młodym człowiekiem.

— A czy bankowi nie przeszkadza, że musi wypłacać od setki ciulaczom? Choć taki bank jest sporo młodszy od skrzynki z moimi narzędziami.

Dyrektor się roześmiał — to nie był człowiek urodzony wczoraj.

— No, tak, my też mamy długi — rzekł — tylko niech pan weźmie pod uwagę, że są to miliony, nie tysiące, a to już coś zupełnie innego. Niech mi pan pokaże plan budowy, bo chyba pan rozumie, że bank musi mu się przyjrzeć.

— Rozumieć to rozumiem — odparł Iisakki i wyciągnął z kieszeni pudełko po papierosach i stolarski ołówek. Potem wyjął okulary z kieszeni kurtki, zbadał szkła pod światło i włożył sobie na nos. Następnie wziął ołówek do prawej ręki, na pudełku powoli wyłaniał się regularny czworobok. Linie były naprawdę proste i wyraźne, dyrektor bynajmniej temu nie przeczył, jedynie uśmiechał się z lekka.

— Może jednak zamówi pan u architekta porządny projekt z kosztorysem i przyjdzie z projektem, jeśli tymczasem nie minie panu ochota — powiedział dyrektor.

Iisakki przestał rysować. Spojrzał dyrektorowi w oczy, aż znikł mu z twarzy uśmiech, schował swoje przybory do kieszeni i zapytał:

— Czy architekt Talvela wchodzi jeszcze w skład komisji nadzorczej banku?

— Oczywiście. Jest przewodniczącym. Czy on pana zna?

— Powinien, bo często odsyła do mnie takich, którzy cną coś budować.

— Ach tak. Proszę chwileczkę poczekać. Mam pilną sprawę.

Dyrektor znikł na mniej więcej dziesięć minut, a po powrocie zmienił się w niezwykle uprzejmego człowieka. Naturalnie zdążył zatelefonować, co łatwo było odgadnąć, ale dlaczego nie dzwonił z tego aparatu, który miał przed sobą na biurku? Dyrektorska grzeczność wywołała uśmiezek na twarzy Iisakkiego.

— A co z fundamentami? Jeśli się nie mylę, mówił pan, że są już wykopane?

— Owszem, powiedziałem.

— A poprzednia budowa nie jest przypadkiem zbudowana z bierwion?

— Tak jest, ale o tym nie mówiłem.

— Ale betonowej podbudowy nie ma?

— Owszem. Teraz już ma. Musieliśmy ją zrobić, bo pod domem kopaliśmy piasek, więc bez tego dom by się zawalił.

— A ile obecnie wynosi pańskie ubezpieczenie od ognia?

— Pięć tysięcy marek.

—■ To niech pan zaraz pójdzie i podwyższy je co najmniej dziesięciokrotnie. A potem, kiedy pan podciągnie budowę do piętra, a pańskie materiały budowlane będą leżały na podwórzu, proszę podwyższyć sumę ubezpieczenia jeszcze o połowę. Najlepiej, jeżeli pan to jeszcze dziś załatwi. Proszę przyjść do mnie jeszcze w przyszłym tygodniu. Jutro rano wyjeżdżam służbowo i wrócę dopiero... Zaraz, niech pan zajdzie we wtorek, na pewno już będę. Mogę panu obiecać pożyczkę hipoteczną na czterdzieści tysięcy. Żyranta nie potrzeba, przy takiej sumie i kwota odsetek jest znacznie mniejsza. Proszę jednak przynieść dokumenty, to znaczy — wyciąg z księgi hipotecznej i co pan tam jeszcze ma.

— A projekt?

— Jeśli o mnie chodzi, nie musi pan. Jak słyszałem, cie-

sielską siekierą potrafi pan zrobić nawet stolik fryzjerski ze wszystkimi szczegółami.

— No, no! — uśmiechnął się lisakki. — Kto tak o mnie nablagował?

— Niech pan zgadnie!

— Gdyby przynajmniej powiedział prawdę, to by można zgadywać!

— Talvela. Architekt Talvela mi to powiedział. Rozmawiałem z nim. Ale niech pan jeszcze chwileczkę zostanie. Mam działkę nad górnym Nasijarvi na brzegu Koivusalmi i chciałbym tam zbudować domek wczasowy. Zaraz, gdzie jest projekt? O! Jest. Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał sporządzić kosztorys? Odległość od przystani Aalveli do mostu wynosi ze sto metrów, a robotników i konie może pan dostać w Teisko. Zresztą zorientuje się pan. Osobiście wolałbym, żeby budowniczy mego domu zajął się zakupem materiału, architekt oczywiście sam załatwi, co potrzeba, ale ja najchętniej zająłbym się tylko sprawami finansowymi.

— Na pańskiej działce pewnie nie wolno ścinać drzew?

— Oczywiście że nie, chcę żeby moje letnisko leżało, jak to się mówi, na łonie przyrody.

lisakki włożył rulon z planami do kieszeni kurtki i pożegnał się z dyrektorem. „Do zobaczenia” — powiedział dyrektor.

Następne spotkanie odbyło się we wtorek. Pierwszy kredyt hipoteczny na konto nieruchomości cieśli lisakki ego Nie-minena i jego żony Józefiny został podpisany i uwierzytelniony, aby nikt nie mógł wątpić, kiedy, od kogo i na jakich warunkach rzeczony lisakki otrzymał pożyczkę w wysokości czterdziestu tysięcy fińskich marek.

Przeszli do rozmowy na temat budowy willi dyrektora.

— Sześćdziesiąt dwa tysiące marek — orzekł lisakki.

— Sześćdziesiąt dwa tysiące marek! Czy pan się przypadkiem nie przeliczył? Mam już dwie oferty: jedna opiewa na pięćdziesiąt tysięcy, druga tylko na czterdzieści pięć.

No to będzie pan w takim razie miał domek za tanie pieniądze — powiedział lisakki najwyraźniej zadowolony z takiego obrotu sprawy. Dom Merilasa był już niemal na ukoń-

czeniu, ale swoją budowę dopiero rozpoczął, i nie miał ochoty podejmować się nowej, która by go przykuła do innej miejscowości. Kiepski zarobek można znaleźć i bliżej. Więc nie budował domku dla dyrektora. Ale tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy przyszedł płacić odsetki, dyrektor zagadnął go:

— No, niech pan zgadnie, ile ta willa kosztowała?

— Czterdzieści pięć tysięcy, jeśli się nie mylę!

— Słusznie, tyle właśnie miała kosztować, ale potem doszło jeszcze czternaście, sześć i dwa tysiące. Razem sześćdziesiąt siedem tysięcy.

Dyrektor nie wspomniał, że zewnętrzne ściany nie były jeszcze otynkowane i że komin trzeba będzie następnego lata wyburzyć i wymurować na nowo.

Oczywiście Iisakki tylko żartował, że wcale nie oglądał planów architekta Talvelego! W ogóle nie brałby cudzych planów do ręki, gdyby od razu okiem fachowca nie dojrzał kilku architektonicznych sztuczek, które właściwie stanowiły małe wynalazki. W każdym razie Iisakki nigdzie nie spotkał lepszych rozwiązań. Ukośne oszalowanie bynajmniej nie było nieistotnym szczegółem. W ten sposób zbudowano potem tysiące domów, nie wyłączając piętrowych. Była to metoda nie kosztowna i szybka, tak powstawał dom ciepły i trwały, a poza tym zbędne były uszczelnienia i okładziny, konieczne przy budowaniu z bierwion, w każdym razie z czasem, gdy ściany trochę osiadły i w ścianach tworzyły się szpary. Własną sypialnię Iisakki tapetował już po raz trzeci, ale tapeta znów marszczyła się, a w murze ochronnym powstawały się rysy. Mimo to budowałby może starym sposobem, gdyby był nieco młodszy i dostał większą pożyczkę.

Inną nowością Talvelego, która znalazła zastosowanie w budowlach Iisakkiego, była konstrukcja węglów. Talvela sporządził do tego osobny rysunek i najwidoczniej naprawdę stanowiło to jego wynalazek. Deskę o przekroju pięć na sześć cali i o długości całego pokoju należało zheblować z jednego końca, dwie przeciwległe krawędzie, aż powstało zwężenie dwa na jeden cal, pozostałe ścianki deski zachowują szerokość czterech cali. Do tak sporządzonego walca, jak mawiał

Iisakki, z powodzeniem dawało się przybić wewnętrzne oszalowanie, powstawał wówczas próg, który dawał oszczędność na oszalowaniu. Trociny i wszelki inny materiał izolacyjny można było wysypać w rogu na całą szerokość i węgiel stawał się równie szczelny jak cała budowla. Był to w rzeczy samej świetny pomysł. Iisakki zachował go w swej kanciastej czaszce, zanim oddał plan dyrektorowi, który rozumiał się na nim tyle tylko, że nie wolno go podrzeć. Projekt zawierał wprawdzie jeszcze cały szereg innych sztuczek, szczególnie przydatnych w budowie domków letniskowych, ale Iisakki mniej się nimi interesował, bo dbał tylko o zachowanie wyraźnej granicy pomiędzy tandetą a solidną robotą.

* • *

Świadectwo Sylvi z ostatniej klasy szkoły podstawowej było takie dobre, że dziewczynka powinna była właściwie pójść do szkoły średniej. Tak przynajmniej uważała nauczycielka.

— Czy naprawdę jest ono takie dobre? — wyraziła swoje powątpiewanie Józefina, a raczej miała zamiar je wyrazić, lecz zauważyła w porę, że nie wypada. Nauczycielka mimo to domyślała się, wnioskując zapewne z miny Józefiny, a może sądząc po jej ubraniu.

— No tak, wykształcenie kosztuje, nawet gdy się dostanie zniżkę.

Józefina nie śmiała zapytać, ile ta zniżka miałaby wynieść. Zresztą po co pytać, jeśli idzie o wyższe wykształcenie, to Józefina i tak miała dostatecznie wysokie mniemanie.

— Gdyby Sylvi nauczyła się przynajmniej porządnie gotować — zauważyła nieśmiało, choć nie bez racji, bo gotować nigdy nie można się nauczyć, gdy odkłada się to na ostatnią chwilę. Chętnie by jeszcze dodała, że Sylvi umie już niejedno ugotować, ale wtedy przypomniała sobie, jak nie wdzięcznie dziewczynka ustosunkowała się niedawno do osiągnięć matki i tak wawrzyny przeznaczone dla własnego dziecka przepadły.

Nauczycielka miała jeszcze inny projekt: jej pewna znajoma potrzebowała niańki, a raczej guwernantki, gdyż tak się teraz te osoby nazywają.

— Czy Sylvi nie zechciałaby wyjechać na lato na wieś, mogłaby tam wypocząć, zbierać jagody, łowić ryby na wędkę i hasać ze żrebakami i jagniętami? Mąż mojej znajomej jest pastorem — dodała nauczycielka, która była chyba niezamężna. W każdym razie nie nosiła obrączki. „Nauczycielki już takie są — pomyślała Józefina — do takiej uczonej osoby pierwszy lepszy mężczyzna ani się odważy przystąpić”. Sylvi pamiętała, jak Einari opowiadał, że w Hauko żreback kopnął jakiegoś chłopca, tak że ten stracił przytomność.

— Czy u tego proboszcza żrebięta też wierzgają? — zawołała z przestraszeniem. Sprawę natychmiast wyjaśniono i było nawet z tego powodu trochę śmiechu. Okazało się bowiem, że ściśle mówiąc pastor nie ma żrebiąt, jedynie owce i dzieci. Sylvi nie bała się przyłączyć do takiej parafii. Dzieci są na pewno dobrze wychowane, a jeśli sobie z nimi nie poradzi, może przecież bez przeszkód wrócić do domu!

— Czy mogę więc donieść pani pastorowej, że Sylvi przyjedzie do pomocy w gospodarstwie? Pani pastorowa ma wiele roboty, wielki dom, troje małych dzieci i tylko jedną służącą, która 'wcale się nie zajmuje dziećmi.

Nauczycielkę ogarnęło nagle wzruszenie. Jakże chciałyby mieć własne dzieci! Ma tylko dwoje chrzestnych. Miała najwyżej trzydzieści pięć lat. Adres Nieminenów zapisała sobie w wąskim, czarnym notesie, obiecała coś posłać pastorskim dzieciom, podała rękę matce i córce i wróciła do pokoju nauczycielskiego.

A więc Sylvi spotkało wielkie szczęście: ledwie skończyła szkołę, wolno jej było opiekować się dziećmi z pastorskiej rodziny, chociaż nawet od wychowawców w sierocińcach i domach poprawczych wymaga się świadectw, i to jeszcze jakich! Nie ma co narzekać.

Kilka tygodni później Sylvi wyjechała. Choć taka młoda, a już była raz w Helsinkach i widziała tam w zoo dzikie zwierzęta. Cłatego teraz podróż pociągiem kilkudziesiąt kilometrów nie przedstawiała dla niej żadnej sensacji, zwłaszcza

że pani pastorowa obiecała osobiście wyjść po nią na dworzec. Lecz jak ją Sylvi rozpozna? Co będzie, jeśli zabłądzi gdzieś wśród obcych ludzi? Skądże znowu! Musiałoby się wydarzyć coś bardzo dziwnego, by dziewczyna po skończeniu sześcioklasowej szkoły podstawowej nie potrafiła odróżnić pani pastorowej od syna dróżnika.

Kto wie, może gdyby Sylvi nie pojechała tego lata do rodziny pastora, może by poszła jednak do szkoły średniej.

Chętnie poszłaby do liceum, nabrała do tego ochoty, odkąd projekt ten związał się z autorytetem nauczycielki. Była jednak na tyle nieśmiała, że kryła się ze swymi marzeniami, grzecznie czekała, aż kiedyś zjawi się jakiś młody człowiek, aby wyzwolić ją z dziewczęcych trosk. Jako niańka u pastora już i tak nawiąże pewien kontakt ze szczytami kultury i nauczy się nawet więcej psalmów niż w liceum.

Głód wykształcenia zaraził nawet Józefinę. Po raz pierwszy doznała podobnego uczucia, gdy była jeszcze małą dziewczynką, a może nawet jeszcze w poprzednim wcieleniu, a teraz na skutek zachęty ze strony nauczycielki głód ten wzmagał się, rósł jak grzyby po deszczu. Dwa lata później wystarczyło, by Erkki powiedział: „Mamo, uszyj mi długie spodnie, chcę iść do gimnazjum!” — i to załatwiło całą sprawę. Członek rodziny Nieminenów zostanie aptekarzem lub urzędniczką na poczcie, jeśli nie stanie temu coś na przeszkodzie. Nieminenowie mieli cudowną właściwość, jakiej nie ma najpiękniejszy motyl, za jakiego dostaje się piątkę z zoologii: Nieminenowie rośli i rozmnażali się — żyli.

Sylvi należała do dziewcząt, których usposobienie zauważa się dopiero wtedy, gdy pewnego dnia opuszczą dom rodzinny. Ani mieszkanie nie zrobiło się bardziej przestronne, ani jedzenie obfitsze, bo Sylvi nie należała do żarłoków. Ale gdzieś jadła i spała! Na pewno, bo nigdy nie wyglądała na niewyspaną. Dziwne, że w dalszym ciągu trzeba było przynosić z sypialni do kuchni dwa krzesła, a najzabawniejsze, że na stole stawiano o jedną szklankę mniej! A skrzynka na drewno stała teraz pusta! A w szopie nie było ani szczapy na zapas! Erkki! Erkki! Dostarczenie opału należało właściwie do obowiązków Erkkiego, ale Sylvi zajmowała się tym

tak często, że dopiero teraz młodszy braciszek zmiarkował, ile ma roboty. Pewnego wieczoru Józefina powiedziała:

— Jest nas coraz więcej! Na wiosnę miałam tylko trzy łóżka do ślania, a teraz już sześć.

Sylvi wspominali wszyscy, ale najbardziej ubolewał nad jej nieobecnością Erkki. Suma doświadczeń najmłodszego członka rodziny nie była jeszcze dostatecznie bogata, by utrata najlepszego przyjaciela wydawać się mogła bagatelką. Wszystkie zjawiska były dlań proste, tak jak je widział: księżyc był księżycem, słońce — słońcem, a o tym, że na przykład Syriusz jest od słońca o wiele większy i jaśniejszy, po prostu nie wiedział. Bo któż miałby, z wyjątkiem malarzy, korzystać z pięknej nauki o perspektywie, jeśli nawet astronomom bardziej przydaje się zapalka niż daleka droga mleczna? Jedyne spostrzeżenia tworzą przestrzeń życiową myśli, obojętne skąd pochodzą i jakie są. Z gmachu tego świata nie można się wyprowadzić, bo poza nim nie ma nic.

W życiu Erkkiego pojawił się kot. Wiele jest kotów na świecie, ale tylko jeden nazywał się Kirri, była to właściwie żółta kotka. Kirri zjadła truciznę na szczury i zdechła pod odwróconymi taczkami w szopie Nieminenów. Okociła się trzy razy, a jedno z jej kociąt nazywało się Misse. Misse popychała wagoniki po podłodze, ku ogólnej uciechu Nieminenów. Erkki i Sylvi przynieśli Kirri z zagrody Takmela i dlatego Sylvi nazwała Takmelę „ojczyzną Kirri”. Nieśli kotka oboje w koszyku z wieczkiem, choć był bardzo lekki. Stara gospodyni z Takmeli trzymała koty w worku. Wybrali sobie z worka żółte kocię, a Sylvi zapytała:

— Ile kosztuje? — Miała przy sobie dwie marki i tyle gospodyni wzięła.

— Całkiem darmo nie ma kotów — rzekła i poszła z workiem pod pachą w kierunku jeziora, rodzeństwo zaś drapało się w górę po zboczu. Kot miauczał w koszyku i dlatego Sylwi uważała, że od dziś ma się nazywać Kirri. Kirri była żółta, piękna i mądra. Mówiono później, że Misse jest do niej całkiem podobna.

Pewnego Vazu Kirri złapała wróbelka. Erkki siedział właśnie na dachu ganku i przyglądał się, jak pisklęta uczą się

frućać. Ptasia mama komenderowała to z linki do wieszania bielizny, to z krzaka jarzębiny, a piskłeta skakały z gałązki na gałązkę. Jakie one lekkie! — myślał Erkki. Od czasu do czasu gałązka ugięła się, a pisklę z wysiłkiem machało skrzydełkami. Nagle gałąź ugięła się aż do ziemi, a spod liści wystrzeliła żółta błyskawica... Erkki nigdy nie skarżył, nawet na kota, ale Kirri sama przyniosła wróbelka na schody, zdając się oczekiwać pochwały. Złapać ptaszka jest o wiele trudniej niż myszkę, tak przynajmniej myślał Erkki, ale matka nie miała najmniejszego zrozumienia dla takich wyczynów.

— Ach, mój Boże, Kirri! Coś ty zrobiła! — krzyknęła, a potem schwyciła kotkę, otworzyła jej pyszczyk i wyjęła ptaszka. Wróbelek żył jeszcze, ale nie chciał ani mleka, ani ciasta, a czymże innym mógł go Erkki nakarmić.

Gdy Sylvi wróciła do domu, ptaszek już się nie ruszał.

— Chyba już nie żyje — powiedziała matka i to był początek ceremonii. Urządzenie pogrzebu było wspaniałym zajęciem, rodzeństwo strasznie się do tego zapaliło, a w trakcie uroczystości najmłodszy członek rodziny Nieminenów nauczył się nawet na pamięć psalmu: „Pod Twą opiekę racz nas przyjąć, Panie!”, w każdym razie pierwszą zwrotkę.

Sylvi miała okrągłe pudełko po cukierkach. Wyłożyła je watą z choinki, bibułką, włożyła jeszcze kilka aniołków z kalkomanii, potem ptaszka, a na wierzchu znowu bibułkę i watę. Wieczko trumienki przymocowali kawałkiem czerwonej wstążki. Sylvi wycięła równiutko denko pudełka po papierosach i wypisała drukowanymi literami na kartoniku: „Tu spoczywa wróbelek”. Atrament się trochę rozlał, ale Józefina orzekła, że Pan Bóg i tak potrafi odczytać!

— Czy Pan Bóg ma okulary?

— Nie ma. Ale takie pytanie na pewno go trochę ubawi.

Łąka nad brzegiem Pykaj arvi była porośnięta gęstą trawą i wyglądała jak pole falującej waty. Ciemnobrunatne długie rowy parowały w słońcu, rozsiewając silny zapach. Dookoła rozpościerał się żółtozielony dywan wodnych kwiatów, tłoczyły się mięta, kaczeńce i niezapominajki, tuż nad wodą. Muł był miły w dotknięciu, niczym czekoladowa papka.

Erkki wykopał dołek i pochowano w nim wróbelka. Wprawdzie Erkki zgubił wątek w czasie śpiewu, ale nucąc wtórował Sylvi do końca psalmu. Malutki nieboszczyk spoczywał w ziemi, a nad jego mogiłką wyrosły najwspanialsze kwiaty, brzęczały bąki i fruwały motyle.

— Jak tu pięknie — powiedziała Sylvi.

W powrotnej drodze znaleźli na pół wyschniętą już ropuchę, którą przejechał jakiś rowerzysta i pochowali ją w wodzie, jako że to stworzenie wodne. Ptaków nie można grzebać w powietrzu, choć to stworzenia powietrzne.

— Czy ropucha ożyje w wodzie? — zapytał Erkki.

— Nie.

— A przecież mama powiedziała, że zeschnięte pluskwy ruszają się, jak się je pokropi lizolem! — upierał się Erkki.

— Tak, ale to nie ma nic wspólnego z ropuchą! — Sylvi nie bardzo wiedziała, jak to wytłumaczyć.

Po drodze pochowali łącznie aż pięciu nieboszczyków, wreszcie Erkki powiedział:

— Idziemy coś zjeść, pewnie już niczego nie znajdziemy.

Mieli przedziwne szczęście do znajdowania nieboszczyków.

Erkki wałęsał się sam wzdłuż brzegu, grzebał wśród kamyków i długim prętem uderzał w łodygi kwiatów. Jakiś zaciekawiony pies pobiegł za nimi, zaszczekał, powęszył i znikł ze zdziwioną miną. W świadomości Erkkiego kolejno pojawiał się obraz za obrazem, a wszystkie ponure i smutne. Śmierć i śmierć... „Śmierć pokrzywom!” — i znowu pręt Erkkiego poszedł w ruch.

Pauli Toimela również zmarł. Erkki i Sylvi nie potrzebowali szukać jego zwłok, pani Toimela sama przysłała i zaprosiła ich, aby popatrzyli na jej ukochanego synka. Twarz Paulego była sina. „Twarz topielca utopionego w lodowatej wodzie ma właśnie taki kolor” — wyjaśniła Sylvi. Pan i pani Toimela stali nad otwartą trumną, a fotograf Joutseno wsadził głowę pod czarną zasłonę i pstryknął. Potem wszyscy towarzysze zabaw małego nieboszczyka musieli ustawić się w szereg i znowu fotograf pstryknął. Za trzecim razem sfotografował samego Pauli.

— Proszę zrobić tyle zdjęć, żeby przynajmniej jedno na

pewno się udało. Na szkolnej fotografii widać tylko jakąś szarą zjawę! Matka Paulego straciła całkiem równowagę — stwierdziła Sylvi i od tego czasu w wyobraźni Erkkiego słowo „równowaga” łączyło się z pojęciem „śmierć”.

Potem znów zdarzył się śmiertelny wypadek: utracił życie jakiś niezwykle ptak, dzieci nie znały nawet jego nazwy. Erkki stał właśnie pod sosną, z której ten ptak spadł. Była to ta sama sosna, do której Paavali zawsze przywiązywał koniec sznura do bielizny, choć matka stale mu przypominała, że powinien od tej sosny zaczynać, bo łatwiej schodzić ze zbocza, niż wspinać się pod górę.

Śmierć ptaka poprzedziła niesamowita noc. Z wyspy Vie-ki, gdzie odbywała się potańcówka, dolatywały najpierw ciche dźwięki akordeonu — przy nich nawet się dobrze zasypia. Zaraz jednak nastąpił wybuch, a potem drugi i trzeci już całkiem blisko. Boże Świąty! Płomienie wystrzeliły za oknem. Chyba jakieś upiory zaczęły ostrzeliwać się nawzajem, bo przy błyskawicach zwiastujących pogodę nie ma grzmotu. Paavali wyskoczył z łóżka, otworzył okno na oścież i zawołał:

— Niech was wszyscy diabli, strzelajcie sobie, ale w piekle, żeby przynajmniej w niebie można było spać spokojnie!

— Przeklęty komunisto! — padła odpowiedź zza okna.

— Kto to mówi? — spytał ojciec z łóżka.

— Oczywiście Roope, przeklęty glina! — Paavali zatrzaskał okno, a wtedy znów rozległy się grzmoty i huki. Wybuchy następowały tak szybko, że nie można ich było nawet policzyć. Erkki wiedział, że glina Roope oznacza to samo co policjant Korpela. Komisarz zwracał się też do ojca z za pytaniem, czy nie zechciałby zostać policjantem, jest przecież prawym i uczciwym człowiekiem. A co ojciec na to? „W naszym ciesielskim zawodzie jest taki zwyczaj, że dozorcą zostaje tylko ten, kto nie nadaje się już do pracy!” Poza tym ojciec był kiedyś w Czerwonej Gwardii. Erkki wywnioskował stąd, że policjantowi czy milicjantowi daleko do godności czerwonogwardzisty.

A nad ranem zginął ten rzadki ptak. Zastrzelił go dyrektor Dahlmann. Sylvi i Erkki właśnie bawili się w sklep, gdy

padł strzał i ptak spadł na ziemię. Erkki podniósł go i bardzo się zdziwił: zielonkawy, wielkości wróbla, z dziobem tak wielkim jak paznokieć ojca! I po co strzelać do ptaszka? Dlaczego go zabili? Czy był jadowity lub w jakiś inny sposób niebezpieczny? Wszystkie rzadkie grzyby i jagody są trujące, a pestki z rodzynek też mogą dostać się do ślepej kiszki... Wtem ptaszek drgnął. A więc żył jeszcze, choć lewe skrzydełko zwisało bezwładnie.

— Erkki, zanieś go dyrektorowi! Patrzcie tylko, matka też to zauważyła!

— No, Erkki, co się mówi, kiedy się bierze pieniądze? Powiedz: „Dziękuję”. Ukłoń się pięknie! Nie stój, jak byś wypadł z cygańskiego wozu! Nasz synek jeszcze nie umie się zachować...

— To piękny i rzadki ptak, pan dyrektor pewnie każe go wypchać, przyroda to jego największa namiętność. Ma już wypchanego bażanta, wiewiórkę i jemioluszkę. Widziałam na własne oczy — oświadczyła Sylvi.

— Czy wszystkie piękne ptaki wolno zabijać? — pytał z zaciekawieniem Erkki już leżąc w łóżeczku.

— Tak, jeśli ma się pozwolenie na broń — wyjaśnił Paa-vali.

— Nie, nie każdemu wolno, ale Dahlmann jest członkiem towarzystwa ochrony przyrody — dodała Sylvi.

— Takim wolno? Dlaczego? A dlaczego innym nie? Dlaczego naszej Kirri nie wolno?

— Widzisz, Kirri nie należy nawet do milicji — odrzekł ojciec z rozdrażnieniem.

Takie to były sprawy, które Erkki sobie zapamiętał i nad którymi rozmyślał, gdy nie miał nic innego do roboty. A przeważnie nie miał. Skąd zresztą miał tyle wolnego czasu? Ile czasu jest w ogóle, kiedy się czas zaczął i kiedy się skończy? Erkki przeglądał wprawdzie podręczniki szkolne Sylvi i niejedno z nich wyczytał, oczywiście zaczynając od najłatwiejszych rzeczy, ale w historii o stworzeniu świata nie było nic, kiedy był rzeczywiście początek wszystkiego. A może»słowo „początek” to nazwa miejscowości, gdzie był warsztat Pana Boga, jak mówił tata, choć matka się z tego

powodu rozgniewała i powiedziała, że ładny to ojciec, co uczy własne dzieci wyśmiewać się z Biblii! Ale o stworzeniu świata ojciec wiedział naprawdę o wiele więcej od matki. Matka trzymała piłę opartą o brzuch i mogła nawet złamać ostrze przy pilowaniu drzewa na opał. Narzekała potem:

— Szczapa się obróciła.

— Czy i twoje ręce się dlatego obróciły? — zapytał wtedy Kalle.

Zresztą to nieważne, ale czy to nie jest przypadkiem jakiś rzadki gatunek roślin? Z nisko zwieszonymi, pełnymi, żółtymi kwiatkami. Czegoś takiego Sylvi jeszcze nie widziała! Erkki zerwał z miejsca kilka ukwieconych łodyżek i poszedł do matki zapytać, czy zna nazwę tych kwiatków. Józefina nie знаła ich nazwy, ale zgodziła się, że są ładne. W dwa tygodnie później Sylvi dowiedziała się ich nazwy. Powiedział jej Allan Merila, który właściwie nazywał się Allan Ramssi, co należało wymawiać prawidłowo, aby nie narazić się na nieustanne kpiny z jego strony. Roślinka nazywała się dziurawiec i była wytrzymała jak rzemień, nawet w her-barium Allana wypuszczała pączki.

W Allanie Erkki pozyskał najlepszego kolegę, ale tymczasem u Merillaów odbywało się jeszcze malowanie. W okolicy nie brakowało wprawdzie dzieci w wieku Erkkiego, lecz odkąd Sylvi wyjechała, krąg jego przyjaciół zmienił się bardzo. Położenie Erkkiego przypominało sytuację małego kamyczka na wielkim polnym głazie: kiedy wielki głaz wyrwano z ziemi, mały kamyczek odczuł nagle, że leży głęboko na dnie wielkiego dołu. Teraz musisz się bardzo śpieszyć, musisz szybko rosnąć, abyś mógł się wydostać z tego dołu, zanim przyjdą jesienne deszcze!

Pewnego wieczora, kiedy Einari odnosił pożyczone narty, przyszło mu na myśl, że i on mógłby coś takiego zmajstrować. Tak też uczynił. Jakiś chudy przybłęda wprawdzie z początku wyśmiewał się z jego desek, ale potem skakał z nim razem, a sam też nie miał lepszych.

— Nie umiem zmajstrować czegoś takiego — przyznał, czym sprawił Erkkemu wielką przyjemność.

Wkrótce potem ktoś mówił o biegach przez płotki, nie

umiejąc zresztą wyjaśnić, co to właściwie znaczy. W każdym razie jakiś sportowiec wślawił się przy skakaniu przez płotki. Erkki nie znosił zagadek, więc poszedł zaraz do szopy Einarego i wtedy powstały jego pierwsze płotki. Miały wprawdzie różne mankamenty, wystające zardzewiałe gwoździe wcale ich nie upiększały, ale przecież należy przez nie skakać, a nie wskakiwać na nie. Józefina musiała nieustannie uważać na budzik, dopóki była mowa o krótkich i dłuższych minutach, ale wkrótce syn przekonał ją, że minuta znaczy właściwie niewiele, sekunda to co innego. Jednostka czasu im krótsza, tym ma większą wartość. Gdy na drodze zabrzmiało: „Start!” Józefina wkładała okulary i paznokciem wodziła po tarczy zegara.

Skąd ten chłopak może wiedzieć, ile czasu upłynęło naprawdę. Lecz geniusz opętanego jest równie wielki w sporcie jak i gdzie indziej. W ciągu kilku dni mały Erkki zgromadził w głowie ogromny zapas najróżniejszych liczb w centymetrach i sekundach.

W dzień, w którym rodzina Merila przeniosła się do nowego mieszkania, padał deszcz, a następny dzień był chłodny i wietrzny i dlatego polowanie na świnie już z racji pogody stało się wręcz sensacją. Podziało ożywczo, ponieważ — lub raczej pomimo że — skończyło się śmiercią świni. Erkki uganiał tymczasem boso po ogrodzie i Józefina właśnie wołała doń z werandy, aby włożył pończochy i buty.

— Łapaj, trzymaj! — krzyknęła pani Siren, właścicielka świni, a świnia radośnie chrząkając cwałowała w dół po zboczu. Najpierw wpadła do ogrodu państwa Merila, gdzie do pościgu dołączył się Allan, potem pomiędzy świerkami pokłusowała do Nieminenów, uderzyła ryjem w ich dom i powiększając liczbę prześladowców o Erkkiego, zmieniła nagle kierunek jak pływak wyścigowy. Wesołe polowanie ciągnęło się zygzakiem po całym zboczu, chrząkanie stawało się coraz głośniejsze, gromada myśliwych ciągle rosła, aż świnia natknęła się na kamienny mur. Tu wykonała gwał-

towny obrót, zeskoczyła bez ceregieli w dół, uderzyła o ziemię i już się nie podniosła. Właścicielka świni wrzasnęła.

— Na miłość boską, ona ma przynajmniej piętnaście prosiąt w brzuchu, a teraz mi zdechnie. Ach, nicponie, świniobójcy, niech was wszyscy diabli! Precz, wynoście się i za wołajcie Linkvistä! Niech któryś z was przyniesie wiadro i topór!

Allan był o cztery lata starszy od Erkkiego, o wiele większy i bardziej rozwinięty, ale że nie wiedział, gdzie mieszka Linkvist, Erkki musiał wskazać mu drogę.

— Swiniobójcy, świńskie ścierwa! Każdy człowiek jest świńskim ścierwem, a świnia jest żerem dla człowieka! — wykrzykiwał Allan. Nie ma na świecie żadnych chorób, jak wynikało z jego okrzyków, są tylko pożeracze i pożerani. Płuca jego ojca pożarły małe żyjątka, a robaki resztę. — Świńskie ścierwa i swiniobójcy! — Erkki był równie wyłęczony jak uradowany, nie panował nad sobą. Takie wrażenie wywołało na nim pierwsze zetknięcie z nowym przyjacielem, wrażenie, które następne lata tylko pogłębiły. Nie brakło później różnych wydarzeń, ale mimo wielu zmian Erkki zawsze miał przed oczyma ten sam obraz Allana Ramssiego, rozchichotanego diabła.

Dzięki zapobiegliwości i pracowitości Iisakkiego robota rażno postępowała naprzód. Musiał dobrać sobie jeszcze kilku ludzi do pomocy, bo dom państwa Merilä wciąż jeszcze domagał się wykończenia, a nauczyciel Trapp wyraźnie życzył sobie, żeby jego dom stanął jak najszybciej. Trzeba było wyciąć sosny z działki sąsiada, a Józefina niech już się sama pogłowi, gdzie będzie suszyć bieliznę. Następnie trzeba było wyrównać teren pod fundamenty, jak tego wymaga każda budowa. A więc łopatę do ręki i marsz do kopania, choćby się było po stokroć cieślą.

Przebudowa domu Iisakkiego też już postąpiła na tyle,

że trzeba było wezwać murarzy. Pierwszego lepszego partacza oczywiście Iisakki nie chciał, a o fachowego majstra nie było wcale łatwo, zwłaszcza że budowa nie miała kosztować za wiele... Znał jednego, ale że ten miał świetną propozycję gdzie indziej, ciągle trzeba go było przekupywać butelką, choć końca roboty nie było widać.

— Au nas nie muruje się wódką, wszędzie, ale nie u nas — zastrzegła się Józefina. Wypadało więc wreszcie wezwać kogoś innego, i to prędko, gdyż wiązania dachowe były już gotowe i szykowano okap. W końcu Paavali rumieniąc się wyznał, że ojciec jego narze... — to znaczy jego znajomej — jest murarzem i że, jeśli by miał czas, i jeśli by uważali, że by mógł...

— A jak się ona nazywa? — zapytał Iisakki.

— Selma Toivonen.

— Ach, Toivonen! Czy chodzi o Jammu Toivonena?

— Taak — odparł syn, gdyż przypomniało mu się nagle, że na tabliczce przy drzwiach było napisane: J. Toivonen.

— Zapytaj go! — rzekł ojciec.

W ten sposób doszło do pierwszej wizyty Paavalego u rodziców jego przyszłej żony. Na ganku spędził już kilka letnich nocy z Selmą na kolanach, ale rodzice dziewczyny zwykle zachowywali przyzwoitą odległość. Zresztą na ganku było o wiele przytulniej niż w kuchni, gdzie pewne wiadro czekało na odwiedzin z sypialni. Paavali wcale się nie dziwił, uznał, że to najzupełniej zrozumiałe i że Selma nie ma potrzeby się przed nim tłumaczyć. Zresztą ganek był dość solidny, a w sercach zakochanych panowało gorące lato.

Spotkanie z ojcem Selmy łatwo mogło doprowadzić do przykrej sceny, na samą myśl o tym Paavali odczuwał coraz większe przerażenie, zbliżając się do domu Toivonenów. Po co, na miłość boską, podjął się znowu czegoś, o co go nikt nie prosił! Bo cóż za korzyść może komuś przynieść dobra wola! Same przykrości! Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że nie mógł się nawet powołać na znajomość, nie mówiąc już o powinowactwie. No tak, nie istniał dla niego dotychczas

murarski majster Jammu Toivonen o basowym głosie, tylko wielce szanowny pan ojciec jego bóstwa — nieokreślona potęga, nie mająca nic wspólnego z ceglami Nieminenów. Jammu spędzał dzień o wiele spokojniej niż chłopak, który tam i z powrotem przechadzał się po skalistym wzgórzu przed domem Toivonenów. Siedział przy oknie i popijał kawę, aż w końcu powiedział:

— Idź, Selma, zobacz, czy ten dryblas zgubił portmonetkę, czy stracił głowę! Zaproś go do nas na kawę! Dla Jemmu syn Nieminenów nie był nieznajomym, podobnie jak dla Paavalego jego przyszły teść. Bo co tu dużo gadać. Jeśli ma zabrać córkę, to niech zabiera, już ona da sobie radę w małżeństwie! W zawodzie Jammu nie było w zwyczaju wiele gadać, jeśli rzeczy były jasne jak słońce.

Właśnie teraz, w trakcie narodzin ich powinowactwa, zadanie Paavalego było łatwiejsze niż kiedykolwiek. Jammu miał niby zawsze mnóstwo propozycji — stawianie pieca w saunie, budowanie paleniska w kuchni, potrafił nawet zrobić cokół betonowy, toteż nie podlegało dyskusji, że komin w domu Nieminenów nie mógł zbudować nikt inny. A to, że dom ten posiadał już jeden komin, nie miało żadnego znaczenia.

— Ukraj jeszcze kilka kromek, Selma! Z całym bochenkiem nikt sobie przecież nie poradzi — powiedziała przyszła teściowa.

Teść zaś orzekł, że rodzina Rontanenów może się obyć jeszcze jedną sobotą bez naprawy pieca w saunie, najpierw trzeba zabrać się do muru ochronnego w domu Nieminenów. Postanowił zacząć zaraz następnego wieczora.

— Nie ma się co patyczkować, zrobię z ciebie murarza — oświadczył przyszły teść na pół żartem, w każdym razie budowa ruszyła z miejsca, a Paavali został murarzem. Jammu musiał przez długich dziesięć lat nosić cegły od fundamentu aż na czwarte i piąte piętro po stromych deskach, a zięciowi wystarczyło sięgnąć do skrzyni z zaprawą, żeby od razu zabrać się do murowania — układać cegły rzędami, jedne na i obok drugich, a zaprawą łątać w miej-

scach, gdzie cegła w żaden sposób by się nie zmieściła. Jammu uśmiechał się wprawdzie, ale kryła się w tym uprzejmość dla cieśli, a zwłaszcza dla ojca Paavalego.

Trudno przypuszczać, by pogarda dla zawodu murarskiego miała cechować właśnie murarza! Najważniejsze, że Paavali otrzymał, jeśli można tak powiedzieć, w posagu prawo murowania, które zdaniem Józefiny było intratnym zawodem, który niekoniecznie musiał pociągać za sobą pijaństwo. Zbudowanie drugiego komina na domu Nieminenów było teraz bagatelką.

— Teraz zostaniesz wolnomularzem! — podkpiwał z brata Kalle. Ojciec jednak powiedział, że wszyscy murarze rodzą się wolnymi ludźmi. Nie potrafił wszelako wytłumaczyć, co przez to rozumie, choć nie brakowało żadnych wiedzy słuchaczy. Iisakki nie bez powodu wołał nie wypowiadać się na ten temat szerzej. Bo ile to już razy radził Paavalemu rzucić pracę w tkalni i zostać cieślą. Nie i nie. A teraz, gdy całkiem obcy człowiek go namawiał, Paavali zapalił się do tego jak nowy parobek lub młody zięć. Rzecz w tym, że: Iisakki nie był teściem Paavalego, lecz rodzonym ojcem, człowiekiem już starszym i zbyt bliskim. Polityka nie była jedynym terenem, na którym najstarszy syn prowadził wojnę wyzwolenczą przeciwko ojcu. Tym razem szło o nader dobrze znany rodzaj umowy, o małżeństwo, które oprócz perspektyw samodzielności, a raczej słodkiego niewolnictwa obiecywało nie koronę wprawdzie, ale za to kielnię. Paavale-go to jednak nie odstraszało.

Wystarano się o pierścionki zaręczynowe jeszcze przed wykończeniem komina. Ślub miał się odbyć wkrótce, skoro tylko będzie gotowe odpowiednie pomieszczenie na tańce. Dwoje takich chudziaków może przecież, w razie czego, mieszkać jedno w ramionach drugiego. Selma nie posiadała się z radości, że Paavali uznał ją za chudą.

Pewnego lipcowego wieczora, kiedy zabrano się do trzeciego komina, a Iisakki ze swoimi ludźmi miał zająć się wynoszeniem wiórów, wręczył Józefinie łopatę i rzekł:

—% Co się tak gapisz, naładuj z Erkkim ten koszyk i zanieś z Einarim na strych!" — Powiedziawszy to, znikł. Kalle

stał na strychu i odbierał koszyki, a Józefina ładowała i podawała mu kosze, biorąc udział w radosnej krzątaniu. W pewnej chwili powiedziała:

— Idź sprawdź, Erkki, gdzie ojciec się zawieruszył, nie włożyłam jeszcze nawet na niedzielę chleba do pieca!

Erkki poszedł do wychodka w ogrodzie, ale nie doszedł jeszcze do drzew rosnących przed domem, usłyszał za sobą zgrzytanie piły. I rzeczywiście! Koniec piły ukazywał się i znikał w ścianie kuchni. Trociny sypały się, a szczelina powiększała się coraz bardziej. Erkki zawrócił błyskawicznie:

— Mamo, mamó, ojciec rozpiłowuje dom!

— Nie pleć głupstw!

— Naprawdę! W ścianie kuchni jest już taka wielka dziura!

■— No tak! Nareszcie zabrał się do wycięcia okna!

Na pewno źle wymierzył. Wyciął większy kawał ściany, niż wymagała tego framuga okna, która stała już gotowa w kuchni! Na stole leżał liniał stolarski, Józefina wzięła go do rąk.

— Tylko go nie połam! — burknął cieśla.

— A jak ty to sobie wyobrazasz? Otwór ma być o dwadzieścia centymetrów szerszy od framugi?

— Co się baby na tym znają! — zawsze tak myślał, ale teraz zupełnie niepotrzebnie chlapnął językiem.

A więc ona jest babą? Ona, która dopiero co harowała ile sił, a teraz zabiera się do pieczenia chleba! — pomyślała i głośno westchnęła:

— Ach, więc tak mnie nazywasz. Baba! — W tym momencie zebrało się jej na płacz.

— Ależ nigdy w życiu — starał się ją pocieszyć Iisakki, lecz nic więcej powiedzieć nie zdążył. Taką miał minę, że Józefina nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Dobrze, już dobrze! Majstruj sobie dalej, a ja idę piec chleb.

Iisakki wyciął otwór do końca, sześciocalowymi gwoździami przybił pionowe i poziome listwy, nie zapominając o włożeniu między nie materiału izolacyjnego. Rzekomy błąd w po-

miarze zmniejszył się do trzech centymetrów, a półtoracenty-metrowa szpara na uszczelnienie po obu stronach futryny była właśnie wskazana, i to nie tylko zdaniem Iisakkiego.

Na noc zakrył otwór okienny kawałkiem wyciętej ściany. W niedzielę rano zabrał się do dopasowywania framugi, przyciął ją nieco i uszczelnił kitem, aż w wyniku tej roboty kuchnia Nieminenów miała teraz okno, z którego można było wyglądać na podwórze lub jeszcze dalej, o ile wiek i sytuacja materialna na to pozwolą. Wiara, nadzieja i miłość — pojęcia te nie były Iisakkiemu obce. Jarzębiny rozrastały się, wielką, pomalowaną na zielono huśtawkę ogrodową trudno było dojrzeć wśród gęstego listowia, coraz wyżej pięła się zgrabna osika, wystawiona na wiew zachodniego wiatru. — A czekało go jeszcze wesele syna! Kto wie, może już za kilka lat będzie jako dziadek pukał w szybę, wołając: „Bądźcie grzeczne, wy rozrabiaki!”

Einari widocznie urodził się na starego kawalera. Selma nie mogła się powstrzymać od śmiechu na samą myśl, czy Einari potrafiłby powiedzieć czy zrobić coś takiego, żeby dziewczyna pojęła to jako oznakę zakochania. Siedzieli właśnie we troje na huśtawce: Paavali, Selma i Einari. Erkki ćwiczył swój wieczorny program: stanie na rękach z oparciem nóg o pień drzewa, trój skok, rzenie i tym podobne sztuki, którymi chciał rozweselić narzeczoną brata. Selma nie interesowała się jego wyczynami nawet na tyle, by nagrodzić je swym szczerym śmiechem, który wzbierał w niej jak dobrodusznym krytyka zbyt poważnego zachowania Einarego. Chętnie więc zwierzyła się ze swych myśli. Lecz tylko para narzeczonych wzięła udział w dyskusji na ten temat, Einari nie.

w— Jaki kolor włosów pan lubi, jasny czy ciemny? — zapytała.

A następnego wieczora kołysały się już dwie pary na huś-Stawce, a obie dziewczyny trzymały na kolanach mandoliny! Dopiero będzie śpiew i muzyka w ogrodzie Nieminenów — myślał sobie Iisakki.

— Dziś wieczorem wypijemy kawę na dworze przy muzyce. Wynieś do ogrodu stół i krzesła, Kalle! — gorączkowała się Józefina.

— Zagrajcie coś razem! Słyszycie, koniecznie razem! — krzyknął Erkki.

Tego wieczora robota niewiele posunęła się naprzód, wszyscy siedzieli, popijali kawę i czekali na dźwięki mandolin. Panienki nastroiły instrumenty. Raz po raz dźwięczały durowe i molowe akordy. W końcu Iisakki powiedział :

— No jak tam, umiecie grać wreszcie czy nie?

Owszem! Selma od razu wydobyła kilka dźwięków ze swego instrumentu. Miesiąc później ta piekielna dziewczyna na własnym weselu grała już na akordeonie. W przerwie, gdy wynajęta kapela pokrzepiała się piwem, Paavali wtórował na bębnie! „Wasz mógłby grać na basetli!” — powiedział jeden z gości, uznano to za dobry żart.

Brunetka Einarego nie zdołała tego wieczora dostroić mandoliny, o tym, czy później jej się to udało, Niemineno-wie nie dowiedzieli się już nigdy. W każdym razie Einari dowiódł, że nawet taki cichy chłopak jak on potrafi przyprowadzić z sobą dziewczynę, choćby wcale nie umiała grać na mandolinie. Selma stwierdziła później, że się wcale w tej panie nie kochał i że o wiele trudniej przyprowadzić do domu narzeczoną niż przyjaciółkę. Einari odpowiedział: „Dziewczyna będzie zawsze dziewczyną! Obojętne, gdzie nosi pierścionek, na palcu, w nosie czy w uchu!” Widocznie Selmie nigdy nie przyszło do głowy, że i inne dziewczęta może nurtować problem, czy w ogóle można zmusić takiego uparciucha, żeby się wreszcie zakochał. Einari nie mógł się skarżyć na brak obiecujących uśmiechów dziewczęcych, lecz pracując w gospodarstwie nabrał nader rzeczowych przekonań i poglądów na sprawy miłości. Instynkt pomagał mu omijać wilcze doły, osłonięte miejskim blichтром — jak twierdził.

Najważniejszym rodzajem sportu dla Einarego były nie tyle nocne gonitwy, ile dzienny bieg długodystansowy, a zimą jazda na nartach. Nie miał czasu na treningi na stadio-


nie, dlatego co rano biegał do pracy w papierni szybciej niż zazwyczaj, a wieczorem podobnie wracał do domu. Zwykle po przebyciu tych kilku kilometrów musiał suszyć dwie przepocone koszule, a i w pracy wcale nie zwalniał szalonego tempa.

Pewnej pięknej niedzieli nie poszedł do pracy na budowie i wyruszył do Nokia, by wziąć udział w eliminacjach lekkoatletycznych. Za bieg na sto metrów dostał srebrną łyżkę, za bieg na czterysta metrów drugą, za dystans tysiąca metrów nic, ale że potem zostało mu trochę czasu na odpoczynek, po biegu na dziesięć kilometrów przyniósł do domu taką potężną chochlę, że Józefina nie śmiała jej użyć do żadnej innej zupy jak rodzynekowej. Ową monstrualną chochlę niósł w ręce, a drobniejszą zdobycz w kieszeni, i tak kłusował po zakończonych eliminacjach o północy do domu. W Epila, jak opowiadano, widział go pewien policjant, który przypadkowo nie spał, ale że jego rower nie był chwilowo na chodzie, policjant wykazał mało zapału w ściganiu Einarego. Zaś na drugi dzień pewna staruszka z Villila zjawiała się w Pitkanniemi w szpitalu dla obłąkanych i opowiadała o człowieku, który przefrunął obok niej i jak cień zniknął w mieście.

— Takie historyjki nie robią na nas żadnego wrażenia — odpowiedział jej na to dozorca — i niewątpliwie miał rację.

Po kilku tygodniach opowieść ta dotarła do Allana i Erk-kiego. Allana to ubawiło. Jedynie wiosłowanie i żeglarstwo nie były jego zdaniem sportem dla wariatów. Bo po co biegać kilometrami bez odpoczynku, skoro już przed wiekami wynaleziono samochody i samoloty! Żeglarstwo to co innego, choć prości ludzie nie znają się na takich subtelnosciach. Żeglować trzeba * — oznajmił po łacinie, chociaż — a może właśnie dlatego — że miał dwójcę z tego przedmiotu. W szkole nie było miejsca na żeglarstwo, mełło się tam ozorem, wdychało coś lub wydychało — zależnie od sytuacji — co w sumie sprowadzało się do wykutej na pamięć lekcji lub czegoś podobnie pasjonującego. W każdym razie tak się

* „Żeglować trzeba, żęć nie trzeba”. — *Navigare necesse est, vlvere ti"n necesse* (lac.) — hasło żeglarzy rzymskich.



Allanowi wydawało. „Gdyby w szkole było miejsce na żeglarstwo, to Allan nawet z łaciny miałby co najmniej piątkę” — uważał Erkki. W każdym razie starszy brat wydawał mu się wielkim bohaterem i nie chciał uwierzyć, że sztuka żeglarska może być równie trudna, a może nawet trudniejsza niż bieg na dziesięć kilometrów. Allan skrzywił się na to, kącikami ust dosięgał niemal brwi. Erkki był wściekły, lecz mimo to nie mógł nie podziwiać wymyślnych min Allana. Wtedy Allan jak upadły archanioł oświadczył, że to normalne i całkiem ludzkie nie doceniać zjawisk, dó zrozumienia których brak nam wszelkich podstaw. Erkki zapomniał zapytać, czy Allan przebiegł kiedy dziesięć kilometrów za jednym zamachem, bo przecież na pewno nie zabrakłoby mu zapału. Ale czy to z inicjatywy jakiejś tajemniczej mocy, czy też za sprawą samego Erkkiego zaczęli mówić o pływaniu i wtedy wymknęło się Allanowi, że nie jest zwierzęciem wodnym, choć i nie kotwicą, co idzie na dno. Marynarze, twierdził, tym mniej troszczą się o swój statek, im lepiej potrafią się bez niego utrzymać na wodzie. Czy załoga okrętu utonie o dwa tysiące czy o dwa tysiące pięć morskich mil od brzegu, jest bez znaczenia. O wpływie sportu na zdrowie nie mówili wcale, obaj byli przecież młodzi, weseli i zdrowi do szpiku kości. Wiele lat miało przeminąć, zanim Erkki zapoznał się z trybem życia, który nie wymagał od człowieka zbytnej ruchliwości.

Zdarzyło się jednak, że fale, o których tak pogardliwie wyrażano się dnia poprzedniego, porwały czółno Allana — beztrudno popłynęło wzdłuż brzegu ku fiordowi. Tym razem Allan nie tak łatwo potrafił przewyciężyć swoje przygnębienie, bo już kiedyś wyciągał czółno na brzeg. Dla Erkkiego natomiast dogonienie łodzi było bagatelką. Allan stwierdził już przy ich pierwszym spotkaniu, że najmłodszy z Nieminenów, choć nie wyrósł zbyt, ma kilka godnych uwagi zalet praktycznych, teraz znów powtórzył to zdanie i wrócił, bo i jakże mogło być inaczej, na ląd jako kapitan. Dla Erkkiego pozostało nadal rzeczą niepojętą, że Allan zawsze umiał wyjść na swoje, i to w sytuacjach, gdzie nikt chyba nie mógłby liczyć na triumf.

Iisakki tymczasem wznosił domy. Kiedyś dla Jakobssona, potem dla dyrektora Dahlmanna, a teraz państwa Marila. Budowa dobiegła wreszcie końca. Na działce nauczyciela Trappa zalewano betonem fundamenty, a we własnym domu Iisakkiego zaczęło się już tapetowanie. Na sobotę zaproszono pastora, więc mieszkanie dla nowożeńców musiało być wykończony na wysoki połysk. Najważniejsze były podłogi i aby goście mogli się swobodnie poruszać, a w razie potrzeby nawet uciąć sobie drzemkę. Pokoje na piętrze Iisakki postanowił wykończyć dopiero w ciągu jesiennych wieczorów, gdy wiatr bije o ściany, a deszcz siłuje się ze świeżo pokrytym dachem — to znaczy wykończyć na tyle, na ile pispalskie domy mogły być w ogóle wykończone. Z pomalowaniem podłóg nie śpieszono się, gdyż nawet najlepszym deskom potrzeba czasu na schnięcie i tak dopiero po miesiącu będzie można je uszczelnić i pomalować. Paavali oświadczył, że kto ma podkute buty, będzie musiał tańczyć w skarpetkach.

Józefina krzątała się jak mogła: przyrządzała strucle, grzanki, ciastka, wędliny i polewkę piwną — jak na Boże Narodzenie. Jedynie wódki nie przygotowała — ani kropli tego diabelstwa nie powinno być na weselu Paavalego.

Również i Sylvi sprowadzono do domu na tydzień. Przywiozła z sobą prezent ślubny od pani pastorewej: czarną tabliczkę z wrytym matowosrebrnym napisem: „Przed okiem Stwórcy stoisz nieustannie”.

— Czy to ma być umieszczone na grobie? — zapytał Paa-vali.

— Nie, na ścianie! Pani pastorowa powiedziała, że można to powiesić jak obrazek!

— Odnieś to jej z powrotem, nie obchodzimy przecież

:ze srebrnego wesela. Mamy piękniejszy obraz: wyraźny

widok przez okno na jezioro Pyhajarvi. Tak pięknego obrazki pewno nie mają na plebanii! Józefina nie wiedziała po czyjej stronie stanąć, czy zga-• na, czy pochwalić widok z okna jej domu?

— Powiesimy to w naszym pokoju, bo świętowaliśmy już me wesele —»orzekła, aby Sylvi się nie rozpłakała.

Iisakki przyglądał się wszystkiemu, ale milczał. Tabliczka

wyglądała naprawdę jak grobowa płyta. I to ma wisieć nad łóżkiem na miejscu zegara! Pani pastorowa powiedziała, żeby pierwsze spojrzenie rano i ostatnie wieczorem padało na tę tabliczkę. A teraz zegar tykał po drugiej stronie łóżka. Czy naprawdę czynił to tak hałaśliwie, czy to Iisakki słyszał dudnienie we własnej czaszce?

— Ależ ojcze! Dlaczego strząsasz popiół na podłogę, ma my przecież popielniczkę!

A w chwilę potem ten sam dziewczęcy głos pouczył Iisak-kiego, że poplami sobie ubranie przy jedzeniu i że nie je tak, jak należy. „Jak proszę” — dopowiedział sobie w myśli Iisakki, a głośno powiedział:

— Patrzcie, patrzcie, na dodatek przysłali nam jeszcze aniołka z plebanii!

W każdym razie tabliczka pozostała na gwoździu, którym ją przybito na próbę. Józefina nie miała odwagi zdjąć ze ściany słowa, przypominające o potrzebie pobożności, raczej wołała zrezygnować z obrazka z koniem, dla którego gwóźdź ten był początkowo przeznaczony i powiesiła go na nieco skromniejszym miejscu w kącie. Człowiekowi wolno było wydawać koniowi rozkazy, lecz pochwała i nagana jest sprawą Boga.

Do biednej Sylvi należał także ów niefortunny pomysł, żeby na dzień wesela Iisakki włożył biały kołnierzyk, nakrochmalony i twardy jak kość. Za normalne uchodził fakt, że człowiek w starszym wieku ma prawo wcześniej opuścić tańczącą młodzież i udać się na spoczynek, ale w takich subtelnościach jego córka nie chciała go pouczać. Na tym jeszcze nie koniec. Iisakki zdjął najpierw marynarkę, potem kamizelkę i jeszcze krawat zdołał jakoś ściągnąć z szyi. Potem jednak chwycił za kołnierzyk jak tonący za koło ratunkowe i wtedy dopiero zaczęło się prawdziwe przedstawienie. Było to ciężkie zmaganie, po którym odechciało mu się nawet palić, ledwie bowiem zapalił papierosa i spoczął, zaraz musiał targać za kołnierzyk. Ciągle bez skutku, kołnierzyk opierał się dzielnie i trwał na swoim miejscu, tam gdzie przymocowano go z pomocą całej rodziny. A Józefiny jak nie było tak nie było. Tylko akordeon rżał w dru-

gim końcu domu. Iisakki zamknął okno, ale hałas przenikał mimo to. „Niech się Józefina do woli wytańcuje” — pomyślał i położył się spać z tym kamieniem młyńskim u szyi. Musiał zadowolić się jedną poduszką mniej niż zazwyczaj, gdyż grdyka jego stała się tak wrażliwa, że najlżejsze dotknięcie kołnierzyka doprowadzało go do wściekłości. W takiej sytuacji musiał od czasu do czasu pokaszliwać i chrząkać, no i z innych jeszcze powodów było mu trudno zasnąć. Zegar ścienny tykał głośno jak trąby wzywające na sąd ostateczny, a czarna płytka upominała: „Przed okiem Stwórcy stoisz nieustannie!”

Sztywny kołnierzyk nie był więc jedyną zmurą, która go gnębiła przez cały wieczór i prześladowała jeszcze w łóżku. Wśród gości weselnych był pewien osobnik, który dał się poznać w obozie jeńców na kalewalskim błoni, towarzysz Joosua, stolarz — producent trumien. Człowiek ten miał tak krzykliwy głos, że mimo usilnych starań Iisakki daremnie próbował zasnąć. Po co się on chełpi przy każdej okazji, że on, Kalle Ketonen, jest komunistą i stolarzem, co robi trumny! Kto udzielił mu prawa dręczenia bliźnich wiecznym wypytywaniem? Bo czyż on, Iisakki, jest odpowiedzialny za stworzenie takiego, a nie innego świata! Zapytał kiedyś Joosue, w jaki sposób ludzie popadli w tak fatalną sytuację, ale wtedy Joosua zaczął nagle złorzeczyć, gderać na ludzi, jedyne mówiące istoty na Ziemi. Jeśli sam człowiek jest źródłem i początkiem wszelkiego zła, to czy on, Joosua, który tylko stawia pytania i narzeka, nie jest przypadkiem Panem Bogiem?

— Tak, czynnik otoczenia! — zaczął drab.

Ale dosyć tych przeklętych spraw! Iisakki przyznał mu rację i jeszcze raz spróbował rozprawić się z kołnierzykiem. Daremnie. Senne zjawy przepływały dookoła niego i kiedy przebił się przez kłęb bezwładnych myśli, nie mógł się zorientować, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Wydawało mu się, że wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, na którego drzwiach wisi tabliczka: „Biuro pogrzebowe Jaakonmaki, dawniej Vakobsson. Kupno i sprzedaż”. Tabliczka ta wisi na pociętym gwoździu!

— Czego pan sobie życzy? — pytał stojący za ladą Joo-sua.

— Ja chcę kupować, kupować — krzyczał Iisakki. — Mogę wziąć nawet deski z dziurami po sękach.

— Będzie je można wykorzystać jako otwory do podglądania, ponieważ jest pan ojcem towarzysza Paavalego.

Iisakki dostał cztery dwumetrowe i dosyć szerokie deski z dziurami i zabrał się do heblowania.

— Ale z czego zrobić ścianki?

— To bez znaczenia. Zakituje się i pomaluje! — odparł Jakobsson, który stanął teraz nagle na miejscu Joosiego. Iisakki sklecił z desek czworokątną pakę i zapytał o cenę. — Materiał szesnaście, robocizna sto, no powiedzmy sto za wszystko razem, ponieważ byliśmy sąsiadami — rzekł Jakobsson. — Ale jeżeli pan sam wlezie do tej trumny, dam panu pięćdziesiąt procent zniżki.

— Nie potrzebuję zniżki! — zawołał Iisakki i cisnął pugilares na stół, po czym wybiegł z pokoju. Dopiero na ulicy zauważył, że nie zabrał paki. Wrócił więc po nią, ale choć szukał i pytał, zakład pogrzebowy zniknął bez śladu, zaś na każdym drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Przed okiem Stwórcy stoisz nieustannie!” — To oszukaństwo — wrzasnął. — Wiem, że jedne z tych drzwi prowadzą do zakładu pogrzebowego Jaakonmaki i że można tam przehandlować całą pispalską górę.

Wesele trwało dalej. Józefina zawsze lubiła tańczyć, a tego wieczora proszono ją do tańca niemal bez przerwy. Młodzi zmiarkowali, że wolno im pić bez przeszkód w kąciu, pod warunkiem, że każdy po kolei przetańczy jeden taniec z matką pana młodego. Innego wyjścia nie było, bo Józefina była o wiele bardziej namiętą nieprzyjaciółką alkoholu niż młodzi ludzie jego zwolennikami. Po odegraniu trzeciego kawałka — Selma na akordeonie i Paavali na bębnie — z muzykantów jedynie skrzypek o szerokiej twarzy trzymał się jeszcze na nogach, i to tylko na tyle, aby z uniesieniem pytać, gdzie mogli się podziąć jego dwaj koledzy. Sel-

ma po raz piąty odegrała niemiecką polkę, a potem nastąpił niechybny koniec. Wesele odeszło w przeszłość.

W nie wytapetowanej jeszcze kuchni dwuizbowego mieszkania na parterze nudziło się kilka cierpliwych mężatek nad filiżankami kawy, a tymczasem obok w sypialni Joosua rozparł się przy stole w męskim towarzystwie, dając upust swemu krasomówstwu.

— Straszy ■— perorował — straszy we wszystkich kątach i zakamarkach. Nasi magistrowie, profesorowie, cała nasza cywilizacja jest na poziomie stada małp. Wszystko straszy: drzwi, okna, kurki, dymniki, kontakty lamp, własny żołądek też straszy i to zarówno takiego, co nic nie umie, jak i uczonego, co chełpi się swoją inteligencją. Nerwica żołądka i nadwrażliwość, tak zwana psychika, wszystko czyha na nas, a przecież żołądek w mig by ozdrowiał, gdyby ludzie choć na moment podnieśli tyłki z krzeseł i wypuścili z siebie gazy, które im grają w kiszkaach. Robotnik — powiedział Joosua — dobrze wie, co należy zrobić, gdy zawiasy w drzwiach piszczą lub gdy piec nie chce ciągnąć. Gdy robotnik da przedmiotom nauczkę, strachy ustają. Trzeba zreformować szkolnictwo! Nasz chłopiec dostał dwóję z matematyki i ze szwedzkiego i został na drugi rok tylko dlatego, że napisał klasówkę tak, jak mu poradziłem. Ale ci panowie z gimnazjum nie mogli tego strawić, klasówka była za dobra, a ja Kalle Ketonen jestem komunistą i tylko stolarzem od trumien. Chociaż robiłem już trumny i dla moich panów... „Radosna fińska wiosna”, tak „radosna fińska wiosna”, taki był temat klasówki. Powiedziałem więc: Napisz coś o zorzy wolności, kiedy twój ojciec wrócił z obozu! Zacznij od tego, że obudziłem się w żółtej kałuży ropy i powiedziałem do Paavalego: Tego sąsiada z pryczy będziemy musieli chyba zanieść do mogiły? Od dwóch dni ani włoskiem nie poruszył! Miał być dziś rano zwolniony, ale zdaje mi się, że już tej nocy odzyskał wolność. Potem razem zrobiliśmy z Paavalem inwentarz mienia nieboszczyka: dwoje śmierdzących końskich uszu i pajda spleśniałego chleba — to był cały jego majątek, który przekazaliśmy spadkobier-

com. Ale co z naszymi tytułami radcy handlowego? I kiedy powstanie fundacja Paavalego i Joosuy? Potem poszliśmy chwiejnym krokiem z bramy obozu na gościniec koło błonia Kalewy, jak dwa strachy na wróble, dwaj trubadurzy o twardej jak rzemień skórze i z dziwnym blaskiem w oczach, a łachmany trzepotały na naszych ułaskawionych gnatach. Ostrożnie szliśmy krok za krokiem ku zorzy fińskiej wolności. Poszliśmy do Tampere, a czerwone listopadowe słońce przebijało się przez czarne miotły cementarnych drzew. Paavali potknął się o własne nogi, a ja o niego. I tak leżeliśmy i wierciliśmy się na środku gościńca jak przekręcone brzuchem do góry gnojówce, aż wpadliśmy na pomysł, że lepiej będzie doczołgać się do brzegu drogi i opuścić stopy do rowu, aby bez przeszkód przyjąć postawę godną istot będących ukoronowaniem dzieła Stwórcy. Ale zanim udało się nam stanąć na nogi, musieliśmy dokonać jeszcze wielu genialnych odkryć. Po ulicach miasta chodzi się znacznie wygodniej, bo można oprzeć się o ścianę jakiegoś domu albo odsapnąć w rynsztoku. Z takiej pozycji nietrudno wstać, zwłaszcza gdy policjant jest tak uprzejmy i kopnie nas w miękką część ciała. Najgorzej iść z góry, gdy spojrzenie błąka się gdzieś po niebie... Tym sposobem natknąłem się na kamień, na kamień graniczny miasta Tampere, któremu zawdzięczam to odznaczenie, złamany nos jak u boksera, który waruje na mojej twarzy jak pies, jak pies przed batem...

Kiedy Joosua dotarł do tego miejsca swojej opowieści, zaczął szlochać. Paavali zaopiekował się nim, zaprowadził go do wspólnego legowiska wyczerpanych podobnie jak on, ściągnął mu buty, wyciągnął koc spod głowy skrzypka i przykrył nim cierpiącego narratora.

— Syn opisał to wszystko tak, jak ja tu wam opowiedziałem, ale nauczyciel dał mu za to tylko trójkę, parszywą trójkę za moją najlepszą opowieść! „Chłopiec napisał nie na temat, opisał ponurą fińską jesień, listopad, a temat klasówki brzmiał: *Radosna fińska wiosna*”. Tak orzekł nauczyciel, magister filozofii.

Tymczasem wkrótce i producent trumien włączył się w ogólny rytm. Regularne chrapanie odprowadziło Paavalego

aż do sypialni świeżo upieczonej małżonki. Ale bez Joosuego na weselu u Nieminenów nie wygłoszono by żadnej przemowy.

* * *

Z domku Nieminenów powstał w ciągu siedmiu miesięcy dom o dziesięciu izbach, bez ogłaszania w gazecie zaczęli się zjawiać najemcy. Pewnego niedzielnego ranka przyszedł jakiś mężczyzna z czerwonym nosem. Józefina powinna była właściwie zrozumieć, że nos może zaczerwienić się z najróżniejszych powodów, nie tylko od gorzałki, chociaż gorzałka jej zdaniem też nie była dostatecznym usprawiedliwieniem.

— Kim pan jest z zawodu? — zapytała.

— Pomocnik!

— Ma pan dzieci?

— Piąte jest w drodze.

■— A ile lat ma najstarsze?

— Chyba z osiem. Chodzi już do szkoły.

Józefina zerknęła na męża, ale pan domu nic nie odpowiedział, jedynie cicho westchnął i otoczył się dymem z papierosa. Przykra sytuacja.

— No tak, my, my... myśleliśmy, że tylko bezdzietne rodziny... żeby tapety na ścianach nie ucierpiały.

— No tak, jeśli o to chodzi — odpowiedział przybysz, wcisnął kapelusz na głowę i uśmiechnął się przymilnie. — To bagatelka! Wymorduję dzieci, pozabijam, aby uznano nas za godnych zamieszkania u wytwornych ludzi! — rzekł. Dziwny człowiek.

Józefina zakłopotana się.

— Czy ten drab zwariował? Idź za nim i przywołaj go z powrotem! — zawołała.

— Nie wróci, ja w każdym razie bym nie wrócił — odparł chytrze Iisakki.

— Co się cieszysz! Rozmawiaj sobie z ludźmi i wynajmuj pokoje ahoćby Cyganom!

— Z nimi to nie ma się co śpieszyć, choć się jeszcze nawet

nie zgłosili — rozległ się tubalny głos spoza chmury dymu. Tego wieczora, ścieląc *łóżka*, Józefina nie mogła powstrzymać się od płaczu. Jak mogła zapomnieć, że i ona miała kiedyś dużo dzieci! Chętnie pościeliłaby teraz znowu pięć czy nawet sześć łóżek, nakarmiła najmłodsze dziecko, u-siadła w fotelu na biegunach i kołysała swoją najukochańszą pociechę! Jej dzieci już wyrosły: Paavali się ożenił, Eina-ri służy w wojsku, Sylvi jest na posadzie, a Elina... Biedna Elina... Czyż można nie płakać! W domu pozostało już tylko dwoje. I co to za dzieci?! Najmłodszy synek nie pozwala się nawet pogłaskać po głowie, a Kalle znika zaraz po obiedzie. Łazi Bóg raczy wiedzieć gdzie, wraca dopiero późno nocą, a skoro świt znów wychodzi. Jeszcze kilka lat i wszystko, czym obdarzyło ją życie, odejdzie! Pozostanie tylko mrukliwy starzec i gderająca babunia i będą patrzeć na siebie z nudów.

Pogrążona w myślach Józefina bez potrzeby wyciągnęła rozkładane łóżko. Miejsca mieli przerażająco wiele, wszędzie ziało pustką! Doprawdy przydałoby się ożywić ten dom dziećmi, obojętne, czyje to będą dzieci.

Czynsz należało pobierać, to jasne. Przy wynajmie mieszkań należało wyraźnie rozróżnić dwa typy zamożności, które rzadko kiedy chodzą w parze: obfitość dzieci i obfitość pieniędzy. W tygodniu poprzedzającym Boże Narodzenie Iisakki musiał znów zapłacić odsetki i wtedy pojął, że był zbyt delikatny, nie zaznaczając wyraźnie, że czynsz pobiera się z góry za każdy miesiąc, a nie w dowolnym dniu tygodnia lub w dniu zaliczki. Na pokrycie odsetek Iisakki musiał pożyczyć tysiąc marek od swego sąsiada, nauczyciela Trappa. A również i tu popełnił błąd, obiecując że spłaci dług zaraz po Nowym Roku. Z grubsza obliczył: cztery razy dwieście pięćdziesiąt daje równo tysiąc marek. Był to chyba zbyt optymistyczny rachunek, bo od Paavalego na razie nie wziął czynszu, a od pozostałych trzech lokatorów mógł się go spodziewać, ale nie otrzymać od razu. Malarzem pokojowym na piętrze właśnie owładnęło artystyczne natchnienie. Co chwi-

ła biegał do wychodka, a jego dwuletni brzdąc wykrzykiwał z zachwytem na podwórzu: „Tatus maluje wodę!”

Wieczorem przed Trzema Królami Iisakki przejął rolę właściciela domu i zapukał do drzwi malarza. Po chwili jednak zmiarkował, że znalazł się w wytwórni obrazów. Cztery i pół metra brunatnego płótna rozpiętego na drzwiach od kuchni, a pośrodku pokoju stół, a na nim garnki, tubki i torebki farb, szklane płytki, gwoździe, pędzle i kit, a pod stołem trzy wiązki listewek.

— Co się tu dzieje? — zapytał Iisakki.

Malarz uśmiechnął się, wziął rulon płótna z kąta, oparł jednym końcem o ścianę i rozwinął, patrzcie, patrzcie, przed oczyma właściciela domu wyłaniały się cztery metry morskiego wybrzeża.

— Brak tylko przystani! — zauważył Iisakki.

Malarz uśmiechał się nieustannie. Wyniósł z sypialni trzy gotowe malowidła, jedno kwadratowe i dwa prostokątne, jedno dłuższe, a drugie szersze. Był to zawsze ten sam obrazek z przystanią, a na spokojnych falach kołysał się biały ptak. Chmury były zgrupowane raz po prawej, raz po lewej stronie, a na jednym obrazie w samym środku. A była tam również praczka! W jednym wypadku zamiast chustki nosiła warkocze. Ptaki miały dłuższe szyje niż zazwyczaj.

— To łabędź! — paplał trzyletni synek. Może miał rację, ale Iisakki nigdy w życiu nie widział łabędzia.

— Nigdy nie maluję dwóch identycznych obrazów — tłumaczył malarz. — Inni narzekają na brak tematów, ja mam kłopot z ich obfitością. Mówią, że zima w Finlandii trwa zbyt długo. Według mnie jest za krótka. W marcu czy kwietniu znów muszę iść malować i tapetować mieszkania, jakże więc mogę w tak krótkim czasie namalować wszystkie moje wizje...

— Co wieczór włóczy się z wędką, a jeszcze przez sen chodzą mu po głowie barwy i przystanie dla łódek! — zapewniała żona malarza, myśląc, że podkreśla przez to pracowitość męża, a może również po to, by trochę uspokoić właściciela domu. Malarza to rozwścieczyło. Cisnął skończony obraz na stół, aż szkło rozbiło się w drobny mak, a stoją-

ce nie opodal farby opryskały ściany, po czym w najwyższej pogardzie wzniosł ramiona jak ongiś Jakobsson i jęknął:

— Sam pan widzi! Artysta powinien mieć za żonę sztukę! Baby! Cóż one potrafią? Tylko rodić!

— Jak ci nie wstydz! Przed obcym! A przecież sam mówiłeś, że u nas się nie płodzi, tylko korkuje.

Iisakki wyszedł. Miał pięćset marek i musiał jak najprędzej zgromadzić drugie tyle, bo nauczyciel już kilka razy uklonił mu się wieczorem nader znacząco. W końcu dostał pieniądze od Eetvarthiego Salonena i zaniósł je niezwłocznie do Trappa. U braci Makinenów, których niebacznie odwiedził, oczywiście nic nie wskórał, ale przez to sprawa jego nabrała rozgłosu. Bank wydawał mu się najprostszym rozwiązaniem w takich kłopotach, więc postanowił na przyszły raz wystawić weksel, a potem go prolongować i tak dalej.

Co zaś dotyczyło budowy, to ta zima była szczególnie niefortunna, choć pogoda była śliczna. Paavali w ciągu czterech tygodni nie miał pracy. Wiadomo, tytuł murarza zobowiązuje! W równym stopniu jak tytuł żebraka. Malarz przewidywał, że jeśli pędzel i farby nie utrzymają go przez zimę, to tym bardziej nie zdołają tego dokonać latem. Kobiety uważały tego rodzaju gadaninę za usprawiedliwianie lenistwa i balsam dla nieczystego sumienia, ale zarówno murarz jak i malarz pracowali, choć byli bezrobotni. Pierwszy robił taborety, drugi zaś malował obrazy do kuchni i izby i być może nawet by na tym trochę zarobił, gdyby nie fakt, że prawie we wszystkich domach w Pispali wisały już identyczne malowidła z praczką, łódką, przystanią i ptakiem. U Nieminenów wylądował również taki obraz jako zapłata zaległego czynszu za grudzień.

— Nie zapominam i o czynszu — rzekł Iisakki. Malarz miał podobno gdzieś powiedzieć, że zaleganie z czynszem nie odbiera mu prawa do mieszkania przynajmniej przez naj bliższe pół roku, a właściciel domu lepiej by się postarał o 'pracę niewypłacalnemu lokatorowi. U Nieminenów po trzech miesiącach otrzymał wymówienie. Gdy godna para opuściła dom, trzeba było na nowo pomalować i wytapeto-

wać mieszkanie. Na ich miejsce wprowadziła się wdowa po czerwonogwardziście, miała pięciu synów, z których najstarszy i tak przebywał przeważnie w więzieniu, aż któregoś dnia w gazecie ukazała się klepsydra, z której można było wyczytać, że poległ w obronie mienia, ojczyzny i wiary. W Risto, najmłodszym synku wdowy, nierozłączni przyjaciele Erkki i Allan, znaleźli świetnego towarzysza zabaw.

W lutym Iisakki pracował na dniówkę w mieście, a wieczorem pracował na akord. Wiele z tego nie miał, bo do miasta przybyli więcej cieśle, dobrze zaopatrzeni w prowiant z domu, którzy godzili się na niższe zarobki. Czy potrafili odcyfrować plan budowlany i przeprowadzić kalkulację, trudno powiedzieć. Z samego jedzenia też można było jakoś wyżyć, przy odrobinie spokoju.

Tymczasem Kalle pracował w fabryce celulozy. Nudził się przy jakiejś płukarce i musiał tylko uważać, aby w odpowiednich odstępach czasu wypróżnić ją i napęlić na nowo. Praca szła pełną parą przez trzy zmiany. Mając wieczorną, a zwłaszcza nocną zmianę, Kalle mógł cały dzień włóczyć się po ulicach lub opustoszałych szynkach i jak nierób najlepszego gatunku spokojnie przyglądać się, jak inni pracują. Dzięki tym przyjemnościom polubił tę pracę. Poprzednią robotę w browarze przyjął porzucając posadę gońca w sklepie z artykułami elektrotechnicznymi, ponieważ jakiś kolega naopowiadał mu, ile piwa dziennie żłapie, i to za darmo, wysokoprocentowego piwa! Kallemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Tymczasem picie piwa okazało się wcale nie tak ciekawe, bo po pierwsze — było to cieniutkie piwo, a po drugie — po trzech pierwszych łykach pragnienie przeważnie mijało.

Ładnie, pięknie. Najlepiej byłoby, gdyby życie Kallego, życie ludzkie w ogóle, płynęło tak, jak życzyliby sobie ojciec i matka, to znaczy — nienagannym łukiem jak planeta dookoła słońca: z ciemności w ciemność, aby potem, kto wie może znów powrócić. Ale po co ta cała gadanina, kiedy droga Kallego była nieobliczalna jak korzenie kosodrzewiny, które na przekór wszystkiemu krzewią się na skale. Widocznie tak być*powinno! Niezależnie od tego, co Józefina

i Iisakki sądzą o takim życiu, i tak ono lepsze niż pustka. „Gdyby wszystko miało być jasne od urodzenia, z zawodem i małżeństwem włącznie, to nie byłoby po co sobie głowy suszyć!” — mawiał Kalle. „Trzeba by było wtedy skoczyć do pierwszego lepszego rowu i czekać na dzień zmartwychwstania!”

— Nie brak zła na tym świecie! — mówił Iisakki, ale nie tłumaczył znaczenia swych słów. Nie miał zamiaru obrazić Józefiny, ale w końcu Kalle sam chyba zrozumie, że mężczyzna bez żony daleko nie zajdzie, choć małżeństwo to niby bardzo nudny interes.

Kalle pragnął zostać marynarzem, jak wielu chłopców w jego wieku. Syn Nieminenów o tyle jednak stanowił wyjątek, że orientował się, jak odbywa się zaciąg do marynarki. Wiedział, że zanim się wypłynie na pełne morze, trzeba się najpierw dostać do jakiegoś portu i na statek. Zgodnie z tym genialnym odkryciem rodzice chłopca byli zmuszeni jakoś ustosunkować się do życzeń syna. Reszta potoczyła się szybciej. W kwietniu Kalle wysłał list do Helsinek, a Józefina, zobaczywszy adres, zaraz wysłała drugi list w ślad za tamtym. Na żaden z nich nie było odpowiedzi. „Prawdopodobnie załoga została już skompletowana” — przypuszczał Kalle. — „Może i tak” — myślała matka. W maju powędrowały znów dwa listy do Helsinek i znów ich autorzy gubili się w domysłach, gdyż i tym razem żadna odpowiedź nie nadeszła.

W czerwcu Kalle wybrał się w drogę. Pożegnanie było trochę dziwne, ale tak być musiało, jeśli Kalle naprawdę miał zostać marynarzem.

Niech każdy mówi na ten temat, co mu się żywnie podoba, i tak nie da się dowieść, że wręcz stanowcza gotowość Kallego do pożegnania wynikała z pociągu do wódki. Podobny motyw bowiem o wiele częściej prowadzi z rynsztoka do więzienia niż ze śródlądowego miasteczka na morze. Równie dobrze można by było zepchnąć całą winę na panią Jarvinen, która oświadczyła, że trzeba posprzątać w szopie, wobec czego Tauno musiał przenieść cały zapas butelek w bezpieczne miejsce, i to w miarę szybko. To nie jego wina,

że musiał uczynić to bez wiedzy matki i że w tej krytycznej sytuacji nie znalazł dla butelek innego schronienia jak w kieszeniach swego palta. Wszelako humor Tauna poprawiał się z każdym krokiem w miarę, jak oddalał się od domu rodziców. Widać jednak nie miał czystego sumienia, bo powiedział do Kallego:

— Przeklęty szef, wciąż się mnie czepia. Bo czy dlatego jestem szmuglerem wódki, że mieszkam w Pispali? Alleluja! Jakżem szczęśliwy! Czy można być nieszczęśliwym, jeśli się mieszka w Pispali!

Na drodze prowadzącej ze zbrocza stał policjant, który spierał się na temat świeżości śledzi z jakąś starą kobieciną.

— Ale śmierdzą! Czuć aż tutaj! I to ma być świeże? — pytał rozglądając się na wszystkie strony, jakby czekał na oklaski.

Tymczasem chłopcy nie raczyli się nawet uśmiechnąć.

— Idziemy dalej pod górę! — rzekł Tauno. Gdy

już uszli spory kawałek, Kalle powiedział:

— Nic nie śmierdzi!

— Nie, w każdym razie dopóki nie odkorkujemy! Byli u Franca, u tego tam, no wiesz! Wiesz, co im powiedział? „To w sam raz na moją cerę, moją — hik! — moją cerę, rozumiesz!” — i polał sobie tym ręce i zamoczył wargi! On, on — hik! — przykleja zawsze etykietkę na butelkę, a wtedy nikt nie może się do niego przyczepić, choćby nie wiem jak czuć było spirytusem.

— Popatrz, popatrz! — odparł na to Kalle, a Tauno nie mógł się powstrzymać od komentarza, że mówi to zupełnie w taki sam sposób jak jego ojciec, Iisakki.

Policjant i butelka stanowili mimo wszystko kombinację, od której wyobraźnia świadomego winy nie tak łatwo mogła się uwolnić. A że butelka była o wiele bliżej niż policjant, Tauno najpierw wyjaśnił, czym jest policjant i wszyscy funkcjonariusze państwowi „z błyszczącymi guzikami”, jak się o nich wyrażał. Jakiś rosyjski rewolucjonista uciekł do Finlandii, do Tampere. W końcu doszło do tego, że stanął na balkonie pałacu gubernatora i oświadczył zebranemu

na placu tłumowi: „Możecie być spokojni, towarzysze, nie uczynię wam krzywdy, za to jeśli nadejdzie taki z błyszczącymi guzikami, to strzał padnie!” Psiakrew — rzekł Tauno — tych z błyszczącymi guzikami nienawidziłem od kołyski! Każdy urzędas ma taki wygląd, jakby wiecznie mówił: „Nie wolno pluć na podłogę!” I nawet gdy któryś z nich dosłużył się tylko rangi kolejowego konduktora, to sterczy jak pozostały po pożarze murowany komin, nawet jeśli pociąg spóźni się o pół godziny i tylko jakaś wiejska kobiecina jedzie nim ze swymi pełnymi kur koszykami. Zeszłego lata w naszej brygadzie budowlanej pracował człowiek, który skończył uniwersytet i ten mówił, że w Anglii w czasach Marksa była jeszcze wyraźna różnica między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi, ale jak Marks napisał książkę, panowie wymyślili sobie coś nowego: dadzą ci krawat czy muszkę z jakiejś tam szmatki, pensję miesięczną i jakiś pięknie brzmiący tytuł do nazwiska — i już po wszystkim i nie ma porządku w narodzie! Masz pojęcie, kim ja teraz jestem? Nie myśl tylko, że kolejarzem! Jestem panem ponadetatowym dozorcą do spraw zestawiania pociągów! Jestem urzędnikiem, kocha-siu! Urzędnikiem, zapamiętaj to sobie, a nie robotnikiem! —■ Ale sam powiedziałeś, że ponadetatowym — wtrącił Kalle.

— Tak, ale tylko dlatego, że to brzmi lepiej! Mam przed sobą wspaniałą karierę: naczelnik stacji, naczelnny nadinspektor kolejnictwa, prezes kolei państwowych. To już nie tak daleko jedno od drugiego!

— A jak ci się podoba stanowisko prezydenta?

— No jasne! Prezydent czy arcybiskup, Piotr, Paweł, Szymon i tak dalej! Płaca obojętna, najważniejsze, że mam przed sobą piękną karierę! Na zdrowie. Wypij łyk!

— Czyś zwariował, tak bez zakąski!

— Możesz zakąsić śliną!

Kalle zdobył się na odwagę, nie upił się wprawdzie od razu, ale początek został zrobiony, a od początku podobno zależy urok dzieła. Tauno natomiast, jak to się mówi, nic wylewał za kohnierz.

Ze zбочa Pyynikki zesli powoli z powrotem do miasta. Aby znaleźć odpowiednią knajpę, wystarczyły im nogi. Kelner w zadawalającym tempie przyniósł wrzącą kawę, przyjął wsuniętą mu do ręki zapłatę i odszedł. Ale nie, jeszcze nie odszedł, chrząknął porozumiewawczo, gdyż Tauno nie mógł opanować czkawki. Kalle zaś był do tego stopnia zielony, że uważał to za oznakę szczególnego wtajemniczenia.

Ale co teraz? Śmietanka do kawy! Tę myśl podsunął Kalle. Psiakrew! Śmietanka zważyła się! A tymczasem na środku sali stał policjant niczym posąg. Nie odważyli się więc nawet uśmiechnąć, gdyż sytuacja była wręcz nieprawdopodobna.

Policjant kupował papierosy. Trwało to dziesięć minut, zanim uporał się z zakupem u panienci przy bufecie, i poszedł. Tauno zerwał się z miejsca i wyskoczył za drzwi. Był blady jak ściana. Kalle poszedł za nim.

Policjant kręcił się po ulicy, a tu jak na złość żadnej bramy w pobliżu. Ale znalazło się okno do piwnicy! Chwała Bogu! Tauno wsadził tam głowę, zapominając całkowicie o pozostałym pod gołym niebem tułowiu. Kalle usiłował go osłonić przed spojrzzeniami tego niezycznego świata. W końcu jednak błada głowa Tauno ukazała się znów na ulicy i przemówiła:

■— Co za dureń z tego policjanta!

— Wytrzymaj sobie gębę! — odparł Kalle.

— Słuchaj, zabierz tę butelkę! — brzmiało to jak ostatnia prośba konającego.

— Ile chcesz?

— No, powiedzmy — dwadzieścia marek. Nie jest pełna i nikt mi jej nie kupi.

Kalle miał wszystkiego szesnaście marek. Właściwie wcale nie pragnął mieć butelki z wódką, ale wola konającego jest święta. A poza tym Tauno był urzędnikiem! Musiał wrócić jeszcze do domu po podwieczorek, a odbycie tej drogi z butelką w kieszeni było nie do pomyślenia. No dobrze, za to Kalle musiał iść do fabryki celulozy na nocną zmianę, choć niby z ową butelką wódki nie ma to nic wspólnego. No, cześć, trzymaj się!

Kalle bez celu wałęsał się po mieście. Ma butelkę z wódką w kieszeni marynarki i trzeba z nią, do diabła, coś zrobić! Ta butelka była w tej chwili centrum świata, Kalle zaczął coraz bardziej pojmować, że lepiej nie paradować z takim ważnym przedmiotem w kieszeni.

Trzeba się tego koniecznie pozbyć. On, Kalle, nie ma zamiaru strzec pępka świata. Ale idź, człowieku, i zaproponuj bliźniemu butelkę wódki! Tak, tak! Po prostu jako prezent, z dobrego serca! Dziękuję, nie! Tego się zrobić nie da! Natomiast nie ma w tym nic nieprzyzwoitego, jeśli się zapyta kogoś szeptem: „Przepraszam czy nie wie pan, gdzie mógłbym dostać trochę wódki?” O coś takiego można by zapytać samego komendanta policji, ale spróbuj powiedzieć: „Widzi pan, mam ją w kieszeni!” Nie, za żadną cenę!

Tymczasem Kalle przeistaczał się w marynarza.

Wyruszył z pępka ziemi, a więc z dość płaskiej i pustej okolicy. Jak to się stało? Po prostu wypił troszeczkę! Absolutnie nie był pijany, za to miał w kieszeni to, co do tego konieczne.

— Cześć, Kalle. — Był to marynarz Reino Nyberg, najbliższy przyjaciel od wędki z lat dzieciństwa i zresztą wcale nie najgorszy chłopak, w ręce trzymał drewniany kuferek i mały pakunek pod pachą.

— Sie masz! Niech mnie diabli! Dokąd lecisz?

— Do roboty! Na statek!

— Prawda, przecież wyruszasz na morze!

— Yes! Chodź ze mną!

— Ja? Ale jak?

— Człowieku. Najpierw siadasz do pociągu, a z pociągu przesiadasz się na statek! Ja też inaczej nie robię!

— To nieźle, mój drogi! A pieniądze na bilet?

— Bilet mogę ci zafundować, jeśli tylko to stoi ci na przeszkodzie!

Fabryka fabryką, ale Kalle wołał zostać marynarzem, inaczej nie dało się pogodzić tych dwóch rzeczy ze sobą.-). Kalle taki już był i kombinacji w tym względzie nie brakowało.

Tego wieczora Kalle nie wrócił do domu. Józefina przygotowała mu oczywiście kanapki na podwieczorek i martwiła się, że na darmo. Tak chciała czuć się potrzebna, lecz szczególnie w przypadku Kallego było ogromnie trudno utrzymać choćby pozory, że jest mu potrzebna.

— Niech sobie weźmie kanapki skąd chce, myśli może, że gdzie indziej dostanie co lepszego! — powiedziała z goryczą do Lisakkiego i poszła spać. Zresztą nie był to pierwszy wypadek tego rodzaju.

Rano natomiast rzecz nabrała zupełnie innego smaku. Chłopiec powinien był wrócić z fabryki przed wyjściem Lisakkiego na budowę. Zazwyczaj pili wspólnie poranną kawę. No dobrze — jak go nie ma, to nie ma. Lisakki poszedł do pracy, a Józefina postawiła znów dzbanek z kawą bliżej ognia. Żałowała teraz swej matczynej chytrkości, która rozwiąła na wiosnę marynarskie marzenia syna. Gdyby Kalle teraz wrócił, grzech ten zostałby zmasany i z wewnętrzny oskarżycielem można by jakoś zawrzeć pokój. Nagle Józefina omal nie roześmiała się na myśl, że teraz na nią przyszlaby kolej przeproszać tego łobuza. Jej sumienie nie umiało nawet zapisać na swoje konto okoliczności, że Kalle nie zgłosił się po kanapki. Zdarzało się to już nieraz, czas uświęcił i tę nieprzyzwoitość, ponieważ to, do czego się przyzwyczailiśmy, zwykle zaczynamy uważać za słuszne. Nawet gdyby Kalle twierdził, że jeden plus jeden równa się trzy, błąd ten nie usprawiedliwiłby rachunku Józefiny, że dwa plus dwa jest pięć. Matka również odpowiada za swoje przewiny.

Po południu Józefina postanowiła sama sprawdzić, gdzie jej syn się zawieruszył. W konsekwencji wydano Kallego z fabryki celulozy na czas nieograniczony, to znaczy — byłby wydany, gdyby sam nie rzucił pracy w fabryce. Poprzedniego wieczora chłopak wałęsał się po ulicach, tak przynajmniej twierdził jeden z jego kolegów, podobno nie wyglądał na zbyt trzeźwego.

— Co tam słuchać takich pijaków! — wtrąciła od razu Józefina. Jej syn, może troszeczkę, ale...

— Co troszeczkę?

— Pijany w każdym razie nie był, znam syna na tyle!

Majster nie chciał się spierać, napomknął tylko, że kolega z nocnej zmiany będzie się musiał z Kallem Niemine-nem chyba policzyć, oczywiście, jeśli Kalle się jeszcze pokaże.

— Nic mnie jego rachunki nie obchodzą — odrzekła Józefina — ale Kallego tu jeszcze sprowadzę! — Była agrewna jak podczas rewolucji. Pognęła na budowę do Iisakkiego, miała szczęście, gdyż spotkała go właśnie w chwili, gdy się zabierał do wyjścia.

Co robić? Iść na policję? Przecież policja jest od tego, żeby pomagać w takich wypadkach. Iisakki nie miał na to ochoty.

— Najpierw chodźmy do domu sprawdzić, czy go tam nie ma — rzekł.

Chciał jeszcze jakiś czas poczekać na Kallego. Policji w każdym razie nie wolno nic o tym mówić, policji ani słówka...

— Mówisz, jak ktoś, kto nie żyje w zgodzie z prawem! — orzekła Józefina. Może i wypowiedziała do pewnego stopnia prawdę, gdyż poglądy prawne Iisakkiego były w samej rzeczy nie całkiem zgodne z oficjalnymi. Również jego pogląd na rodzaj i zakres niewinności Kallego odbiegał znacznie od wyobrażeń Józefiny, chociaż Iisakki nie uważał za wskazane komentowanie swoich przypuszczeń. Może zresztą lepiej pozostać w kryjówek niż dostać się w pazury policji.

— Kiedy ktoś dostanie się raz na ich listę, to już po nim!

— Jaką listę? Co ty mówisz? — spytała Józefina.

— No dobrze, już dobrze — odburknęła Iisakki. Dla dobra Kallego lepiej by było, gdyby jej trochę wyjaśnił sprawę, bo jeśli szło o stosunek do władz, Józefina była naiwna jak dziecko, na drugi dzień i tak poszła na posterunek i z anielską cierpliwością odpowiedziała na wszystkie postawione jej tam pytania.

— Teraz go znajdą! — powiedziała wieczorem. — Były tam straszne ogłoszenia na ścianie: „Referat przestępstw” „Referat włamań” i „Referat morderstw”... Na miłość bo-

ską! Co to za referaty — zapytałam. „Taki już mamy podział pracy”, odpowiedzieli mi. A gdy potem spytałam o jaki podział pracy chodzi, powiedzieli mi, że nie muszą tego wiedzieć. Może wiesz, co to znaczy? Ale dlaczego nic nie było nigdy w gazecie o tych referatach? — Teraz Józefina oczekiwała wyjaśnienia od Iisakkiego.

— To pewnie jakieś oddziały — odrzekł i dodał — no tak jak dział stolarski i dział murarski!

Józefina zrozumiała, iż wobec takiego wyjaśnienia musi udać, że cała sprawa jest już dla niej jasna.

Dopiero po czterech dniach dowiedziała się, gdzie przebywa Kalle i że na szczęście znalazł schronienie i pracę. Napisał bowiem list do matki, wprowadzie dość krótki, ale w każdym razie... Jak to pięknie z jego strony! Einari pisywał z wojska, Sylvi z plebanii, a Kalle napisał, kiedy już uznano go za zaginionego. Ach, Kalle, Kalle! „Kochana Mamo!” — tak zaczął! Naprawdę delikatnie! Czyż potrzeba innych dowodów na to, że miłość się dziedziczy? A potem zupełnie mimochodem wspomniał, że wszystko już dobrze i że słońca woda morska jest rzeczywiście słońca, a statki są wielkie jak domy w mieście. Na miłość boską, co za chłopak! Brak mu jeszcze tylko wymeldowania się w policji i pisemnego zaświadczenia o zgodzie rodziny, które Kalle mógłby wprowadzie równie dobrze sam sobie napisać, i to pewnie nawet trochę lepiej! Stąd ten pośpiech. Prosi również o przysłanie roboczego kombinezonu, który wisi w fabryce w szatni.

— Co w tym dziwnego! — orzekł Paavali. — Marynarz to też człowiek.

— Żegluga stanowi główny sposób zarobkowania w wielu krajach — dodał Erkki. — Zarówno śledzie jak i dorsze otrzymujemy z morza — ciągnął dalej, choć matka wydawała się jeszcze nie przekonana, że i Finlandia powinna wysłać kogoś na morze.

— Znowu zaczynasz o tych śledziach i o tym paskudztwie, którego sam nie chcesz jeść! — oburzyła się Józefina.

— Owszem, jadam, jeśli mi przedtem powymujesz ości, jak to robi matka Allana!

— To nie matka, tylko służąca u nich to robi, a ty się lepiej uspokój!

— Ale ona nie skąpi ani kawy, ani cukru, ani nawet tytoniu !

Psiakrew! Wymknęło mi się to słowo „tytoń”! — pomyślał Erkki i na wszelki wypadek ulotnił się z pola widzenia.

— Idź teraz na posterunek i powiedz, żeby chłopca przypadkiem nie wpakowali za kratki!

— Jakiego chłopca? — mruknął Iisakki, jak gdyby nigdy w życiu nie słyszał o przygodzie Kallego.

— No, Kallego! Dybią przecież teraz na niego, jak na bandytę! — Józefina rozgniewała się nie na żarty.

Ale Iisakki nie kwapił się gonić na policję, chyba żeby go kto zaciągnął tam przemocą. Józefina musiała więc załatwić wszystko sama od A do Z. Nazajutrz napisała do Kallego pierwszy list, a zaraz potem drugi, trzeci itd., aż sprawa została ostatecznie uregulowana, papiery dotarły do syna, a on wyruszył na morze. A że na to nie było już rady, matka zadowolona się westchnieniem.

*Kto durniem jest albo biedakiem
zostaje żołdakiem. A ten, kto wiele
umie, wiele może, wyrusza w
morze.*

Nie chciała przez to urazić Einarego, bo przecież i on był jej synem, a był właśnie w wojsku, choć nie dobrowolnie, co proszę uprzejmie przyjąć do wiadomości.

Nie zaszkodziłoby, gdyby Kalle napisał z drogi kilka listów, a może nawet kilka tuzinów powieści, ale już sam fakt, że po paru miesiącach powrócił zdrów i cały i że opowiadał o sprawach miłych i przykrych, tak jak sobie tego życzyli i jak on sam uważał za słuszne, cud to wielki.

— Coś ty robił na tym statku? Siedziałeś na rufie czy na dziobie?

— Zgadłeś, byłem szuflarzem, podawałem palaczowi węgiel, a jak wpłynęliśmy do Londynu, kocioł był pusty, to my wio do miasta.

— Kocioł? Jaki kocioł? Czy to taki wielki kocioł do kawy? A jak tam babki? Fajne, co?

— Jasne! Hiszpanki i Turczynki. Palce lizać!

— Niech to diabli! Opowiedz, jak one to robią!

— Hm. Babki?

— No! Były całkiem nagie?

— Widziałeś kiedy aniołów w biustonoszach? Ledwie zdążysz usiąść, a już ci siedzą na kolanach i zaczynają cię głaskać po brodzie.

— Co ty mówisz! To one same zaczynają?

— Yes, mój drogi! Sam się przekonasz! Takie instytucje są przecież nie tylko w Londynie. Nie trzeba wcale szukać tak daleko!

Cała ta przygoda wydawała się już wsiąkać w piasek, ale ktoś chciał się dowiedzieć, jakie wrażenie wywiera w ogóle Londyn. No tak, są różne dzielnice, każda z nich taka duża jak u nas Jussinkyla i Kyttalee razem wzięte. Jest tam też sporo kamienic, garbarni i innych zakładów, które tak samo okropnie śmierdzą. Kalle szukał knajpy, gdzie umówił się z kolegami, włączył się po Londynie, aż w końcu spotkał jakąś staruszkę, która przy drodze doła krowę. „Gdzie jest, do kroćset, ta przeklęta londyńska knajpa?” — zapytał Kalle i dopiero od niej się wszystkiego dowiedział.

— Ale skąd ta staruszka umiała po fińsku?

— No cóż. Odwróciła do mnie głowę i wskazała ręką dookoła.

— Słuchaj, może to było w Mopskodel koło Turku?

— Byłem i tam, ale nie ma tam ani jednej knajpy!

— I co dalej? Co wtedy?

— Potem byliśmy właśnie w tej knajpie, a stamtąd wróciliśmy na statek. Szef maszynowni krzywił się na nasz widok i krzyknął:

— Nieminen, hop do kotła!

— O jejku, pewnie się zaraz przewróciłeś?

— Na morzu, rozumiesz, nie ma miejsca na takie rzeczy! Zabrałem graty i poszedłem prosto do kotła.

— Musiałaś zdrapywać sadzę? A światło tam było?

— Nie miałem latarki, musiałem działać po omacku. Dno kotła było tak nisko, że musiałem się czołgać!

— Psiakrew! Za nic w świecie bym się tak nie czołgał!

— A co byś zrobił? W kotle było ciemno jak w ślepiej kiszce samego diabła.

Wszelako Kalle miał i inne przeżycia. Na przykład w Leningradzie.

— Ach, w Leningradzie!

— Owszem! Cała nasza załoga została zaproszona na przyjęcie. Wszyscy, jak jeden mąż w wielkim omnibusie do „domu radości”, czy jak to się tam nazywa. Zresztą nazwa nie odgrywa tu roli. „Towariszcz”, „spasibo” i „soromnoo!”

— To chyba po rosyjsku!

— Oczywiście! Częstoowano ich tam nie byle czym, choć Kalle nie mógł już sobie przypomnieć czym, zresztą o wszystkim, co się w tamtym kraju dzieje, i tak wszędzie aż za dobrze informują.

Coś niecoś Kalle jednak opowiedział: nieźle się tam zabawili, ustawili krzesła parami, usiedli plecami do siebie, a potem już po kolei, zaczynając od końca...

— Ja siedziałem w pierwszym rzędzie, kiedy dali znak rozpoczęcia. Z trudem udało mi się uchwycić za następne krzesło i na nim usiąść, a potem jakiś Filipińczyk wylądował nagle na podłodze!

I co poza tym Kalle jeszcze opowiedział? Czy lepszy porządek i organizacja były w Piotro... Leningradzie, czy w Londynie?

— No taak... Tego powiedzieć nie potrafię... przez cały czas byłem troszeczkę... Rozumiesz, w Londynie, to wydało mi się, że jeżdżę nie po tej stronie, co trzeba, ale nigdy się nic złego nie stało, bo wszyscy tam tak jeżdżą. Po angielsku wprawdzie nie umiem, ale Anglicy uważają widocznie lewą rękę za prawą.

* * *

Einari był już teraz doświadczonym artylerzystą. Uwaga: dobrze. Pilność: dobrze. Orientacja: **dobrze.**
Szkolenie

ogniowe: dobrze. Sprawowanie: dobrze. Oczy: niebieskie. Numer butów: 44 itd., niech go Bóg ma w swojej opiece. „Pokażcie dokumenty!” — teraz on miał wreszcie okazję zwrócić się tak do kogoś.

Paavali bez słowa przyniósł zaświadczenie, które uznawało go za niezdolnego do obrony ojczyzny.

— Uważasz się za wysłużonego żołnierza! — rzekł. — Nie byłeś nawet na wojnie! A tu! Obejrzyj sobie! Zaświadczenie, że byłem jeńcem jako czerwonogwardzista! To do piero prawdziwa polisa ubezpieczeniowa na życie.

Przynajmniej dopóki wyższe czynniki nie zainteresują się tym zaświadczeniem i jego właścicielem. Zwolnienie to wynikło z pożałowania godnej pomyłki.

— Nie moja wina.

— Oczywiście, że nie wasza! Przecież nie wy wystawialiście ten dokument.

— No tak, ale tych, co ten dokument wydali, warto by posłać na karelskie pustkowia! Dlaczego ja mam pić piwo, które kto inny nawarzył! Ale i tak nic mu to nie pomoże, ustawa ustawa, i nie da się zachwiać decyzji władz.

— Tak! Kto by pomyślał, że biednemu Paavalemu przyjdzie odsiedzieć cztery lata w areszcie i obozie jeńców.

Funkcje żołnierzy zależą w razie mobilizacji od rodzaju broni oraz od wykszolenia. Paavalego obowiązywało na wypadek mobilizacji zgłoszenie się do aresztu. Einari natomiast był kanonierem ze sprawowaniem dobrym, numerem butów: 44 i niebieskimi oczami, a Kalle pływał po morzach. Z młodszych Nieminenów właściwie jedynie Erkki znajdował się pod opieką rodziców.

Paavali murował — ku pożytkowi i z aprobatą rodziny, a musiał się śpieszyć, bo Selma stała się tak niepomernie gruba i niezdarna, że wydawało się, iż co najmniej dwóch nowych Nieminenów przyjdzie na świat. Sylvi podróżowała 2 rodziną proboszcza od parafii do parafii aż do Helsinek. Do najważniejszych ćwiczeń sportowych Einarego należały chyba nocne biegi, zapewniające mu liczne znajomości, a Kalle specjalizował się w wypisywaniu zaświadczeń rodzicielskich i wysyłaniu ich na wszystkie strony świata.

Gromadka dzieci Józefiny i Iisakkiego, czyli jedyne dzieło ich żywota, stopniowo zaczynała się usamodzielniać. A co z domem? Iisakki zbudował dom, wykarczował działkę, zwiózł piętnaście wozów ziemi i piasku, zasadził mnóstwo trwałych, pięknych i pożytecznych roślin, krzewów i barwnie kwitnących traw, czy taka pracowitość ma się okazać daremną? Nie, pracowitość stanowiła część dzieła jego żywota. Wprawdzie Iisakki wybudował też wiele innych domów w różnych miejscach, ale ten dom był jedyny w swoim rodzaju.

Niemal co wieczór i co rano przechadzał się Iisakki po swym ogrodzie, od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, tu obcinał suchą gałązkę, tam odrzucał kamień w miejsce dla kamieni przeznaczone. Pewnego razu, doszedłszy do najwyższego punktu zbocza, odwrócił się, postąpił kilka kroków, przystanął, sięgnął do kieszeni po papierosa, fiškę i zapalki, tak jak cieśla sięga po gwoździe, i stał pogrążony w zachwycie nad jednym domem, który mu się podobał, choć był niewątpliwie najbrzydszy ze wszystkich zbudowanych przez niego domów. Niska, wydłużona chata z nie obciosanych bierwion, a obok nowoczesny, piętrowy budynek. Gdyby dzieliło je kilka mil przestrzeni, obydwie mogłyby być przedmiotem podziwu. W każdym razie mieszkańców i teraz nie brakowało.

Ale Iisakki patrzył teraz inaczej, widział przed sobą po prostu spełnione dzieło. Tam, gdzie stał stary domek, widział piętrowy, schludnie otynkowany dom z rzędami okien, synowe podlewające kwiatki, na podwórzu roilo się od warkoczy i czupryn. Czyż pragnął czegoś więcej?

Było w tym obrazie pewne „ale”. Paavali kupił już sobie działkę w Raholi i zamierzał się tam pobudować, oczywiście, trzeba mu będzie w tym pomóc. Einari zaś i Kalle, czy kiedykolwiek będą mieli własny dom? I wreszcie ten najmłodszy, w którym tkwiła jakaś zuchwała bystrość, obca czy rodzima, nie wiadomo, w każdym razie obecność Erk-kiego drażniła Iisakkiego mniej więcej tak samo, jak obecność Eliny drażniła kiedyś Józefinę. Czy podobna bystrość

umysłu może mieć jakąś praktyczną wartość? Zdaniem Iisakkiego Józefina może zatrzymać go przy sobie, jeśli tak uważa. Józefina tak też uczyniła, był jej oczkiem w głowie. Nawet na łożu śmierci w cichej szpitalnej sali matka zwróciła się do niego: „No czego się gapisz, chodź, spocznij tu przy mnie!”

Iisakki rozmyślał. Nastaly teraz czasy, że łatwiej się wzbogacić. A gdyby tak zbudować własnymi siłami wielki dom, drapacz chmur, żeby wyleźć z długów? Czy nie byłaby to trwała pamiątka dla dzieci, wnuków i prawnuków? W gruncie rzeczy Iisakki zdawał sobie sprawę, pomysłem o domu lepiej dać już spokój. Trudno też przypuszczać, by jakakolwiek gromada dzieci jednej matki wytrzymała długo pod jednym dachem wraz ze szwagrami, szwagierkami i resztą potomstwa. Jeden woli białe, drugi czerwone, a trzeci żółte ściany. Wspólny budynek musiałby być okropnie pstry, chyba żeby pozostawić cały dom bez malowania na łasce wiatrów, niepogody i zgłodniałych szczurów. Jedno wszakże cieśla Nieminen wiedział na pewno, że najlepszym dziedzictwem jest siekiera i sztuka posługiwania się nią. Więcej warta od domu jest sztuka budowania, bo co tu ważniejsze: Mieć dom czy umieć go zbudować?

A jednak ciche marzenie o wielkim domu, siedzibie rodziny, znaczyło dla niego tak wiele, było płomieniem oświetlającym mu wszystko, czego zaznał. Czy dom należy do niego, czy do banku, to już nie miało większego znaczenia! W każdym razie była to siedziba godna człowieka.

Zapał Iisakkiego, idea przewodnia i treść jego życia przekroczyły już swój szczytowy punkt, w tylu różnych miejscach musiał walczyć z przeciwnościami i zapuszczać ciągle nowe korzenie, że nie mogło się już z tego począć nic prócz marzeń o drzewie ze szczebiocącym na nich ptactwem. A może jednak najważniejsza jest ta gałązka, na której może spocząć ptaszek.

Iisakki siedział sobie i rozmyślał, to znaczy gonił w myślach wspomnienia, co chyba na jedno wychodzi. Bawiło go, że ongiś zazdrościł ptakom, które rozgościły się na wierzchołku jarzębiny. Nie pozostawało mu nic innego, jak roz-

płaszczyc nos na szybie, a wieczorem zapytać matkę, czy wszystkie aniołki w niebie, nawet te najmniejsze, mają własne buty. Dopiero teraz pojął, że nie muszą to być koniecznie własne buty, wystarczy, że się je w ogóle ma. Pragnienie posiadania własnych butów może nigdy się nie spełnić, ale gdy komuś są one potrzebne, wystarczy jedna para, obojętne — własna czy cudza, byle to była taka para, o której można powiedzieć, że to buty. Ot i cały problem, nie ma sensu dyskutować o prawie do własności. Byłoby przecież szaleństwem uważać słońce za czyjaś własność. Czy znalazłby się choćby jeden rozsądny człowiek, który by sądził, że świeci mu jego własne słońce? Co to znaczy własne? I co z tego? Słońce świeci, powoduje rośnięcie i dojrzewanie zboża, w ten sposób obdarza nas chlebem. A jak jest z naszymi myślami? Czy należą do nas? lisakki zrozumiał od razu, że jest mu całkiem obojętne, czy tylko on jeden tak myśli, czy też równocześnie tak samo myśli wiele innych ludzi. Przeciwnie, cieszyło go, gdy czasem uświadamiał sobie, że tak jest. Czy szczęście jest szczęściem tylko wtedy, kiedy jest własne? Czy prawem jest tylko własne prawo, a czy dobro oznacza tylko dobro własne? Nie! lisakki był przekonany, że dokonał odkrycia, a dopiero po chwili roześmiał się, ponieważ mimo wszystko odkrycie to uznał za swoje.

Można było przypuszczać, że Paavali zgodzi się z podobną nauką, tymczasem niestety. Przecież to najprawdziwsze chrześcijaństwo — Bóg jest panem i właścicielem świata. A więc lisakki już i do tego doszedł.

— Stałeś się w końcu kołtunem, bo nie potrafisz o niczym pomyśleć bez ustalenia, do kogo to należy i ile to kosztuje! — odpowiedział lisakki.

Paavali wszakże twierdził stanowczo, że nie godzi się pozostawiać świata własnemu losowi, każda sprawa winna być postawiona jasno, aby żadnemu Dyrektorowi Naczelnemu nie pozostawiać możliwości ogłupienia człowieka, żeby żadne typy nie mogły się znów na coś powoływać jak diabeł na Pismo Święte. Człowiek powinien starać się zawsze w swoim zakresie wpływać na okoliczności, podczas gdy w ustroju kapitalistycznym całą odpowiedzialność zrzuca

się na jakąś nieosiągalną Najwyższą Istotę, a za ziemskich pełnomocników tej Istoty podają się przeróżni biskupi i papieże, faraonowie i burżuje, żeby mogli zbierać od ludu podatki. Nauki Joosuy natrafiły u Paavalego na podatny grunt.

— Załóżmy — mówił — że posiadanie własności nie ma znaczenia, wtedy dopiero klasa posiadająca wzruszy tylko ramionami i westchnie, rozkładając ręce niczym stary Żyd: „Drodzy przyjaciele i robotnicy! Przecież zawsze tak mówi liśmy!”

To wcale nie takie proste, choć nie z winy Paavalego, lecz z winy przedmiotu dyskusji. Iisakki przypomniał sobie raptem o całkiem innej problematycznej sprawie i zapytał, czy jest już ciepła woda do golenia. Wtem do rozmowy wmieszał się Kalle. Chciał się dowiedzieć, co zrobić, żeby przegnać sztormy do wszystkich diabłów.

— No, chłopcze, samym rozdziawianiem gęby tego nie dokonasz! — rzekł Paavali.

Kallemu przez chwilę zrobiło się nieprzyjemnie, gdyż sam dobrze wiedział, że istnieje wiele środków przeciwstawienia się burzy, oprócz ubezpieczenia, które przecież chroni tylko własność armatorów, a nie chroni statku, ładunku ani życia załogi.

I na tym by się pewnie dyskusja skończyła, gdyby Einari znów nie ożywił rozmowy. Wrócił właśnie z długodystansowego biegu, parujący potem i zziębnięty, jak gdyby udało mu się uciec przed ogniem piekielnym.

— Aha! — zawołał na widok stojącego w drzwiach Paavalego — Rozprawiają znów o kapitale. — Za jednym zamachem ściągnął pulower i koszulę, zanurzył ręcznik w lodowatej wodzie i zaczął trzeć zlane potem ciało, pomrukując z zadowolenia. — No, wytłumacz mi wreszcie, co ty właściwie rozumiesz przez słowo kapitał? — zapytał, widać docznie nie czekał jednak na odpowiedź, bo niebawem wycofał się do sypialni.

Biedny Paavali! On, który wszystkim innym życzył jedynie szczęścia i powodzenia, musiał połykać drwiny!

— Są dwa rodzaje kapitału — odpowiedział niechętnie. —

To co daje nam ziemia i to, co daje siła robocza, sprawność człowieka. Niech sobie nikt nie wyobraża, że ziemia jest poddana człowiekowi z racji pieniędzy i maszyn, odwrotnie, to praca ludzka wytwarza pieniądze i maszyny. Jeżeli masz pieniądze, ale nie umiesz i nie chcesz pracować, wartość pieniądza zależy tylko od tego, z czego monety są zrobione i ile masz takich monet. No i od tego, czy oddasz je dzielniejszemu człowiekowi...

Aż do tego punktu sięgała mądrość Paavalego. Dalszy ciąg był szaloną eskapadą w dżungłę myśli w towarzystwie wszelkich możliwych i niemożliwych niższych duchów, węzów, lian oraz przede wszystkim Kallego i Einarego, gdyż dla nich rozprawianie o szczęściu i osiągnięciach ludzkich stanowiło rodzaj sportu, coś jakby jazdę na nartach czy pływanie.

Iisakki od samego początku prawie się nie odzywał, a potem zamilkł zupełnie, ale Józefina musiała koniecznie powtórzyć powiedzonko, które kiedyś posłyszała. Wymknęło się więc z jej ust jak z automatu:

Pan Jezus mówi: „Co moje, to twoje”, a komuniści: „Co twoje, to moje!”

— A skąd ty wiesz, co Pan Jezus powiedział i czy w ogóle coś mówił?!

— Chyba mówił nawet o koszulach, przecież wiem! — Józefina zapaliła się i była gotowa poprzeć swoje słowa przysięgą.

Paavali był jednak dobrym chłopcem i nie spierał się z matką. Wtedy stał się cud nad cudami, bo sam Iisakki przybył komunistom z odsieczą.

— Czy to nie wszystko jedno, jak te zdania wykręcić! Gdy mówię, że twoja bieda jest moją biedą, a twoje szczęście moim, czy to nie jest sprawiedliwie powiedziane?

W tym zawierało się samo sedno odkrycia Iisakkiego, które na szczęście nie do niego wyłącznie należy i bez żadnych przeszkód może być dokonane przez każdego.

Józefina pochyliła się nad paleniskiem, ale i tak wszyscy zauważyli, że płacze. „Ach, ojciec!” — powiedziała w końcu z trudem. Kalle wyszedł wtedy do sypialni, Iisakki za-

patrzył się w okno, a Paavali utkwiał wzrok w chodniku. Wszyscy byli widocznie bardzo dziecinni.

A dziecinnie sprawy ciągnęły się dalej. Nie minął tydzień, a wydawało się, że Nieminenowie postradali rozum, i to wszyscy równocześnie, jakby się umówili. W środku nocy biegali z kuchni do sypialni i z sypialni do kuchni, gadali o cebrzyku i o wanienkach, ktoś poszedł nawet na strych po wiaderko. Erkki był zupełnie jak oglupiały, kiedy zbudził go ogólny rwetes. Chciał mieć w nim też swój udział, ale matka powiedziała: „Na razie jeszcze nie trzeba!” — Padły słowa: akuszerka i Selma. Teraz i Erkki zrozumiał, w czym rzecz. Oto został stryjem, a to wystarczyło, żeby zwariować. Stryj to tytuł dla starszego mężczyzny, do niego jakoś nie bardzo pasował. „W jaki sposób wyciągną syna' z brzucha Selmy?” — głowił się. A że mogła to być równie dobrze dziewczynka, nie mieściło mu się w głowie. Wzięłby może i takie stworzenie w rachubę, gdyby Sylvi była jeszcze w domu.

W kuchni ucichło, aż w końcu w sypialni pojawił się sam Iisakki, wszedł i usiadł na łóżku. Światła nie zgasił, o tym zresztą w ciągu całej tej nocy nikt nie pomyślał, a w dzień tym bardziej, bo kto dojrzy w dzień, że światło się jeszcze pali.

Erkki spał bardzo niespokojnie. Za każdym razem, kiedy się budził, Iisakki albo zdejmował but, albo wkładał spodnie, albo wieszał marynarkę na poręczu krzesła. A przy oknie stał Paavali i lamentował:

— Już nigdy, nigdy! Teraz dopiero wiem, co to znaczy!

Potem znów wyszedł. Iisakki rozbierał się i ubierał, palił i wzdychał. Zostać dziadkiem wcale nie jest łatwo. Jedyne Einari nawet się nie obudził.

I całe to podniecenie z powodu takiego nic! Czerwone to jak rak, pomarszczony pulpecik bez jednego włoska, a brzydki, że już bardziej chyba brzydkim być nie można! Nie! Zamiast przyglądać się takiemu brzydactwu, Erkki wolał pójść do szkoły. Podobno dzieciak przyszedł na świat pętnaj mniej o cztery tygodnie za wcześnie, ale o tym, że będzie z niego prawdziwy mężczyzna, umiał wszystkich za-

wiadomić. Wszelkie bóle tak szczęśliwie poszły w niepamięć, że po roku Selma znów miała rodzić. Tym razem Paavali już nie lamentował, że „nigdy więcej!” Odkąd miał dziecko, nie zachowywał się już dziecinnie. Posiadanie własnych dzieci zaiste sprawia cuda, w konkretnym wypadku uświadomiło Paavalemu, że temu dziecku potrzebne są inne dzieci, oprócz rodzeństwa ojca. Może kiedyś zauważy, że nader rzadko ojciec docenia w swoim dziecku te cechy, które równie mógłby uznać za swoje własne. W ogóle słowo „własne” nie jest odpowiednim określeniem dla dziecka. Teoria Iisakkiego wydawała się naprawdę uniwersalna.

Na nowego członka rodziny zwykli wołać: „Kauko!” Dziecka nie ochrzczono, aż w końcu Paavali i Selma sprzeniewierzyli się swemu lenistwu, jak sami to określili, i poszli do Nokii do kancelarii gminnej. Byli rozczarowani, że urzędnik stanu cywilnego wcale ich nie wypytywał o przyczyny wystąpienia z Kościoła, choć oboje mieli już na końcu języka, że uważają się za dorosłych i w ogóle jakim prawem ich nazwiska figurują w spisie wiernych. Kauko Nie-minena umieszczono więc w innym spisie, z czego później wynikł inny problem, jakim prawem jego nazwisko dostało się w ogóle do jakiegokolwiek spisu. Gdzieś jednakże musiało figurować, obojętne, czy na liście diabła czy świętego Piotra. Baczność!-W prawo patrz! Kolejno odlicz! — padały komendy, ilekroć kobieta nagle odzyskiwała smukłą linię. Wojsko, Armia Zbawienia, Czerwony Krzyż oraz władze budowlane, górnicze, gospodarcze, celne, szkolne i lichy wie jakie jeszcze, korygowały „krzywe” na statystycznych wykresach, zanim jeszcze wcześniak Kauko Nieminen potrafił podnieść główkę...

Józefina miała własne zdanie na ten temat.

Myła codziennie wnuka i jego matkę, obsługiwała dwie rodziny i dwa mieszkania, aż Selma wydobrzała na tyle, że wystarczyło jej pomóc w zakupach, noszeniu drzewa na opał i w noszeniu wody. Paavali zaś nie miał nic innego do roboty, jak podziwiać dziecko i murować domy w mieście. Mimo to o każdej porze potrafił wyliczyć, czego dokonał. A gdzie podziały się owoce pracowitości Józefiny? Selma

szczyła się tym, że ma makatki, kapy, wełniane ^{sza} ^sa także całe mnóstwo koronek. Józefina natomiast mi ^{ia} ^y ["] ko wypłowiła narzutę na łóżko, a i ta była połata ^{na} ^r podłódze leżało kilka podartych dywaników uszy ⁰ .! ścinków szmatek. Nikt by z nich nie odgadł, ile kos ^u ' * ⁶ kalesonów, sukienek, fartuszków, kaftaników, sk ^{at}P i pończoch Józefina sporządziła dla innych. Wszy ^s ^o. dawno pochłonęła niepamięć. Na strychu stała jedn ³ ⁴ • * ^s cze olbrzymia skrzynia z gałgankami ^o ^o ^o potrzebny ^o ^o ^o a ~ tania, a latać trzeba było ciągle. Później i Selma prz ^{ek} ^o ^{na} się, na czym polega różnica, gdy jeden ma latać ^k ^o ^r ^o [^] a drugi wełniane szmatki. A co to były za szmatki! J ^o ^{ze} ^{ina} sama dziwiła się najbardziej, że właściwie wszystko ^a ~ chy nadawały się jeszcze do noszenia.

Na razie Józefina nie widziała świata poza swyt ^l ^{ria} [^] szym, malutkim ulubieńcem, który rósł w oczach [■] — ^y podobny do Iisakkiego, to do Paavalego, to znów do ^{Se} ^{my} czy Sylvi, kiedy marszczył buzię i wykonywał mnóst ⁰ ⁱⁿ ~ nych rozkosznych czynności. Szybko mijał czas bat ^x ⁿ ,

Oprócz narodzin najmłodszego Nieminena na P ^{rzysz} ^e losy rodziny miały wpływ w ciągu tej zimy jescz ^e ^l ^{mne} wydarzenia. To, że najmłodszy syn się zakochał, by ^o ^{oczy} ~ wiście, nieważne: córka nauczyciela Trappa sta ³ ^o skoczni narciarskiej, patrzyła jak Erkki skakał, jak W ^{dra} ^{py} ["] wał się na górę i znów skakał, a za każdym razem ^{ta}

~ soko, aż głową zaczepiał o niebo. Nie miał też sp [^] ^{cj} ^f ^{ne} ^o znaczenia fakt, że Einari zdobył pierwsze miejsce w ^r [>] ^{is} stwach, że jego nazwisko i zdjęcie pojawiły się * ^v [^] ^a i że otrzymał parę srebrnych przedmiotów, które it ⁱ ³ ^y ^{yc} zapewne namiastkami skalpów. Przysporzył ^{ro} ^z ⁱ ^{*1} ^{*6} * ^{minenów} dużo sławy, o wiele więcej niż Iisakki ^J ^a downiczy. Jednak w fabryce dano mu wkrótce ^{do} \ mienia, że uprawianie sportu, a zwłaszcza wygry ^W ³ ^{*11} strzostw, jest dopuszczalne i nawet warte pewnej s ^u ¹¹ [^] ^{pie} ⁿ niędzy, ale nie wtedy, gdy zwycięzca występuje ja ^o ^{cz} ^o ["] nek robotniczego klubu sportowego. Ważność tej ^o ¹ ^{CZ} ~

ności miał docenić dokładniej dopiero w czasie wielkiego bezrobocia.

Co do Kallego, to było więcej powodów do rzeczywistych trosk. Czy dla tego chłopca istniał odpowiedni zawód? Przez dwa miesiące pełnił funkcję praktykanta w leśnictwie, ale i z tej próby nic nie wyszło.

Kazano mu przyłączyć się do jakiejś zbiórki, obojętnie czy będzie to siano, słoma czy owies, a ponadto miał wpłacić kilka groszy, podobnie zresztą jak jego przełożony i koledzy. Można by tu wspomnieć jeszcze o strawnym, które pewien gospodarz chciał wyłudzić od niego na ten cel. Kalle odtrącił listę.

— Aha, to z was też taki wyklęty przez Boga komunista!

— A czy to składka na polityczne cele? — zdziwił się Kalle.

Wtedy gospodarz powiedział:

— Mogę ci powiedzieć, chłopczku, że do szkoły nigdy cię nie przyjmą, już ja się o to postaram!

Od tego czasu Kalle nie chciał już mieć w ogóle nic wspólnego z drewnem, wykazami paszy ani chłopami.

Zaczepił się znów w urzędzie telegraficznym. Ale i tym razem już po tygodniu wylądował w domu bez grosza w kieszeni. A co tam robił? Nic szczególnego, układał tylko słupy telefoniczne raz wzdłuż, raz w poprzek **linii**, **buntował** się, wyrzucili go.

No cóż. Nie uczynił nic złego, choć też i nic dobrego. Ale w dalszym ciągu wypadało szukać jakiejś przystani. Paava-li miał już bezpieczną przystań, miał zawód i rodzinę. A co z Sylvi? Z jej listów można było wywnioskować, że już na przednówku swego życia dotarła do zacisznego portu. Biblię czytywała niby także i Józefina. U Nieminenów już doświadczono, do czego może doprowadzić źle pojęte chrześcijaństwo. Elina zamiast zastosować się do nauki niebiańskiej ewangelii w życiu na Ziemi, z całym ziemskim bagażem próbowała się dostać prosto do nieba. Sylvi była zupełnie inną dziewczyną. Józefina nie potrafiła sobie wyobrazić kolei losu obu córek. Poza tym odgadywała lub raczej przeczuwała instynktownie, że pobożność Sylvi **wyni-**

kała bardziej z obowiązków służącej na probostwie niż z potrzeby ducha. Józefina byłaby kiepską matką, gdyby sobie życzyła, żeby jej dzieci nawracały się dopiero w nieszczęściu.

Architekt Talvela powiedział kiedyś, że człowiek musi dokonać wyboru i skoncentrować wszystkie swoje umiejętności na jednej sprawie, której powinien poświęcić się całkowicie. „W ten sposób powstały” — mówił — wszystkie wielkie dzieła. Iisakki żywo pamiętał przerwę w paleniu papierosów, która wyzwoliła w nim właśnie takie głębokie moce duchowe, często zastanawiał się nad tym, czy istnieje jakiś choćby najmniejszy drobiazg, który by opanował do perfekcji. Jakoś nie mógł sobie przypomnieć. Rzeczy zarówno wielkie jak i małe nie dawały się ogarnąć myślą.

— No, panie Talvela — powiedział Iisakki po pięciu latach, kiedy spotkali się przypadkiem w sklepie z żelazem — czy nie lepiej wziąć średni rozmiar?

— Może i tak — odparł Talvela. — Pan to powinien wiedzieć najlepiej — i kupił zwykłą siekierę do kuchni.

Jak uczeni w piśmie tak i architekt Talvela był krótkowidzem i dlatego wolał patrzeć na pojedyncze drzewo niż na las, jako że las nie mieścił się w polu widzenia jego okularów. A bez okularów dostrzegał w fińskim krajobrazie jedynie jego niebiesko-zielony koloryt, którego Iisakki i tak zresztą nigdy nie zauważał.

Miał całkiem inne problemy. Gdyby ktoś wspomniał, że istnieje poza kulą ziemską punkt oparcia, z którego można wyważyć z zawiasów całą naszą planetę, Iisakki chyba najpierw zapaliłby papierosa i zaczął się zastanawiać, po co i w jakim kierunku ma obrócić ziemską kulę. Na przykład na zebraniach związków zawodowych nie mógł się nadziwić szybkości, z jaką towarzysze sporządzają protokół. Chętnie zastanowiłby się jeszcze nad jakąś sprawą, a tu przewodniczący już odczytywał rezolucję, uderzał młotkiem w stół, przeprowadzał głosowanie i przechodził do następnego punktu porządku zebrania, wcale nie po to, żeby wyczerpująco omówić zagadnienie, *lecz aby tyle a tyle punktów zapisać w protokóle. Iisakki wiedział, że na przestrzeni ty-

siącleci wydano ogromną ilość ustaw i rozporządzeń i że stworzono wiele teorii i systemów, które nie zawierały niczego prócz fantastycznych twierdzeń bez pokrycia. Wydawało się, że ludzie zrobili ze swego życia rodzaj gry w karty. Koniecznie chcieli czuć się zwycięzcami, a ponieważ życie i śmierć nie raczyły przybrać kształtów uchwytnych partnerów, ludzie wciąż na nowo próbowali postawić na tej samej linii życie, śmierć i siebie samych i dobierali sobie asy, dzokery i czarnego Piotrusia.

A zwycięstwo? Co to takiego? Oszustwo od początku do końca! Iisakki już dawno zmiarkował, że w każdym razie w loterii wygrane są jedynie przynęta, dla której niepoprawna publiczność była gotowa przegrywać. Iisakki nie liczył już na wygrane, a czego sobie życzył? Życzył sobie zdrowia i korzystnych zamówień lub raczej dochodów, aby uwolnić się od długów zaciągniętych na budowę domu, co miało — według jego obliczeń — potrwać jeszcze około dwunastu lat. Nie była to ani zbyt wygórowana, ani grzeszna rachuba, ale oparta na Piśmie Świętym, określającym charakter ludzkiego żywota.

Tak to sobie umyślił, ale jak to się mówi, nawet mały mają swoje myśli, dlaczegóż by ich nie mieli mieć i bracia Makinenowie! Iisakki zapomniał już o owym bezterminowym wekslu, który nie opiewał na określoną sumę, ale na całe jego mienie i który nosi piękny pobożnie brzmiący tytuł: „dług wdzięczności”. W swoim czasie kłopotał się o żyrantów, dziś przedłożono mu pierwszy weksel.

Eemeli, Jooseppi i Mooses Makinenowie przyszedli do Nie-minenów. „Vainó zwichnął sobie kręgosłup i nie może chodzić” — powiedzieli nie wiadomo po co. Iisakki lubił wypalić z Eemelim papierosa, ale od Jooseppiego i Moosesa najchętniej trzymałby się z daleka. Eemeli był dzielnym cieślą, a to było najlepszą rękojmą, jego bracia zaś nosili rozmaite, bynajmniej nie pochlebne przydomki.

Jooseppi wystąpił w roli rzecznika. Zwykle ludzie o trudnej wymowie posiadają zdumiewający wręcz talent do omijania trudnych sformułowań, ale Jooseppi Makinen zdawał się być rad ze swej jakaniny. Najpierw wspominał o budo-

T

wie, i powiedział, że obecnie on i jego brat noszą się z podobnymi zamiarami. Jooseppi był, nawiasem mówiąc, młodszy od Eemelego, a Eemeli zgodził się uczestniczyć w tym jako zyrant, o czym zresztą chwilowo nie wspomniano.

Jooseppi nie powoływał się na to, że Eemeli w swoim czasie pomógł Iisakkiemu, ale nie omieszkął obrzucić błotem dyrektora banku za to, że ten kiedyś nie chciał uznać jego poręczenia. Przy tej sposobności Iisakkiemu wypadało przypomnieć sobie, co zawdzięcza Eemelemu.

— Dół pod fundamenty jest już gotowy — opowiadał Jooseppi — przy okazji znaleźliśmy pierwszorzędny piasek na beton. Tak, tak. Mieliśmy trochę czasu, przygotowaliśmy już wszystko w ziemi. Jest nas przecież dziesięciu chłopów, po co pracować na innych, kiedy można sobie zbudować własny dom. Narzędzia do ręki i jazda! Z budowy można przecież żyć równie dobrze jak z każdej innej pracy.

Mądrze powiedziane, Iisakki nie miał powodu do sprzeciwu. Obiecał wszystko, czego od niego oczekiwano. Po dwóch tygodniach nazwisko jego figurowało już na blankiecie weksła, który leżał w banku. Na razie na tym się skończyło.

Na wiosnę przyszła kolej na Paavalego, starczyła mu bardzo skromna pożyczka.

Po nowym roku odwiedził Nieminenów Eetvartti Salonen z synami. Pan Jaakonmaki — pan Jakobsson zdażył przerobić sobie nazwisko na fińskie — również obiecał poręczyć. Iisakki był trochę zdziwiony, bo po co mu jeszcze jakiś „Fryderyk Wilhelm” na wekslu. Józefina była tym razem niemal wesoła, gdyż sprawa wydawała się całkiem prosta, stary Salonen to przecież człowiek szczerzy jak złoto. A jednak zły los miał uderzyć właśnie z tej strony, choć Salonenowie byli naprawdę przyzwoitymi ludźmi. Ale w nieszczęściu każdy czepia się właśnie przyzwoitych ludzi.

Rozbudowa domu Makinenów nie stanowiła problemu. Owszem, bardziej przydałby się jeden solidny plan niż cztery plany na ra[^]. W końcu i na to znalazła się rada. Ale nawet gdyby jednak przyjął, zgodnie z panującą powszechnie

modą, że umiejętność pisania jest równoznaczna z potrzebą pisania, chyba nie mógłby jednak o budowie Makinenów napisać powieści.

Natomiast na pewno uwieczniłby na papierze — sparaliżowanego instruktora wychowania fizycznego, który pewnego pięknego wiosennego poranka siedział w sypialni Nie-minenów i udzielał trenerskich rad Einaremu.

— Zasada biegu... zasada rąk... zasada stopy...

— A zasada boksu? — zapytał Kalle, gdy trafiła się okazja wtrącenia swoich trzech groszy.

Omówiwszy po kolei walkę zapaśniczą, narciarstwo i wiele innych dyscyplin sportowych, doszli w końcu do piłki nożnej. Zasady tego zjawiska zdaniem Iisakkiego były warte zapamiętania.

— Przy grze w piłkę nożną — rzekł ów instruktor — jak w każdej grze zespołowej najważniejsze jest, by członkowie drużyny mogli na sobie polegać. Najgorszy człowiek może się poprawić, jeśli jest świadom zaufania innych, a dobry człowiek traci wszelki zapał, gdy widzi wokół siebie obojętność!

Instruktor uchodził za dobrego arbitra, można było wierzyć jego słowom.

— Żaden sędzia nie mógłby wziąć ludziom za złe, że okazują sobie trochę zaufania. W każdym razie warto chociaż raz spróbować? Być arbitrem przy grze „fair” to sama rozkosz. Nie trzeba bowiem interweniować co chwilę. Są i tacy sędziowie, zwłaszcza wśród młodszych, którzy lubią gwizdać i którzy uważają, że na tym polega ich rola, zupełnie jakby byli muzykantami na weselu. Mecz piłkarski to nie koncert. Sędzia rozjemczy należy do publiczności jako pewnego rodzaju „primus inter pares”. Dla mnie na przykład największą trudność przedstawia egzekwowanie jedenastek. Ale ludzi, którzy przyglądają się z boku, wręcz nienawidzę. Zawsze tacy sami, najlepiej by było już na samym początku wyrzucić ich za ogrodzenie. Trzeba się ich wystrzegać jak pijaka. Flegmatyczne świętoszki marudzą pod bramką i czekają, aż im ktoś poda piłkę pod same nogi.

— Vikki Rantanen właśnie zawsze tak czeka pod bram-

ką — rzekł Einari. — Też ma takie bezwładne kulasy jak... Nie, nie ciebie mam na myśli. Vikki to też niezły specjalista, stale od wszystkich pożycza, a nigdy nie oddaje. — Einari chciał jak najpełniej scharakteryzować swego kolegę, toteż długo jeszcze mówił o Vikkim.

Z jakiegoś tam powodu, a może i bez powodu, Iisakki przypomniał sobie słowa, które często wypowiadał Oskari Peltonen: „Nie należy o nic zabiegać, nic mówić, nic robić, tylko mieć na uwadze własne życie: korzystać ze wszystkiego, z czego korzystają inni, gromadzić, co po innych zostanie, i od razu oddawać, gdy ktoś się o co upomni. A przede wszystkim niczego od nikogo nie żądać, w każdym razie publicznie. Żyć w ukryciu, jakby się wcale nie istniało, to najlepsza droga do powodzenia. Dlatego, jeśli chcesz coś osiągnąć, nie zwieraj się z tego nikomu! Żebyś komuś nie podpadł, bo tacy już są ludzie, że twój sukces kłuje ich w oczy. Ale też nie mów, że nie zależy ci na niczym. W ten sposób także można podpaść, bo każdy uważa, że nie ma ludzi, którym by na niczym nie zależało. Zresztą to jasne. Bo jeśli coś powiesz albo coś zrobisz, wszyscy natychmiast zaczynają węszyć jak psy myśliwskie. Ledwie trochę wyrośniesz, wysuniesz się przed innych choćby odrobinę, zaraz cię stukną gdzie trzeba, aż znów zmalejesz. Trzeba żyć tylko własnym życiem, od cudzych spraw trzymać się z daleka, inni sami się o to zatroszczą, by nikt nie przesłonił ci słońca. Trzeba umieć rozrastać się jak mech czy pleśń, a wtedy zawsze będziesz miał o co się oprzeć. Otoczenie prędzej czy później uzna, że w gruncie rzeczy jesteś niewinnym, zacnym i godnym szacunku stworzeniem, postawi cię za wzór, zostaniesz majstrem, ministrem, profesorem czy królem. Siedź na swoim stołku i czekaj! Nie obnoś się ze swoją skromnością, bo nazwą to bluźnierstwem. Słonie przydają się zawsze, ale nie mogą wyglądać jak słonie. Winniśmy się zadowolić tym, że występujemy jako namiastka słoni. Ty jeden nie jesteś słoniem i dlatego w rzeczywistości nim będziesz”.

*



,t'A^rf*^W

KSIĘGA III



*•

M. \to ponosi winę za lata kryzysu? Kto jest winowajcą?

Żaden sąd ani trybunał specjalny nie zajęły się przeprowadzeniem śledztwa, żaden trybunał nie wydał wyroku za tę niesłychaną zbrodnię.

Co złożyło się na ten kryzys? Czyż brakowało pożywienia i opału? Czy nie stać było ludzi na odpoczynek? Może brak im było towarzystwa? A może dręczył ich nie zaspokojony popęd płciowy?

Bynajmniej! Nie brakowało pożywienia ani ciepła. Magazyny były zavalone wszelkiego rodzaju zapasami. Zboża, mięsa, masła, kawy, cukru, tytoniu, materiałów tekstylnych, obuwia, węgla, oleju i drzewa było w bród. Wspaniałe środki transportu, statki i pociągi, samochody i samoloty stały beczynnym w portach, na dworcach i w bazach i czekały na wykorzystanie. Można było załadowywać i wyladowywać ile dusza zapragnie. Mieszkania, wille, wiejskie domostwa i wielopiętrowe bloki stały puste, można je było kupić albo wdzierżawić, z meblami lub bez, za bardzo niską cenę. Mężczyźni w dzień i w nocy leniuchowali w swych mieszkaniach, przewracali się z boku na bok i przewracali kartki powieści, wymyślając najfantastyczniejsze pulpity pod książki, czytali w pozycji leżącej i siedzącej, raczkowali po podłodze ku radości swych dzieci, budowali domki z klocków,

wycinali z drzewa młynki wodne i konie na biegunach, aż w końcu nauczyli się rzeczywistego nieróbstwa.

A kto nie czuł się dobrze w domu, mógł wyjść na dwór, odbyć przechadzkę dla zdrowia, powłóczyć się beztrudnie, popatrzeć na witryny sklepów i pod gołym niebem odetchnąć świeżym powietrzem. Zawsze znalazła się w parku jakaś wolna ławka lub trochę miejsca na chodniku, gdzie obywatele mogli się zebrać, postać sobie w gronie dobrych znajomych i pospłuć na jezdnię. Oczywiście, w deszcz, śnieg lub inną nie pogodę najprzyjemniej było pójść do kawiarni lub do klubu robotniczego na zebranie. Organizatorzy imprez teatralnych i koncertów zebrali wprost o publiczność. Aktorzy nie posiadali się z wdzięczności, gdy mieli okazję wystąpić. Uprawiano sztukę dla sztuki. Nawet kapele przygrywające do tańca zadawały się byle czym — nie za darmo, ale za jeden grosik.

Wspaniałe czasy! Ludzkość nareszcie uzyskała przebaczenie za grzech pierworodny, znów trafiła do raju. Czy wobec tego ma sens gadanie o latach kryzysu? Niewdzięczność jest na tym świecie zapłatą. Ludziom było dobrze, a chcieli mieć jeszcze lepiej! Co za bezbożna hołota! Czego im się zachciewa!

Co takiego? Praca? Dziwne! W takich czasach mówić o pracy! Co za zuchwalstwo! Wprawdzie Pismo Święte mówi, że należy chleb powszedni spożywać w pocie czoła, ale od tańca także można się spocić! Nie, to już bezczelność! Czy kiedykolwiek można jeść robotę, w robocie mieszkać, czy też ubrać się w robotę! Jak gdyby brak pracy mógł być nieszczęściem!

Może nie dlatego Adam i Ewa musieli opuścić raj, że nie mieli niczego innego do roboty, jak tylko spożywać dojrzałe owoce?

Niech i tak będzie, ale w latach kryzysu brak było właśnie owoców pracy. Nietykalnym ziemskim drzewem mądrości był bowiem ustrój gospodarczy —■ była to gra ważniejsza niż życie. Wszemmocna rada kupców, urzędników, policjantów i oficerów zabezpieczyła sobie dach nad głową, pożywienie i odzież, chroniąc nie tyle społeczeństwo ile raczej

określony porządek społeczny. Dla ochrony uśmiechniętych mieszczuchów, tępych, za to podstępnych i energicznych ciulaczy postawiono na nogi nieprawdopodobną armię straszdeł w postaci zasad, rozsądku, różnych „izmów” i „logii”, tablic statystycznych, wzmocnioną cywilizacyjnym coctaiem ze sztuki, wiedzy i religii. W końcu samym nawoływaczom nie pozostało nic innego, jak tylko wznosić ku niebu bezsilne ręce. Władzę przejął robot bez mózgu i serca. Na każdym rogu pola czy lasu jak krucyfiks pojawiły się tablice z nakazami i zakazami, wskazując miejsce, gdzie zgłodniały ma uklęknąć i błagać o wysłuchanie, by Wszechmocny Pan raczył rozluźnić swoje przepisy gospodarcze, lub żeby uzgodnił doczesne potrzeby swych poddanych z doczesnymi możliwościami ich zaspokojenia.

Kryzys był w gruncie rzeczy niezbitym dowodem uzdolnień małą człekokształtnych do wspaniałego wzywania się w swoją rolę.

Tymczasem zdarzył się cud; przed domem Nieminenów zjawił się Joosua, a raczej zaledwie Kalle Ketonen, z zawodu dyrektor, stolarz i sprzedawca z magazynu meblowego w jednej osobie. Trafiłby tam i tak, nawet gdyby nie doszły go z ogrodu głosy rozmowy i skrzypienie huśtawki, nawet gdyby nie skusiła go zaciszna altanka.

— Dobry wieczór! — powiedział, jak w takich sytuacjach wypada.

— Aaa, dobry wieczór! Coś podobnego! Wcale pana nie poznałam — odpowiedziała Józefina.

— Dobry wieczór — rzekł Iisakki. Huśtawka przestała skrzypieć.

— Tak. Ile to już lat! — powiedział gość. — Od dnia wesela Paavalego, gdy byłem u was ostatni raz!

Joosua! Iisakki rozpoznał go od razu, choć w takich sprawach był o wiele powolniejszy od Józefiny. Ale jak utył i jak się zmienił! Nawet głos jego brzmiał teraz niemal przyjaźnie! Dawniej miał jakieś komplikacje z żołądkiem? No tak! Paavali opowiadał pewnego razu o dziecie Joosuego,

o kuracji wodą i najróżniejszymi środkami naturalnymi, lisakki, zwłaszcza zimą, cierpiał na reumatyzm i astmę i na pewno zeszedłby na ich temat, gdyby było tego dnia trochę chłodniej.

Co go tu sprowadza? Usiadł na ławce w ogrodzie, teczkę położył obok.

— Ależ nie, huśtajcie się dalej. Kawy? Nie, dziękuję. Paavali jeszcze nie wrócił?

— Nie. Jeszcze nie przyszedł. Był tu przedwczoraj. A czy miał być dziś? Mieszka teraz w Raholi, już od pięciu lat. Ma tam... Zresztą sami wiecie! Ojciec, nie patrz tak na mnie, daj mi skończyć! Czy Paavali obiecywał, że dziś przyjdzie? O rety, przy koszuli Kauko brak jeszcze guzików i dziurek!

— Tak, umówiliśmy się. Był wczoraj u nas w sklepie. Mieliliśmy się wybrać na jezioro.

— Łódką Paavalego? A chłopaka jakoś nie widać!

— No cóż, poczekamy!

— Nie. Mówię o Erkkim, naszym najmłodszym. Z Paa-valim to mur-beton, jak obiecał, że przyjdzie, to przyjdzie. Kalle szwenda się całe lato po jeziorze i nawet święta Bożego Narodzenia spędził kiedyś w szalasi.

— Co ty pleciesz? — zmitygował ją lisakki.

— Bo i prawda! Gdybyś się choć trochę zatroszczył o dzieci, nie musiałabym w strachu wałęsać się po brzegu i wypytywać ludzi, czy widzieli Kallego... to znaczy Erkkiego. Wprawdzie i z Kallem nie brakowało kłopotów, dopóki się nie ożenił. A Eeva nie da sobie w kaszę dmuchać.

— A więc i Kalle się już ożenił? Prawda, Paavali mówił mi o tym.

— Tak, tak, to prawda. Wie pan, jak się o tym dowiedziałam? Pani Makinen mówi do mnie: „Winszuję! Życzę szczęścia! Wasz Kalle już spadł z ambony!” — „Co takiego?” — zawołałam, a wtedy usłyszałam z trzech ust naraz: „Wczoraj były jego zapowiedzi”. Nie mogłam w to uwierzyć i zapytałam Kallego. Wyobraża pan sobie, co ten bezczelny chłopak mi powiedział? — „Dlaczego nie chodzisz do kościoła, wiedziałabyś wtedy, co się na świecie dzieje”. Tak mi

powiedział! „Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jest kościół” — zapytała go. Tak się dziś śpieszy ludziom do ożenku. Mają już syna, a kąpią go i karmią bez przerwy, że ani do niego przystąpić. Mogę go tylko oglądać z daleka. Mieszkają tam, na zboczu, w domu Makinenów.

— ■ Kto to taki Makinenowie? — zapytał Joosua, chociaż nie bardzo go to interesowało.

— Sama nie wiem! Nazwisko Makinen jest tu równie częste jak Nieminen czy Jarvinen.

— Patrzcie go. Więc to tam mieszka. U rodziców też mógłby się chyba zmieścić.

— Pewnie, że mógłby... W każdym razie tam teraz mieszkają.

Józefina wołała o tym nie mówić. Na twarzy Joosiego malowało się zrozumienie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak, tak, synowe i teściowe!” Złe świadczyłyby to o Józefinie, gdyby teraz przestała mówić na ten temat.

— Eeva jest bardzo miła — orzekła — a Kalle uważał, że na pewno zawsze taka będzie. Nigdy nie zapomnę, jak mi ją przedstawił. „Oto ktoś, kogo nie wolno krytykować” — rzekł, a ja głupia rozplakałam się. Wydawało mi się, że jestem już niepotrzebna, wtedy Kalle rzucił mi się na szyję, bo to przecież złoty chłopak.

I Józefina rozplakała się, śmiała i płakała na przemian.

— Kalle, oczywiście! Kalle! — rozległ się głos od studni zza żywopłotu. To Meeri, żona Einarego. Teraz łzy Józefiny zmieniły się w zwyczajne łzy teściowej.

Na szczęście zjawił się Paavali. Nie wiadomo, czy słyszał tę rozmowę. W każdym razie śpiewał piosenką na cześć Kallego, składającą się z trzech zwrotek.

Meeri chwyciła wiadro na wodę i znikła w głębi domu, pewnie śpieszyła się do sprzątania, bo robienie porządków było jej ulubionym zajęciem. Powołanie to traktowała bardzo poważnie, uważała nawet, że wszystkie przedmioty są po to, aby było co odkurzać.

— Śpiewa imieninową pieśń dla Kallego, którą skomponował Allan ■*- powiedziała Józefina wychodząc Paavalemu na spotkanie.

— Chodź tu i usiądź — rzekł Joosua — przynajmniej porównamy, kto ma większą wędkę.

Joosua miał własną łódkę przycumowaną do brzegu, ale po drugiej stronie Nasijarvi, a teraz byli przecież nad jeziorem Pyhajarvi. Na nic więc zdały się piękne plany, a że Józefina nie wiadomo kiedy ustawiła filiżanki na stole w ogrodzie, wypadało poczekać na kawę. Prawo ciągłości sprawiło, że w tym otoczeniu w gościa wstąpił dawny duch czerwonego, rozgadanego Joosuego. Bo cóż mógł mieć do roboty u Nieminenów przedsiębiorca Kalle Ketonen! Nic! Więc dawny Joosua znów ożył. W podobnym nastroju dał do komunistycznej gazety ogłoszenie na całą stronicę, czego nie dało się potem wycofać. A najgorsze, że nie mógł się doczekać reakcji, gdyż przeciwnicy wcale nie zwrócili uwagi na jego wystąpienie.

Joosua mówił o życiu klasy robotniczej i powoływał się raz po raz na rzeczoznawcę Paavalego. Widział wiele i w niejednym uczestniczył, tylko że jego doświadczenia utknęły w odległej przeszłości. Z tym, co nazywał terrorem i nędzą, wydawał się już nie mieć bezpośredniej styczności. Zapomniał, że w prawdziwej biedzie człowiek nie ma na myśli chleba powszedniego w ogóle, że wtedy zadowoli się jednym jedynym kawałkiem, bez którego wszystkie skarby i bogactwa nie mają znaczenia. Perorował o stosunkach w obozach jenieckich dla czerwogwardzistów, chociaż obecnie co godzinę niezliczone mnóstwo ludzi spadało w paszczę tego samego potwora w zupełnie innych okolicznościach, potykając się o setki pułapek, niesprawiedliwych sędziów i zakłamanych księży, mimo że Zbawicielowi i świętemu Jerzemu wydawało się, że uśmiercili owego potwora raz na zawsze. Dlaczego Joosua nie demaskował drapieżnej bestii współczesności?

Święty Jerzy zabił smoka, ale czy już wtedy było wiadomo, że prawda objawia się w rozmaitych postaciach? Mesjasza chrześcijaństwa ukrzyżowano, ale Piłatowi nikt za to nie podziękował. Czy byłoby inaczej, gdyby Piłat został rzymskim cesarzem? A gdyby nie dopuścił do ukrzyżowania, czy w ogóle by ktokolwiek o nim słyszał? I co by wtedy

było z ewangelią? Lisakki uznał, że historia jest jak miska z mętną wodą, w której każdy może zanurzyć swoje brudne ręce.

Zaraz, ale o czym mówi teraz Joosua? O wierze, mówi o wierze! Dziwnie. Lisakki zmuszał się do słuchania.

— Niepotrzebnie się denerwujesz, bo mówię to całkiem poważnie — rzekł Joosua, gdy Lisakki był bliski śmiechu.

— Na razie jest w nas zaledwie jedna tysięczna część człowieka, reszta to zwierzę — perorował. — W łonie matki zaczęliśmy życie jako mięczaki, a potem przeszliśmy mniej więcej wszystkie etapy rozwoju, które opisuje zoologia. Takie dziedzictwo jest dość obciążające, ale w każdym razie jakaś istota przywłaszczyła sobie kiedyś miano człowieka, a skoro jakoś żyje się nam od milionów lat, to nie wykluczone, że pewnego dnia przyjdą na świat dzieci, które przełożą w spadku swoim następcom już 50% człowieczeństwa. Wiara przyjdzie im znacznie łatwiej i na pewno będą sobie nad tym łamać głowę, skąd my, ich przodkowie, mieliśmy tyle cierpliwości, żeby wierzyć w człowieka, choć nosiliśmy w sobie zaledwie jego jedną tysięczną część. Wiara jest jedyną rzeczą, która nas obdarza wielkością i czyni bliższymi, a nawet wspanialszymi od owych półbogów przyszłości. A tę filiżankę kawy wychylałam na pamiątkę owej bohaterskiej komórki, która przed milionami lat dokonała odkrycia, że wreszcie pora się troszeczkę rozruszać.

— A czy pan też wierzy, że człowiek pochodzi od małpy? — spytała Józefina.

— To było już tak dawno, nawet nasza pamięć tam nie sięga, ale jeśli pani ma na myśli dzisiejsze małpy, to nie wolno zapominać, że kiedyś czegoś podobnego jeszcze w ogóle nie było. Prawdopodobnie i one są wynikiem równie długiego rozwoju jak my, ludzie. Rozmaite rośliny mają na pierwszy rzut oka identyczne nasiona, ale zalążki trzeba badać pod mikroskopem.

— Tak, mikroskop to ma i nasz Erkki! — wtrąciła Józefina. — Ale czas na mnie, muszę pójść do Merilasów dowiedzieć się, kiedy właściwie nasi chłopcy wrócą do domu.

Matka Allana nie miała na to niby specjalnego wpływu, ale niejedną troskę można przezwyciężyć w rozmowie.

Dwie matki stały na pispalskim wzgórzu. Widnokråg lśnił jak wrota do niebios. Nad fiordem zalegała bezwietrzna cisza, a na niebie płonęło słońce. Nie, patrząc na taki widok, nie można pamiętać o zmartwieniach. „Wróć nad ranem” — uspokajały się nawzajem.

W letnią niedzielę wyruszyli całą rodziną na łodziach w kierunku wyspy z sauną lub wyspy Lehti, zresztą obi* wyspy było stąd widać. Wprawdzie Józefina nie sięgała wzrokiem tak daleko, ale wierzyła na słowo, że hen daleko leży fiord Saviselka, a jeszcze dalej zatoki i miejscowości — Sotkanvirta, Kaivanto, Sorvanselka, Vapalo, Palho, wyspy i fiordy noszące tajemnicze nazwy o nieznanym uroku: Tam-pere Ruovesi, Visuvesi Virrat, Tampere Ruovesi, Visuvesi Virrat...

— Co pani mówi? Przecież to była tylko przejażdżka po jeziorze Nasijarvi.

— Jak to pięknie brzmi: Tampere Ruovesi... Jakie ze mnie dziecko! To już tak dawno temu. Lata mijają! No tak, rausze iść przygotować łóżka. A tu tyle komarów!

— To prawda! — potwierdziła pani Merila, zapominając wspomnieć o komarach w Laponii dla porównania z być może jedynym podobnym wspomnieniem przyjaciółki.

— Dobranoc! Wróć na pewno jutro rano! — powiedziała Józefina.

— Dobranoc, wróć na pewno!

— A Pj.hajarvi jest piękne, to trzeba przyznać!

— Co paiv mówi, ach tak! Dobranoc!

Zarzucili spining. Erkki wiosłował, Allan siedział na rufie. Wędzisko przymocował do pagaju. Prawą ręką popuszczał żyłkę i wrzucał przynętę na sandacze. Cierniki i małe srebrne rybki, które całymi gromadami kręciły się pod powierzchnią wody, wytrzeszczały oczy na napuszone, ciemno-

czerwone robaki i opuszczały się na głębokość pół metra czy cały metr, a niejeden czerwonoooki bohater miał odwagę podплыnąć całkiem blisko i skubać żyłkę. Allan nigdy nie potrafił zrozumieć, jak to się dzieje, że choć robakom wychodzą na wierzch wnętrzości, potrafią one trzymać się sztywno, jakby miały wewnątrz haczyk. Rybki gapily się okrągłymi, płaskimi oczkami i delikatnie wachlowały się cieniutkimi płetwami, aż nagle fala zmieniała kierunek i całe stado rzucało się w pogoń za zabląkanym komarem. Żyłka zanurzała się na dziesięć czy dwadzieścia metrów w mrocznej głębinie, docierała aż do królestwa szlachetnych sandaczy.

Niebo zaszło czerwienią, potem jednak znów rozjaśniło się błękitem. Jezioro błyszczało jak zwierciadło. Żadna chmurka nie mąciła ani błękitu, ani przejrzystej tafli jeziora.

— Cholerna pogoda — rzekł Allan.

— Coś chyba jednak złowimy — pocieszał go Erkki. Allan przywiązał kamień do żyłki i plums! A teraz tylko zawrócić i jazda w kierunku obozowego ogniska.

— Chcesz zrobić przerwę na papierosa? — zapytał Allan.

— Można i bez przerwy.

— No to wiosłuj, a ja opluczę błyszczyk!

Zapalili papierosy, przez chwilę rozglądali się po świecie i znów ruszyli bez pośpiechu.

— Trzymaj się trochę na prawo, przy tych skałach może my złapać okonia.

Łódka prześliznęła się bezszelestnie wzdłuż szuwarów i pod ostrym kątem skręciła w kierunku fiordu, gdy wtem... Nie, to tylko kamień. A może to tylko haczyk od błyszczyka zaczepił o trzcinę? W każdym razie trzeba się przekonać, co to takiego, bo w końcu ktoś by chciał ciągnąć za sobą na spacer wiązkę szuwarów?

— Popuść żyłkę!

Erkki czekał z podniesionymi piórami wioseł.

— Okoń czy szczupak? — spytał Allan, wciągając do łodzi około dziesięciocalowego przedstawiciela rybiego rodu. Ryba miała olbrzymią paszczę, w którą wbił się haczyk. Podobno kiedyś znaleziono dwa olbrzymie szkielety szczu-

paków szczipione paszczami, a w środku tkwił jeszcze malutki szkielecik ciernika czy okonia.

— Pogryzły się — rzekł Erkki.

— Próbowaly się pogryźć, zemścić się za wszystkie bóle i trudy. W naszym domu mieszka taka rodzina, gdzie stara wrzeszczy: „Stulcie pyski” A córka ryczy: „Nie wrzeszczę!” A stary na to: „Będziecie nareszcie cicho!” Wszyscy troje walczą o spokój i honor rodziny.

— Tak, to ci Silanderowie! Zgadza się? — spytał Risto i wciągnął łódkę na brzeg.

— Smacznego! — powiedział Allan i rzucił zdobycz w ręce Risto.

— Ale uparty — stwierdził Risto, trzymając w ręce wyrywającego się szczupaka.

— Bo i dlaczego ma ustępować — westchnął Allan. Wyglądał na zrozpaczonego. Jak ktoś, kto odprawia modły nad nieboszczykiem, który nagle podnosi się, aby mu podziękować. Pominawszy nawet różnice w sprawności funkcjonowania różnych mózgów, nie wziął pod uwagę tego, że Risto słyszał tylko część jego rozmowy z Erkkim.

Risto bynajmniej się tym nie przejął. Był jednym z tych zdrowych i pracowitych wiejskich chłopców, których rozsądek i spokój wydają się czymś bardzo naturalnym. W ciągu niewielu tygodni rozejrzał się w mieście lepiej od wielu rodowitych mieszczuchów. Można go było spytać o każdą ulicę i każdy sklep. Znał na pamięć numery poszczególnych domów, wiedział, gdzie stoi który kościół czy fabryka. Znał taksówkarzy i policjantów. Umiał obchodzić się z automatami. Wiedział, jak zważyć całą gromadkę przyjaciół za jedną jedyną monetę i co zrobić, żeby grająca szafa za jeden grosz odegrała cały swój repertuar. Ale gdy szło o inne zjawiska, potrafił jedynie wysuwać przypuszczenia: czy Allan ma się poddać kuracji przeciwko soliterowi? Jego zdaniem Allan przypominał trochę kapustę. Że można jeść pomidory, da się jeszcze zrozumieć, ale widok spleśniałego sera w zielono-żółty deseń w mlaskających ustach był wręcz nie do zniesienia. A temu serowi podobno umyślnie pozwolono tak spleśnieć. Risto nie przypuszczał nawet, żeby świnia

mogła przelknąć coś podobnego, a tu cywilizacja zmuszała do tego Allana.

Właśnie zdjął kocioł znad ognia i zaproponował czarną kawę, chyba że Allan woli z kwaśnym mlekiem. Masło też już się skończyło. Nader pożytecznym odkryciem okazało się stwierdzenie, że kawa bez wyszukanych dodatków smakuje najlepiej. Właściwie powinno się pić zawsze tylko czarną kawę, tak jak zalecał Allan.

Z ogniska powoli unosił się dym. Dookoła rozpościerało się jezioro, a głębia ludzkiej duszy miała podobny krajobraz — bezwietrzny i szeroko otwarty, choć zawsze skłonny do burzy.

Ta małutka jak pieprzyk wysepka, własność republiki fińskiej, była rzeczywiście jedynym w swoim rodzaju obozowiskiem. Od dawna chłopcy machnęli ręką na chłopca, który kiedyś zdeptał im ognisko ze słowami: „To moja ziemia, a tam za płotem to ziemia mojego brata. Widzicie ten cypel? Należy do państwa, możecie tam obozować!” — Chłopcy załadowali sprzęt do łódki i odpłynęli. Stąd, przynajmniej jak dotychczas, nikt ich jeszcze nie wygonił, chociaż w niejedną noc świętojańską rozpalali tu ognisko. A patrona wyspa też chyba nie miała, jeśli nawet zapowiedziany przez owego chłopca policjant dotychczas się nie zjawił.

Było tak pięknie! Piskłeta ćwiczyły się we fruwaniu, sosny stały w milczeniu i tylko chwilami, gdy wiatr im przychodził z pomocą, tajemniczo szumiały. Piaszczyste dno zatoki pomiędzy dwiema skałami było jakby stworzone na przystań. A u wejścia do portu, gdzie brzeg wznosił się stromą ścianą jak falochron, rósł gęsty żywopłot trzciny. Kto ją tu zasiał? Co roku kosił ją lód, cesały wiatry. Wyspy okalało potrójne pasmo zeschłej trzciny, z której każdy, komu mogła się przydać na siennik, mógł sobie wziąć pod pachę, ile chciał. Zielony mur z trzciny i tak niewiele na tym ucierpiał. Był on dla niezliczonych drobnych żyjątek, ryb i owadów olbrzymią dziewiczą puszczą smukłych pni. Co roku jakaś rodzina tkaczek zakładała tutaj swoje gniazdo, a stadło szczupaków kręciło się tu w poszukiwaniu żeru.

Chłopcy mieliby tu niezły połów, lecz byłoby to zmaczeniem uroczego zacisza. Jeśli pragnęli prawdziwej zdobyczy, warto było wybrać się gdzieś dalej.

Nastała tymczasem znów jedna z owych chwil, kiedy duch Boży unosi się nad wodami, próbuje spocząć to tu, to tam, wzbija się do góry, by wreszcie w upatrzonym celu znaleźć wytchnienie.

— Czy w symbolicznych gestach nie zawiera się właściwie kłamstwo?

— Co ty mówisz? Co to za chińszczyzna?

— Symboliczne gesty? To znaczy, że jakąś rzecz, przedmiot, a nawet człowieka zastępuje się umówionym określeniem, na przykład słowem.

— Dobra, dobra. Zapinaj portki. Ja tymczasem skoczę po jakieś luczyno.

Risto chwycił za siekiere i znikł między drzwiami. Allan wybuchnął śmiechem.

Risto naturalnie plecie bzdury — stwierdził — chyba że portki uznasz w tym wypadku za symbol. Najpierw powiedz prawdę, a dopiero potem możesz opowiadać bajki.

— O to mi właśnie szło, że prawdy wypowiedzieć się nie da, trzeba jej doświadczyć! Nawet Chrystus nie umiał odpowiedzieć na pytanie, co to jest prawda!

— Ale jego milczenie już było odpowiedzią, i to nawet mądrą. Każdemu człowiekowi wolno wierzyć, że właśnie jego pragnienia są najważniejsze. Jeden przepada za pilz-neńskim piwem, inny za śledziami, a dziewczyny nade wszystko pragną narzeczonego. Prawda jest diablo powikłana.

— No tak, stary, ale jak się rąbniesz w kolano siekiere, czy to nie powikłana sprawa?

— Niech to diabli! Ma się potem sztywną nogę przez całe życie!

— Patrzcie, patrzcie! Toś odkrył dopiero! W ten sposób od razu człekowi się w głowie rozjaśnia.

— No nie! To się tak tylko mówi! Przecież nie ma tu żadnej siekiery!

— A może myślisz, że istnieją jeszcze wątpliwości, jak się machniesz w nogę siekiere? Śmierć? Co to takiego? Pisar-

czyk Pale Rekola też chciał się tego koniecznie dowiedzieć. Złapałem go za gardło i spojrzałem mu w oczy. Pomyślał pewnie, że jestem stuknięty, ale niech sobie myśli, co chce, w każdym razie w ciągu kilku sekund nauczyłem go tyle filozofii, że mu wystarczy na całe życie!

— Jest chyba deklamatorem?

— To nie ma znaczenia! Wbij komuś nóż w brzuch, a zaręczam ci, że zaczniesz brać rzecz poważnie, niezależnie od tego czy jest fakirem, czy ludożercą! Choćby był nawet kameleonem! Jeśli ktoś ma już prawdę między zębami, nie pyta, co to takiego — prawda! Całe to zdanie nie jest zresztą niczym innym, jak wymówką, którą tchórze chcą wykręcić się od obowiązków. To jest właśnie ów punkt oparcia, którego żądał Archimedes, punkt Piłata, na którym opiera się byt świata, dzięki temu co godzinę zło święci triumf, a mesjasze stają pod pręgierzem. Wzdychać w ciężkich chwilach jest cholernie wygodnie. Cóż jest prawdą na tym świecie? I to nawet nie jest pytanie, bo nikt się nie spodziewa odpowiedzi. Nie! To raczej okrzyk triumfu, na powitanie nowej sztuczki. O prawdzie absolutnej nie ma mowy, podobna zasada odnosi się nawet do Biblii! Człowiek ma na co dzień nieczyste sumienie i dlatego przydałby mu się jakiś środek kojący. Ludzie chcieliby dotrzeć do nieba wygodnie, w sypialnym wagonie. A znaczy to wsadzić sobie czop w tyłek, zawiązać oczy i zatkać wata uszy. Wtedy bliźniego mogą obdrzeć ze skóry, a nie zmać to spokoju chrześcijanina.

— Zdaje się, że Eliasza do nas płynie — stwierdził Allan.

Erkki spojrzał na przyjaciela, a potem skierował wzrok na jezioro. Rzeczywiście, czarna łódka sunęła prosto w kierunku wyspy.

— Dorzuc trochę chrustu do ognia, może nas zauważy! — rzekł, przy okazji dolał wody do kociołka i ustawił go na trzech kamieniach nad ogniem.

Zapadł zmierzch. Risto nie wracał. Gdzie się zawieruszył, do Ucha? Drzewa mieli w każdym razie dosyć, nie było potrzeby nigdzie chodzić. Mimo Jto nie rozpalali ognia, i tak było dość ciepło i jasno. Nie ma co rozczepiać włosów na czwo-

ro. Mądrej głowie dość po słowie. Tak samo z jedzeniem, spaniem i w ogóle całym obozowym bytowaniem. Decydowało samo życie, choć już nie takie radosne, jak w pierwszych latach wędrówki, kiedy każda zatoczka była bramą do przygody. Za to kusiły ich teraz dalekie wyprawy do lasu. Leśny wędrowiec stawał w obliczu coraz to nowych sytuacji, zatrzymywał się, dumał, wreszcie ruszał dalej w gąszcz, gdzie szeleści leśny szept. Miej oczy i uszy otwarte! Widzisz, tacy oto jesteśmy, czy to nie dziwne! Musisz przyznać! Ty także jesteś osobliwą istotą...

— W Finlandii symbolem bywa topór i finka, a w Hiszpanii także byk.

— Na arenie Hiszpan niewiele różni się od Fina. Śmierć jest zawsze taka sama. Zrozumiałem to już wtedy, kiedy schwyciłem Paalego za gardło. Właśnie w taki sposób dochodzi w ogóle do wojen i morderstw, to przecież nic innego jak pokazówka, lekcja przeprowadzona metodą pogładową. Uczeni muszą dać tłumowi od czasu do czasu jakąś armatę czy bombę, żeby nikt ich nie posądzał o nieróbstwo i kłamstwo. Prawda i dowód to dwie różne rzeczy. Od jak dawna korzystamy z dobrodziejstw prądu elektrycznego, a do dziś jeszcze nikt nie potrafi wytłumaczyć jego istoty. Praw fizyki nie wyjaśnia się granatami, raczej już ludzkie dogmaty. Nie ma armii, która by strzegła prawdy i sprawiedliwości. Padlina jest nietykalna, ale najgłębiej skryta własność człowieka, jego myśli rani się do krwi.

— Bo też z takich rzeczy nie cieknie krew — odparł Allan.

— Może i tak! Ale gdy robi się z nich dogmaty, krew zaczyna się sączyć, nie z dogmatów, ale z ludzkich ciał, które służą za symbol. Herbów i sztandarów jest już dziś tak dużo, że nawet splunąć nie można spokojnie, chyba że wiatr wieje w przeciwną stronę. Są one optycznym objawieniem rzeczy. Płyną z prądem czasu jak góry lodowe po morzu i nie ta widoczna ich część jest niebezpieczna, ale owe dziewięć dziesiątych ukrytych pod powierzchnią, wypierają one wodę z fiordów i zatok, która potem zalewa pola i miasta. Powódź podobnie jak i wojna nie zdoła usunąć

głównego zła. Jeśli pobije się właściciel koszuli z człowiekiem, który nie ma koszuli, to jedno jest pewne, że przez to nie przybędzie druga koszula. Wprost przeciwnie, nawet tę jedyną, którą mają, rychło podrą w strzępy. Człowiek walczy z wyobrażeniem, stara się uchwycić to, co widzi, zamiast próbować coś stworzyć, by zapełnić lukę. Dlatego uświadamia sobie własną nagość dopiero na widok koszuli i to tylko dlatego, że jego bliźni ma ją na sobie. Największe pragnienie nagich to pobić tego, który ma koszulę na grzbiecie! Zresztą co tu owijać w bawełnę, idzie tu po prostu o chleb.

— Pomyśl tylko o łodzi— przerwał mu Erkki. — Wyobraź sobie, że ludzie budują łodzie czy statki, żeby dotrzeć do innych kontynentów. Ilu odkrywców i ile wynalazków trzeba było do sporządzenia koniecznych narzędzi, nie mówiąc już o pierwszej łodzi z wiosłami. Potem wynaleziono żagle, a wtedy łodzie zaczęły się przewracać. Aż nagle zjawia się geniusz i powiada: „Dosyć! Konieczny jest kil! No i przyczepia kil do łodzi, sam siada przy sterze, macha ręką na pożegnanie i wyrusza w drogę. A razem z nim płynie cała łódź, choć do niego należy tylko wynalezienie kilu. Nie zmieniłem zdania i nadal uważam, że nie wolno oddzielać pomysłu od wynikających z niego faktów. Elias złapał rybę, bo przestał wiosłować, zgoda, ale co innego, gdyby odłożył wiosła przy brzegu, bo na taką odległość spinning nic nie wskóra.

— Elias ma dwa spinningi — rzekł Allan, był zresztą zdania, że Elias w żadnym wypadku nie powinien przestać wiosłować, zanim dopłyną do kępy szuwarów!

A jednak nie doszło do tego, bo Elias zarzucił równocześnie obie wędki. Jedną „na grunt”, wobec czego wszelkie kalkulacje, niezależnie od jego znawstwa, były jedynie przypuszczeniami. Tak to bywa z myślami...

Elias rzucił obok ogniska potężnego szczupaka, ważącego co najmniej osiem funtów, a może nawet więcej.

— Wiosłowanie nie ma już sensu, stary Elias i tak śmie je się od ucha do ucha.

Niebo bezchmurne %—■ mawiał zawsze i z tego powodu przyłgnęło do niego przezwisko: Elias. Jak się naprawdę

nazywał, nie wyjawiał nikomu, zresztą nikt go o to nie pytał. Świat mógł się zawalić, a Eliasz nawet by się nie wystraszył, nieraz Pekka, Paava, czy inny Matti dawno straciłby głowę na jego miejscu, a Eliasz spokojnie zanurza wiosła, przybija do brzegu i niedbale ciska ośmiofuntową rybę obok ogniska. „Broń mnie Panie Boże przed szczupakami! Nie mam zamiaru jeść takiego paskudztwa! — oświadczył kiedyś. — Jadam tylko sandacze, bo mam wrzód na żołądku!” Tak sobie tylko gadał, ale jeśli już traktować człowieka jako zwierzę żyjące w gromadzie, to Eliasza z pewnością wypada zaliczyć do gromady trędowatych. Można było sobie wyobrazić, że jako czerwonogwardzista siedział kiedyś w obozie, ale że ma chore płuca, nikt sobie wyobrazić nie potrafił. Ciągle musiał mieć jakieś zajęcie, wzrok jego nigdy nie błąkał się bez określonego celu.

— Macie pojęcie, która godzina? — zapytał.

— Koło dziesiątej — odpowiedział Allan, choć jego potężny kieszonkowy zegarek wskazywał, jeśli przyjrzeć się dokładnie, trzy minuty po szóstej.

— Sam bym do tego doszedł, ale popatrz no na kalendarz i powiedz, czy mamy dziś piątek czy sobotę?

Problem ten zaiste wart był zastanowienia, bo od poniedziałku Risto miał iść do pracy. Rzucił na ziemię przyniesione polano i wyraził pogląd, że najpewniej jest dziś sobota. Przysługiwał mu tylko tydzień urlopu, a nie całe lato jak studentom czy młodzieży szkolnej. A był prawie o trzy lata młodszy od Alana.

— Na diabła mi to potrzebne! — rzekł Eliasz. — Miejskim babom zachciewa się sandacza akurat w niedzielę! W poniedziałek chcą okonia, a w środę sielawę. A gdzieście zarzucili mój spinning?

— Po tamtej stronie, tam gdzie głębia!

— Węże na przynętę?

— Oczywiście!

— Ach, wielkie nieba! Wy jecie nawet cierniki! Moglibyście postarać się przynajmniej o siatkę. Ja mam to za was zrobić i jeszcze przez was trafić do mamra! Niby prawda, że w takich chudych latach jak teraz nawet pieczeń z za-

jąca smakuje. W czasie wojny domowej jedliśmy również łosie. A to co?

— Patelnia.

— Co za paskudztwo!

— Uderzysz tym raz porządnie w kamień, a rozbije się w drobny mak! Słuchajcie, chłopaki, byliście tu kiedy z jaką babą? Nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć.

— No to po co wam taki namiot?

— To tylko wygląda na namiot, a naprawdę to jest stara plandeka!

— Oczywiście, stara plandeka, zawsze się od tego zaczyna. A potem domek kempingowy, willa, a wreszcie plaskwy, motorówka i baby! Nakichajcie na miasto i nie wleczcie ze sobą takich rzeczy! Jeśli nie możecie się bez tego obejść, to lepiej zostańcie w domu!

Znowu wypili kawę i dla odmiany zjedli po kawałku chleba. Coraz bardziej garnęli się do ogniska. Nie wiadomo, czy pociągał ich ogień, czy potrzeba wzajemnej bliskości, w każdym razie siedzieli jak cztery żarzące się pniaki dookoła płonącej żagwi. Świat wydawał się coraz mroczniejszy i mniejszy, a otaczające ich sosny były coraz jaskrawszą czerwienią.

„Trzeba nauczyć się tańczyć” — myślał Allan. „Psiakrew, przydałaby się tu jakaś dziewczyna do tańca!” — myślał Risto. „Gdyby ktoś zaczął na ten temat, to i ja bym coś powiedział” — myślał Erkki. Dziewczyna, dziewczyna! Eliasz zasiał słowo, które zakiełkowało płomieniem jak pożar. Użył szorstkiego słowa i miał chyba po temu swoje powody, ale w pojęciu chłopców „baba” była tylko synonimem słowa „dziewczyna”, no a dziewczyna to cudowna

rzecz.

— U nas mieszkają dwie kobiety za ścianą — nie mógł się powstrzymać Risto.

Raptem rozwiązały się języki. Erkki umiał mówić o kobietach długo i pięknie.

— Wszystko zależy od mężczyzny — powiedział. — Ni gdy jeszcze nie słyszałem, żeby dziewczyna tak się wyra-

żała jak mężczyźni. Mężczyźni ustanowili prawa wygodne dla siebie. Jeszcze do niedawna kobiety nie miały prawa do głosowania. Moja matka brała udział w manifestacjach. Naród jest zawsze taki, jakim zrobią go mężczyźni i dlatego żadnej kobiety nie wolno nazwać ladacnicą. Nie sądzę, aby jakakolwiek kobieta dobrowolnie zdecydowała się na takie zajęcie.

— Nie byłoby tego, gdyby nie mężczyźni — zgodził się Allan.

— Gadasz jak poeta! —■ rzekł Eliasz. — Ja też tak myślę, ale jestem sporo starszy od ciebie. „Niech mnie wszyscy diabli! — powiedziałem kiedyś do dziewczyny — dzieje się wam krzywda!” Aż zadrżała ze szczęścia. Zaraz wygładziła swoją kołdrę i powiedziała, że pizamę oddała do prania. Wierszyki dobre dla obieżyświata, przyzwoici ludzie płacą sandaczami!

— Myślisz, że na sandacze lepiej biorą niż na szczupaki?

—■ Barania głowo! Nigdy nie widziałeś sandaczy? Mają takie rzewne spojrzenie!

W ten sposób problem zahaczył o ryby i groził utknięciem. Nie było rady. Risto zanucił:

*Daj spokój bliznom
Nie rozdzieraj znów ran
Nie ludź się wspomnieniami...*

— Dziecko, co ty wiesz o zabliznionych ranach! — przerwał mu Eliasz. Wstał i rozpiął spodnie. Dół brzucha i wewnętrzna strona lewego uda wyglądały jakby łoś przebił je na wylot.

— A tu mam jeszcze jedną taką bliznę — dodał i zapiął spodnie. Z irytującą powolnością zapalił papierosa, zanim zareagował na zdumione miny chłopaków. — Nadziałem się na żerdź ze stogu siana. Gruba na trzy cale z gwoździami zamiast poprzeczek, do dziś używają takich w Koke-maki. Stałem na wozie, szkapa szarpnęła i przewróciłem się prosto na żerdź. Z początku nawet zachciało mi się śmiać, ale nagle oprzytomniałem, obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem zakrwawioną żerdź. „Tym razem chyba już koniec ze mną” — powiedziałem do kumpla, ale ten nie

mógł mnie zrozumieć, kręcił się tam i z powrotem i kłął jak diabli, aż mu wreszcie wyjaśniłem, że wolałbym umrzeć na ziemi. Próbował wyciągnąć żerdź z ziemi, chciał ją najpierw trochę obłuzować, czułem jak włazi mi w ciało coraz głębiej, aż straciłem rozeznanie do reszty. Już po mnie.

— Człowieku, umar... — chciał już zapytać Risto, ale nikomu nie było do śmiechu: opowiadanie nie przekroczyło jeszcze granic ich wyobraźni.

— Wreszcie wyciągnął mi to z brzucha i zawiózł mnie na wozie z sianem do stajni. Coś tam do mnie wołał, ale nie zważałem na to i poszedłem, przytrzymując sobie kiszki oburącz. Miałem z kilometr drogi do gospodarstwa, gdzie byłem wtedy parobkiem. Eetu, mój kumpel, też tam służył. Na ganku stał czteroletni chłopaczek, który właśnie zrobił w majtki. Pytałem go, gdzie jest matka, ale nic nie odpowiedział. Podeszedłem wtedy do niego, żeby mu pomóc w tym majtkowym problemie, chociaż sam też miałem co innego do przytrzymywania. Ale wtedy zaczął wrzeszczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał. Zrobiło mi się słabo, więc ostatkiem sił wgramoliłem się na ławkę, byłem bliski omdlenia, wreszcie przyszła żona gospodarza i zaczęła na mnie wymyślać: „Co ci przyszło do głowy! W jasny dzień dzieci straszyć!” Ale, zdaje się, sama się trochę przestraszyła.

— Wyobrażam sobie — rzekł Erkki.

—■ Potem sprowadzili gospodarza i jak jeden mąż zaczęli się nade mną użalać. Bo też i taka rana to nie było co. „Może zawołać Eetu, żeby cię zawiózł do miasta?” — zapytał gospodarz. „Dużo zostało jeszcze siana do zwiezienia? Zresztą!” — zreflektował się potem, bo jednak to był swój chłop.

—■ Swój chłop! Naprawdę tak myślicie? — warknął Erkki.

— Zupełnie w porządku, choć miał zwyczaj głośno myśleć. Diabłów w ludzkiej skórze widocznie nigdy jeszcze nie widziałeś. Nocą dojechaliśmy do Pori, właściwie tośmy się dowlekli. Było tego chyba z sześćdziesiąt kilometrów.

W centralnej Europie była wtedy wojna, więc trafiłem do

szpitala wojskowego, innych zresztą wówczas nie było. Przez trzy dni poili mnie wodą i wódką, a potem wynieśli do trupiarni. Później się o tym dowiedziałem, bo sam nic takiego nie zauważyłem. Owszem, było tam ciemno i cicho. Chłód był właściwie całkiem przyjemny.

— Był pan przez cały czas przytomny?

— Przez cały czas nie, ale jak obok mnie kogoś krajali, byłem przytomny. Wprawdzie mówili po rosyjsku, ale widziałem, co tam robią, bo jeden świecił latarką, a drugi gmerał we wnętrznościach. W końcu zabrali się do mnie.

— No i co?

— Próbowałem jęknąć, ale chyba w gardle mi zaschło, bo było jak zamurowane, nie mogłem głosu wydobyć, nawet westchnienie nie wyszło z moich warg. Tamci od razu zauważyli, co się święci. Poświecili latarką i zaraz zabrali się do dzieła, widzieli, że łypię oczami. Jeden z nich uczył się na doktora i chciał być sławny. A był gorliwy jak dziki osioł. Pozwolili mu przenieść mnie na stół operacyjny, żeby zobaczyć na własne oczy jak jeden oddaje ducha, a drugi zdobywa sławę. I zdobył. I stał się sławny. Po czternastu miesiącach demonstrowałem tym panom, jak trup je i rusza się, a dwa miesiące później fakir ten dostał awans. Chłopaki, mówię wam, to był chyba sam Pan Jezus!

Przez dłuższy czas nikt ze słuchaczy nawet się nie poruszył. Wreszcie Erkki dorzucił dREW do ogniska i rzekł:

— Moja matka, jak była mała, raz o mało się nie utopiła. Z początku wydawało się jej, że płuca jej pękają, ale potem zrobiło się jej lekko i przyjemnie, leżała na dnie jeziora i wpatrywała się w przetaczające się nad nią fale.

— Ja też znam kogoś, kto się topił. Czuł, jak linka ratownicza musnęła go, ale nie mógł nawet palcem poruszyć. Dopiero za trzecim razem hak się o niego zaczepił i w ten sposób niedoszły topielec dostał się na suchy ląd. Przez godzinę stosowali mu sztuczne oddychanie, wreszcie lekarz orzekł, że nie żyje i nie ma co się nad nim dłużej trudzić. A mówię wam, chłopaki, że przez cały czas słyszał, co się dokoła dzieje! Na szczęście miał brata, który nie ufał lekarzowi. Zresztą nie wierzył ani w Boga, ani w diabła,

zaciągnął zwłoki do sauny, położył na deskach i zabrał¹ się do nich jak opętany.

— I wtedy topielec oprzytomniał! — zakończył Allan.

— Tak — potwierdził Elias. — Nim się kogoś uzna za nieboszczyka, trzeba się dobrze namyślić. Należy zrobić wszystko, co się tylko da, potrząsać nim, szarpać, bić, w końcu zacznie się ruszać, choćby to był nie wiem jak uparty nieboszczyk.

— Czasem wydaje mi się, że... — zaczął Erkki, ale z jakiegoś powodu znowu wziął się do podsycania ogniska.

— Co ci się wydaje? — zapytał Allan.

— Zdarzyło się to ostatniej jesieni, kiedy Risto jeszcze u nas mieszkał. Zresztą, nie ma co gadać.

— Co ty sobie kpiny urządzasz? — spytał Elias.

— Właśnie! Pamiętacie, chłopaki, któreś niedzieli rano gwizdaliście na mnie pod oknem, a matka wam powiedziała, że nie wyjdę? Owszem, mogłem. Niczego wtedy tak nie pragnąłem, jak żeby mnie ktoś jakimś cudem znów postawił na nogi. Leżałem na łóżku jak przygwożdżony. Duchem byłem już z wami, słyszałem dokładnie, co robicie, ale ciało nie słuchało mnie, nie chciało się ruszyć z miejsca.

— Wyraźny wypadek depresji. Rozdwojenie osobowości! Będę miał pierwszorzędnego kumpla w gumowej celi!

— Gumowa cela? Dom wariatów? Człowieku, czyś ty oszalał? Skroić tyłek rzemieniem i po krzyku, to najlepsze lekarstwo na maminsynków! — zapewnił Elias.

— Przez całą noc trzymał pan kiszki w rękach? — zapytał Risto, który wciąż jeszcze nie mógł się uspokoić.

Elias zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

— ■ Święty Mikołaju! Czyś jeszcze nie skapował, że parobek ma dwie koszule, jedną na brzuch, drugą na plecy, no i gacie, onuce, kamizelkę i kurtkę! Przewiązali to wszystko podwójnie, na furę z kartoflami i jazda! Lekarz powy-walał zbyteczne kiszki i resztki płuc, tak że człowiekowi zostało tylko gardło i dziura w tyłku. Potem zaszyli mu brzuch i dali mu taki kaftan bezpieczeństwa, który trzeba nosić do końca życia. Do tego jeszcze zapowiedzieli, że przez pięć lat ma w ogóle nic nie r8bić, a i przez następne pięć ma się nie

przemęczać. Na koniec pokleпали czełka po ramieniu, w łapę wcisnęli mu jakiś przepis po łacinie na dietę i wyrazili mnóstwo życzeń szczęśliwej podróży. Górą nasi! Mówię wam! Na Boże Narodzenie byłem już w mamrze w Pori, następnego roku w Czerwonej Gwardii, a na następne Boże Narodzenie... nie, dwa lata później... znów wylądowałem w Tammissaari za kratkami.

— Ale teraz nie macie na sobie tego „kaftana bezpieczeństwa?”
— zainteresował się Allan.

— Zeszłego roku wyrzuciłem go w śnieg w Vitikko, bo mnie ocierał do krwi, jak pchałem taczkę.

— A co było w tej taczce? — zapytał Risto.

— Ziemia, zmarznięta ziemia, bryły rodzinnej ziemi na trzydziestopniowym mrozie. Musieliśmy naprawić drogę, żeby szanownym turystom było wygodnie jeździć!

— To chyba zajęcie dla bezrobotnych? — zapytał Erkki.

— Żeby to jeszcze! Mówię wam, chłopaki, dają po sześć marek i dwadzieścia pięć *pc.a.a* na łebka albo funtowego sandacza za każdą wyrąbaną bryłę ziemi.

— No, aż tak głęboko ziemia nie zamarza, a w zeszłym roku też śniegu nie brakowało — przypomniał Allan.

— Masz rację, chłopcze! Ten odcinek, na którym myśmy pracowali, zamarznięty był tylko na dwa metry. Wgryźliśmy się w głąb na jeden metr i osiemdziesiąt pięć centymetrów, dostaliśmy sześć marek i dwadzieścia pięć pennia za metr sześcienny.

— Za metr! — powtórzył Allan.

— A co, może za kilometr? Musieliśmy to jeszcze wywieźć na taczkach najpierw na odległość dwudziestu, a później czterdziestu metrów. Do mojej grupy należeli jeszcze dwaj malarze i jeden tak zwany pracownik umysłowy. Pewnie nigdy w życiu nie widział taczki, no i wtedy też się chyba nie napatrzył, bo ciągle zdejmował okulary i czyścił. Obaj malarze podśmiewali się z niego od czasu do czasu: „Człowieku, wyślij swoją duszę na gałąź, niech tam sobie siedzi i się przygląda, jak się krząta twoje ciało”. Później awansował na pisarza, ale malarze i wtedy nie dawali mu spokoju: „Zostań ciałem z nami, a zarobisz dwa razy tyle!” Dobrze,

że dostał taką funkcję, bo drodze było całkiem obojętne, czy ktoś nad nią filozofuje czy nie.

— Mój ojciec też pracował jakiś czas przy budowie dróg!

— Jak się nazywa?

— Cieśla Nieminen, Iisakki!

— Z Pispali?

— Owszem.

— No, to dostaniesz za swoje, jeśli naprawdę jesteś synem Iisakkiego! Twój ojciec przyszedł na miejsce owego pracownika umysłowego. Zaraz pierwszego dnia powiedział do majstra: „Czy nie rozumiesz idioto, że ta rampa się siałe, jak tylko nadejdzie wiosna?”

— Co się siałe?

— No, rampa!

— Jaka rampa? — Allan i Risto nie rozumieli.

— Jak rampa, to rampa! Co za dziwaki! Nie wiecie, co to jest rampa? Takie miejsce, gdzie się wypróżnia taczki i w ogóle wyładowuje wszystko z wozów i ciężarówek itd. Stał tam taki jeden i pokazywał, gdzie opróżniać taczki. Ale Iisakki zaraz go odpowiednio pouczył i od tej pory robiliśmy o połowę drogi mniej, bo wysypywaliśmy w miejsce, które uchodziło właściwie za gotowe. Wtedy znów przyszedł majster i nawymyślał nam, że jak raz powiedział, gdzie należy sypać, to chyba wie, jaka powinna być wysokość rampy. I wtedy właśnie twój ojciec mu powiedział: „Idioto, nie rozumiesz, że jak tylko nadejdzie wiosna, rampa się siałe!” Pozdrów serdecznie ojca ode mnie i powiedz mu, że tamci do dziś jeszcze nie skończyli zasypywać tego dołu. Psiakrew, chłopaki, pamiętajcie, że jak zacznie tajać, rampa się siałe.

Po chwili Elias stwierdził mimochodem, że Iisakki posiada w Pispali wcale niezgorszy dom, Erkki nie mógł temu zaprzeczyć, ale potwierdzając też by się minął z prawdą, chyba żeby się wdał w długie wyjaśnienia. Erkki wolał więc nic nie mówić. Jego sprawy nie obchodziły nikogo. Ojciec miał swoje kłopoty, a syn wyspę w lecie i szkołę w zimie. Erkki także już pracował, ale dotychczas raczej dla przyjemności, teraz sumienie jego domagało się zadbać-

uczynienia. Dlaczego nie zameldował się jako bezrobotny? Czyżby uważał, że szkoda czasu na takie głodowe zarobki? A może powinien był raczej ze wszystkich sił pomagać ojcu, zamiast sprawiać mu wciąż nowe kłopoty? Pozostali członkowie rodziny zarabiali na siebie już w o wiele młodszym wieku. Nie była to kwestia przypadku, ale sprawa powołania, sprawa honoru! Czy miało sens uczęszczanie do szkoły w czasach, kiedy było to sprzeczne z zasadniczym celem — dobrobytem rodziny! Decydowało tu nawet najmniejsze ogniwo. Poza tym szkoła, im dłużej do niej chodził, wydawała mu się coraz mniej ważna.

— Zwieziona ziemia zawsze kryje w sobie niespodzianki — powiedział Allan — trzeba brać to pod uwagę, jeśli ma w tym miejscu stanąć dom. Żeby się kiedy nie zawalił! A jednak wydaje mi się, że to obojętne, co i jak tu robimy. Lasy, miasta, pola i gościńce — wszystko pewnego dnia będzie starte z powierzchni ziemi jak kolorowy rysunek z tablicy, gdy nadejdzie Zimna Pani!

— Masz na myśli epokę lodową? — zapytał Erkki.

— Tak ją w każdym razie nazywają. Powraca stale co dwadzieścia cztery tysiące lat, tak jak doba ma dwadzieścia cztery godziny. Mówcie, co chcecie, ale liczby te zgadzają się.

— Co ty mówisz? Dwadzieścia cztery tysiące lat? Czyżbyś był Matuzalemem? — dziwił się Eliasz.

— Nie zapominaj o zmierzchu. To się nie kończy nagle i nagle nie zaczyna!

— ■ Chłopaki! Dołóżcie trochę do ognia, bo ta historia może długo potrwać!

— Ależ skąd — wtrącił Allan. — Pamiętam ostatnią taką katastrofę! Temperatura spadała bez końca, musieliśmy uciekać aż do Indii i Arabii, aż wreszcie lodowiec się zatrzymał i zaczął powoli tajać.

— Musiał tam być straszliwy tłok.

— Jak w arce Noego. Cała fauna Eurazji musiała zmieścić się na tych kilku półwyspach. Niektóre zwierzęta potem, jak mi się zdaje, pouciekały jeszcze dalej do Afryki.

- A później znów się ludzie rozeszli! Chińczycy do Chin, a Finowie do Finlandii.

—■ To raczej Chińczycy do dawnej Finlandii, a Finowie do dawnych Chin. No, bo jeśli już mowa o historii, to nasz kraj jest prawie taki wielki jak cała planeta.

— Człowieku, powiedz mi tylko, nie jesteś przypadkiem^ pisarzem? — zapytał Eliasz nieufnie.

— O co chodzi?

— Bo znam takiego jednego. Rozprawia ciągle o takich sprawach, o których człowiek nie ma nawet pojęcia. Podobno to się nazywa obiektywizmem.

Allan roześmiał się.

— Nie, pisać nie piszę, lubię tylko tak sobie pleść.

— Kto tak mówi, potrafi sobie i z piórem poradzić! Tylko że pióro nie tworzy nowego języka.

— Psiakrew, chłopaki, mówię wam, takie zdanie warte ze trzy gwiazdki! — zachwycił się Allan.

Eliasz podniósł się.

— Teraz spać, chłopaki! — rzekł popatrzawszy na wodę.

Blask ognia był jeszcze na tyle silny, że stojąc przy ognisku z trudem można było rozpoznać, co się dzieje za tą czerwoną łuną. Chłopcy dobrze wiedzieli, że Eliasz nałoży futrzaną czapę, otuli się czarnym kozuchem baranim i wyciągnie się na dnie czółna. W razie deszczu wyciągnąłby swój lekki jak piórko domek na brzeg, przewrócił do góry dnem i skrył się pod nim. Chłopcom dotychczas nie zdarzyło się na tym pustkowiu spotkać niedźwiedzia, co bynajmniej nie przeszkadzało im w dostrzeganiu podobieństwa między Eliaszem a niedźwiedziem. Kiedyś zginęło mu czółno, od tamtej pory nie lubił się oddalać zbytnio od łodzi,

— Eliasz powinien się narodzić przynajmniej sto lat temu — rzekł Allan. Ten nigdy nie nabierze zamiłowania do jazzu!

Było to ich ostatnie spotkanie z Eliaszem. W dwa i pół roku później pisały gazety, że w szopie na sianie znaleziono zwłoki włóczęgi: lat około pięćdziesięciu, średniego wzrostu z okropnymi blfenami na całym ciele. Mógł to być właśnie Eliasz. Chłopcy chcieli pójść obejrzeć zwłoki, chce-

li... nie potrafili się na to zdobyć. Woleli widocznie zachować choć cień nadziei, że Eliasz jest nieśmiertelny.

Risto już zasnął, zwinął się w kłębek i przysunął do smutnych resztek ogniska, oddychając co chwila rozpylał chmurę popiołu. Nagle zerwał się na równe nogi, jak gdyby ukłuł go jakiś owad. „Uff!” — westchnął i zaczął wdrapywać się po zboczu. Allan ruszył w ślad za nim.

Erkki nie mógł zasnąć. Jego głowa była jak ogromna scena bez kurtyny, niezliczone mnóstwo obrazów równocześnie walczyło o pierwszeństwo. Jak armia mrówek zasypywały przecucie, które niespokojnie wiło się jak robak — zresztą absurdalne chyba przecucie — że powinien dokonać jakiegoś czynu.

Kariera, zawód, obowiązki, ale po przeciwnej stronie również obowiązki. Człowiek w świecie, świat w człowieku. Kto, nie wiadomo gdzie. Dokonać czegoś, zrobić coś, stworzyć na obraz i podobieństwo swoje — ludzi na świecie, czy światy w ludziach? Kto chce tworzyć, niech tworzy światy, tylko tworzenie światów jest twórczym aktem.

Dlaczego? Po co i w jakim celu? Dla chleba? Dla chwały? Nie! Z powodu tych mrówek i obrazów nie mających początku ani końca. Łatwy wybór i arcyłatwy cel życiowy!

Erkki wstał, zrzucił do wody kilka dogasających szczap, wszedł do łódki i powiosłował w kierunku szumiącego z oddali fiordu. Jeszcze lepiej byłoby popłynąć.

Spoza łodyg trzciny jakiś diablik szeptał mu do ucha: „Zarzuć przynajmniej spinning, będziesz miał większą ochotę do wiosłowania!” Erkki zrzucił linę, przywiązał koniec do krótkiej tyczki i rzeczywiście przez chwilę marzył, że jakiś szczupakowaty stwór da się złapać na przynętę. Myślał, że uwolni się od wewnętrznego niepokoju. Lecz żadna ryba nie przejawiała apetytu.

Erkki wiosłował, a milionowa armia kropli huczała pod dnem łódki. Były to podstępne, budzące lęk tony, wciągające w swoje sidła, usypiające jak syrenie kołysanki. Woda i woda — pomyślał — dokoła wodny krajobraz, nigdzie ani skrawka lądu. Rozglądał się, jakby patrzył na malowidło. Co za harmonia, jakże zwarta kompozycja, jakże zrów-

noważona! Światło i cień, ruch, wyraźne kontury i ani żywej duszy. Jak Bóg, jak maszyna do szycia. Czy to ma być skończone dzieło sztuki? Nie! To trucizna, na etykietce miała napis: L'art pour l'art, brak tylko trupiej główki i skrzyżowanych piszczeli. Gdzie wszystko jest jednakowe — pomyślał — tam nie ma niczego.

Nagle zmienił się obraz, "Erkki ujrzał bezbrzezną pustynię, a na niej długie, otwarte mogiły — koryta rzek, które kiedyś zasypał piasek. Ujrzał człowieka — nie: on sam był tym człowiekiem, który przez żarzący się popiół czołgał się w kierunku czerwono rozbłyskującego płomienia. Jak tulipan! Co za kwiat, co za napój. Twoje zdrowie, Kostucho!

Erkki wyciągnął rękę przez burzę i dotknął powierzchni wody, była ciepła, a przynajmniej taka się wydawała w dotyku, bo powietrze było chłodniejsze. A przede wszystkim: woda w jeziorze była mokra, samo to już gasiło pragnienie. Woda to wodór i tlen. Z pamięci wyłonił się osobliwy obraz, który widział chyba kiedyś w jakiejś książce: wypełniony wodorem balon, który dymiąc wpada w morze i gaśnie. Tak, woda to coś bardzo dziwnego!

Nagle drgnął, groźba przemykająca obok jak cień skłoniła go do błyskawicznej zmiany kierunku: ogromny, czarny głaz przesunął się obok bezgłośnie nie dotykając łódki, a wzrok Erkkiego spotkał się ze spojrzeniem białego ptaka siedzącego na wierzchołku skały. On patrzył z łódki, a mewa z wysepki. Odległość rosła, spojrzenia wchłonęła niewyraźna ciemność.

Po dłuższej chwili Erkki znów chwycił za wiosła. Wtem wędka zgięła się, a potem znów się rozprostowała. Erkki szarpnął za linkę. Nie stawiała oporu. Poluzował ją i nawinał na kołowrotek. Haczyk zaczepił chyba o dno.

Czy odpłynął daleko od obozowiska? Skierował łódkę w mrok, gdzie spodziewał się dotrzeć do znajomego przylądka. Powrotna droga była teraz niemal karą. Ktoś mądrzejszy byłby się zadowolili wiosłowaniem, aż by mu wiosłowanie obrzydło. Ale podobna mądrość wyglądała na szaleństwo. Ktoś jeszcze mądrzejszy zostałby przy ognisku i rozmyślałby... Nie, najmądrzejszy położyłby się po prostu

spać i nie myślał wcale. A gdyby ten najmądrzejszy nie mógł zasnąć? Wtedy siedziałby sobie po prostu, leżał czy stał, w każdym razie by nie rozmyślał. Człowiekowi pozbawionemu mózgu obłąd nie zagraża.

Głupia sprawa, dlaczego nie zawrócił w połowie drogi! Tak, to był dziwaczny pomysł. Erkki pamiętał słowa ojca na temat „najdumniejszych osiągnąć ludzkiego ducha”, zwłaszcza te na temat gwiazd. Allan twierdził, że ludzie znają gwiazdy już o wiele lepiej niż tę parszywą ziemię. „No to powiedz, ile ich jest?” zapytał wtedy Erkki. „Nie można ich zliczyć!” „Wymień przynajmniej połowę lub choćby jedną czwartą!” —■ zawołał wtedy Erkki, a potem jeszcze dodał: „O ziemi można przynajmniej coś powiedzieć w liczbach. Chociaż liczba to wynalazek gwiazdnych godzin”.

Noc dogorywała. Dziwnie wyglądał ten przyładek! Bo i nie był to wcale przyładek, ale wyspa, czarna i niema. A więc dalej, naprzód! Ale w którą stronę? Erkki powio-słował w kierunku płaskiego brzegu.

Niebo rozjaśniało się, ale z bagnistej niziny zza olch nad brzegiem podniosła się mgła. Erkki byłby znacznie spokojniejszy, gdyby w ogóle niczego nie widział, gdyby nie miał oczu. Zanurzając palec w wodzie nawet ślepy może dokładnie stwierdzić, że coś porusza się w jakimś kierunku, łódź, woda albo jedno i drugie. Erkki wiedział, że mgła przesuwa się w kierunku fiordu. Gdy był jeszcze małym brzdącem, nieraz stawał w łóżeczku i z góry przyglądał się igraniu mgły nad jeziorem. Matka spała jeszcze, tylko Kirri wskakiwała do niego na łóżeczko i ocierała się o jego nóżki.

Utkwił wzrok w mgle, jego zmysły i umysł nie dowierzały sobie wzajemnie, poczuł się całkowicie bezbronny. Mgła miejscami przerzedzała się, to znów gęstniała, a może to on posuwał się naprzód?

Aż nagle... Lecz nie, mgła wcale się nie podniosła, Erkki trafił do czegoś w rodzaju komory, znalazł się w położeniu, w którym człowiek jego pokroju nie może oprzeć się myśli, że strach narodził się w zamkniętym pomieszczeniu. Wrażenie to gnało go do ucieczki — skryć się choćby w najgłęb-

szej mgle jak w bezpiecznym schronisku! Erkki nie śpieszył się, im straszniejszy był widok dookoła, tym bardziej rozkoszował się własną odwagą. Otwierały się przepastne czeluście, to znów zamykały, tu i ówdzie snuły się jakieś filary, sterczały dumnie lub kładły się pokotem. Wysoko w górze rozbłysła czerwień na chwilę, a potem znów gęsta mgła otuliła wszystko dokoła. Wreszcie tuman mgły znów przeciął czerwony blask, a ponad nim ukazał się błękit. Erkkemu wydawało się, że płynie na dnie studni, a ponad nim płynie błękit. Wreszcie ściana mgły zaczęła się podnosić, podnosiła się jak topór gilotyny, który za chwilę runie na łódkę. A potem hura! Zielen! Widać zielen, las ponad mgłą.

Dziób zawadził o skały, które wyglądały jak łeb wieloryba. Erkki przeskoczył przez burtę i przeciągnął łódkę pomiędzy kamieniami. Poczerniały brzeg jak lodowiec, jakby od prawieków zapomniane, skryte w wiecznej mgle cmentarzysko. Tutaj, tutaj jest to miejsce — szeptała Erkkemu wyobraźnia. To tutaj! Co i gdzie? Wszystko i wszędzie! Nagle Erkki odczuł potrzebę ruchu, iść gdzieś na przelaj, przedzierać się przez niebezpieczny skalisty żleb, gdzie kipiel huczy wśród ciężkich głazów, które wymykają mu się spod stóp, i gdzie groźne rekiny szczerzą zębiska. Musi pokroić to, co w nim drży przed tą odwieczną potęgą. Tymczasem musiał czołgać się na czworakach, zsunąć się z pionowej skalnej płyty na nagie płaskowzgórze.

Wzeszło słońce. Wyspa, na której był obóz, wydawała się już całkiem blisko, nieco bardziej na południe. Na południowym zachodzie zamajaczył w dali wierzchołek sosny i skośnie ścięty cień jakiegoś górskiego szczytu. Zalśniły pnie drzew, zapłonęły skały, zamigotało jezioro.

Erkki wrócił do łódki. Teraz wyraźnie było widać obozowisko. Przez szczelinę pomiędzy trzcina a cyplem skały mógł dostrzec, że Eliasza już nie ma, prawdopodobnie odpłynął z całym swym sprzętem.

Za to Risto i Allan — a właściwie Smoła i Siarka — leżeli jeszcze otuleni kocem i płachtą. Zapytam ich: „Spicie jeszcze?” Risto odpowie pytaniem: „A która to godzina?”

Allan zaś mruknął: „Idź do diabła!” Toteż Erkki wołał o nic nie pytać, usiadł na brzegu i gapił się w przestrzeń, wreszcie położył się na skale i znalazł pomiędzy krzakami jałowca odpowiednie miejsce do spania. Przykrył twarz czapką, choć niewiele to pomogło. Powietrze ogrzewało się bardzo powoli, a może nawet robiło się zimniej.

Słońce świeciło przepięknie. Gdyby stało wyżej, oczy nie zniosłyby jego blasku. „Czy piękno i dobro to jedno i to samo? A może z moim rozumem jest coś nie w porządku? W każdym razie to nie kwestia gustu!” — pomyślał jeszcze przed snem. Nie był to zresztą prawdziwy sen, bo przez cały czas Erkki był świadom tego, że śni.

Tym bardziej przykre było przebudzenie. Światło kłuło w oczy.

— Wydaje mi się, że jestem w saunie — powiedział — ale w ubraniu.

— No to się rozbierz! — doradził mu Risto.

— Nie, te łachy są wewnątrz mnie — oświadczył Erkki, a wtedy Risto opowiedział o pewnej pani Jarvinen i cesarskim cięciu, w wyniku którego urodziła później nożyczki i ręcznik.

Spining był już złożony. Zaparzyli pożegnalną kawę, potem wypalili ostatniego papierosa: każdy po trzy dymki, a w końcu jeszcze po pół, żeby i z niedopałka był jakiś pożytek. Gdyby Risto nie wpadł na pomysł, żeby włożyć do łufki trochę mchu, wydobyłby może jeszcze kilka iskerek. Koniec tytoniowych zapasów wystarczająco upamiętnił chwilę pożegnania.

— Gdyby Viska był na naszej wyprawie, to mielibyśmy teraz przerwę na papierosa — rzekł Allan, zasiadając przy sterze.

Risto odłożył wiosła. Wyciągnął z koszyka pudełko:

— Jeden, dwa, trzy! Wyobraźcie sobie: dokładnie tyle, ilu nas jest!

Nie wywołał jednak oczekiwanego wrażenia.

Pół godziny później znalazł jeszcze jedno pudełko z papierosami. Ale gdy przy dobijaniu do lądu wyciągnął całe, nie otwarte jeszcze pudełko, Allan powiedział:

— Nie, dziękuję, nie mam ochoty.

Erkki również powiedział:

— Dziękuję, nie mam chęci.

Risto poczuł się speszony. Nagle zrozumiał, dlaczego Allan i Erkki nigdy nie ukrywali swoich zapasów. Jego niespodzianka była właściwie oszustwem. Już dawno powinien zrozumieć, że Viska ma w sobie coś gburowatego, czego naśladować nie warto, lecz Risto dotychczas nigdy nie rozmyślał nad samym sobą.

— Coś zrobił najlepszego! Idioto! — krzyknął Allan i ze pchnął łódkę na wodę. Pudełko z papierosami nie odpłynęło daleko. Risto rzucił je jak płaski kamyk, aż się odbiło od wody. W każdym razie Allan po raz pierwszy nazwał go idiotą, a nie jołopem, a oznaczało to dość znaczny awans.

W pudełku ocalało jeszcze kilka całkiem suchych papierosów. Allan zapalił jednego zaraz w łódce i podsunął pudełko kolegom, a potem schował je bez ceremonii do kieszeni. Wiedział przecież, jak się należy zachować.

Ten majster, co kończy, a nie ten, co zaczyna. Ale nie. Mimo wszystko nastąpiło jakieś rozstrzygnięcie i żaden wymuszony dowód koleżeństwa nie potrafi już tego zatrzeć, że chłopcy stopniowo zaczęli się przed sobą nawzajem zamykać. To, co dawniej wydawało się trudne, wyglądało teraz na śmieszłą błahostkę, co zmąciło radość z własnego triumfu. Raz na zawsze minęły czasy, kiedy to przejażdżka łódką i poezja były jednym i tym samym, a zdobycie pudełka papierosów stanowiło bohaterski czyn. Przed oczyma przyjaciół zaczynał wyłaniać się mglisty obraz — kobieta. W Erk-kim zbudziła się świadomość, że musi zabrać się do czegoś realnego, namacalnego. Allan miał dokładnie określony cel — na jesieni idzie do wojska, co było dla niego równie oczywiste jak fakt, że ma pod stopami pispalską ziemię.

Risto wyprzedzał kolegów stale o kilka metrów. Czasem przystawał i popędzał ich. Nie mógł przewidzieć, że czarodziejskie marzenie, które gnało go naprzód, oznaczało powolne staczanie się na dno hałaśliwego, wielkiego miasta.

Chłopcy przyzwyczaili się do dzielenia połowów w ogrodzie Nieminenów. Poszli tam również i tym razem, lecz hu-

mory przy podziale wyraźnie dziś nie dopisywały. Nigdy dotąd nie przyszło im do głowy, żeby o podziale całego wiadra z rybami miało rozstrzygać losowanie. Nie mieli chęci do niczego, to i połów nie przedstawiał zbyt wielkiej wartości. Ani wkład pracy, ani jej wyniki, ślepy los miał zdecydować o rezultacie poniesionych trudów. Szybko i bez brudzenia rąk.

— Aha! Bez brudzenia rąk! — powtórzyła Józefina. — Zabierzcie mi stąd to wiadro albo zabierzcie, na ile macie ochotę, resztę zaniosę do piwnicy!

— To, co się nadaje na zupełę, mogę wziąć, ale taszczyć do domu solonych rybek nie chce mi się — rzekł Risto.

Najgorsze, że w obecności Józefiny nie śmieli zapalić. Tym szybciej uporali się z podziałem. Gdy Allan i Risto poszli, Józefina powiedziała do Erkkiego:

— Paavali i Joosua byli tu wczoraj, chcieli się wybrać na jezioro.

— No to niechby się wybrali!

— Mieli może płynąć wplaw? Przecież zabrałeś łódkę!

— Do tej pory nigdy nie korzystali z łódki Viski.

— Łódka Viski! Znaczy, że byliście znowu na tamtym jeziorze!

A gdzie podziałeś klucz?

— Klucz? Jest u Viski, odniosłem go tam, skąd go wziąłem.

— Zachowaj dla siebie swoje mądrości! Pytam o klucz Paavalego. Jeszcze nie rozumiesz?

— Aha! Mam go w kieszeni.

A więc nie zgubił klucza, niewielka pociecha.

Później Józefina powiedziała jeszcze:

— Mógłbyś chociaż powiedzieć, dokąd się wybierasz, że by chociaż było wiadomo, gdzie ma was nurek szukać!

* * *

We wrześniu Nieminenowie wyprawili pogrzeb Eliny, odizolowanej od świata obłąkanej. Wielebny proboszcz mógł

był sobie darować bogobojną przemowę, jako że w nielicznym gronie słuchaczy i tak panowała zgoda co do rzeczywistego znaczenia tego zgonu.

— Już po wszystkim, moje dziecko! Dzięki niech będą Panu — szlochała Józefina.

„Czy będzie zbawiona? Czy aby będzie zbawiona?” — powtarzał w duchu Iisakki.

Duchowny zapragnął oddać sprawiedliwość wyrażając swoje uznanie dla tak chrześcijańskiej opieki społecznej, którą od czasu uzyskania niepodległości kraju zdołano zorganizować i która się z roku na rok rozwija, a z której to opieki korzystała również nieboszczka. Ze słów proboszcza wynikało niezbicie, że to, co uczyniono dla Eliny, uczyniono dla Jezusa.

Józefina nawet już nie próbowała wycierać chustką niczego innego prócz nosa, ale Paavali kłął w duchu.

— Tak, tak — zgodziła się Józefina, dla której teraz wszystko było równie piękne jak jej łzy. „Dziwne, dlaczego widzę przed sobą tęczę, kiedy płacę?” — pomyślała, ale wnet powróciła do rozmyślań o Elinie i Jezusie Chrystusie.

Pastor, niestety, nie bardzo wiedział, co mówi. Obląkana, niezamężna córka cieśli. Najprawdopodobniej szło tu o, jak wynikało z samej statystyki, jakąś nieszczęśliwą miłość.

—• Kiedy ona zmarła... To znaczy, kiedy ona zachorowała? Ach tak, tak...

Pastor nie domagał się już dalszych wyjaśnień, nie był widocznie człowiekiem wścibskim. A jednak słowa jego trafiły w sedno. Wprawdzie miały one tyle znaczeń, ilu słuchaczy, ale czy z kodeksem i ewangelią nie jest tak samo? Zdaniem Iisakkiego pastor przemawiał cholernie dobrze właśnie dlatego, że sam nie domyślał się wstrząsającego sensu swoich słów.

A to, co tu grzebano, właściwie wcale nie było Eliną, ale szatańską zbrodnią, zamordowaniem sumienia ludzkości. Życie, które tu wygasło, było zbyt gorzkie, aby wolno je

było oplakiwać gorzkimi łzami. Nikt tu nie miał potrzeby płakać dla konwenansu, gdyż to, co się stało, było tak oczywistym przyzwoleniem, że pastorowi udało się to ukryć tylko przed sobą, kościelnym, grabarzem i kilkoma obcymi staruchami, które nie potrafiły pojąć sensu tego wydarzenia.

Raz jeszcze zrzucano z siebie odpowiedzialność. Wariatka, a więc nieszczęście publiczne i obciążenie podatkowe, dokonała w końcu wielkiego czynu. Przetrwała aż do grobu we wspólnej ofierze za wolność. Nie prosiła nawet, żeby za nią wylewać łzy.

— Nie ma co, stało się — rzekł Iisakki, kiedy zasiedli już przy kawie — ale pastor był przekonany, że trzeba będzie jeszcze kiedyś o tym porozmawiać.

I tak snuła się nić rozmowy u Nieminenów, mówiono o tym, to znów o tamtym, sięgano zresztą nie dalej, jak tylko od pogrzebu do wesela. Tym razem szło oczywiście o Syl-vi i o jej narzeczonego, redaktora Hamalainena, czyli o Tauno, który przyszedł na świat w Savo jako syn mechanika na kolei, jako syn zwrotniczego chodził w Viipuri do szkoły powszechnej, a w Konvoli już jako syn dróżnika odbył konfirmację, tego samego Hamalainena, który podczas spartakiady młodzieżowej wygrał stumetrówkę juniorów i który wreszcie w Lahti, a potem w Helsinkach, został redaktorem działu sportowego.

— A teraz siedzę tu jak widzicie — zakończył wtedy swoje sprawozdanie.

— Uważaj, żebyś sobie tyłka nie uszkodził! Obicie kanapy się podarło! — przestrzegł Iisakki.

— Taak! Nasz Einari! Na ile kilometrów był ten bieg, który on wygrał? — zapytała Józefina. **Erkki roześmiał** się, ale Tauno natychmiast podał dokładną ilość metrów i sekund, a nawet dziesiątych części sekundy. Józefina nabrała nagle przekonania, że człowiek nawet ze sportu może mieć jakąś korzyść.

Tak było poprzedniego wieczora, gdy przyjechali narzeczeni, a teraz całe rodzinne grono zjawilo się, nie wyłączając synowych i wnuków.

— Słuchaj no, Einari, czyś ty sobie tych liczb gdzieś nie zanotował? Powinieneś też spróbować, może uda ci się zostać redaktorem od sportu — powiedziała Józefina.

Tauno wyjął z kieszeni przybory do pisania i podczas gdy reszta starała się jak mogła — jedni aby wyjaśnić to, co inni próbowali właśnie obalić, a jeszcze inni żeby powstrzymać się od śmiechu — pilnie notował coś w swym notesie. Redaktor z Bożej łaski! Nie umiał się obrażać, a zresztą nie miał powodu. Niebawem okazało się, że Józefina trafiła w sedno. Taki pismak zawsze wie, że za artykuł dostanie wierszówkę, choćby nawet pisał w nim prawdę, byle tylko wplątał tam coś śmiesznego.

— Wyprawimy... to znaczy, wyprawicie prawdziwe wesele? — zapytała Meeri.

— Do nas mówisz? — zdziwiła się Sylvi i zapłonila się uroczo.

— A do kogóż innego? Zapatrzylismy się na was jak na wschód słońca.

Einari pociągnął za rękaw żonę, która nie dawała za wygraną.

— To przecież obowiązek rodziców narzeczonej. Chociaż tu i synom wyprawiano wesela.

Einaremu wydało się, że coś mu stoi w gardle, chrząknął, mruknął coś i wyszedł z pokoju.

— Na weselu zawsze się coś dostanie, a możecie przecież zaprosić wdowę po proboszczu, który opiekował się tobą prawie jak rodzoną córką, dziennikarzy, redaktorów naczelnych. Nie znam się na tym, ale uważam, że kilku ministrów i dam zaprosić nie zaszkodzi. Dziennikarze mają rozmaite kluby, możecie tam urządzić wesele. Dziś już taki zwyczaj, że daje się w prezencie gotówkę, to i nie ma kłopotu z przewożeniem prezentów ślubnych.

— Przestańcie już, dobrze? — Selma, żona Paavalego, próbowała wmieszać się do rozmowy.

— Dobrze ci gadać, bo wybudowali wam w Raholi dom. Jesteś teraz właścicielką kamienicy!

— Tylko patrzeć, jak będzie miała dwa domy! Bądź spo-

kojna, do was się nie wybieramy. Wicie chyba, dlaczego wam nie wyprawiono wesela! Że też wstydu nie masz!

— Eeva też już przecież była w trzecim miesiącu, na to potrzeba jej akurat tyle samo czasu co innym. Myślicie, że dam się wodzić za nos?

— A jeśli to moja wina, a nie Eevy?

— Daj już spokój — broniła się Eeva, ale Kalle nie dał się zbić z pantałyku.

— W biegu Einari może i lepszy, ale miłość to raczej dziesięciobój. Przy tym też trzeba siły niemało, przynajmniej u nas. Mikko, chodź do tatusia. Mikko, chodź, pomożesz mi położyć mamę na łopatki?

Malutki atleta kołysząc się przestąpił próg, przewrócił się, lecz zaraz podniósł się jak prawdziwy sportowiec i wybełkotał coś niewyraźnie.

Zaraz na początku kłótni Józefina wypłoszyła wnuki do kuchni, dając im ciastka, mleko, buty robocze Iisakkiego i wszystko co wpadło jej w ręce, a nadawało się do zabawy. Miała zamiar wrócić do pokoju, ale dzieci natychmiast stłoczyły się w drzwiach i zaczęły zaglądać przez szparę. Powstrzymując łzy obnosiła się po mieszkaniu z nieśmiałym uśmiechem. Wkrótce jednak przebrzmiał smutek, twarz Józefiny rozpromieniła się na nowo.

Maria wygramoliła się na próg i przyglądała się otoczeniu, a potem z pośpiechem poraczkowała w stronę matki. Meeri przygarnęła do siebie maleństwo i wybuchnęła płaczem.

— Wiem, że gdyby nie to, Einari by się ze mną nie ożenił, ale dziecka nie oddam za nic — powiedziała.

Niewątpliwie nie było to zbyt przejrzyste wyrażenie myśli, ale Meeri przejęła się w tym momencie rolą męczennicy. Wystarczyło, że siedziała z dzieckiem w ramionach i uśmiechała się przez łzy, a błogosławieństwo całej rodziny miała zapewnione. Była matką, a ta okoliczność starczała za wszystko. W tej chwili była to nie tylko Meeri z malutką Marią na rękach, ale symbol ludzkiego istnienia.

— Że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy! — zawołała Józefina. — Mielibyśmy portret całej rodziny!

— A czy da się tu zrobić zdjęcie? — zapytała Sylvi.
— Da radę — odpowiedział narzeczonego.
— No, no, Tauno ma nawet aparat? Patrzcie, patrzcie! — mruknął Iisakki.
— Nie macie oczu? Przecież Tauno przez cały dzień robił wam zdjęcia! — wyjaśnił Erkki.
A Sylvi, świętoszka jedna, nic im o tym nie powiedziała.
— Tak już się umówiliśmy, że tym się zajmuje Tauno, reszta należy do mnie.
— Ty się zajmiesz dziećmi! — poprawił siostrę Paavali.
— Dopieroś odkrył Amerykę! — broniła się Sylvi, choć była w siódmym niebie.
— Jasne, jasne! Jakże by inaczej! — zabrzmiało nagle ze wszystkich stron.
A co z Einarim? Rzeczywiście, Einarego nie było! Erkki chciał już skoczyć po niego, lecz Józefina powstrzymała go.
— Meeri, idź zobacz, co się z nim dzieje. Koniecznie musi być na wspólnym zdjęciu! Powiedz mu, że druga taka oka zja może się już nie trafić! No, Marysiu, chodź do babci! No, chodź do babci, no!
Jednej osoby i tak musiało na zdjęciu brakować, a co do tego Tauno miał bezsporne prawo pierwszeństwa.
Erkki usiłował zaradzić tej konieczności za pomocą przeróżnych sznurków, starania te okazały się jednak daremne, bo dzień był pochmurny i zdjęcie wymagało dłuższego naświetlania. Do obowiązków narzeczonego należało zachowanie pewnej rezerwy. No, bo tu rodzina Nieminenów, a on nosi przecież skromne nazwisko Hamalainen.
Rodzina miała się ustawić koło pieca, mężczyźni pozowali stojąc, kobiety siedząc na pierwszym planie, trzymając dzieci na kolanach. Takie ustawienie było zarówno proste jak i praktyczne i Józefinie nie trzeba było długo tłumaczyć, że ma usiąść w środku, na miejscu honorowym. Malutka Maria usnęła tymczasem w ramionach Józefiny.
— ■ Rozsiądźcie się wygodnie, żebyście się nie poruszyli — rzekł Tauno.
Wreszcie skończyło się fotografowanie.
— Dziękuję pSaknie! — powiedziała Meeri jeszcze w trak-

cie fotografowania, co też zostało uwiecznione na zdjęciu, jak się później okazało.

— A gdzie Erkki? — zapytał Kauko.

— To chłopaczysko znów dokądś poleciało! — stwierdziła Józefina.

— Ja też chcę iść, mamusiu — domagał się Kauko.

— Teraz się nigdzie nie chodzi, zaraz wracamy do domu — powiedziała Selma.

Zrobił się ogromny ruch: synowe urządziły formalny wyścig w ubieraniu siebie i swoich dzieci.

— Jesteśmy gotowi! — oświadczyła Meeri.

— Jak to? Mieszkacie przecież w tym domu — powiedziała Eeva.

— Ubrać jedno dziecko nie zajmuje wiele czasu! — przerwała jej Selma, umyślnie zwracając się do Eevy.

— Nie rozchodźcie się! Dokąd wam tak spieszo? Idę do piwnicy po kartofle i zaraz wam coś przygotuję! — próbowała ich powstrzymać Józefina.

— Macie już nawet piwnicę? Kauko, daj spokój dziecku i nie zdejmuj czapki! Poczekajcie chwilę, włożę płaszcz, pójdziemy obejrzeć piwnicę! — śpieszyła się Selma.

— Tak, nareszcie wykończona. Napracowali się nad nią jak przy kościele. Przez całą zimę mówiłam ojcu i Einaremu, bo i tak nie mieli pracy i siedzieli w domu. Ale nic z tego oczywiście nie wyszło przez całą wiosnę i nawet lato. Do piero teraz, kiedy ojciec znów złapał akordową robotę, w mig wykończył piwnicę. Tacy to są mężczyźni, muszą mieć roboty aż po same uszy, wtedy mają czas na wszystko, a tak to grzebią się ze wszystkim bez końca. „Tyś chyba całkiem oszalał” — powiedziałam ojcu, kiedy zaczął rozprawiać o kanalizacji. — Tak samo jak przy przeprowadzce, wszystko pakuje się na łap-cap, a potem graty rozsypują się po drodze. Ale czekaj, wezmę świecę. Piwnica wygląda pięknie i przy świetle.

Odeszli, hałasy ucichły. Iisakki huśtał się powoli na krześle, a młoda para siedziała poziewując na rozkładanym łóżku za stołem. Iisakki nie miał ochoty mieszać się do opowiadania Józefiny na temat budowy piwnicy, po co miałby wypo-

wiadać swoje zdanie. Skończone, załatwione, należy do przeszłości. Czekają go jednak jeszcze kłopoty, i to nie małe. Zawsze ten sam problem: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze! Najdoskonalsze określenie wszelkich kłopotów: pieniądze! Obojętne w jakim zawodzie pracujesz, w końcu jesteś ciułaczem. Możesz również wygrać pieniążki na loterii państwowej, na giełdzie czy nawet w automacie, tylko samemu sfabrykować ich sobie nie wolno.

— No, a ty, Tauno, czy także ciułasz? — zapytał Iisakki.

— Ja? Skądże? Czyżby Sylvi o tym opowiadała? Kiedyś kolekcjonowałem monety.

— Nic nie opowiadała, tak tylko zgadywałem. Ja też zbieram monety i odnoszę do banku!

— Tato, Tauno zbiera starożytne monety! Tak jak inni znaczki pocztowe.

— Nowe też zbieram, ale zawsze przed końcem miesiąca idę z nimi do banku, oczywiście z zagranicznymi, fińskie można od razu zanieść administratorowi kamienicy.

— To znaczy tak, jakby spłacać weksel.

— No tak, ale u nas to się nazywa: czynsz.

— Weksel czy czynsz! Jeden diabeł. Tylko u mnie coś nie gra, bo czynsz kosztuje mnie tym drożej, im taniej mieszkają lokatorzy. A przecież wybudowałem ten dom, jeśli mnie pamięć nie myli. Myślałem i o tym, żeby samemu zostać lokatorem, ale właściciel domu nie może się tak po prostu wyprowadzić jak głupi. Sylvi i Tauno roześmiali się, a Iisakki ciągnął dalej:

— Wlecze się za tobą ten dom, towarzyszy ci w pociągu, autobusie — jak żywe stworzenie i nawet przez telefon nie daje ci spokoju.

Zdaniem Tauno nastał wreszcie odpowiedni moment.

— Mam tu... — powiedział sięgając ręką przez poręcz łóżka, podniósł z podłogi wypchaną torbę i ciągnął dalej: — Mam tu trochę kropli leczniczych dla pana! — Obszedł stół dookoła i wręczył Iisakkiemu mały pakunek. — To koniak — dodał, gdy Iisakki nadal milczał.

— Masz korkociąg?

— Mam.

Tauno zabrał się do odkorkowywania butelki, a Iisakki przyniósł z kuchni dwie filiżanki do kawy. Wszystko poszło sprawnie, filiżanki napełniono po brzegi, zanim Józefina zdążyła wrócić z piwnicy. Iisakki obawiał się trochę jej powrotu. Co będzie, to będzie, pocieszał się.

Tymczasem Józefina zatrzymała się w kuchni i zajęła się płukaniem ziemniaków. Niebawem rozległ się brzęk fajerek.

— Sylvi — zawołała wtedy — chciałam cię o coś zapytać.

— Idź do matki — rzekł Iisakki. Jak to dobrze, że nie zamknął drzwi do kuchni!

— Wiesz, już dawno chciałam cię zapytać, co się właściwie wtedy stało u pani pastorowej, że zdecydowałaś się odejść. Powiedz mi, ale uczciwie.

— Pani pastorowej nie byłam już potrzebna. To wszystko.

— Zaraz, co to ja jeszcze chciałam powiedzieć! Aha! Meeri twierdzi, że życie małżeńskie to dla kobiety nic innego, jak być ofiarą męża. Czy i ty tak myślisz?

— Jeszcze nie dorosłam do tej mądrości.

— No, sposobności ci chyba nie brakowało. Zdaje mi się, że Meeri powinna iść do lekarza i zapytać, czego jej brak.

Teraz dopiero Sylvi zrozumiała, o co chodzi, i zarumieniła się. Nie zmartwiła się zbyt, rychło bowiem doszła do wniosku, że w tym wypadku może to być wina Einarego, który jest wprawdzie jej bratem, ale przecież nie mężem. Tauno nie mógł w żaden sposób odgadnąć, dlaczego Sylvi wróciwszy do pokoju usiadła obok niego na łóżku. Ukryta myśl narzeczonej była jednak jasna dla wszystkich.

— Co się tu dzieje! — padło pytanie przez drzwi. Młoda para drgnęła z przerażenia. Iisakki również drgnął, on raczej z powodu koniaku. Najbardziej wstrząśnięta okazała się wszakże sama Józefina. Alkohol! Alkohol w jej domu! Na stole stała butelka i filiżanka, druga filiżanka znajdowała się w okolicy nosa Iisakkiego! Józefina stała i patrzyła.

— To koniak! — rzekł Iisakki.

— Co takiego?

— Francuski koniak, z Paryża — wyjaśnił Tauno i zaczął czytać dość trudny tekst na etykiecie.

— Paryż! Jaki Paryż? To nie z bimbrowni?

— Nie rozumiesz? Paryż to Paryż, a bimbrownia to bim-brownia ■— tłumaczył jej Iisakki. — Koniak to koniak, a wódka to wódka. Koniak to lekarstwo, które piją też lekarze, pastorzy, a nawet biskupi!

— Koniak robi się z winogron, z winorośli, które podobno rosną i u nas w Finlandii — przyszedł mu z pomocą Tauno, który już zdążył zorientować się w sytuacji.

— No widzisz! Nawet do waleriany dodaje się wódki, ale do koniaku dodaje się tylko prawdziwe lekarstwo: czarne porzeczeki! To po prostu zwyczajny sok z czarnych porzeczek, kto by się tym upił.

— Ale już masz trochę w czubie! Chuchnij no!

Zdaje się, że Józefina nie wyczuła niczego konkretnego.

— Co to może być? Takie czarne! Czuć w każdym razie solidnie.

— Koniak musi mieć zapach odpowiedni, bo co to by było za lekarstwo — oświadczył Iisakki. — Sylvi, powiedz, czy to nie koniak!

— To naprawdę koniak, mammo!

— Niech pani spróbuje — rzekł Tauno i podał jej swoją filiżankę.

— Nie, nie chcę... Fee, jak śmierdzi, nie, nie chcę. I to moje najlepsze filiżanki! Jak się upijecie, wyrzucę was obu za drzwi. Powiedz no mi, Tauno, czyś ty to sam przywiózł z Paryża?

— Nie, przywiózł mi to pewien sportowiec, pływak, abstynent.

— To jasne jak słońce — dodał Iisakki.

— Sylvi, mogłabyś nakryć do stołu — powiedziała Józefina i wróciła do kuchni.

— Czy Tauno często ma takie butelki? — zapytała córkę w kuchni.

— Nie wiem, chyba nie. Zeszłej zimy pokazywał mi jakąś butelkę, ale zdaje się, że to właśnie ta sama.

— Miał ją w szafie?

— W szufladzie w biurku i położył ją na to samo miejsce. Czy to ma być śledztwo?

— Uważaj tyllip, żeby nie zaczął zaglądać do kieliszka!

Nie ma się czego śmiać. Zanieś talerze na stół i zapamiętaj sobie, co ci powiedziałam!

— Na godach w Kanie Galilejskiej nawet pan Jezus zachęcał ludzi do picia.

— Czy myślisz, że zło staje się przez to mniejsze, że doliczysz do niego grzechy Jezusowe!

Powiedziawszy to, pobiegła do pokoju.

— Gdzie się podział korek od butelki? Zresztą po co właściwie korek.

— Niech cię diabli, to jest ko... koniak!

Józefina wylała zawartość butelki do wiadra na odpadki i przyniosła dwa litry soku z czarnej porzeczki.

— Nie narzekajcie, jeśli nie będzie zbyt mocny.

— Chyba sam szatan poradził ci wyjeżdżać z Biblią, oto skutki — napadł lisakki na Syhri, która i tak była już bliska płaczu. Oczywiście, Józefina natychmiast przysła córce z odsieczą.

— Banda pijaków, że też wstydu nie macie! I to w takim stanie!

Nieszczęsny małżonek musiał przyznać, że ugodził w honor międzynarodowego związku kobiet ciężarnych.

— Przyjrzyj się dobrze, żebyś wiedział, jakie one są — zwrócił się lisakki do młodego narzeczonego — żebyś się potem nie dziwił!

Scena płaczu nie trwała zbyt długo, ale wystarczająco długo, by ostatecznie wymazać scenę z koniakiem. A potem jedzenie stłumiło płacz i nastrój znów się poprawił.

Miasto Helsinki upominało się jednak o swoich.

Józefina jeszcze zdążyła poczęstować gości kawą, ale wkrótce potem młoda para zaczęła zerkać na zegarek. Tauno chciał jeszcze przejrzeć wieczorem jakieś ostateczne wyniki walk zapasniczych, a Sylvi twierdziła, że musi wstać niesłuchanie wcześniej, aby sprzedać mleko i śmietankę.

— Ach, portki Erkkiego! — zawołała Józefina — muszę je zaraz wyprać, jutro będę mogła sobie dłużej pospać, w każdym razie do wpół do szóstej.

— Erkki mógł przynajmniej przyjść na obiad przed naszym wyjazdem — skarżyła się Sylvi.

— Erkki je, jak ma ochotę i jak coś znajdzie. W kuchni są ziemniaki i sos, niech sobie sam weźmie.

Józefina ściągnęła jakieś rzeczy ze schodów prowadzących na strych i cisnęła je na taboret. Nie ulega wątpliwości, że była to odzież robocza.

— Szkoła się jeszcze nie zaczęła? — spytała Sylvi.

— Na pewno się zaczęła, oby się tylko szybko nie skończyła dla Erkkiego.

— Czyżby Erkki uciekł ze szkoły?

— Ja też się nad tym zastanawiałam, bo wydaje mi się, że już chyba nie chodzi. Sama nie mogę tego zrozumieć, dokąd mu się tak śpieszy co rano o świcie. Wciąż mam nadzieję, że wreszcie kiedyś zaśpi i pójdzie do szkoły!

— Dziwne! Nie możesz go zapytać wprost, czy chce chodzić do szkoły, czy nie? Ostatecznie rodzice też mają coś do powiedzenia!

— Zdaje mi się, że wcale nie znasz swego brata.

— Już teraz znam! Erkki jest jeszcze większym uparciuchem niż ojciec i Paavali, ale żebyś nawet nie śmiała go zapytać, jakie szanowny pan raczy mieć plany, to już chyba przesada!

— To nie takie proste. Dawno z nim o tym nie rozmawiałam, tylko modliłam się, żeby było dobrze. Jak by tam nie było...

— A ja już nie wiem ile razy opowiadałam Taunowi o tym, jakie to drapacze chmur staną na Pispalskiej Górze, kiedy Erkki zostanie architektem. Czy jest tu jeszcze gdzieś ten rysunek?

— Bóg raczy wiedzieć! Myślę, że zaczęło się od świętej pamięci Willego Makinena i tej wieży w krainie św. Mikołaja. Pamiętasz, jak Erkki — jeszcze był wtedy małym chłopcem — ciągle o to pytał?

— Owszem, pamiętam. Ile razy musiałam mu pokazywać na mapie, gdzie leży kraina św. Mikołaja. Mówiłam mu, że takiej wyspy w ogóle nie ma, ale wtedy wołał Kallego na pomoc.

— Tak to jest! Obaj mają ten talent od urodzenia. Erkki mówi, że w Pispali njsi być taki bałagan jak teraz.

— Dlaczego?

— Żeby dzieci miały gdzie się bawić w chowanego i w wojnę i żeby dorośli mogli się łatwiej ukryć, gdy przyjdzie po nich policja. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w Pispali tak ludzie nienawidzą policji, przecież policjanci to także ludzie.

— Czy Erkki nie mógł pójść na studia i sam się uczyć, jak to się mówi, na własną rękę? — powiedziała Sylvi.

— ■ Sam! Oczywiście sam, a kto ma za niego studiować.

— Uczyć się samemu, to znaczy, że się w dzień pracuje, a wieczorem uczy. Tauno też często uczył się przez całą noc, a rano szedł na egzamin.

— Uczyć to on się uczy, ale niczym nie interesuje się na tyle, żeby miał z tego powodu pracować dniami i nocami.

Zdaniem Tauno należało już zabierać się do wyjścia. Sylvi ciągle jednak rozważała szanse Erkkiego.

— Na pewno postanowił najpierw popraktikować, a dopiero potem iść do jakiejś szkoły.

— Zobaczmy! Napiszę wam, co z tego wyniknie! — powiedziała Józefina. Tauno roześmiał się. Biednej Syhri. było nie do śmiechu, bo trochę lepiej zrozumiała wypowiedź Józefiny.

— Do widzenia — powiedzieli oboje.

— Do widzenia!

Dopiero teraz Józefina uprzytomniła sobie w czym rzecz i zawołała za nimi:

— Wszystkiego najlepszego!

Po chwili zaczęła rozważać możliwość kupna mieszkania dla Sylvi. Korzystna oferta. Osiem tysięcy marek, tylko osiem tysięcy marek. A Paavali obiecał pomóc! Iisakki rozumie chyba, o jak małą i jak pożyteczną pożyczkę tym razem idzie. Zresztą otrzymywali pieniądze od Sylvi, więc właściwie byłaby to spłata starych długów.

Iisakki, oczywiście, rozumiał. Dobrze rozumiał. Sprzedamy dom, zapłacimy chłopcom za pomoc przy budowie i damy Sylvi te osiem tysięcy, a może nawet pozostanie dla nas kilkaset marek.

Helmerowi Oj a pozostało całe dwieście marek nadwyżki.

Przez dziesięć lat budował dom, potem sprzedał go, a po spłaceniu długów schował do kieszeni dwieście marek czystego zysku, jak prosto z nieba. Iisakki tak długo dłuł przy budowie swego domu, że przy podobnym wyliczeniu pozostałoby mu trzysta marek. No i jeszcze kilka pennia na papierosy. Właśnie słyszał, że w jakiejś kawiarni za jedną markę sprzedają paczki z pięcioma papierosami.

— Tak, to naturalnie najważniejsze! Musisz z tego skorzystać! Na razie jednak zgaś ten niedopałek, żeby nie dygotały dwa papierosy na raz.

Józefina otworzyła okna.

— Zeszłej zimy Erkki został karnie zatrzymany w szkole, bo jego odzież czuć było dymem. A wiesz od czego umarł Etvartti Salonen? Od palenia, naczyńka w mózgu nie popękałyby, gdyby nie były wysuszone i uwędzone.

— Żona młodego Salonena powiedziała, że lekarz już go dwa razy przestrzegał, a za trzecim razem będzie już po nim — dodał Iisakki.

— Nie ma żartów. A co będzie ze mną! Mógłbyś przynajmniej pomyśleć o swojej przyszłości, jeśli już o mnie nie dbasz!

Sytuacja znów dosyć poważna. Jak do tego doszło? zastanawiał się Iisakki.

— No, tylko nie przesadzaj! — powiedział i to odniosło niespodziewanie pomyślny skutek. Józefina widocznie miała już wrodzony dar, że we wszystkim potrafiła znaleźć ślad siebie jakąś pociechę.

— Dzbanek jest jeszcze gorący —■ powiedziała. — Chcesz kawy?

— Filiżankę.

Poszli do kuchni, bo dla Iisakkiego było równie jasne jak dla Józefiny, że paradna izba nie jest przeznaczona do jedzenia i picia.

Wypił jeszcze jedną filiżankę kawy, a dopiero potem zapytał:

— Czy Sylvi bardzo się śpieszy?

— Mniej więcej w marcu.

— Pytam o pieniądze!

— **Jak** najwcześniej! Jak zawsze w takiej sytuacji! Opo wiem o tym Paavalemu —■ dodała, wiedząc, jak niesłychanie ciężko było Iisakkiemu o cokolwiek prosić. Zwłaszcza gdy szło o własne dzieci, Iisakki był bezradny jak zbankrutowany święty Mikołaj, który z poczciwie uśmiechniętą maską na twarzy i ośnieżonym workiem na plecach kroczy od drzwi do drzwi, zagląda do mieszkań przez rześkie oświetlone szyby, ale nie śmie zapukać.

Zdawało się — w każdym razie Paavali tak sądził — że polityka jest między nim a ojcem kością niezgody, że powoduje nieporozumienia i utrudnia szczerą rozmowę. Z winy czyich przekonań do tego doszło, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Józefina natomiast miała czułe serce i była na tyle naiwna, że nie przyszło jej wcale do głowy, że właśnie w tym przypadku należało przywołać politykę na pomoc. Nie mówiła przecież o niczym jak o całkiem zwyczajnych, ludzkich sprawach. Może nawet sakramenty święte nie mają zbyt wielkiego znaczenia. Może wszystko zależy tylko od tego, jak człowiek się do nich odnosi! Co to takiego polityka, zdaniem Paavalego, i na czym polega ich różnica poglądów, Iisakki nie potrafił zrozumieć. A w ogóle to jakie mają oni poglądy? Lecz Paavali jeszcze nie zaszedł aż tak daleko w swych rozmyślaniach.

« * »

Gdy rozmowa zesłała na temat Sylvi, Paavali stwierdził, że osiem tysięcy marek za mieszkanie to nie wygórowana cena. W Pispali można było jeszcze za to coś dostać, ale w Helsinkach suma ta posiadała zaledwie dziesiątą część swej faktycznej siły. Zrozumieli wtedy, że wyrażenie „pokrycie w złocie” jest tylko pustym słowem, wymyśloną przez spekulantów dymną zasłoną, za którą banda rabusiów ograbia naród i kraj, oszukuje, sprzedaje ojczyznę i wtrąca uczciwych robotników do więzienia.

— Kapitalizm to zdrada ojczyzny — stwierdził. — W roku osiemnastym biali burżuje rozpoczęli swoje wielkie interesy,

a teraz prowadzą je dalej, a jeśli ich towarów nie kupi Niemiec, to sprzedadzą je nawet Hotentotom!

— Tak, tak! — potwierdziła Józefina. — Osiem tysięcy marek to naprawdę niewiele!

— Dlaczego Tauno nie załatwi sobie tego od razu na miejscu w Helsinkach? — zapytał Paavali.

— Właściwie to i prawda! Dlaczego Sylvi mówiła tylko o ośmiu tysiącach, a nie o osiemdziesięciu na przykład! — Józefina nie pamiętała już sum, ale jej córka, znana przecież ze swej skrupulatności prawdopodobnie zapisała sobie w notesie każdą markę, którą wysłała do domu! No właśnie, dopiero teraz Józefina przypomniała sobie, że i jej Sylvi radziła kiedyś zapisywać wydatki i dochody.

Było nie było, ale trzeba Sylvi posłać pieniądze, a ponieważ piękniej jest komuś pomagać niż spłacać długi, Józefina zapomniała o wszelkich związanych z tym komplikacjach i w kółko powtarzała tylko o obowiązku niesienia pomocy. W każdym razie był to najlepszy sposób na Paavalego, natychmiast dostałaby pieniądze do ręki, gdyby syn miał przy sobie gotówkę. Paavali był bowiem właścicielem dwóch domów; w spadku po teściu otrzymał teściową i dług hipoteczny. Nawet gdyby posesje te miały czystą hipotekę, niełatwo byłoby uzbierać taką sumę. Właściwie Józefina powinna była o tym wiedzieć. A może teść był ubezpieczony na wysoką sumę? Na to konto Paavali mógłby przecież zaciągnąć niewielką pożyczkę!

— A zresztą jakoś się uzbiera! — uważała matka.

Tak się rzeczy miały. Iisakki nie mógł się nadziwić, palił papierosa i wydmuchiwał kłęby dymu.

— Psiakrew! — odburknął.

— O co ci chodzi?

— Miałas pogadać z Paavalim, a nie z jego teściową! Jak to załatwi, to już jego sprawa, nie twoja w tym głowa. Zresztą może nie załatwiać, sam pójść do banku. A niech to diabli! Teraz wie o tym cała Pispala!

— Czyś ty na głowę upadł? Przeklinasz tu tak, jakby nikt nie miał nic innego do roboty, jak robić ci na złość. Nie bądź taki ważny! Chcesz znowu podpisać weksel?

— A co? Myślisz, że wybieram się do banku jako włamywacz?

— Dobrze, już dobrze! Może byś zapytał jak tam z prezentem na gwiazdkę!

Józefina była już pewna swego. Wszystko odbyło się jak należy. Sylvi miała męża, synka i osiem tysięcy marek, a i na mieszkanie nie trzeba było czekać zbyt długo. Pożycie młodej pary zaczęło się pomyślnie. Oby tak samo wyglądał koniec, gdy skończy się pieśń dziękczynna, jak wyraziła się w liście Józefina.

Lisakki znowu jakby oniemiał i stracił humor. „Wygląda jak papuga na widok wodospadu” — uważał Erkki.

Gdy pieniądze zostały już wysłane, Józefina odważyła się zapytać ostrożnie:

— Powiedz, co ci powiedzieli w kościele!

— W jakim kościele, do diabła!

— Starość nie radość. Naprawdę powiedziałam „w kościele”?

A swoją drogą nie musisz od razu mieszać do tego diabła! Diabły nie mają kościołów.

— Ale banki są w piekle! — stwierdził Lisakki.

Na tym skończyło się śledztwo. Okazało się, że jej mąż jeszcze nie całkiem utracił mowę, a to już coś.

„Spowiednik ubogich” nauczył go dość dużo. Właśnie odebrał korektę ostatniego artykułu, coś niecoś poprawił, w końcu wysłał gońca po Nieminena. Audycja trwała trochę dłużej niż zwykle, gdyż pan dyrektor banku był bardzo zadowolony ze swych udanych frazesów.

Była to pewnego rodzaju finansowa ewangelia. Najgorsze, pisał, już poza nami, zaraza została zlokalizowana, a miejscami zaraza zaczyna się nawet cofać. Innymi słowy kryzys został przełamany, życie wróciło do normy.

W takim razie pierwszorzędnie — pomyślał Lisakki.

Mimo to nie należy szczędzić dalszych starań na rzecz bazy dla zdrowej polityki finansowej. Obywatele naszego kraju nie powinni dążyć do zbyt szybkiego wzrostu dobrobytu, a z drugiej strony partie, kierują się myślą o przyszłości narodu i dla jego dobra nie powinny zabie-

gać o względy wyborców, moralnie nierozważnych mas, bowiem...
bowiem...

Dyrektor sięgnął po cygaro. Czy to zdanie się przypadkiem
zbyttnio nie wydłużyło?

Najgorsze mamy już poza sobą w wielu dziedzinach. Postępuje
normalizacja, jakkolwiek powoli. Ojczyzna Finów, Finlandia,
jedyne miejsce pod słońcem dla fińskiego narodu, należy
właściwie do klimatycznej strefy, gdzie...

Zaraz, chwileczkę! Dyrektor chwycił za słuchawkę: „Przyślij mi
jeszcze raz tego człowieka!”

— Tak, panie Nieminen, pan chyba był też zyrantem Wiljo
Salonena?

— Tak, to się zgadza.

— To niech mu pan jeszcze raz poradzi, żeby sprzedał swój
dom jakimś idiotcie, zanim będziemy zmuszeni wystawić go na
licytację! Makinenowie też podpisali już tyle weksli, że to samo
ich czeka!

Taka była ta rozmowa. Bank jest bowiem kościołem tak
osobliwym, że nikt nie zdoła się wymknąć z niego bez trudności.

Życie wraca do normy, pomyślał Iisakki, postępuje nor-
malizacja. Kryzys został przełamany. A wojna? Bo i taki czas
przychodzi niekiedy? Czy tym razem nadciąga, czy odpływa?
Ładna historia! Wali się na głowę niewinnym ludziom!

Iisakki już dawno zrozumiał, że wszelkimi zjawiskami rządzi
skłonność do niepohamowanego wzrostu, przez co wcześniej czy
później to, co z początku jest uciążliwe, nabiera cech szaleństwa.
„Nażrej się, aż pęknieś” stało się podstawowym prawem na ziemi.
Wystarczy przypomnieć sobie pierwszy paragraf historii
stworzenia świata. Stąd brały się wszelkie idee jak zerwane z
uwięzi balony: im wyżej się wznosiły, tym skromniejszy był huk,
kiedy pękały. Spróbuj gonić za czymś takim! Skaczesz, pędzisz,
lecisz, kłusujesz przez pola i miedze, z nosem zadartym ku niebu,
wszystko na próżno, wiatr zagna cię tam, dokąd sam zechce, aż w
końcu wpadniesz z całym pędem w śmieszne

małe bajorko. Nie do nieba czy choćby nawet do piekła, ale w jakąś dziurę, w dół, w jakiś irytujący zakamarek.

Myśli o poręczycielach nie dało się uniknąć, ale i ta myśl nadymała się to znów pękała jak balon. I zanim na nieruchomość młodego Salonena znalazł się kupiec, Iisakki przemyślał już pokazną kolekcję możliwości. Tylko sam fakt jeszcze się nie spełnił. Z niewielkimi poprawkami przeznaczenie mogłoby sobie wyciągnąć swój urzędowy los z kapelusza Iisakkiego. Wtedy on uchwyciłby to przeznaczenie i zażądał wyjaśnień: „Powiedz mi, co jest napisane na tym losie, zanim go rozwiniiesz!”

Na Boże Narodzenie odwiedził Nieminenów Salonen, przyszedł się poradzić, co ma powiedzieć na propozycję wystąpienia w roli drugiego żyranta. Jaakonmaki zaoferował za posesję z wszystkimi przynależnościami sto tysięcy marek, a należność bankowa poniżej stu dziesięciu tysięcy.

— Mój Boże, sto tysięcy! — Józefina była przerażona. — Ojciec, nie mówiłeś przypadkiem o sześćdziesięciu tysiącach?

Tak, owszem, ale Iisakki poręczał tylko za drugą hipotekę. Pierwsza wynosiła czterdzieści tysięcy, reszta stanowiła odsetki, dalsze wpływy i tym podobne. Sprawy tej dotyczyły jeszcze dwa, trzy weksle. Na jednym Makinen poręczał Salonenowi, na drugim Makinenowi podpisał Salonen i nie posiadający żadnego majątku Oja, na trzecim Nieminen Salonenowi, wreszcie na czwartym Makinen Nieminenowi. Cały dług płatniczy wynikający z tych czeków wynosił drugie pięćdziesiąt tysięcy. Więc zarówno Makinen jak Nieminen musieli obciążyć hipoteki swoich domów. I tak dalej.

Wszystko było przygotowane, powoli i uroczyście. Czyżby sens tej całej historii miał polegać na pokazaniu babciom i niemowlętom, że przeznaczenie osobiście wybrało się z wizytą do Pispali, aby zadać cios? Bo i któżby śmiał się mu sprzeciwić! Wiedziano przecież, co powiedział kiedyś Marcin Luter, a fiński biskup wiernie przetłumaczył: „Człowiek też kiedyś stał mocno na nogach”.

Sprzedać zaraz czy trochę później, to znaczy — załatwienie całej sprawy pozostawić bankowi? Zrzec się prawa do własności czy czekać na cud? Usuwać się coraz bardziej w cień, aż w końcu zrzec się nawet prawa do rezygnacji?

Trzeciego dnia po wizycie młodego Salonena Iisakki spotkał przed swym domem Jaakonmaki.

— Co za przypadek! Świetnie! — Jaakonmaki miał bardzo dużo do opowiadania, a między innymi coś bardzo ważnego. Gdy Józefina zjawiała się przy studni, spieszył się i oświadczył pośpiesznie, że pójdzie w tym samym kierunku co Nieminen, obojętne dokąd. Widocznie albo odczuwał lęk przed Józefiną, albo sympatię dla Iisakkiego.

Szli obok siebie gościńcem, za którego słabe oświetlenie odpowiedzialna była pewna grupa mieszkańców wsi z Jaakonmakim na czele. Mówił o pogodzie i o tym, że czas tak szybko mija. Wspominał też o podatkach i odsetkach, a nawet o Salonenie. Ach tak, więc Salonen już był u Niemi-nena! Jaakonmaki nie ma nic przeciwko niemu, wręcz przeciwnie — życzył mu wszystkiego najlepszego. „Wszystkiego najlepszego, i to wyłącznie!” — powtarzał wiele razy na przeróżne sposoby. A mówił tyle, że rozmówcy nie zostawało nic innego, jak wypuścić jednym uchem to, co usłyszał drugim. Jaakonmaki spodziewał się, że tak będzie, bo inaczej po co wałkować to samo tyle razy. Iisakkiego nudziło to. Wyglądało na to, że mu się w głowie pokręciło. A może to sam Jaakonmaki zapominał, co powiedział przed chwilą, i powtarzał wszystko w kółko?

Opowiadano, że ma żonę głuchą jak pień i tak zatopioną we własnych myślach, że nic dziwnego, iż rozmowny mąż od czasu do czasu musiał zachodzić na wieś na pogawędkę. Kto wie, a może to oznaka starości?

Pocziwy Jaakonmaki przez całe życie miał liczne słabostki, ale mimo to był człowiekiem zamożnym. Zawód miał, być może, nieco podejrzany, ale — zdaje się — przysparzał mu немало zysku. Jaakonmaki umiał swą wymową zdziałać tyle samo, co dobry cieśla całą skrzynką narzędzi. Kto wie co też miało wynikać z jego gadaniny tym razem. »Być może i te zdania kryły w sobie zadatki nabycia

czy sprzedaży jakiegoś domu, choć na pewno nie wynikał z nich zamiar zbudowania domu, co to to nie, za to lisakki był zaledwie cieślą. Poza tym męczył go straszny ból głowy, mimo solidnej dawki aspiryny. Poczul więc pewną ulgę, kiedy Jaakonmaki nareszcie odszedł. Przy studni Maki-nenów lisakki wyciągnął z kieszeni szklany słoik po śledziach, w którym mieściło się mniej więcej sto gram aspiryny. Gdzie się podziała ta przeklęta łyżka! lisakki mógł wprawdzie nasypać trochę proszku na rękę albo prosto do ust, ale przy zażywaniu lekarstw obowiązują pewne reguły. Przeszukał wszystkie kieszenie i zaczął znów od początku. Jedna kieszeń dziurawa! Co za pech! Dlaczego Józefina nie zaszyła tej dziury! Przecież kurtka wisiała przez całą noc w kuchni!

— No, patrzcie, patrzcie! Nieminen! Dobry wieczór! Ale się nastraszyłam! — zawołała żona Jooseppiego Makinena.

— Dobry wieczór! — odburknął lisakki.

— Co tam z pańską kurtką?

— Szukam łyżki.

— Jakiej łyżki?

— Zwyczajnej.

— Ach tak, łyżki... Pamięta pan, jak po tamtej stronie w Tahmali zamordowali kobietę toporem? Chyba zeszłej zimy, chociaż nie, raczej dwa lata temu?

— Może i tak — zgodził się lisakki, speszony schował słoik do kieszeni i poszedł w kierunku domu Eemelego Makinena.

Zaledwie zdążył usiąść, gdy żona Jooseppiego wpadła w ślad za nim do domu.

— To morderstwo przytrafiło się jednak zeszłej zimy!

— Mówisz o policjancie czy o Nurminenie? — spytała żona Eemelego.

— Nie, mówię o starej Lehtonen.

— Ale skądże! To było dwa lata temu.

— Mnie też się tak zdaje! Szłam właśnie po wodę, a tu nagle staje przede mną jakiś drab, od razu sobie przypomniałam, co Lehtonenowa wtedy opowiadała. Boże święty, tom się dopiero przeraziła! Myślałam, że pewnie jakiś mor-

derca chce opłukać topór w naszej studni. Ale na szczęście to tylko Nieminen. Szukał łyżki.

— Zgubił łyżkę?

■»* Tak. Zgubił łyżkę, a mnie się już Bóg wie co zdawało...

— Jak to się stało, że pan zgubił łyżkę?

Sprawa zaczęła nabierać takiego rozgłosu, że Lisakkiemu nie pozostawało nic innego, jak zwierzyć się ze swej tajemnicy. Na oczach obecnych wydobyl wreszcie spod podszewki kurtki zagubioną łyżkę.

— Jest złamana!

— Sam ją zламаłem!

— Po co?

— Żeby lepiej wchodziła do słoika z proszkiem.

— Jakim proszkiem?

— Aspiryną. Dajcie mi szklankę wody!

Lisakki połknął solidną porcję białego proszku i popił wodą.

— Tak nie wolno! Chwileczkę, zaraz pokażę, jak to się robi — powiedziała żona Jooseppiego. Najpierw wzięła do ust nieco wody, potem proszek, wymieszała wszystko w ustach i dopiero potem połknęła. — W ten sposób nie czuje się smaku, choćby był nie wiem jak obrzydliwy. A to jest aspiryna — orzekła.

— Chciał pan to zażyć przy studni? — zapytała żona Eemelego.

— Można umrzeć, jak się popija to zimną wodą — mądrzyła się żona Jooseppiego.

— Stary Salonen dostał zapalenia płuc i umarł — przypomniała sobie żona Moosesa Makinena, która właśnie przyszła pożyczyć trochę cukru.

Lisakki wypalił kilka papierosów, a potem wstał i wyszedł. Mógłby może pogadać z Eemelim, ale nic z tego nie wyszło.

A zresztą! Gdy się zacznie walić człowiekowi na głowę, każdy trzyma się wtedy od człowieka z daleka i jeszcze cieszy się na dodatek z cudzego nieszczęścia. Wyszliśmy bez szwanku, wzdychają z ulgą i co najwyżej dziwią się, że jakiś tam Nieminen próbuje jeszcze walczyć, ratować się.

Nie potrafi uskoczyć w bok, czy naprawdę nie może pojąć, że zdolność przystosowania się do otoczenia jest jedynym wyjściem człowieka?

Przystanie na propozycję Jaakonmakię nie zawierałoby w sobie specjalnego ryzyka, ale za to jakie skutki pośrednie! Iluż skromnych pragnień wypadnie się wyrzec? Psiakrew, posesja Salonena! Warta ze sto pięćdziesiąt tysięcy marek. Czasy się poprawiły, Jaakonmaki sam przyznał. Podobno jakiś pośrednik od sprzedaży nieruchomości proponował już sto dziesięć tysięcy. Ale teraz jakoś nic, Jaakonmaki też nic nie mówił!

Wreszcie nastał dzień licytacji. Obecni byli dwaj pośrednicy, zresztą obaj bardzo dystyngowani i natychmiast wycofali się, kiedy dowiedzieli się, kto trzeci przystępował do licytacji. Chcieli poręczycielom dać wolną rękę na wypadek, gdyby przybicie miało nastąpić, zanim cena dosięgnie wartości weksli. Niewątpliwie świadczyło to o ich uprzejmości, choć potem wyglądało na to, że ktoś wywiódł kogoś w pole. Ale kto kogo?

Niech sobie ludzie gadają co chcą, Jaakonmaki proponował kiedyś sto tysięcy, a trudno go winić z tego tytułu, że licytacja się skończyła, dopiero kiedy zaferował sześćdziesiąt pięć tysięcy. Otrzymał więc działkę wraz z zabudowaniami. Bank otrzymał zapis hipoteczny na koncie nieruchomości Iisakkiego, a Iisakki nic.

A należność za pracę Salonena, czyżby o niej zapomniano? Miał niezbite dowody, że pracował przy budowie domu, a nawet że dziedziczył po ojcu należność z tytułu rozpoczętych robót. Sam przecież też budował. Okazało się jednak, że bynajmniej nie zapomniano o należnościach, po prostu zgodnie z obowiązującą ustawą zatrzymano ustaloną prawnie część do czasu, aż wartość poręczonych przez Jaakonmakię weksli zostanie spłacona wraz z odsetkami i odsetkami od odsetek.

Czyżby w takim razie Jaakonmaki był szczęśliwym człowiekiem? Chyba nie, nigdy nie udało mu się nabyć domu, do którego by przyłgnęła nazwa: dom Jaakonmakię. Ubolewał nad tym, bowiem z całego serca pragnął nie tyle rze-

czy, ile świadomości jej posiadania, do szczęścia wystarczyło mu być właścicielem. Zresztą zmarł następnej jesieni. Pozostawił samotną, niepokieszoną wdowę i kilka cudzych domów. Nie miał syna ani córki.

Właściwie całkiem niezły człowiek, jak kilkakrotnie stwierdzono.

* * *

Niech ludzie mówią, co im się żywnie podoba, żaden początek nie jest tak pasjonujący jak koniec rzeczy starych. Kurczę, cielątko czy jagnię może budzić większe zainteresowanie niż stworzenie rzeźne tego samego gatunku, to prawda, ale krowy, kury i owce zazwyczaj kończą swoją wędrówkę dopiero gdy człowiek je skonsumuje, dopiero wtedy znajdują bezpieczne schronienie w pamięci.

Również i wśród ludzi zdrowe dziecko czy nawet z góry skazana na śmierć matka przy porodzie nie wywierają na otoczeniu takiego wrażenia jak nieboszczyk. Radosne zdarzenia rodzinne nie są wcale takie radosne. Rzecz nowa może jeszcze doczekać starości, skazanego na śmierć może jeszcze spotkać ułaskawienie, ale umarły pozostaje umarłym: nikogo nie wprowadza w błąd i sam też **nie pada** ofiarą oszustwa. Nie kupuje i nie sprzedaje, nie daje i nie zabiera, nie podaje ręki i nie odmawia nikomu uścisku dłoni — po prostu istnieje i czeka na towarzystwo.

Ciało starej Haapanen naprawdę przypominało trochę padlinę. Według pobieżnej oceny lekarza była już martwa co najmniej od tygodnia, choć jakaś kobiecina twierdziła, że przedwczoraj czy nawet wczoraj widziała ją, jak szła po mleko. Jeśli nie umarła z głodu, to pewnie z powodu śmierdzącego smalcu, którego resztki wałały się jeszcze na stole. Miejsce zgonu dało się ustalić. Było to łóżko, jeśli coś podobnego zasługuje na nazwę łóżka. Szeroko otwarte oczy jeszcze teraz zdawały się patrzeć spode łba.

Co za okropność! Józefina obmyła zwłoki, a Iisakki podniósł je za nogi i włożył do trumny.

Na czele konduktu, jeszcze przed dębową trumną, szedł jakiś człowiek w średnim wieku, który z wdzięczności za okazaną świętej pamięci matce życzliwość zaprosił Niefni-nenów na pogrzeb do odległego o 342 kilometry Pietar-saari. O kosztach podróży nie wspominał jednak ani słówkiem, bo to przecież drobiazg.

A potem przyszła jesień i dobiegło końca życie Makinena, ale nie Eemeli umarł pierwszy, lecz Mooses, najmłodszy z braci. Eemeli zmarł dopiero dwa lata potem, a więc później niż lisakki Nieminen. Przeznaczenie musiało się śpieszyć, aby osiągnąć swe ofiary jeszcze za życia. Szczęściem Józefina żyła jeszcze długo, bo co by począł bez niej lisakki. Nieminenowie nie wiedzieli o tym, że — jak wynika ze statystyki — długość życia dzieci zależy raczej od wieku matki. Hołdowali dość powszechnemu przekonaniu, że śmierć przychodzi, kiedy chce. Jaakonmaki, pani Haapanen i Mooses — w ciągu trzech tygodni trzy razy śmierć zebrała żniwo w gronie znajomych, nic też dziwnego, że Nieminenowie byli przerażeni, wkrótce potem zaniemógł lisakki. Narzekał na wszystko już od miesiąca, a teraz leżał w łóżku jak długi, do pracy nie chodził. Na miłość boską, czy wszystkim przyjdzie umierać jeden po drugim? Ależ nie! Następnego dnia lisakki powiedział:

— Co za cholera! — głos jego brzmiał przy tym tak, że Józefina natychmiast przybiegła z kuchni. lisakki próbował wdziać spodnie, lecz nie mógł utrzymać się na nogach. Może to oznaka nadchodzącej śmierci?

— Proszę cię, ojciec, zostań w łóżku! Na litość boską! Zaraz przyniosę wiadro! — Józefina zakrzętała się. Przekleństwo uszło lisakkiemu płazem. „Wkrótce znów będzie zdrow” — pomyślała Józefina.

Erkki wezwał lekarza, który przybył natychmiast i okazał się pierwszorzędnym człowiekiem. Przede wszystkim opowiedział, że zjeździł Francję i Włochy, żeby nasycić oczy pięknymi widokami, aż pewnego dnia odkrył Pispalską Górę, i to niedaleko Tampere! Józefina opowiedziała oczywiście raz jeszcze swój złoty sen i lekarz przyznał, że to naprawdę nie byle jaki sen.

— Proszę odkasznąć — powiedział.

— Tak, to był sen! Jeszcze raz odkasznąć! Wystarczy — orzekł.

Płuca były w porządku. Serce trochę powiększone, ale pracuje. Nie ma przecież nic innego do roboty — stwierdził lekarz.

— A miłość? — spytał Iisakki.

— Znow zaczynasz — odezwał się głos z kuchni. — Niech pan mu powie coś na temat palenia, bo kurzy jak Turek.

— Tak, palenie przyspiesza zwapnienie żył. Nikotyna i dym to dwie niebezpieczne trucizny: udar mózgu gotowy. A po cichu lekarz dodał: — Pijesz czy nie pijesz i tak umrzesz.

— Co pan mówi?

— Jak żyjesz, to umrzesz, a jak nie żyjesz, to już umarłeś.

— Co to za choroba? Jak tylko Erkki wróci ze szkoły, będzie musiał odgadnąć, co to znaczy. — Czy to niebezpieczne? — zapytała Józefina.

— Nie, bagatelka.

Lekarz przeszukał swoje kieszenie, a ponieważ nic tam nie znalazł, Iisakki podał mu papierosa z ciemnego tytoniu, tymczasem Józefina podała kawę, żeby rozmowa lepiej się kleiła.

— Człowiek żyje z trucizny, żyje i umiera — orzekł lekarz. — Wypiszę panu jeszcze kilka dodatkowych porcji.

Józefina skarżyła się, że mąż ostatnio zrobił się strasznie grymaśny. Co mu się stało?

— No tak... głód domaga się jedzenia!

— Je cebulę jak jabłko.

— W tym wieku żołądek sam wie najlepiej, czego mu potrzeba. Jak długo siedział pan w więzieniu za przynależność do Czerwonej Gwardii?

— Niedługo, kilka dni.

— Tak myślałem, to widać po sposobie mówienia. Pokój był wtedy o wiele krwawszy od wojny. Walczył pan chyba na froncie Kauppi?

— Tam też był.

— No to jesteśmy nieomal krewniakami. Dobrze żeśmy się wtedy nie spotkali, bo byłem wtedy po tamtej stronie.

— Skąd się pan tu wziął?

— Właśnie! Sam się nad tym zastanawiam. Ale gdyby u nas w północnej Finlandii panowały takie stosunki jak tu na rozdrobnionym południu, to nikt by już chyba nie pozostał przy życiu!

— Może pan pozwoli jeszcze filizankę kawy? — zapytała Józefina.

— Nie. Dziękuję, muszę już iść. Wpół do czwartej! Naprawdę! Niech pan jeszcze trochę poleży, wkrótce wszystko minie. Zalecam panu lekką pracę; niestety, nie mogę panu takiej zapewnić.

— Ile jesteśmy panu... — spytała Józefina.

— Dwa razy na tydzień świeże skarpetki i codziennie zmieniać buty!

— Panie doktorze, ile...

— To nie potrwa długo! Proszę mi dać znać przez telefon, jak się pan czuje! Do widzenia!

— Do widzenia. Ale ile jestem winna...?

Lekarza już nie było. Wpadało docenić fakt, że nie chciał słyszeć o pożyczonej przez Józefinę stumarkówce.

— Oby wszyscy lekarze tacy byli! — westchnęła.

— To niedługo by lekarzy w ogóle nie było! — orzekł jej mąż.

Dwa dni odpoczynku w łóżku, na dłużej nie starczyło Iisak-kiemu cierpliwości. Następnego dnia chciał koniecznie sam pójść po swoją wypłatę. Należność za trzy dni.

Oprócz wypłaty odebrał i zwolnienie z pracy. Musimy oszczędzać, motywowano. Oszczędzać na robociznie? Iisak-ki tłumaczył to sobie tak, że on jako stary człowiek pobiera zbyt wysoką stawkę na godzinę. Poza tym szwankuje przecież na zdrowiu. Ostatnio po raz drugi w życiu zachorował. W zaświadczeniu nie wspomniano o tym ani słowem, podobnie jak nie zarejestrował tego suwak logarytmiczny młodego kierownika budowy.

— Niech pan przyjdzie za kilka tygodni. Ej, Lampinen,

trochę wyżej! Wyżej podnieść, mówię! Do diabła, zaraz sam się tam wdrapię.

„Ryczeć to ten młodzik potrafi!” — pomyślał Iisakki. Rozumiał oczywiście, że początkujący kierownik budowy jest zaledwie ogniwem, pośrednim wykonawcą odgórnych poleceń i że jego beczelność nie jest jedynie dowodem przyzwoitości, karności i posłuszeństwa. Oczywiście ambitnemu młodzikowi nie zależy na uznaniu w oczach jakiegoś tam robotnika Lampinena, lecz na pochwalę przełożonego, która zwiastuje awans i podwyżkę. Bo i jakże inaczej mógł ten młody karierowicz pojąć swoją odpowiedzialność? Czy w ogóle proletariusze w sztywnych kołnierzykach umieli dostrzec podobieństwo eleganckiego krawatu z psią obrozą?

Ale cóż to mogło obchodzić Iisakkiego! A może go jednak obchodziło? Może i nie, ale czuł, jak mu się kiszki skręcają. Kiedy odbierał swoją skrzynkę z narzędziami, był znowu spokojny. Stała jeszcze w pomieszczeniu, gdzie ostatnio pracował, a które tymczasem bardzo się zmieniło, miało już drzwi, podkład pod podłogę i szereg innych rzeczy, jakie przybyły w czasie jego nieobecności.

Z górnego piętra dochodziły dobrze znane odgłosy heblowania. Na schodach zjawili się dwóch robotników, obaj z drzwiami na plecach. Z góry zeszła jakaś młoda kobieta w prochowcu nucąc walczyka. Na widok Iisakkiego przestraszyła się, lecz gdy zauważyła, że ciemne palto nie należy do dyrektora, lecz do bezrobotnego, nuciła wesoło dalej. Mijając starca starannie wydmuchała dwa razy nos. Wiadomo, elegancka dama łatwo może zaproszyć sobie kurzem obie dziurki.

Z cieślami Iisakki nie miał potrzeby się witać, wiedział i tak, że co lepsze roboty na tej budowie, zarówno oszalowania, wiązania dachu i okna, jak i wstawienie drzwi, wybudowanie szaf i przybicie listewek do podłóg — są ich dziełem. Nie było tam już dla niego miejsca. A więc nie majster i nie inwestor, ale jego towarzysze, młodzi robotnicy, chciwi gorliwcy, zorganizowali wydalenie go z pracy.

Podłoga nosiła ślady uderzeń młotka, rama okienna była

większa niż otwór na okno, wieszak miał podejrzaną dziurę po sęku, a drzwi były krzywo zawieszzone. Ale co to mogło teraz obchodzić lisakkiego. Na widok tych usterek splunął w ręce, zarzucił sobie na plecy skrzynkę z narzędziami, choć była bardzo ciężka. W autobusie, kiedy { .estawił ją na podłodze, plecy zaczęły boleć go jak diabli. „Cholerny reumatyzm” — pomyślał niemal głośno, jak gdyby chciał tym przekleństwem nadrobić brak utraconej siły. Równie szczęśliwie, jak wsiadł do autobusu, bez szwanku wydostał się na zewnątrz.

— Człowieku! Ależ to ciężkie! — zawołał barczysty kierowca, wywłókszy skrzynkę lisakkiego do drzwi wozu, skąd własnym ciężarem potoczyła się na ziemię. „Drobny i zgarbiony ten właściciel skrzynki” — pomyślał nieletni konduktor. — Pewnie sobie kupił kamienną płytę na grób.

— Widać po skrzynce! — odparł kierowca. — Ugnie się pod nią i już chyba nie wstanie.

Lisakki powstał chwilę przy swojej własności, a potem powoli podążył do domu. Podczas marszu wyprostował się na tyle, że Józefina niezwykle przygarbienie męża przypisała zmartwieniu z powodu zwolnienia z pracy.

Na kopercie z wypłatą widniał napis: „Rozrachunek końcowy”, nie było więc co do tego wątpliwości.

— Nie przejmuj się! — pocieszała go Józefina. — Czy zostawiłeś tam jeszcze jakieś swoje graty?

— Nie, nie zostawiłem, skrzynka z narzędziami leży na gościńcu.

— Na gościńcu? Dlaczego?

— Została i już. Chyba coś mi nawaliło w plecach.

— Na litość boską! Tak jakoś dziwnie wyglądasz! Kładź się zaraz do łóżka, a ja nastawię wodę! Jak tylko Erkki wróci z pracy, pójdziecie do sauny! Chyba że pójdziemy oboje.

O reumatyzmie nikt z nich nie wspomniał, gdyż uchodziło to za objaw starości, ale uszkodzenie sobie czegoś w plecach mogło się przytrafić i młodzikowi.

Nazajutrz całą sprawę poddano szczegółowej analizie. Zabrał się do tego Paavali. Pracował z Erkkim na tej samej

budowie i dowiedział się o kłopotach ojca. Przyszli więc obaj.

— Zapłacili ci za urlop?

— Nie, nie zapłacili. A czy się Iisakkiemu należało? Czy przepracował sześć miesięcy? Liczyli i liczyli, ale jak by nie rachowali, na rzeczywistość nie ma rady, Iisakki przepracował dopiero pięć i pół miesiąca. A ustawa była pod tym względem chwalebnie jednoznaczna. Nie mogło brakować ani dwóch tygodni, choć z drugiej strony nie domagano się ani godziny ponad normę.

— Właściwie zacząłem chyba pracować, jak miałem sześć lat — przypomniał sobie Iisakki i popatrzył na żonę.

— Czego mnie pytasz? Nie było mnie wtedy jeszcze na świecie! Nie powinno się służyć kilku panom! — rzekła Józefina, nie mając na myśli ani pracy, ani pracodawcy.

— Wszystkie ustawy wymyślili pracodawcy — stwierdził Paavali, który poza tym dysponował szczególnym darem rozważania na temat socjalnych niesprawiedliwości. Był tym bardziej zadowolony, im więcej powodów znajdował do narzekań. — Wraz z uświadomieniem sobie krzywd wzrasta świadomość klasowa, aż wreszcie nastąpi rewolucja — mówił. — Niszczyć trzeba nie mikroby i termometry, tylko mikroskopy.

— Nie mikroby? — roześmiał się Erkki, choć po głosie brata wyczuwał, że chodzi o sprawę poważną.

— No tak, może i mikroby — sprostował swoją wypowiedź, jak gdyby w końcu było naprawdę obojętne, czy zniszczy się mikroby czy mikroskopy.

— Daj spokój, chłopcze, bo wylądujesz w więzieniu! Gdyby usłyszał to ktoś z policji! — westchnęła Józefina. — Za błahsze rzeczy wsadzają dziś ludzi do ciupy, wystarczy, że ktoś ma czerwoną koszulę albo krawat!

— Uspokój się, możemy je przecież podrzeć!

— Za coś takiego łatwo się dostać za kratki, taki to już dzisiaj...

— Dante w każdym razie orzekł, że czerwień jest najpiękniejszą ze wszystkich barw! — oświadczył Erkki.

— To okropne — oburzyła się Józefina, ale Paavali zga-

dzał się z Dantem bez zastrzeżeń, chociaż nie mógł przypuszczać, że najmłodszy brat powoła się nie na bezbożnego i znanego komunistrę, ale na pobożnego poetę, wygnanego z kraju w mrocznej epoce średniowiecza.

— W każdym razie był to wypadek przy pracy — stwierdził Paavali.

— Co takiego? — spytała Józefina.

— Wypadek przy pracy — powtórzył syn.

Bo i rzeczywiście uszkodzenie pleców Iisakki zawdzięczał wypadkowi. Ale czy stało się to w miejscu pracy, gdy brał na plecy skrzynkę z narzędziami, czy też gdy ją zdejmował na przystanku autobusowym, czy dopiero później? Ból poczuł przy wstawaniu. Był już zwolniony z pracy i odebrał wypłatę, zanim tknął się w ogóle tej przeklętej skrzynki. Czy wobec tego miejsce pracy nie przestało już być miejscem pracy, a czas pracy czasem wolnym? I kogo tu wziąć na świadka? Może kierowcę autobusu? A może jeszcze kogoś innego? Nawet dla mpartego Paavalego sprawa przedstawiała zbyt wiele trudności.

W poniedziałek Józefina wyгнаła męża do lekarza.

— Tak to bywa. Człowiek się męczy i cóż z tego ma? Reumatyzm! A potem haruje się jeszcze więcej i stan się pogarsza jeszcze bardziej!

— A ubezpieczenie od wypadków? Jest pan ubezpieczony?

— Ja nie, ale chyba pracodawca?

— Niech pan zażąda skierowania do lekarza, wtedy wystawię panu zaświadczenie!

— Jakie zaświadczenie?

Lekarz wymienił cały szereg dziwnych terminów i roześmiał się.

„Jeszcze i tych mądrości się kiedyś nauczę” — pomyślał Iisakki i mimo wszystko raz jeszcze poszedł do majstra.

— Co mnie do tego? Nie był pan nawet u nas zaangażowany na stałe!

— W każdym razie nie przyjdę tu już do pracy — odciął się Iisakki i wrócił do Pispali.

Co go spotkało? Krzywda? Czy to jednej krzywdy zaznał

w życiu? No i co z tego? Zwyczajna rzecz? Głupstwo! Myśli kłębiły się w jego głowie i — może to trochę dziwne — krzywdą wydawała mu się tym mniejsza, im bardziej sobie uświadamiał jej powszechność.

Iisakki uśmiechał się, puszczając z dymem pokaźną ilość tytoniu. Publiczne i prywatne, ustawa i sprawiedliwość, obyczaj i prawda — słowa te przynosiły mu ulgę, niczym niebieskawe kręgi dymu. A gdzieś tam stoi jeszcze Józefina i dogaduje, ale on mimo wszystko poprosi ją o nowy zapas papierosów. I tak to ból pleców powoli odchodzi w przeszłość.

* * *

W listopadzie pojawiła się w sąsiedztwie Nieminenów pierwsza latarnia. Z wierzchołka wysokiego słupa oświetlała zagrodę nauczyciela Trappa, a byłoby nieuczciwie twierdzić, że oświetla również kawałek ulicy, bowiem ten odcinek drogi nie zasługiwał na światło latarni. Poza tym przemilczanie okoliczności, że światło latarni sięgało aż do ogrodu Nieminenów, zwłaszcza zaś tabliczki z nazwą ulicy, świadczyłyby o braku skromności.

Wkrótce znalazł się lepszy temat do rozmów: Einari Nie-minen... Einari? Może raczej Paavali? Nie, właśnie Einari! Bo czy kto słyszał coś podobnego? Tak po prostu opuścić rodzinę! Przecież miał chyba troje dzieci? Prawda, miał tylko jedno, ale w każdym razie! Choćby jedno dziecko! I to Einari? Nikt by się tego po nim nie spodziewał! Czy to w ogóle prawda?

W rzeczywistości rzecz miała się tak: Einari znikł, a ściślej mówiąc wyniósł się z Pispali. Dokąd, jeśli wolno zapytać? Nie, o to nie wolno było pytać. Po pierwsze dlatego, że nie wiadomo dokąd, jasne jest tylko, że go na razie nie ma. Po drugie — pytanie takie może być niebezpieczne. Po trzecie — dlatego, po czwarte — z tego powodu, że — a po piąte — przede wszystkim powinno się wiedzieć bez zbędnych pytań, dokąd można się wydostać ze ślepego zauł-

ka, jeśli się w ogóle uda! Nie ma innej drogi jak do wrót piekła, odwała się gład tarasujący wejście, wystarczy zaskoczyć strażników i marsz prosto do nieba. Tam po prawicy Wszechmocnego — po prawicy! nie po złej, lewej stronie, ale właśnie po prawicy — możesz wreszcie szeroko otworzyć usta i wykrzyknąć bez obawy: „O wolna Rosjo!” O tak, wolno ci zaśpiewać Międzynarodówkę i nie wiadomo co jeszcze! Tam bowiem, w tym zakazanym kraju, wolno robić to wszystko, co na własnej ziemi jest surowo zabronione. Tam robotnik dostaje pracę i zbiera jej owoce, otrzymuje pożywienie, odzież, tam ma zapewniony odpoczynek, muzykę, wiedzę i sztukę w dowolnej ilości. — O gwiazdo wolności, wolna Rosjo! Nie trzeba okien zamykać i ściszać gramofonu w obawie przed policją. Można zsunąć meble do kąta, zwinąć dywany, zaprosić kilka dziewcząt i ruszyć w tany, O wolna Ro...!

Powszechne nastroje były takie, że właściwie aż dziwne, że zniknęło tak mało ludzi, z grupy Einarego tylko trzech mężczyzn. Co takiego, Einari miałby być przewodnikiem grupy? „Co za bzdura!” — powiedziała Józefina policjantom. Ale ci w zielonych mundurach byli dość dokładnie poinformowani o politycznych zasługach pozostałych zbiegów, którzy zresztą byli nieważni, jeden z nich, mniej więcej sześć lat temu, pilnował porządku podczas potańcówek w domu związków zawodowych, a drugiemu zmarł wuj, na biegunkę, po wojnie domowej, w obozie dla członków Czerwonej Gwardii. Einari natomiast był jednym z najlepszych długodystansowców w klubie robotniczym, od lat należał do związków zawodowych, tając przed innymi swoją szkodliwą dla państwa działalność. Resztę łatwo sobie dośpiewać.

— Co za bzdury — powtórzyła Józefina w mleczarni, a także zwierzyła się ze swego poglądu Meeri, gdy ta próbowała ją przekonać o obietnicy Einarego, że za kilka lat zabierze ją wraz z malutką Marią do Rosji.

— Mam ci coś powiedzieć?! — zaczęła Józefina, ale nie dokończyła. Przyszło jej do głowy, że Einari znikł przecież z powodu Meeri. Również brak stałego zajęcia był tego przyczyną. Gdy mężczyzna ma porządną żonę i porządny fach

w rękę, nie opuszcza domu, niezależnie od barwy zapatrywań. Powstrzymała się od wyjawienia swego sądu i powiedziała: — Einari nie ma pojęcia o przepisach obowiązujących u komunistów, zobaczysz, niedługo go odeślą!

— A jeśli go wyślą na Syberię? — lamentowała Meeri. Józefina rzuciła się na szyję synowej. Więc jednak kocha jej syna! Dopiero teraz uświadomiła sobie, że należą do tej samej rodziny. Wspólnie rozplakały się na dobre. Co za radosny dzień!

— Nie płacz, no, przestań płakać! — szlochała Józefina.

— Przecież nie płaczę — usiłowała zaprzeczyć Meeri. Nawzajem ocierały sobie łzy, a po chwili uderzyły w tym większy lament. Na miłość boską, żeby tylko Einaremu nie przytrafiło się nic złego!

W końcu Józefina wykrztusiła:

— Nie martw się, zatroszczymy się o ciebie.

A malutka Maria, ulubienica mamy, babci i dziadziusia, nie przestawała pytać: „Czy tatuś wróci, jak się obudzimy jutro rano?” Meeri nie umiała zdobyć się na tyle, by odpowiedzieć: „Nie!”

— Ach Boże, dawnośmy się już tak nie wyplakały! — rzekła Józefina.

Sprawa miała, jak to zwykle bywa, wiele różnych aspektów. Niektóre nawet pomyślne. U malutkiej Marii od dłuższego już czasu zaobserwowano dziwne drganie rączek, nóżek i powiek, a teraz te niepokojące symptomy nagle bez widocznego powodu ustały. Józefina, która w ciągu dnia opiekowała się dzieckiem, była przekonana, że ozdrowienie to spowodowane zostało zniknięciem Einarego.

— Trudno się co do tego spierać — orzekła.

Meeri została wprawdzie zwolniona z pracy bez wypowiedzenia, kiedy wyszło na jaw, co uczynił jej mąż, ale jej koledzy z pracy zrobili dla niej składkę pieniężną. Wkrótce otrzymała nową posadę, gdzie spotkała się z tyloma dowodami sympatii, że rychło zaczęła się obawiać, iż zaszła w ciążę. W dodatku, głupia, sama zaczęła o tym wszędzie rozpowiadać, jakby chciała się pochwalić: A widzicie, to nie moja wina, potrafię to też z wykwalifikowanym robotnikiem!

— Głupia! — syknęła Józefina. — Stul pysk! W Tam-pere też nie ma pracy za wiele.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Meeri. Była bowiem rzeczywiście pożałowania godnym stworzeniem.

Rozpowszechniła się wkrótce opinia, że Meeri bezwarunkowo zasłużyła na swój los. Jedno nieszczęście podało rękę drugiemu. Nawet katechizm, choć poza tym punktem nikt się nim specjalnie nie przejmował, wyraźnie potępiał cudzołóstwo, jakkolwiek o ucieczce do Związku Radzieckiego nie wspominał ani słowem. Ponadto o Meeri wiadano zbyt wiele, Einari zaś mógł — kto wie — dokonać tymczasem najwspanialszych czynów bohaterskich dla dobra całej cierpiącej ludzkości, a przynajmniej się do nich przygotować. Nie przyszedł od niego ani jeden list, co nikomu nie przeszkadzało snuć własnych przypuszczeń; jeden twierdził, że kształcą go na oficera w Armii Czerwonej, i to podobno w lotnictwie, inny znów twierdził, że ten łobuz z Pispali dał w gębę jakiemuś komisarzowi, no i pif-paf i koniec. Ale czemu w ogóle można było wierzyć, gdy ten sam ktoś już na drugi dzień utrzymywał, że Einari jest w świetnej formie i zdobył mistrzostwo Armii Czerwonej w biegach na długich dystansach? Człowiek bez głowy mistrzem? Różnie bywa na tym świecie, ale takich rzeczy nikt nie da sobie wmówić!

Kilka lat później, gdy czerwone bombowce z hukiem mknęły nad Tampere, jakiś głos miał obwieścić w rosyjskim radio: „Nie bójcie się, kobiety z Pispali! Na wasze zbocze nie spadnie ani jedna bomba!” I rzeczywiście żadna nie spadła, niech Bogu będą za to dzięki! Ach, co to za wspaniałe dzieci ojczyzny, które tak pamiętają o rodzinnych stronach! Jakże wzruszający dowód patriotyzmu! A kiedy z miasta doszły słuchy, że jakaś bomba raz na zawsze obróciła w nicość opastego portiera, który podczas strajku strofował robotników: „No przekonamy się, kto wygra, my czy wy!”, Jooseppi miał zawołać: „W końcu zawsze zwycięża sprawiedliwość!”

O Panie, niezbadane są wyroki Twoje! Ty, który umiesz

po hebrajsku i po chińsku, pozdrawiamy Cię z dalekiej Finlandii, kapujesz!

Tylko Józefina nigdy nie przestała czekać. Nawet na łożu śmierci wierzyła, że Einari, podobnie jak jej wszystkie dzieci i wnuki, zawita do rodzinnego domu.

Wyglądało na to, że Erkki zechce zostać budowniczym. Właściwie już można go było za takiego uważać, ale przekłeta przeszłość gimnazjalna wciąż przypominała o sobie. Na domiar złego fakt, że się tam rzeczywiście czegoś nauczył, nie pozostało bez rezultatu. Niezliczne okoliczności obnażały go bezlitośnie: stał zbyt prosto, chodził zbyt sztywno, wyrażał się zbyt wyszukanie. Jego wymowa, słownictwo i sformułowania powiewały raz po raz jak żółta chorągiewka na maszcie: „Tu jest domena kultury, nie zbliżać się! Zachować dystans!” Niechby w drodze przypadku poświęcał się nauce, na przykład w więzieniu, jak ów cieśla, który pouczał inżyniera w wyprowadzeniu pierwiastka kwadratowego. To jest prawdziwa wiedza, nie tam jakieś drukowane mądrości. Murarz Atu udzielił mu dobrej rady:

— Żebyś tylko, chłopie, nie chciał wszystkiego od razu komplikować! Mów prosto, o co ci chodzi.

— Zawsze tak robię —■ odparł Erkki — ale nie mam zamiaru zakładać sobie końskich okularów, których teraz już nawet konie nie noszą, co do osłów to nie wiem. Wasze „proste” słowa są jak nadymane worki, w których wcale nie ma kota. Gdy zapytam pierwszego lepszego, co to wieloryb, to odpowie mi prosto i jasno, że to olbrzymia ryba, ale gdy spytam kogoś, kto rzeczywiście zna się na wielorybach, to z samej definicji wyrośnie nowy wieloryb, a prawie na pewno już w pierwszym zdaniu okaże się, że wieloryb nie jest rybą, lecz ssakiem.

— Guzik z pętelką! To przecież zwierzę wodne, co po suchym nie spaceruje! A poza tym wieloryb ma płuca! A są też ryby z płucami! Widzisz, tego chyba nie wiedziałeś!

— Niech i tak będzie, ale prawdziwych płuc nie ma żadna ryba!

— Przestałbyś gadać! To dlaczego jest taka **nazwy**: ryby płucne?

— No widzisz! — potwierdził murarz Mari. — Atu **zna** się na rybach. Nie dalej jak dwa tygodnie temu złowił w niedzielę ogromną rybę, wyrwała mu się z całą wędką.

Ryba mająca płuca nie dawała im spokoju, bowiem była tym, co się nazywa wypadkiem granicznym, i dlatego długo jeszcze miała służyć za temat dyskusji. Koniec końców Erkki nie był w stanie dostatecznie przekonywająco dowieść, czy pęcherz zastępuje rybnie do pewnego stopnia płuca, czy też załazek płuc służy jej za pęcherz do pływania.

Główny błąd rozumowania Erkkiego polegał jednak na tym, że nie był ani budowniczym, ani inżynierem i że diabeł jeden wie, dlaczego wcale nie chciał nim zostać. W czasce tego chłopaka musiało się poluzować kilka śrubek, jeśli w ogóle kiedykolwiek były dobrze przykręcone. Nie zależało mu na awansie? Brak mu było tego daru! Czyżby jednakowo cenił każdą robotę? Prosty robotnik nie budził w nim politowania. Mógł się obejść bez cudzego nieba, miał swoje własne! Czyż nie brzmiało to jak wyzwanie? Wystarczy brzdąkać na fortepianie, grać w tenisa i śpiewać „Frere Jacques” po francusku już od szkoły powszechnej, a wkrótce cały naród fiński będzie się składał z wytwornych ludzi!

— A kto będzie pracował?

— Ten, co potrafi! — mówił Erkki i zaczął nucić po francusku, najpierw „Frere Jacques”, a potem „Marsyliankę”, jednocześnie nie przerywając pracy przy oszalowaniu. Mimo to zjawił się na placu budowy majster i zaczął kłać — po fińsku! — kiedy Erkki nie chciał się przyznać, że śpiewa paskudne rosyjskie piosenki.

Gdy burza minęła, zapytał go jeden z kolegów:

— Czy kłamie ktoś, kto mówi, że kłamie?

— Nie! — krzyknął ktoś trzeci.

— Idiota! Musisz gadać, jak sam to dopiero co usłyszałeś!

Erkki mimo to obstawał przy swoim poglądzie, że ktoś, kto mówi, że kłamie, kłamie.

— Jeśli się sam do tego przyznaje, to nie kłamie!
— Oczywiście, że kłamie! — oburzył się Erkki. Zastanowił się jak to sformułować zwięźle i prosto, tak żeby tamci go zrozumieli.
— Jeśli mówi prawdę, to kłamie, a jeśli mówi nieprawdę, to też kłamie.
Oświadczenie to nie wzbudziło nawet śmiechu. Więc Erkki spróbował raz jeszcze:
— Kiedy robi to, co mówi, to prawdę mówi, że kłamie, a więc jeśli nie robi tego co mówi, to kłamie. A więc kłamie!
— Mówisz, że on coś robi, a on nic nie robi, tylko mówi, że kłamie!
— Ty za to nie kłamiesz. Rzygać się chce!
— Powiedzmy tak: jesteś bydlakiem, to prawda. A może nie jesteś?
— Właśnie, i co ty na to? — zapytał jeden, a drugi dodał:
— Nie, chociaż kto wie! Właściwie tak jesteś bydle i prawda. Ten łże, a syn starej Niemienowej mówi prawdę.
Na tym się skończyło. Jeden z kolegów. Ten który siedział kiedyś w więzieniu, odwrócił się i powiedział:
— Jesteś synem Iisakkiego Nieminena?
— Tak.
— A twój brat nazywa się Paavali?
— Tak.
Wówczas cieśla podniósł się i spojrzął na zegarek.
— Chodź za mną! — rzekł. Wyszli obaj. — Co twój ojciec teraz porabia? Czy w ogóle jeszcze pracuje?
— Jest palaczem na budowie.
— Nocna praca, tak?
— Właśnie.
— Mieszkasz u rodziców?
— Tak.
— To zabierz narzędzia Iisakkiego, zostaniesz cieślą!
— Gdzie?
— Oczywiście tutaj, u nas, inaczej wcale bym cię do tego nie zachęcał. Już o tym raz mówiliśmy, od jutra możesz przystąpić do pracy! — A po chwili dodał: — Aha, chcia-

łem ci to powiedzieć już w kantine: nie rzucaj pereł między wieprze. Co im po tym? Nawet mędrzec w pojedynkę i tak jest głupcem.

Nastały słoneczne dni przedwiośnia. Ciężarówka woziła cegły, deski i łaty. Winda unosiła się powoli do góry, a potem, lekko chwiejąc się, sunęła w dół. R- r otnicy poustawiali się na poszczególnych poziomach tworząc kolejkę, jećTen stał na ziemi, następny na parapecie na drugim piętrze, jeden tu, drugi tam i wyładowywali deski i wszelkie inne materiały. Jazda! Do góry, szybko! Na rusztowanie, jazda!

Cieśla ustawiał belki Erkki przybijał. Cieśla zakładał listwy, Erkki przybijał. Cieśla ustawiał, ustawiał i ustawiał, a Erki przybijał, przybijał i przybijał. Wzdłuż i w poprzek, pionowo i poziomo, raz tu, raz tam. Jakie to trudne i proste zarazem! A więc to tak wygląda!

— Czy ten filar nie wymaga betonowej podpórki? — zapytał pewien ktoś z paczką gwoździ w jednej ręce i młotkiem w drugiej.

— Masz pojęcie o robocie! — roześmiał się majster.

— Przecież to same kanały wentylacyjne, a to tylko cienka ścianka!

Majster przyjrzał się filarowi, popatrzył na plan i powiedział :

— Pójdź do windy z cegłami, potrzebny tam cieśla!

Wkrótce potem już dwóch majstrów stało przy filarze.

— To ten. Według mnie nie jest dostatecznie mocny, co ty na to, może by wzmocnić go betonową podpórka?

— Masz rysunek? — spytał kierownik budowy.

— O tu, grubość jednej cegły, wymiary się zgadzają. Ale zdaje mi się, że nie jest tak, jak trzeba.

Na drugi dzień przy owym filarze stało już trzech panów, architekt, inżynier i kierownik budowy.

— To ten. Może kreślarz się pomylił!

Panowie spojrzeli po sobie, a potem na filar. Rysunkiem nie bardzo się przejmowali. Trudno rozstrzygnąć, czy winien jest w tym wypadku inżynier, czy architekt, a ściślej

mówiąc — współpracownik któregoś z nich. W końcu inżynier nie wytrzymał:

— Nie mogliście o tym wcześniej powiedzieć?

Panowie odeszli.

— Tylko żebyście mi tu teraz nic nie grzebali! — zawołał kierownik budowy, ale do kogo?

Nie minęło pół godziny, jak wrócił.

— Gówniarz jeden! Nie mogłeś wcześniej gęby otworzyć? Przecież ten filar stoi na powietrzu — ryknął na kolegę Erkkiego. Ale ten odpalił:

— Sam jesteś gówniarz! Już zapomniałeś, jak na dole powiedziałem, że filar powinien mieć podpórkę? Trzeba było wsadzić nos w plan.

Podpórkę założono od spodu. A biedny czeladnik, który ze zdziwioną miną przypadkiem znalazł się w pobliżu filara, otrzymał piekielną porcję roboty. W dodatku na tempo, lecz po cichu, a kiedy sprawa dotarła do uszu inwestora, młodego pomocnika cieśli zwolniono z pracy... Podobno chciał nabrać inwestora. Kolega Erkkiego zaś oświadczył: „Jeszcze jednego urządził, cholerny Kustaa!” — Erkki zrozumiał, że szło tu o jego wysokość inwestora. A że na razie nie było go nigdzie widać w pobliżu, kolega Erkkiego powiedział swoje zdanie również trzem urzędnikom. Nie został ulaskawiony, lecz jak to pięknie brzmiało, jaką ulgę przynosi fakt, gdy się słyszy, że ktoś ma odwagę powiedzieć to, co naprawdę myśli, nie licząc się z ewentualnymi życzeniami panów. Dziwne jednak, że owi trzej urzędnicy przez kilka następnych dni byli bardzo mili w obejściu.

Dlaczego nie wyrzucono tego, kto wyzywał najbardziej? Raz niewiele już do tego brakowało, inwestor zwrócił się do majstra i to w całkiem niedwuznaczny sposób:

— Jak nie możesz sobie dać rady z Makipaa, to poszukaj sobie roboty gdzie indziej! Choćby nawet Makipaa miał nic nie robić, tylko przychodzić po wypłatę, rozumiemy się! Prawdopodobnie krył się za tym jakiś sekret, ale jaki: dobry czy zły? Erkki w każdym razie miał powód do zadowolenia, bo nie

mógł narzekać na brak pracy, dopóki był w dobrych stosunkach z Makipaa.

Robota była w pełnym toku, gdy zjawił się majster i zawołał :

— Nieminen, na *dole* czeka jakiś generał i chce z tobą rozmawiać!

— Jaki generał?

— Kadet! Zejdź na dół, po co ma sobie upaprać buty! Tymczasem Allan Ramussi stał już na rusztowaniu.

— C7łowieku, skąd się tu wziąłeś?

— Nie może mi się w głowie pomieścić, że cię namówili, byś został oficerem!

— Zaraz zaczynasz od krytyki! Poczęstuj mnie lepiej papierosem. *Etwas pro nuli. Eins pro keins.* — Erkki przypomniał sobie wspólną naukę niemieckiego. A na to Allan:

— Tylko nie mów nic złego o Kainie! Bo...

*Wie ma w wieży Babel
Żadnego kabla
od Abła.
A o tym, kim był Abel,
Mówi nam kabel
Kainowy.*

— Czy napisałeś coś ostatnio? — zapytał Erkki.

— Właściwie nic, kilka głupstw... O której możesz stąd wyjść? — zapytał Allan.

— Ja? Da się jakoś radę, ale najpierw powiedz, ile masz jeszcze urlopu?

— Pojutrze muszę wracać albo przedłużyć zaświadczenie o zgonie. Matka znów miała wczoraj atak serca.

— Co ty mówisz, naprawdę?

— Tym razem jeszcze jakoś przetrwała.

Nadszedł Makipaa.

— W porządku — oznajmił. — Możesz dzisiaj zwiąć, jeśli masz ochotę!

Odeszli. Kiedy znaleźli się na ulicy, wydawało się, że niczego im nie brakuje do szczęścia, a przecież nie mogli" nie myśleć o tym, co to będzie, gdy się wyda, że wojskowy przyjechał na urlop, a robotnik przez godzinę bumeluje

w jego towarzystwie. Poszli pieszo, aż zorientowali się, że nie warto już wsiadać do autobusu. Maszerowali, głośno dyskutując, najpierw wzgórzem, a potem na przełaj przez polanę w sosnowym lesie. Szli już kiedyś tędy, teraz znów przemierzali tę samą drogę, lecz czy to ta sama droga? Choć niewiele czasu minęło od tamtego spaceru. Tak to już bywa: wystarczy, że zabraknie jednego ogniwa, już po łańcuchu.

A może jednak nie! Tam na jeziorze nad obfitującą w ryby głębią, wśród wysp i mielizn bawili się kiedyś, żywiczne szczapy płonęły w ogniskach na brzegu, a małe naftowe lampki migotały w ogrodach warzywnych i zaroślach. Cudowne ogniska z roku na rok paliły się coraz jaśniejszym płomieniem, jak gdyby wcale nie należały do przeszłości.

Nie narzekali, że droga śliska. Zatrzymali się przy kopalni żwiru.

— Jezioro jeszcze zamrożone! — powiedział Allan.

— Jeszcze jak! — potwierdził Erkki. Gadali o jeziorze mniej więcej tak, jak chłopcy rozprawiają o pogodzie, myślami wybiegając w przyszły rok, dumając o tysiącu różnych rzeczy, które mają nadejść, zakiełkować i które w sumie składają się na to, co nazywamy życiem.

— Głupio rozprawiać o pogodzie, a co dopiero o reszcie! — powiedział Erkki.

Gdy dotarli na wierzchołek wzgórza, Allan zapytał:

— Czy Kalle prowadzi jeszcze handel drewnem?

— Co takiego? Kalle? Ma teraz warsztat zegarmistrzowski!

— Co ty powiesz? Jak on do tego doszedł?

Istotnie Kalle nie miał już piły tarczowej, za to miał prasę do wytłaczania kopert na zegarki z czterema, pięcioma wkładkami, wielką ilość lekkich metalowych blaszek i koszyk z różnobarwnymi rzemykami. Mnóstwo gotowych i na wpół gotowych zegarków leżało dookoła. Nie brakowało mu zapалу do pracy. Motor się kręcił, prasa dudniła, a pan zegarmistrz podkładał płytki i śpiewał.

Od właściciela domu, gdzie dawniej mieszkał wykupił Kalle saunę i łatwo można się było domyślić, że niedługo wykupi cały dom.

»

— Tutaj w każdym razie nie zostanę! Śledzie to dla mnie za małe ryby! — mawiał Kalle. — Weź ten pasek i zanieś go malutkiej Marii! Weź ten, farba już tak nie złazi, jak z dawniejszych. Człowieku! Nie bierz niebieskiego! Dla dziewczyny musi być czerwony!

— A te zielone dla kogo? — zapytał Allan.

— Dla piechoty, mogą być i dla kadetów! Weź sobie jeden! Podaj mi rękę, bo może rzemyk za krótki. W maszynie łatwo sprasować!

— Lepiej ci się to opląca niż handel drewnem?

— Oczywiście! Dzisiaj ludzie niby też kupują drewno na opał, bo się im trochę lepiej powodzi, ale zegarki zawsze są potrzebne, dzisiaj nikt się nie może obyć bez zegarka. W tych nie ma się co popsuć, bo przecież i tak dobrze nie chodzą.

— Byle za to handel szedł!

— Co to za materiał? — zapytał Erkki.

— Bóg jeden wie! Może skóra węża? Robię z tego paski do lepszych zegarków. Jak by tu powiedzieć: „Zegarki specjalne”. Wymyśl mi jakąś atrakcyjną nazwę!

— Wężowe zegarki — zaproponował Erkki.

— Nie, bo ludzie gotowi pomyśleć Bóg wie co! Dobry zegarek musi tykać jak maszyna do szycia.

— A te przecież są zupełnie nieme!

— Owszem, mają wmontowane tłumiki jak wyborowe pistolety, żeby policja się niepotrzebnie nie wystraszyła i żeby nie zakłócać ruchu ulicznego!

Eeva ukazała się na chwilę w drzwiach.

— Czy jest już kawa? — zapytał Kalle.

— Jest, ale...

— Ale nie ma ciastek! To co z tego! Zjemy po kawałku chleba, wytworni ludzie też jedzą chleb!

— To Ramss! — powiedział Allan, Eeva dygnęła.

— Ten generał jest w saunie też tylko nagim człowiekiem, nie ma się co bać.

— I poza sauną też nie robi wiele szumu — stwierdził Erkki.

Dzieci już spały, więc musieli zasiać do kawy w kuchni.

— Jaki teraz najmłodniejszy kierunek uderzenia? — zapytał Kalle.

— Chyba ze wszystkich stron naraz...

— Jasne, owcy jest obojętne, o jaki pień rozbije sobie łeb. Naszemu porucznikowi wymknęło się kiedyś na ćwiczeniach ze szkolenia ogniowego, wybuchnąłem wtedy śmiechem. Oskarżyli mnie wtedy o komunizm. Powiedziałem im na to, że porucznik nie umie się zachować.

— Ach, więc dlatego wylali cię ze szkoły podoficerskiej? — zapytał Erkki.

— No tak, właściwie... Ale nie tylko dlatego. Było coś jeszcze poza tym.

— Co takiego?

— Bezcelnych nie należy zachęcać! — powiedziała Eeva. — Przecież kłamie aż się kurzy.

Za generała Allana Eeva nie uważała, lecz mimo to starała się wypruć najgrubsze nitki z opowieści swego męża, co jej się zresztą udało bez trudu. Kalle też nie zapomniał języka w gębie. I to nie tylko języka! W końcu nawet wstał z krzesła, żeby zademonstrować, jak się rzecz miała.

— Pan major! — mówił — Pan major otwiera drzwi. Pan major zamyka drzwi. Przerwa. Pan major rozsuwa drzwi. Pan major zaszuwa drzwi. Pan major stoi w klozecie. „Lep na muchy na ściance pissuaru w latrynie szkoły podoficerskiej ma być jeszcze dziś usunięty!”

— Pan porucznik będzie łaskaw. Pan porucznik będzie łaskaw zasalutować. Pan porucznik będzie łaskaw zrobić w tył zwrot. Pan porucznik zechce odejść, choć sposób bycia pana porucznika wywiera na wszystkich silne wrażenie. Pan porucznik zachowuje się jak panienka. Pan porucznik posługuje się zegarkiem i szpicrutą. Lep na muchy na ściance pissuaru w latrynie szkoły podoficerskiej ma być jeszcze dziś usunięty!

— Pan feldfelbel przejmuje dowództwo. Pan feldfelbel pociera sobie lewy policzek, pan feldfelbel pociera sobie prawy policzek. Pan feldfelbel poprawia sobie czapkę. Pan feldfelbel zajmuje się odganianiem much. „Lep na muchy na ściance

pissuaru w latrynie szkoły podoficerskiej ma być jeszcze dziś usunięty!"

— Pan kapral wykonuje rozkaz. Pan kapral ryczy. Pan kapral spełnia swój obowiązek służby wojskowej. „Lep na muchy na ściance pissuaru szkoły podoficerskiej ma być jeszcze dziś usunięty!"

— Poofcer Niku... Co mi Niku. Wezmę się do Niemi-nena! — Nieminen odpowiada: „Rozkaz, panie kapralu!"

— Powtórzyć!

— Rozkaz, panie kapralu! I tak muszę tam iść...

— Nie pieprzyć! Powtórzyć rozkaz!

— Lep na muchy na ściance pissuaru latryny szkoły podoficerskiej zostanie z dniem dzisiejszym usunięty.

— Zwięźlej! Bez tej gadaniny, zrozumiano? Tu jest wojsko!

— Pewnie dzieci pobudziłeś! — powiedziała Eeva i wyszła do pokoju.

— No i co potem?

— Co? Zapomniał o lepie, więc go wsadzili do paki. Śmiał się potem w kułak, że tylu dostojnych panów robiło co mogło i nic nie wskórało.

— A co się stało z Niku? Wrócił do kompanii? — zapytał Erkki.

— On? Zaczął czytać jakąś więzienną broszurę, którą znalazł w areszcie i doznał duchowego odrodzenia, miał po prostu oświadczyć majorowi, że nie śmie już zabijać ani na wet kazać zabijać. Zabrali mu karabin i dali do ręki chochlę, nawet zupy nie chciał mieszać. Tylko przez cały czas wygłaszał kazania o tym, że im lepiej służysz diabłu, tym większy staje się twój grzech. Kucharz cierpiał na megalomanię i sam się zaczął uważać za diabła, więc wsadzili go jeszcze raz do paki, żeby sobie poczytał Biblię. Jakiś pastor też się tam zjawił kilka razy, żeby mu pomóc i wytłumaczyć mu, że diabeł staje tylko na czele wojsk nieprzyjacielskich, ale biedak wbił sobie do głowy, że diabeł jest dowódcą każdej armii. A przy okazji wyszło na jaw, że to nie było żadne prawdziwe odrodzenie, ponieważ odbyło się ni stąd ni zowąd w celi aresztu, bez żadnego przygotowania. I ja, zwy-

kły Nieminen, wiem przecież, że są też i hufce anielskie dowodzone nie przez diabła, tylko przez samego Pana Boga.

— No i jak się to skończyło?

— Zwyczajnie, jak to z dekownikami, co?

— Przeniesiono go chyba do kompanii karnej. Więcej nie widziałem go na oczy. Chyba kapujesz, że diabłu nie można oddać pod opiekę ani jednego żołnierza, bo wtedy piekło już nigdy nie byłoby przystanią dla porządných ludzi!

Takie były opowieści Kallego, dykteryjki żołnierskie sypały się bez ustanku, bo niby co można wymyślić lepszego, jak się gości kolegę z wojska. Allan śmiał się, jak należy. Chciał się dowiedzieć, czy Kalle uważa wojsko za zbędny balast. Też pytanie! Taki głupi to Kalle nie był, żeby nie doceniać konieczności służby wojskowej!

Chociaż właściwie Kalle nie miał sprecyzowanego poglądu na temat wojska.

— Nie mam z tym kramem nic wspólnego, pilnuję swego warsztatu i w przyszłym tygodniu wykonam dwa tysiące dziurek w rzemykach. W przyszłym roku na Boże Narodzenie wykonam zamówienie na czołgi do zabawy, jeśli tylko uzgodnimy cenę.

— Iw tym tkwi cały błąd — zaperzył się Erkki. — Nikt nie ma o niczym pojęcia. Każdy mówi: „To jest moja sprawa”. Skaczą jak bezmózgie kury z jednej kupy gnoju na drugą i pogdakują. Trzeba wybierać zimne albo gorące, zamiast czekać z założonymi rękami i narzekać. Do wszystkich wojen doszło z powodu tego tępego umiaru. Wszystkie armie świata maszerowały bezpieczną szeroką drogą złotego środka, nie zadając sobie przy tym żadnego trudu. Nie walczyły w żadnej bitwie, ale jak rozlaźłe bezwolne masy armatniego mięsa po prostu staczały się w dół. Noszenie broni to mania prześladowcza. Gdy wieczorem idzie się na potańcówkę i nikt nie zabiera ze sobą noża, to na pewno nikt nikogo nie zadźga. Ludzkości potrzeba nie rządowych pałaców i fortyfikacji, ale szpitali dla wariatów, i to dokładnie tyle samo co tamtych. Karabinów nam nie potrzeba. Szaleństwo byłoby całkiem bezradne, gdyby mądrość nie dostarczała mu broni. W[^]-iat nie czytałby kodeksów praw, gdyby

mędrzec ich nie napisał, wariat nie wygłaszałby kazań, gdyby
mędrzec nie przygotował dlań Biblii. Jezus sam nic nie napisał!

— Słuchaj, Erkki! Drzesz się jak mały chłopiec przy nakrytym
stole! Jeść ze wszystkich garnków równocześnie się nie da! Lepiej
jedz po kolei z każdego, po dziesięciu minutach zmiarkujesz, że
wszystko smakuje tak samo, a kiedy dojdiesz do pączków,
powiesz matce: „Mamo, zjedz lepiej sama!” Nie trzeba czekać na
to, czego się nie ma, bierz, co masz, i zrób z tego to, czego
pragniesz.

— A co ja takiego mam? Ojcowy topór, piłę i młotek, ale nie
wolno mi budować tego, co bym chciał.

— Masz przecież i ołówek! — przypomniał sobie Allan. —
Możesz nim rysować obrazki, na pewno ci się udadzą!

Na progu zjawił się najstarszy synek Kallego.

— Tatusiu, tam jest pięć, a może nawet siedem gwizdków.

— Gdzie? Powiedz tym panom, gdzie jest taka niepraw-
dopodobna ilość gwizdków.

Lecz Mikko nie powiedział już ani słówka. Stał na progu,
spojrzał na dziwnie ubranego pana i uznał, że najlepiej schować
się w pokoju.

Ale kto inny pomoże Kallemu, jeśli Kalle sobie sam nie pomoże!
Przedsiębiorca, prywatny przedsiębiorca, choć także członek
spółdzielni, wobec czego musiał jeszcze na kilka godzin zajrzeć do
swego warsztatu.

Erkki i Allan poszli dalej w stronę domu. Erkki dowiedział, że
potrafi się skupić, biegle rozprawiać o tej ludzkiej właściwości,
którą nazywamy wojną. Doszedł nareszcie do wniosku, że
niesprawiedliwość, szpetota i głupota są jednym diabłem w trzech
osobach.

— To jak kupa gnoju — powiedział. — Kupa gnoju gore,
a to, co się nie spali, to jest prawda. Jeden Bóg w trzech oso-
bach: dobro, piękno, mądrość.

Oczywiście, Allan od razu stwierdził, że ziemia i tak pozostanie
i cmentarz też, bo naprawdę jest poważnym miejscem, wobec
czego wojna jest czymś wspaniałym.

— Nie! — zaprzeczył Erkki. — Nie twierdzą wcale, że
dobro zależne jest od zła. Zło nie pociąga za sobą dobra, lecz

dobro rodzi się i pozostaje we wnętrzu zła. Prawda jest jak ogień — nie spala nic, ale się pali! Prawda jest nieśmiertelna i właśnie dlatego można i trzeba się na nią stale powoływać i właśnie z tego powodu w życiu nie może i nie powinno być zawieszenia broni z kłamstwem. Siła nie służy bożkom, a Bóg nie lubi mętnej mgły.

Allan milczał. Dopiero kiedyś po latach miał to wypowiedzieć z kieliszkiem koniaku w rękę:

— Jesteś najwspanialszym facetem, jakiego w życiu spotkałem, wiem co mówię, nie... nie... jestem ani tro... troszeczkę pod gazem.

Tymczasem Erkki mówił dalej. Mówił o dzieciach jak o aniołkach. Jeszcze nie wiedział o tym, że w świecie dziecięcym najstraszniejsza przemoc i ludożerstwo są rzeczą powszednią. Mówił o kobietach i o macierzyństwie. Mówił o kobiecie jak o dziewicy Marii, jak gdyby w Biblii wyraźnie było napisane, że wszystkie kobiety nawiedza Duch Święty i je zapładnia, jakby rozdziły samych Jezusów. W jego słowach kobiety rozstrzygały w sprawach wojny i pokoju, stare wdowy tworzyły rząd i parlament, a która nie miała co najmniej dziesięciorga dzieci i wnuków, nie otrzymywała mandatu.

— Kobieta to człowiek — mówił — mądry i dobry.

— I piękny — dodał Allan, który w tym huraganowym ogniu o niczym już innym myśleć nie potrafił, jak tylko o siostrzenicy pewnego generała, dziewczynie z delikatnym biustem, anielskim spojrzeniem i malutkimi, gładkimi jak jedwab rączkami, którymi tak zgrabnie przesuwała po koa-licyjce wysokiego, ciemnowłosego kadeta Ramssiego...

Tego wieczora filozofowano u Nieminenów przeszło trzy godziny, nie wspomniawszy nikogo spośród znajomych Józefiny. Nieraz słyszała wprawdzie takie słowa jak życie, świat, Ja, Bóg i prawda, ale nigdy w tak dziwacznych zestawieniach, że nie wiedziała z czym to zjeść.

— A może zaparzyć wam kawy?

— Nie, zaraz wschodzimy.

I znów toczył się świat, padło słowo: „Bóg”, prawda przygasła i znów rozbłysła. Matka Erkkiego nie pierwszy raz słyszała takie rzeczy, ale gadanina ta wydawała jej się dziwna w każdym razie.

— Twoja matka już wydobrzała?

— Tak, dziękuję. Wprost cudem, ale jakoś...

— Żeby tak było, życie musiałyby mieć przynajmniej dwie różne formy. Życie to przemiana materii, choć tak wiele mówi się o istnieniu duszy.

— To przecież materializm.

No cóż! Gdy człowiek sam nie skala swego imienia, to imię go na pewno nie zhańbi! Materia jest energią, a energia materią. „Mater” znaczy matka. Słowo „idea” nie może być piękniejsze!

— A więc materializm to niemal to samo co ginekologia lub — mówiąc inaczej — „matkizm!”

Życie! Józefinie wydało się, że jakieś potężne słowo z szumem przemierzyło przestrzeń i czas, aby wreszcie jak migocąca czerwona piłka wpaść do jej izby, gdzie odbiwszy się od ściany do ściany wleciała na drzwi, skąd upadła na kuchenną płytę, odbiła się i wpadła do wiadra.

— Przez ten czas moglibyście już wypić cały dzbanek kawy.

— Nie, nie trzeba, już wychodzimy.

— Nie wychodźcie jeszcze, myślałam, że...

Nie. Nic nie dało się wskórać.

Józefina wypła kawę sama. A jakże chętnie napełniłaby trzy filiżanki.

* * *

Nie było dla nikogo tajemnicą, że tylko porządny pożar mógł uratować Makinenów od licytacji. Pożary zdarzały się przecież zawsze i niekoniecznie musiałyby to wzbudzić podejrzenia. Wierność tradycji jest wszakże cnotą. Nie ma mowy o pożarze karczowiska. Nie brak przykładów na to, że dym i popiół potrafi jakimś niewytłumaczalnym cudem przeistoczyć się we wszechpotężny kapitał, a deficyt gospo-

darki narodowej we wspaniały sukces prywatnego przedsiębiorcy.

Lecz ten pożar się nie udał. Najbliższy dom stał już o północy w płomieniach, ale paliło się nierówno. Widocznie sam diabeł zaczął sypać śniegiem, bo instytut meteorologiczny obiecywał pogodną noc. Stary budynek, gdzie mieszkał Eemeli, miał na szczęście gontowy dach, który musiał najpierw trochę podeschnąć, żeby zajął się solidnie. Ale trzeba by chytrze zabrać się do rzeczy! Jooseppi z wiadrem w ręce, w futrzanej czapie wciśniętej na uszy, stał za kominem. Był to wyczyn nie lada. Rzęsy mu się opaliły, kiedy próbował się trochę rozejrzeć. Aha, teraz, teraz!

— Patrzcie, ludzie. Dach u Makinenów! Dach! Dach! — krzyczeli gapie.

— Co to was, do diabła, obchodzi, to przecież nasz pożar.

Jooseppi z flegmą przyjął postawę strażacką, zanim wylał wodę z wiadra. I jak było do przewidzenia, strumień wody chlusnął obok...

Tymczasem krzątający się przy pompie strażak pracował zawzięcie, aż woda z sykiem tryskała na wszystkie strony.

— Czyś ty oszalał? Co z ciebie za jeden?

Strażak polewał i polewał, nie zważając na nic. Jooseppi zaś spadł ze schodów razem z wiadrem. Nie okulał i nie stracił życia, za to klął strasznie, swoją drogą wiadro diabli wzięli.

Z każdą chwilą przybywało pomp strażackich — z oddziałów ochotniczych i zawodowej straży, z Tampere, z Tah-meli, a w końcu nawet miejscowa pompa pispalska. Z Nokia przywłókł się jeszcze jakiś wóz strażacki, jak gdyby uchwalono w parlamencie, że cokolwiek się jeszcze nie spaliło, musi przynajmniej utonąć. I tak się stało, dom się wprawdzie nie spalił, ale ludzie omal się nie potopili.

Miało to w sobie coś uroczystego, kiedy połowa wsi, niezależnie od kilku ciężarówek obcych przybyszów, wyległa na wzgórze, aby popatrzeć na wspaniały pożar i aby pokazać, jak niesłychanie ważną rzeczą jest ocalenie siedziby Eemelego Makinena. A przecież sam Jooseppi wcale tego nie pragnął.

Tej nocy i Nieminenowie nie pozostali obojętni na cudze nieszczęście; Józefina ułożyła do snu dwoje najmłodszych dzieci Makinenów na swoim łóżku, a również wdowa po świętej pamięci Moosesie udała się u niej na spoczynek. Tylko sama Józefina nie spała. Erkki kręcił się w tłumie ludzi podających sobie wiadra z wodą, co zresztą okazało się zupełnie niepotrzebne. Iisakki właśnie wracał z pracy, kiedy wozy straży ogniowej minęły go na drodze do Pispali. To on był owym przeklętym winowajcą, który tak uszczelnił okienko w dachu domku Eemelego, że nie tylko żadna kropla wody, lecz również żadna iskra nie mogła się przedostać do wnętrza. Zjawił się tam również Paavali, stał przy pompie w hełmie na głowie w każdej chwili gotów zrywać płonące belki z dachu. Kalle powodował regularną ulewę, aby ogień nie przerzucił się na dom brata. Meeri wyносиła z domu pierzyny, aż żona Jooseppiego krzyknęła na nią:

— Mam nadzieję, że nie zapomniałaś policzyć swoich pluskiew, zanim tu przyszłaś!

Lecz o wiele bardziej przykra była scena na drugi dzień po pożarze, gdy Józefina zwróciła się do wdowy po Moosesie:

— Może zabrałabyś teraz dzieci do domu, żeby nasz ojciec mógł się choć trochę zdrzemnąć! Wieczorem musi znów iść do pracy.

— Ja? Pójdę do pracy dopiero w nocy, nie ma się co śpieszyć — przerwał jej Iisakki.

— Jak to?

— No, tak jak zawsze.

— Czy chodzisz teraz na inną zmianę?

— O czym ty mówisz?

— O czym ty mówisz? Widać coś z twoją głową nie tak jak trzeba?

— Dziękuję. Nawzajem!

— Nie, nic podobnego. Ma głowę na karku — krzyknęła wdowa Makinen. Jazda, dzieci, stulcie gęby, idziemy, w razie czego zostaniemy na gościńcu. Nas nie trzeba wyganiać kołkiem z płotu! Wasza zupa fasolowa smakowała jakby ją pies wyrzygał. Prędej, prędzej, zabierajmy się stąd, bo nam

dadzą jeszcze trucizny na szczury! Do widzenia. Może i wam się kiedyś przytrafi taki pożar!

— O co ci chodzi? W waszym domu nie było żadnego pożaru!

— Ale niedaleko od nas! — odkrzyknęła wdowa spod drzwi.

Skutki pożaru długo jeszcze dawały się Nieminenom we znaki.

— Już pownosili graty z powrotem do domu. To i ta baba mogła przecież tam wrócić. Zdrzemnij się trochę, Iisakki, a ja przymknę drzwi! My z Marią posiedzimy w kuchni cichutko jak mysz pod miotłą, żeby dziadzio mógł się prze spać. Przez całą noc namęczył się przy pożarze i przemókł do suchej nitki.

Dziadzio Iisakki wyciągnął się na łóżku. Leżał tak przez trzy godziny, lecz nie spał, słyszał każde stuknięcie zegara. Stał przed obliczem Boga, o czym przypominała tabliczka wisząca nad łóżkiem.

— Gdzie położyłaś ten list? — zapytał.

— List od Sylvi? Boże kochany! Czytałeś go już co najmniej trzy razy! Leży na komodzie, sam go tam położyłeś!

— Rzeczywiście! — Iisakki czytał już ten list. Była tam mowa o tym, że Sylvi wraz z rodziną wybiera się na Wielkanoc do Pispali. Ale nie przyjechali. Może przyjadą na pierwszego maja albo na Zielone Świątki, jeśli w ogóle nie pojedą do Tolvajarvi. Gdzie to może być?

— Na pewno niedaleko Helsinek — powiedziała Józefina. — U Sylvi znowu coś jest w drodze, więc nie może daleko jeździć.

Chwilę potem Józefina podeszła do Iisakkiego i powiedziała:

— Może byśmy tak, ojciec, wybrali się do Helsinek!

— Hm, do Helsinek!

— Tak! Tam stoi przecież gmach parlamentu. Maria wciąż pyta o Małpią Wyspę, gdzie leży ogród zoologiczny. Jest jeszcze w tym wieku, że nie trzeba dla niej nawet kupować biletu.

Iisakki nic nie odpowiedział, a to był już dobry znak.

Józefina zaczęła się więc natychmiast zastanawiać nad sukienką na podróż dla Marii.

— Na świętego Jana pójdziemy na Małpią Wyspę — obiecała.

— A czy Kauko pojedzie z nami?

— Nie, tym razem nie zabierzemy go, bo był bardzo niegrzeczny!

Iisakki dopytywał się, jak tam ze śniadaniem. Dziwny człowiek!

— Przecież miałeś wyjść dopiero na noc?

— Jak to?

— Tak mówiłeś!

— Tak?

— Rzeczywiście coś z twoją głową nie w porządku!

— Byłbym mądrzejszy, gdybym zawsze mówił nieprawdę?

— Byłbym mądrzejszy... — przedrzeźniała go Józefina, ale potem przeszła jej ochota na kłótnię z mężem i żywicielem. — Całkiem przytomny w każdym razie nie jesteś — zakończyła.

— Trzeba by pójść do lekarza!

— Do lekarza od głowy? Nie pleć głupstw!

Kto wie...? Może to wcale nie taki głupi pomysł? Józefina przygotowała kanapki. Iisakki wyszedł.

Iisakki był palaczem na budowie, tam gdzie Paavali był murarzem. Dom był już prawie gotowy i wykańczanie wewnątrz szło pełną parą, lada dzień mieli się wprowadzić lokatorzy. Budowa nie może przecież trwać wiecznie. Paa-vali miał dziś wolny wieczór, stał przy wejściu i czekał na ojca.

Syn miał w kieszeni plan budowy, miał to być wielki budynek z cegieł.

— Dwa bliźniaki — rzekł.

— Czy przynajmniej w tej samej miejscowości?

— Po obydwu stronach gościńca.

— W poprzek czy wzdłuż?

— Tu za zakrętem, widzisz, na ukos. Z robotami murarskimi sami sobie poradzimy, oblicz tylko koszty pozostałych robót. Sprawa jest jasna. Trzeba tylko wyznaczyć stawki

i spisać umowę. Pomyśleliśmy, że zaczniesz, jak tylko śnieg stopnieje. Położysz fundamenty, do pomocy weźmiemy chłopów, zanim się rozpoczną wiosenne roboty w polu. Cieśla też się znajdzie, wystarczy go tylko pouczyć, jak to ma wyglądać.

A więc w końcu Iisakki miałby zostać budowniczym, w każdym razie coś w tym rodzaju. I jak to zwykle bywa, w trzy dni potem nadeszła wiadomość od nauczyciela Trap-pa, że chciałby otynkować swój dom, najlepiej już na początku przyszłego tygodnia.

— Ojciec, nie bierz tej roboty! — sprzeciwiła się Józefina. — Spadniesz jeszcze z rusztowania! — Ale prawdziwego mężczyznę takie przestrogi mogą tylko zachęcić. Iisakki stale rachował, chodząc, stojąc, a nawet leżąc.

Na razie pracował na nocnej zmianie.

— Nie przewróć się! Jest ślisko — przestrzegła Józefina.

— A gdzie latarka?

— Masz w kieszeni.

Iisakki poszedł.

Rozmyślał o dwóch czy trzech wekslach, które musiał wykupić. Przydałoby się trochę gotówki. Psiakrew, jak ślisko! Trzeba patrzeć na drogę. Podatki, odsetki, ubezpieczenie od ognia, buty dla... buty i kalosze dla Józefiny...

— Dobry wieczór! — powiedział Henrikson. — Baby znów przyszły tu kraść drzewo...

— Dobry wieczór! Co mówisz?

— Ciągłe te baby, mówię...

— Jak myślisz, będzie mróz, czy odwilż?

— Chyba będzie zmiana: druty telefoniczne tak dziś brzęczały...

— To prawda. Na wszelki wypadek solidnie napaliłem. Węgla mało, przeważnie drzewem. Łatwiej zgasić, gdyby się jednak ociepliło.

— Jasne — rzekł Iisakki. — Zaczęli już na trzecim piętrze?

— W jednym mieszkaniu skończyli już sufit w dużym pokoju.

%

— Aha. Pewnie mój syn się do tego zabrał.

Zaczęli zbierać kawałki desek, żeby nie iść na górę z pustymi rękami. Henrikson miał prawie osiemdziesiąt lat, jeśli dobrze pamięta. „Prawie osiemdziesiąt” liczył sobie zresztą już od pięciu lat. Ale był naprawdę chorowity, nic w tym śmiesznego.

Nocą Henrikson, jak mówił, nie mógł iść tam, gdzie mieszka. Właśnie tak wyrażał się zawsze, nigdy nie mówił o swoim domu, toteż Lisakki nigdy go o to nie pytał, dbał jedynie, aby w kacie, w którym Henrikson odpoczywał, było zawsze ciepło.

Henrikson był, jak mówiono, kamieniarzem, to znaczy byłym kamieniarzem i wskutek tego, jak łatwo zgadnąć, chorował na płuca od ciągłego wdychania pyłu. Jednak nie zawsze zajmował się kamieniarstwem, kiedy terminował u krawca, później był woźnicą, stolarzem i kowalem. Ostatniego zawodu nauczył się dopiero w trzydziestym piątym roku życia.

Stolarzem nigdy nie byłem jak należy, ale nieboszczce żonie zrobiłem taki krzyż na mogiłę, że do dziś dnia żałuję, że go nie posmołowałem. A właśnie, wiesz może, czy krzyże nagrobkowe wolno smołować?

— Nie wiem.

— Ja za to słyszałem, kościelny mi powiedział, że nie wolno. I wtedy wzięła mnie taka złość, że poszedłem do kuźni i zrobiłem drugi krzyż, stoi tam do dziś, sześćdziesiąt lat. A kowal powiedział mi wtedy: „Niech sobie robaki toczą drewno, chodź do mnie i zostań kowalem!” — „A gdzie?” — pytam. — „Tutaj” — powiada i kładzie bryłę żelaza na kowadle. Wziąłem się do pracy i zacząłem kuć. Przez dwa lata robiłem wszystko, co mi majster kazał, ale kiedy nie było widać końca roboty, wyniosłem się do miasta. Do Tam-pere. Zgłosiłem się do warsztatu kamieniarskiego, do starego Silan tera. „Powiedz, co umiesz?” — spytał mnie stary. „Potrafię wam naostrzyć narzędzia” —■ odpowiedziałem. A on na to: „Jeśli potrafisz naostrzyć stal, to potrafisz ją również stępić”. Dał mi długi świder i dłuto i tak się zaczęło. Nie gadaliśmy wiele na ten temat.

— Zostałeś, jak to mówią, wdowcem, a może...? — B»-pytał Iisakki.

— Tak, i drugi raz się już nie ożenię, chociaż i wtedy nie mieliśmy prawdziwego ślubu.

— A jak to się stało, że ona tak nagle umarła?

— W wodospadzie! Mówi: „Skoczę!” Nie zdążyłem jeszcze krzyknąć, jak skoczyła.

— Naprawdę?

— Tak właśnie zrobiła, wierzysz mi? Wołała o pomoc, ale co miałem zrobić, jak nigdzie w pobliżu nie było łódki.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Henrikson odezwał się:

— Powinienem być zrobić dla Lovisy krzyż kamienny. — A po chwili dodał: — Właściwie powinienem być za nią skoczyć. Pytałem pewnego pastora, czy Kain powinien być popełnić samobójstwo. Pastor odpowiedział, że to już sprawa Pana Boga, a nie Kaina. Powiedz mi, jak uważasz, co powinienem zrobić!

— Zrób kamienny krzyż, jeśli masz odpowiedni materiał!

— Mam — zapewnił Henrikson.

Iisakki zabrał się do roboty: podłożył na ogień, wyrzucać za drzwi niepowołanych. Nie była to ciężka praca, gdyż całkiem niepowołanych Iisakki jeszcze nigdy nie napotkał, a drewno na opał miał zwykle przygotowane już na dzień wcześniej. Człowiek z natury nie jest nocnym stworzeniem, podobnie jak nie został stworzony do wdychania dymu. Zresztą za samo czuwanie w nocy i oddychanie nikt nie płacił, trzeba było pilnować ognia i budowy. Reszta była zjawiskiem ubocznym, bezbarwnym, bez zapachu i smaku jak azot w dymie. W jaki sposób ludzie doszli do przekonania, że u takiego wypompowanego wraka występuje już wytrzymałość nieboszczyka? W każdym razie powszechnie mniemano, że łatwiej diabłu wyciągnąć pchłę ze stogu siana niż Henriksona z życia.

Pchła w stogu siana żyje niedługo, rozmyślał Iisakki. W każdym razie nie pchła człekokształtna. Raz jeszcze wziął naręczę ścinków. W miejscu gdzie spał kolega, nie chciał palić węglem. Robota idzie szybko,»robią wszystko raz dwa,

ale centralnego ogrzewania nie można zakładać, zanim nie skończy się tynkowanie.

Henrikson pewnie już śpi. Nie, siedzi i kaszle. Iisakki usiadł obok niego, zażył pigułkę, popił kawą i zapalił papierosa.

— Posłuchaj, Nieminen!

— Przecież słucham — rzekł Iisakki, choć nie miał zbytniej ochoty do słuchania.

— Powiedz mi, czy uważasz mnie za mordercę!

— Jak to?

— Powiedz szczerze, że mnie za takiego uważasz. I tak wiem, co myślisz.

Ten już chyba długo nie pociągnie — pomyślał Iisakki.

— No powiedz! Pytam cię raz jeszcze, czy jestem mordercą.

— Skąd mam wiedzieć! — rozgniewał się Iisakki i wyszedł z pokoju.

Czy wolno opuścić człowieka w takim stanie? Zresztą, co to Iisakkiego obchodzi! A jeśli Henrikson założy sobie teraz postronek na szyję albo zrobi strzyżek z kabla? Nie. Trzeba mu coś powiedzieć, tylko co i jak...?

No tak, tylko odetchnę chwilę świeżym powietrzem, zaraz do niego wrócę, poczęstuję go papierosem. Mogę mu nalać kawy, a aspiryny też mam jeszcze trochę... Najpierw zajrzę na schody „B”.

Po upływie dziesięciu czy piętnastu minut Iisakki znów wrócił do Henriksona.

— Zaczyna tajać, trochę śniegu już nawet stopniało.

— Nie mówiłem!

— Owszem, owszem. Chcesz może aspiryny?

— Aspiryny? To przecież nic nie warto. Wolę kamforę!

Henrikson miał jej jeszcze sporo w butelce. Najpierw sam łyknął, a potem zwrócił się do Iisakkiego:

— Wypij i ty!

Iisakki wypił i oczywiście się zakrztusił.

— No, jak ci smakuje?

— Taak, **dobrze**.

Iisakki poszedł znów na obchód. Ze schodami „A” szybko się uporał i już chciał otworzyć następne drzwi.

Co tu się dzieje? Furtka stoi otworem. Czyżby? No tak, otwarta. A ci co to za jedni. Znikli na schodach „B”. Wyglądało na to, że to mężczyzna i kobieta. Oboje przytuleni.

Iisakki poszedł za nimi. Wziął do ręki kawałek drewna, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Zapalił latarkę.

— Tylko spokojnie — ostrzegł go jakiś wyrostek. — W czasie ferii Bożego Narodzenia pracowałem tu jako pomocnik...

— Chodźcie do szkoły. Zbierajcie się, jazda stąd! I nie waźcie się tu więcej pokazywać!

— ■ To gdzie się mamy podziać? — lamentowała dziewczynka. Miała może szesnaście lat, a może nawet mniej.

Iisakki nie odezwał się ani słowem. Poszedł do sąsiedniego pokoju, po chwili zobaczył, jak parka wychodzi z sieni. Gdzie się mamy podziać! Na przyszły raz wejdą może na dach.

— Hallo! — zawołał. — Hallo, zamknijcie furtkę! — Żadnej odpowiedzi. Poszli sobie. Iisakki poszedł w kierunku furtki. Uszedł jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków, naraz ujrzał, że chłopak wraca, wyciąga furtkę z zawiasów i rzuca ją na jezdnię. Zaczął się wyścig. Z daleka dobiegł beczelny śmiech.

Iisakkiego ogarnęła wściekłość. Ja im pokażę, myślał. Biegł, jak tylko biegnie rozwścieczony dziadek, zabrakło mu tchu, zatrzymał się i zakaszał. Zmykajcie sobie, uciekajcie, pomyślał. Nie dogonię was, dokończył wściekły.

Była to zwyczajna furtka, jakie mają ogrodzenia na placach budowy. Podnieść ją i zawiesić na zawiasach nie stanowiło problemu, lecz nagle — jak niespodziewanie przychodzi taka chwila — jakaś nieznana siła rzuca Iisakkiego na ziemię. Furtka stoi krzywo oparta o płot, a Iisakki przewraca się na jezdnię. Pada na bok, po chwili osuwa się na wznak. Patrzy w niebo. Ależ nie! Przecież jeszcze nie zgłupiał, ta cienka zasłona z chmur to nie niebo! Najważniejsze, czego nie może zrozumieć, to to, że nagle leży jak długi i nie może nawet kiwnąć palcem w bucie. Stopniowo pojmuje, że

coś mu rzezi w gardle, a więc może jeszcze przynajmniej rzezić. Ale nie może wydobyć z siebie ani słowa, nie może krzyknąć ani nawet się pomodlić, chyba że w myśli. Psiakrew, żeby w samym środku miasta nie było jakiego policjanta...

Policjanci? Dzięki Bogu byli. Podeszli do niego, popatrzeli, trącili nogą, obwąchali, zaklęli i odeszli. Iisakki zrozumiał jedno: niebawem przyjedzie taksówka lub wóz. Uznali go za pijanego! Jasna cholera, że też nie może wykrztusić ani słowa!

Przewieziono go na posterunek. Nie dało się ustalić jego tożsamości, choć sam we własnej osobie leżał na podłodze.

— Nie, popatrz tu! Tutaj jest kartka papieru... L. 64000. P. 1250. S. 800... Do diabła, co to za karteluszek? Myślisz, że to ma jakiś związek z kokainą?

— Nie, na pewno nie.

— A jaki wyelegantowany!

— Ale bez gotówki, ani złamanego pennia!

— A jak rzezi!

— Ma szelki?

— Nie, ani szelek, ani paska, spodnie trzymają się jakoś same.

— Muszą być z cholernie dobrego materiału, jeśli się tak same trzymają.

— Ale słuchaj, on nie ma wcale brzucha!

— Zaniesiemy go do celi!

— Weź go za te patyki, a ja złapię za ręce.

Po chwili Iisakki znalazł się na betonowej posadzce. W kiciu. Było mu zresztą zupełnie obojętne, jaką nazwę nosić będzie miejsce jego zgonu, łóżko czy posadzka. Zabrano mu rękawice i czapkę, a kieszenie wyciągnięto na wierzch. Rzadkie włosy muszą mu posłużyć za poduszkę. Gęsty i silny zarost jest chlubą mężczyzny jak porządnie wycerowane pończochy dla jego małżonki. Iisakki wie coś na ten temat. Wie na przykład, że nie jest sam, nie wie natomiast, ilu ma towarzyszy i o jaką imprezę tu idzie.

— In vino veritas! In vino veritas!

— Siedź cicho, to przecież miejsce publiczne!

— In vino veritas! Wiesz chociaż co to znaczy?

— Niech sobie znaczy, co chce, nie hałasuj! Skąd mają wiedzieć, kto się tu awanturuje. Zobaczysz, przed dziewiątą nas stąd nie puszcza!

— In vino veritas! Gównu, kochasiu! Tak to już jest! Dawniej myślałem, że trzeba częstować sąsiada, ale teraz już wiem, że to obojętne, kto to wychła.

— Stul pysk, inni chcą spać!

— ■ Niech sobie śpią. A ja sobie pogadam! In vino veritas! Upijcie się, to się przekonacie, jak to jest! Nie dostaniecie nawet poduszki pod głowę, własna żona wyrzuci was na ulicę. Wtedy ocenicie, co w człowieku tkwi! Mnie nawet pobiła! Zastrane życie! Jeden granatowy skoczy ci do gardła jak wilk, a inny będzie ci przed nosem wymachiwał pistoletem! Przekłete kundle. Ciekawe, skąd wzięli mundury?

Iisakki już się nie buntuje. Jego rżenie tak przycichło, że nie przeszkadza śpiącym sąsiadom. Policjant, który śledzi go przez judasza, mimo najszczęśliwszych chęci nie może go uważać za buntownika. Szarża, która taką opieką darzy py-skaczy, nic mu już nie robi. Pokój strudżonym, wieczny odpoczynek zmarłym!

Iisakki już nie oblicza, nie buduje, nie przejmuje się wekslami, liczy się tylko to, co nastąpi, a jeśli już się nic nie liczy, to już nic nie nastąpi.

Iisakki jeszcze oddycha, jeszcze bije mu serce. Czuje, że jeszcze żyje, lecz już nie potrafi zebrać myśli, niczego już nie pamięta. Nareszcie jest zbawiony od ciągłego rachunku sumienia pustelnika, od rozmowy z samym sobą, właściwej myśliwym i samotnym wędrowcom leśnym, którzy nigdy w życiu nie widzieli kuchenki gazowej, nigdy nie siedzieli w miękkim fotelu, a w świetle błyskawicy czekają na Kazanie Na Górze. Dopiero teraz Iisakki jest samotny jak człowiek w wielkim mieście, biedny niczym ptak urodzony w klatce.

Nie! Chociaż nie! Iisakki ma przecież swoje drzewo jarzębinowe, o którym marzył przez 60 lat, tak przyjemnie było kiedyś kołysać się wśród gałęzi. Doczekał się! Leży na wznak, niepotrzebne mi? nogi i ręce, jest mu wygodnie, cho-

ciąż niby trochę śmiesznie. W każdym razie czuje się dobrze. Iisakki się uśmiechnął.

Czy to był rzeczywiście uśmiech, a może raczej...? Nie, w żadnym wypadku. Właściwie wyraz jego twarzy był trudny do określenia: ten człowiek albo nigdy się nie uśmiechał, albo się nigdy nie krzywił.

Lecz mimo to w Iisakkim wciąż jeszcze porusza się to coś, co zmusza innych do powstrzymania się od uśmiechu i dowcipnego pytania! „Dzień dobry, Iisakki, miałeś pewnie dziwne sny?”

Józefina obudziła się, gdy zegar wybił wpół do czwartej, zegar Nieminenów, który śpieszył się o cały kwadrans. Wstała, zapaliła światło i z bliska spojrzała na zegar: „Wpół do czwartej, rzeczywiście” — zgasiła światło i znów otuliła się kołdrą. Pomyślała o Iisakkim, po chwili znów zapadła w sen, we śnie widziała go znów.

Cała sprawa była bardzo prozaiczna, nie była godna uwagi, lecz niebawem nabrała znaczenia.

O wpół do szóstej Józefina rozpałała ogień, o szóstej obudziła Erkkiego. Syn zerwał się na równe nogi, wdział spodnie i zasiadł do gotowanej owsianki. Połykał ją z takim zapalem, że matka nie mogła ukryć swego zadowolenia.

— Może chcesz jeszcze?

— Nie, dziękuję.

— ■ Napijesz się kawy?

— Tak.

Erkki wkładał skarpetki i deklamował:

Od chwili tej, myśli harde,

Łaknijcie krwi, by nie zasłużyć na wzdarcą!

— Na miłość boską, co ty wygadujesz?

— To Szekspir! Co, źle powiedziane?

— Bo ja wiem. Lepiej daj temu spokój! Nie wierz we wszystko, co uczeni ludzie wygadują! Uważają prostych ludzi za głupich! Wyobrażają sobie, że wierzchołek jest ważniejszy od pnia!

Erkki natychmiast podchwycił tę myśl.

— A jak przyjdzie burza z piorunami, to co się stanie z wierzchołkiem i konarami? Pójdą na stos nad brzegiem wielkiej rzeki, a potem piorun uderzy w sam środek i najwyżej flisacy sobie przy ognisku buty wysuszą.

— Przestań pleść!

— Jak myślisz, czy w niebie stawiają budynki? Chyba solidne domy, a nie szałas z chrustu?

— Ubieraj się, bo się spóźnisz! I nie dawaj nigdy fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu. Sylvi mi opowiadała, że zagranicznicy, jak przyjadą do Finlandii, to wytrzeszczają oczy, bo słyszeli, że nie ma tu nic prócz białych niedźwiedzi i bagien, bimbrowni, nierobów i zwariowanych literatów, i jednego maratończyka, co pasie bydło.

— Trzeba by dodać do tego jeszcze pniaki sosnowe, z których jest pierwszorzędna smoła. No i trochę różeg brzoźowych do sauny.

— To nie żarty!

— Dlaczego nie? Nigdy nie zaszkodzi napisać coś dobrego. Szekspir był drwalem, prawdziwym parobkiem. Dobrze wiedział, że trzeba mieć na uwadze najgorsze cechy człowieka, jak się ma trafić tłumowi do przekonania. Wypuść na wolność Barabasa, a przekonasz się jak szybko wymiecie ci całą ziemię do czysta.

— No dobrze, już dobrze. Biedne dziecko, znów obudzili cię! Chodź, chodź, pójdziemy do pokoju babci. Babcia chce, żeby Maria jeszcze trochę pospała. A ty, Meeri, napij się kawy! Weź filiżankę z szafy w kącie. Dałabyś dziecku trochę pospać.

— Kiedy sama się obudziła i zaczęła beczeć. Wciąż tylko chce do babci, matka jej pewnie niepotrzebna. A zrobiła się już nawet kumoszką do kawy. Spróbuj nie dać jej czego!

— Ach, miły Boże! Nigdy jej jeszcze kawy nie dałam i nigdy o to nie prosiła!

— A mnie opowiadała, że babcia ją zawsze częstuje kawą!

Meeri nie wzięła filiżanki z szafy Józefiny, rzekomo nie miała czasu. Erkki wyszedł« domu wkrótce po niej, babcia

i jej ulubienica pozostały same. Mała nie chciała spać. Nie warto się było z nią spierać, obie wzięły się do roboty. Pozostawiły dzbanek z kawą na płycie kuchennej i przykryły go kapturkiem.

— ■ A kaszę wstawimy do piecyka — rzekła babcia. — Ale nie za blisko! Nie, nie za blisko ognia, bo się przypali.

Gdzie się dziadzio zawieruszył? Gdzie się podziewa tak długo? Właściwie już czas pójść do mleczarni. Małą można by zabrać ze sobą, ale nie. Mleko nie jest ważniejsze od dziadka! Józefina nie wiedziała czym ma się zająć. Czekala.

Raz jeszcze podłożyła na ogień i zdjęła kapturek z dzbanka, żeby kawa się niepotrzebnie nie gotowała, a malutka Maria zasnęła na kolanach babci. Ogień huczał.

— Trzeba trochę przymknąć wywietrznik, bo nam drze wo wyleci przez komin! Biedne maleństwo, babcia zaraz za niesie cię do łóżeczka.

Gdzie się lisakki podziewa!

Gdy zegar wydzwonił dziesiątą, Józefina zdecydowała się. Martwiło ją, że musi wyrwać dziecko z najsmaczniejszego snu, ale niepokój był zbyt wielki.

— Bierzemy sanki! Babcia pociągnie cię. Gdzie się po działa rękawiczka? Czy mama nie wzięła dla ciebie szala? O, tu leży i nie odzywa się.

Ruszyły. Dzbanek na mleko zostawiły w sklepie i poszły dalej. A co z kluczem? lisakki jakoś da sobie radę, gdyby tymczasem się zjawił.

— Może pani trochę pomogę? — pyta jakaś młoda nieznajoma.

— Naciągnęłam na buty grube wełniane skarpetki, to dobry sposób, niech i pani spróbuje! Człowiek nie marznie, i nie tak łatwo się pośliznąć!

Stary Mantynen posypuje piaskiem ścieżkę.

— Pomogę pani...

— Poradzę sobie jakoś — mówi Józefina. — Wciągnęłam na buty skarpetki Iisakkiego.

— Chciałem właśnie posypać piaskiem i dalej, ale...

— I tak niedługo zacznie tajać.

- Łatwiej ciągnąć sanki, jak droga nie jest posypana piaskiem.
- Ale dla pieszych większa wygoda!
- To prawda — zgadza się Józefina.
- A gdzie się pani tak raptem wybiera? — pyta pani Lehtonen.
- Idę tam na zbocze do syna, nasz Kalle tam mieszka.
- Ach tak! Pozwoli pani, że trochę pani pomogę!
- Dziękuję, dam sobie radę.

W samej rzeczy Józefina nie bez powodu uważała, że ludzie są dobrzy, pomocni i uprzejmi: właśnie ludzie. Niekiedy tylko nasuwało się jej pytanie, jak widzą ją inni.

Droga pod górę była tak pobrużdżona, że Józefina wołała pójść boczną ulicą. Wreszcie dotarła do celu swej wyprawy.

- Ojca jeszcze nie ma! — oznajmiła.
- Dokąd poszedł? — zapytał Kalle.
- Oczywiście do pracy. Nie zadawaj głupich pytań! Około siódmej powinien już być w domu, a tu jak go nie było, tak nie ma! Oby mu się tylko nic złego nie przytrafiło, bo ostatniej nocy miałam znów dziwny sen...

— No tak, sny miewasz stale! Może spóźnia się z powodu tej roboty na akord.

— Co za akord? Żeby w robocie na akord robić jeszcze jakiś akord. Kto to widział? Trzeba go znaleźć, gdzie się podziewa. Jak nie wyruszysz zaraz na poszukiwanie, to pójdę sama. Przywiozłam z sobą Marię...

- Kalle! — przerwała im Eeva.
- O co ci chodzi! Zaraz idę!
- Babciu, babciu! Czy mogę wziąć Marię na Małpią Wyspę?
- Proszę bardzo, tak! Słuchajcie! Wasz Mikko nauczył się wymawiać „r”,
- Jeszcze jak! Dwa dni temu powiedział: „Morda parszywa”.
- Pewnie się tego od ciebie nauczył! Wstydzili byś się!
- Wstydzę się! Przy tobie człowiek zawsze musi się wstydzić!

— Tatusiu, tatusiu!
— Co takiego?
— Czy wstąpimy do Johanna jak będziemy szli na Małpią Wyspę?
— Oczywiście, że tak! Najpierw muszę sprawdzić, czy ojciec tymczasem nie wrócił do domu. Potem zajdę na budowę, a jak będzie trzeba, powędruję aż do wrót piekieł. Żle by to było. gdvbv dzieci nie mogły odnaleźć ojca.
— Tak! Szukaj dobrze! I powiedz mu, żeby tu do nas zaszedł! Zawiezie nas na sankach do domu.
Kalle poszedł.
— Co szyjesz? — zapytała Józefina.
— Spodenki dla Mikka — odpowiedziała Eeva.
— Na miłość boską, jak ten chłopiec biega, aż ciarki człowieka przechodzą! Chodź tu, Pirkki, usiądź lepiej na kolanach babuni, zanim...
— Mamo, popatrz jak biegnę.
— Biedne maleństwo! Znowu się zmoczył.
— Zaraz go przebierzemy!
— Zgadnij, z czego jest ten materiał? Jest bardzo stary!
— To z twojego płaszcza?
— Tak.
— To znaczy, że nie jest taki bardzo stary!
— Miałam piętnaście lat, jak go dostałam. Poszłyśmy z mamą po zakupy. Nie myślałam, że przerobię go potem na spodenki dla synka. Mikko, Mikko, nie wolno się droczyć z Marią!
— Dlaczego nie myślałaś o tym? Trzeba było zapytać matkę!
— Wtedy? Skąd mogłam wiedzieć o takich rzeczach?
— No tak, masz rację.
— Już kiedyś o tym mówiliśmy, czy by... Czy Kalle już ci coś mówił? Chyba przeniesiemy się do miasta.
— O, Boże! Chcecie się przenieść do miasta! Tak, już coś o tym słyszałam. Pispala to jak statek! Ludzie przychodzą tu i odchodzą. A ja tu zostanę. Dobrze nam tu z ojcem, spokojnie... Cały ten statek płynie do miasta. Płyńcie tam, nawet kiedy jesteście tutaj, nie musicie się wcale przenosić!

- Tak, też już o tym słyszałam.
- A zresztą, przenoście się, głupstwa plotę. Młodzież powinna pędzić naprzód. Co z ojcem? Jakoś się nie pokazuje!
- Kalle przecież dopiero co po niego poszedł. Nie martw się. Już Kalle ci go sprowadzi! Mój ojciec ostatniej zimy, wstyd mi o tym opowiadać, zabrali go...
- A jeśli tak naszego ojca wzięli na posterunek...!
- Na posterunek? Jakim cudem?
- Nigdy nie wiadomo. Naprawdę zaczynam się już obawiać, że go aresztowali. Na pewno byłby już wrócił!
- Nie suszcie sobie tym głowy!
- I martwią mnie wasze przenoiny. Nawieźliśmy tyle ziemi pod te drzewka. A teraz wszystko zostanie bez opieki!
- Nie trap się tym! Na pewno ktoś się wprowadzi na nasze miejsce! Będzie miał dobry grunt pod rzodkiewki!

Redaktor
JANUSZ SIKORSKI

Redaktor techniczny
MIROSLAW KOPINSKI

Korektorzy
MARZA HABINOWSKA
TERESA PIECHOCKA

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE — POZNAŃ 1979
Wydanie I. Nakład 10 000+260 egz. Ark. wyd. 17,7; ark. druk. 20,875.
Oddano do składania 6 I 1969 r. Podpisano do druku 24 XII 1969 r.
Druk ukończono w styczniu 1970 r. Papier druk. mat. ki. III, 70 fc
82X104 z fabryki w Kluczach.
zam. nr 878/69. G-8/1151/3 Cena zł 26,—
SZCZECIŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE
Szczecin, Al. Wojska Polskiego 118.
Zam nr. 126.

